

Robert Sztilmark

SPADKOBIERCA Z KALKUTY

Tom I

Przekład
Zofia i Stanisław Głowiakowie
Tadeusz Piekło



Wstęp

Dżentelmen i jego sługa

Gorzka słodycz wspomnień...

Alfred de Musset

Kamienistą ścieżką wiodącą w stronę niedużej zatoki ukrytej wśród skał szło dwóch mężczyzn. Przodem kroczył wysoki dżentelmen o orlim nosie, w ciemnozielonym płaszczu i trój graniastym kapeluszu. Spod kapelusza połyskiwał srebrem warkocz peruki, mocno przewiązany czarną wstążką, by nie potargał go wiatr. Mimo wysokich marynarskich butów z podniesionymi wyłogami krok mężczyzny był sprężysty - taki chód wyrabia się nie na parkietach salonów, lecz na chwiejnym pokładzie okrętu.

Jego towarzysz, piękny młodzieniec w liberii grooma, niósł za nim lunetę w czarnym futerałku i strzelbę myśliwską. Lufa strzelby była z najlepszej damasceńskiej stali, a gładko polerowaną kolbę zdobiły inkrustacje z masy perłowej. Strzelba nie posiadała rzemienia ani nawet uchwytów; właściciel nie miał potrzeby nosić jej na własnym ramieniu, nie wychodził bowiem nigdy na polowanie bez służącego.

Otwartą na morze zatokę otaczały półkolem szare granitowe skały. Rybacy nazywali ją Zatoką Starego Króla - zębaty szczyt środkowej skały przypominał koronę. Nad szarozieloną, pachnącą jodem wodą krążyły nisko mewy. Ranek był chmurny, kropił deszcz. Latem tu, w północnej Anglii, na wybrzeżu Morza Irlandzkiego, pogoda taka jest zwykłym zjawiskiem.

Pierwszy wystrzał odbił się echem wśród pustynnych skał. Spłoszone mewy wzbiły się w górę i z przeraźliwym krzykiem rozpierchły się na wszystkie strony. Małymi stadkami poleciały ku sąsiednim urwiskom i tam, po drugiej stronie zatoki, znów poczęły zniżać lot. Dżentelmen widocznie spudłował - ani jeden postrzelony ptak nie trzepotał się na spienionej wodzie.

- Strzelba gotowa, wasza mość! - Młodziutki groom podał swemu panu nabitą na nowo flintę; strzelec i jego towarzysz byli już na szczycie niewysokiej skały i patrzyli teraz w dół. - Ptaki zaraz się uspokoją i znów przylecą.

- Nie wiecie mi się na polowaniu, jeśli spudłuję przy pierwszym wystrzale - odparł dżentelmen. - Mam wrażenie, że nasza dzisiejsza przechadzka też nic nie da, na horyzoncie nie widać ani jednego żagla. Pewnie i nasz „Orion” stoi gdzieś na kotwicy. Mimo to zostanę tu trochę, popatrzę na morze. Zatrzymaj strzelbę, Antonio. Daj mi lunetę i czekaj na dole przy koniach.

Groom podał swemu panu futerał z lunetą i oddalił się ścieżką w dół. Wkrótce ucichł szelest kroków i szmer kamyków osypujących się spod nóg. Dżentelmen pozostał sam.

U stóp skały niespokojnie kotłowało się morze. Płynąca znad oceanu chmura z wolna rosła i otulała wybrzeże. Kontury odległych cypli i małych wysepek niknęły za przesłoną deszczu i mgłą. Spod tej nisko nawisłej przesłony wybiegały szeregi burych morskich fal; wpadały w otwarte kamienne objęcia zalewów i zatok i potrząsając leniwie kosmatymi grzywami, biły o podnóże skały.

Stojącemu na jej szczycie mężczyźnie z lunetą wydało się w pewnej chwili, że to skała płynie na spotkanie morskich fal, rozcinając je kamienną pierśią niby dziób okrętu. Porywy wiatru rozsiewały w powietrzu drobnutki słony pył, który osiadał na jego twardych, kędzierzawych bokobrodach. Nie odrywając wzroku patrzył na przybój i liczył „dziewiąte” fale - ogromne, grzywiaste bałwany.

Uderzywszy o skałę fala cofała się wlokąc za sobą w morze kamienie i żwir, póki ich nie pochwyciła nowa, spieniona fala, by znów cisnąć nimi o podnóże skały...

Myśli mężczyzny są już daleko od tej zatoki, od tych szarych skał i krzykliwych mew. Nie widzi wokół siebie nic prócz gniewnych kosmatych grzbietów. Pod jego stopami już nie skała; w pamięci ożył dawno zatopiony okręt.

Znów jak ongiś, szeroko rozstawiwszy nogi, stoi przy bukszprycie mknącego po falach szkunera.

Wiatr świszczce w takielunku, napęlniając lekko zarefowane żagle... Za burtą fosforyzują wody ciepłego morza. Nad masztami, w głębokiej czerni nocnego nieba, widzi nie trzy gwiazdy Oriona, lecz migotliwe złoto Krzyża Południa.

Zawsze wierzył, że pośród gwiazd tych dwóch najpiękniejszych konstelacji północnego i południowego nieboskłonu znajduje się i jego szczęśliwa gwiazda.

Coraz dalej i dalej od wybrzeży Anglii unosi go uludny okręt wspomnień...

...Już trzeci miesiąc trwa żegluga. Po kilku krótkich postojach w małych portach i zacisznych zatokach u zachodnich wybrzeży Afryki szkuner opłynął Przylądek Dobrej Nadziei i odwiedziwszy południową część Madagaskaru zapuścił się na wody Oceanu Indyjskiego.

Kapitan szkunera, jednooki Hiszpan Bernardito Luiz el Gorra, dobrał sobie dzielnych zuchów na ten daleki rejs. Czterdziestu sześciu wytatuowanych od stóp do głów marynarzy, którzy niejedyn już raz powąchali prochu i znali się na pogodzie; stary bosman, dla swej zajadłości przezwany Bobem Rekinem; pomocnik kapitana, Giacomo Grelli, który w walkach abordażowych zyskał sobie miano Leoparda, i wreszcie sam Bernardito, Jednooki Diabeł - oto była załoga „Czarnej Strzały”.

Już dwa tygodnie minęły od owego ranka, gdy skaliste wybrzeże z Przylądkiem Iglastym - gdzie w nieogarnionym błękitnym przestworze wiodą wieczny spór wody dwóch oceanów - rozplynęło się na południowym zachodzie za rufą szkunera, a jeszcze nie spotkali ani jednego statku handlowego, płynącego bez osłony.

- Psiakrew, niech to piorun strzeli! - klął na baku Rudy Piu, wyrznąwszy łożnianym kubkiem o pokład. - Po kiego diabła, pytam, zaciągnął nas Bernardito na swojej balii do tej wylęgarni rekinów? Uważam, że hiszpańskie dublony dźwięczą nie gorzej niż indyjskie rupie.

- Już trzeci miesiąc żegluję z wami, a jeszcze ani jeden farthing nie wpadł mi do kieszeni - podchwycił rozmówca Rudego Piu, chudy dryblas ze złotym kolczykiem w uchu, nazywany przez całą załogę Jacob Szkielet. - Gdzież one są, te przyjemne żółciutkie krążki i wesołe, kolorowe papierki? Z czym przyjdę do tawerny „Marynowany Pudel”, gdzie sam Pan Bóg może otrzymać poncz wyłącznie za gotówkę? Gdzie jest, pytam, nasza brzęcząca radość?

Dzień miał się ku wieczorowi. Słońce stało jeszcze dość wysoko, lecz skrywały je mgliste opary. Tego ranka kapitan zmniejszył racje wody i wina wydawane załodze. Udręczeni pragnieniem marynarze pracowali apatycznie, w posępnym milczeniu. Gorące, wilgotne powietrze pozbawiało ludzi sił. Lekka bryza wiejąca od brzegów Madagaskaru wydymała żagle, ale ten podmuch był tak ciepły, że nie przynosił ochłody dla rozpalonych twarzy i ciał.

- Usiądźmy, Jacob. Tu, pod szalupą, jest trochę chłodniej. Za pół godziny zaczyna się nasza wachta, a mnie tak zaschło w gardle, jakbym przeżuł i połknął Biblię. Topór i szubienica! Kiedy Czarny Woodrow był naszym bosmanem, zawsze znalazła się dla mnie pinta wytrawnego aragońskiego wina.

- Ciszej, Piu! Podobno kapitan nie lubi, gdy się wspomina Woodrowa lub Giuseppe.

- Tu nikt nas nie słyszy.

- Powiedz mi, Piu, czy to prawda, co gadają chłopaki, że Woodrow i Giuseppe wyciągnęli łapę po skórzany mieszek Bernardita?

Rudy Piu rozmazał tłustą dłonią krople potu na miedzianym czole.

- Gdyby te stare wilki pozostały w naszym stadzie, nie huśtaliibyśmy się teraz jak suchy korek w tej indyjskiej balii i niczego by nam nie brakowało. A co do mieszka Bernardita, to radzę ci, Jacob, nie gadaj o tym, przynajmniej do czasu. Bernardito ma długie ręce i szybko potrafi spuścić kurek... Już przeszło rok pływam na „Strzałę” i widziałem ten mieszek na własne oczy, ale niech mnie piorun trzaśnie, jeśli pisnę o tym choćby słowo. Chociaż, mówiąc między nami, raz nawet widziałem przez okno kapitańskiej kajuty, jak go Jednooki rozwiązywał...

Powiew wiatru zakotłosał okrętem, woda mocniej plusnęła o burtę. Rudy Piu zamilkł i obejrzał się dokoła.

- Posłuchaj, Piu, wczoraj wieczorem Leopard Grelli, pomocnik kapitana, wezwał mnie do siebie, aby pogadać o tym i owym - cicho podjął. Jacob. - Coś mi się widzi, że on też nie bardzo lubi Jednookiego. Grelli powiada, że Woodrow i Giuseppe to były naprawdę swoje chłopcy... Powiedz mi, Piu, za co Bernardito wysadził ich na brzeg?

- Nikt tego dokładnie nie wie, ale coś niecoś mogę ci powiedzieć. Tylko pamiętaj, trzymaj język za zębami, bo inaczej i Leopard nie pomoże. Pośle nas Jednooki na dno do indyjskich diabłów i jeszcze nam gęby każe pozaszywać. Ten człowiek nie zna litości.

- Bodajbym całe życie pił kozie mleko zamiast ginu, jeśli się wygadam!

- Otóż przed tym rejssem na naszą „Strzałę” urządzono obławę...

- Słyszałem o tym. Chłopaki się chwala, że podobno „Strzała” stanęła do walki nieomal z całą eskadrą.

- Co? Chwala się? No wiesz, Szkielet, widać nie znasz jeszcze Jednookiego. To prawda, że z nim trzeba się mieć stale na baczności, on nawet śpi z palcem na cynglu, ale marynarz z niego, że nie znajdziesz takiego w żadnej flocie królewskiej. Przysięgam na moją wątrobę.

- To dlaczegoście uciekali?

- Dlaczegoście uciekali? Chciałbym widzieć, jaki ty byłbyś odważny, gdyby ci się przyszło bić na tej naszej skorupie z brytyjską fregatą i francuskim dwupokładowym brygiem. Ech, to ci była awantura. Tylko mgła nas wtedy uratowała. Z przedziurawioną rufą skryliśmy się przed Francuzami w wąskiej Zatoce Katalońskiej... Bernardito sprytnie wywiódł w pole wszystkie gończe psy od Krety po Gibraltar! Przez dwa tygodnie szukali nas gorliwiej niż trzeźwy marynarz przed kontuarem - ostatniego pensa, co mu się zawieruszył w kieszeni. Ale Jednooki pozostawił w ich zębach tylko wyrwany kłak sierści i na ostatek stoczył jeszcze bitwę w tej przeklętej zatoce z patrolową korwetą hiszpańską.

Wspominając teraz to wszystko Rudy Piu poczuł przypływ dumy. Z ożywieniem wymachiwał rękami przed nosem Jacoba, który z niezmaconym spokojem pykał fajkę. Piu włożył za policzek nową porcję tytoniu zmieszanego z betelem i opowiadał dalej:

- Wtedy to kapitan postanowił wynieść się całkiem z pocziwego Morza Śródziemnego i żeglować tu, na wody indyjskie. Ale szturman Giuseppe Lorano i bosman Woodrow Crag byli temu przeciwni. Bernardito szykował się prześliznąć nocą przez Gibraltar, a Woodrow i Giuseppe zaczęli buntować przeciw niemu załogę. Na naszym szkunerze było się czym pożywić: w ładowniach leżał łup ze statku greckiego... A tymczasem, gdy „Strzała” zarzuciła kotwicę w Zatoce Katalońskiej i zabraliśmy się do łatania rufy, Bernardito zebrał nas wszystkich nocą na tylnym kasztelu i powiada: „Nie będziemy dzielić łupu”.

- I z takim kapitanem żeglujesz już przeszło rok! Sacramento! Toż ja bym...

- No, no, jaki mocny. Słuchaj dalej. Kapitan powiedział, że trzeba sprzedać towar w Portugalii, za te pieniądze wyreperować szkuner, kupić żywność i wyekwipować „Strzałę” na daleki rejs.

- No i co wy na to?

- Widzisz, nikt jeszcze nie próbował otwarcie spierać się z nim. Ale tej nocy Giuseppe Lorano i Czarny Woodrow postanowili go skrycie zgładzić. Tymczasem sternik Fernando Diaz,

którego Bernardito uratował kiedyś od szubienicy, zdradził kapitanowi ich zamiary. Bernardito chciał ich od razu zabić, ale mu przeszkodził Leopard Grelli. Dochodziła już północ, a nasza starszyzna wciąż jeszcze się kłóciła w kajucie kapitana. I wtedy to niespodzianie podkrađa się ta hiszpańska korweta patrolowa. Zaczęła się bitwa przy świetle pochodni. Ale było wtedy gorąco!

- Hiszpan zaatakował was z rufy?

- Tak, i kapitan posłał Woodrowa i Giuseppe w największy gąszcz bitwy, aby bronili wylomu na rufie. Fernandowi nakazał, by nie spuszczał ich z oka, a mnie postawił na miejsce Fernanda przy sterze. Odgryzaliśmy się jak wilcy. Hiszpanie długo będą pamiętać „Czarną Strzałę”... Wyrwaliśmy się z zatoki, ale Woodrow stracił obie stopy, Giuseppe miał przedziurawiony bok, a Fernando zarobił dwie rany. Mnie też porządnie ogłuszył kartacz.

- Ech, że też mnie tam wtedy nie było... No, a jak się skończyła sprawa z tymi dwoma?

- Jak się skończyła? Płynęliśmy w ciemnościach. Do świtu było już niedaleko, a myśmy musieli jeszcze przekraść się koło fortów Gibraltaru i ominąć statki patrolowe. Na pokładzie mieliśmy czterech rannych: Woodrow, Giuseppe, Fernando i Mulat Enrico Roy. Kapitan postanowił wysadzić rannych na brzeg, bo na statku na pewno by zginęli. Nasz lekarz jeszcze w poprzedniej bitwie dostał się rybom na pożarcie. Leopard chciał wydzielić rannym część ich łupu, ale kapitan się sprzeciwił.

- Gdyby to na mnie trafiło, jeszcze z tamtego świata zażądałbym od niego swojej części.

- Być może, że nieboszyk prędzej by coś od niego wydebił, ale żywym odmówił. Zresztą spośród rannych tylko Fernando i Mulat Enrico byli przytomni. Giuseppe Lorano i Woodrow Crag leżeli bez pamięci. Bernardito kazał wnieść rannego Fernanda do swojej kajuty, o tej, koło mostu, widzisz? Wiatr uchylił firankę w oknie kajuty i wtedy zobaczyłem, jak Jednooki wysypał z mieszka diamenty w zamszowych woreczkach, wybrał największy i drugi trochę mniejszy i podał Diazowi. Słyszałem też, jak Bernardito powiedział: „Ten błękitny diament z żółtą plamką zawieszysz do Grecji i oddasz mojej matce, by nie cierpiała nędzy, jeśli zginę, a ten drugi kamień daję tobie, Fernando, możesz z nim zrobić, co ci się podoba”. Potem wszystkich trzech rannych zniesiono do łodzi, a przy wiosłach usiadł Enrico Roy, jego rana nie była taka ciężka...

- Czekaj no, podobno ten Mulat był kolegą Leoparda...

- Grelli trzymał go przy sobie zamiast służącego czy coś w tym rodzaju. Powiem ci, ten Enrico to był obżartuch i wałkoń, jakich mało. Tak więc, kiedy Jednooki gadał z Fernandem, Grelli poszeptał z Mulatem, dał mu garść monet i w całkowitych ciemnościach łódź odpłynęła w stronę hiszpańskiego brzegu. Nikt nie wie, czy ranni uratowali się, czy zginęli. A nam się poszczęściło - raniutko, we mgle, szkuner prześliznął się przez cieśninę. Potem ukrywaliśmy się u brzegów Portugalii, naprawiali szkody na Azorach, ekwipowali okręt na brzegu marokańskim, kiedy to ty przeniosłeś się do nas z tej tureckiej łajby, i oto już trzeci miesiąc jesteśmy na morzu. I co z tego mamy?

Nad spokojną powierzchnią morza mignęło stadko ryb latających o okrągłych niby koronkowe kołnierzyki skrzydełkach i z pluskiem znów pogrążyło się w głębinie.

Rudy Piu zaklął szpetnie.

- Popatrz, Jacob, jego jednooki majestat raczył wysunąć nos z kajuty. Febra zwała go z nóg, poźółkł jak luidor i całymi dniami wyleguje się na koi, kiedy my zdieramy sobie ręce do krwi przy linach. Tylko patrzeć, jak sam doczeka się worka i kamienia na pierś. Ale się uparł, Jednooki Diabeł, nie chce ustąpić i trzyma nas tu, na tych przeklętych wodach, gdzie się człowiek żywcem smaży jak w piecu. Ale co to się tam dzieje na horyzoncie? Piekło i szatani! Przecież to pożar!

W tej chwili krzyk wachtowego: „Ogień na horyzoncie, w lewo za rufą!” - poderwał na nogi całą załogę. Na wpół nadzy, z dziwacznymi tatuażami na rękach i piersiach, w fantastycznych nakryciach głowy sporządzonych z jakiś szmat, liści palmowych, a nawet kart wyrwanych z

Biblii - marynarze „Czarnej Strzały” wypadli na pokład.

Na mostku kapitańskim ukazał się Leopard Grelli z lunetą w ręce. Jeden tylko kapitan Bernardito pozostał w kajucie, przykuty do koi tropikalną febrą. Trawiony gorączką, na wpół przytomny, chciwie pił zimną wodę, a w kwadrans później znów dygotał w dreszczach i szcękając zębami naciągał na głowę wełniane koce.

Leopard rzucił rozkaz i marynarze, ponaglani gwizdkiem bosmana, rzucili się do lin. Szkunier wykręcił pod żaglami, by zmienić kurs, a gdy manewr zwrotu został ukończony, podszedł krótkim halsem w stronę ognia na horyzoncie i przybliżył się znacznie do miejsca pożaru.

Tymczasem na horyzoncie pęczniała czarna chmura. Słupek barometru w kajucie kapitańskiej wciąż opadał. Grelli jeszcze nigdy w życiu nie widział, by spadł tak nisko. Wiatr ucichł i żagle szkunera zwisły bezwładnie. W szybko zapadającym zmroku wyraźnie i złowieszczo buchały w niebo pionowe słupy płomieni, iskier i dymu, i to nie z jednego, lecz z trzech olbrzymich stosów. Było rzeczą oczywistą, że płoną okręty niedawno spotkanego konwoju.

Wkrótce załoga „Czarnej Strzały” wyraźnie dojrzała na tle łuny dwa okręty, które widocznie oderwały się od konwoju i płynęły teraz w stronę szkunera. Bliższy z nich, niewielka brygantyna, znajdował się nie dalej niż o pięć, sześć kabli od szkunera. Drugi, z ożaglowaniem wojennej korwety, płynął o jakieś pół mili za brygantyna.

Nawet z daleka widać było, że maszty korwety są uszkodzone w bitwie, a żagle brygantyny porwane w strzępy. W ciszy wieczoru słychać było głuchy grzmot kanonady artyleryjskiej. Zwiastujący bliską burzę sztil zmusił oba statki, jak również szkunier Bernardita, by stanęły w martwy dryf. Na oświetloną dalekim odbłaskiem ognia powierzchnię oceanu padły nieruchome cienie trzech okrętów. Księżyc skrył się już za czarną chmurą.

- Leopard czuje zdobycz - szepnął Piu do Jacoba. - Niech mnie kule biją, jeśli on nie zamierza się obłowić przy cudzej drace. Szykuj się, stary kaszalocie. Doczekaliśmy się wreszcie prawdziwej roboty.

Kapitan Bernardito Luiz el Gorra był doświadczonym, odważnym do szaleństwa i bezlitosnym w boju piratem. Być może, w czasach Corteza czy Pizarra wpisałby swe imię na krwawe stronicie historii zdobycia Meksyku, Brazylii czy Peru. Lecz Bernardito urodził się w stuleciu, gdy białe plamy na globusie znikwały z szybkością topniejącego wiosną śniegu, a wschodnioindyjskie, południowoafrykańskie i inne kompanie handlowe, umocniwszy swą władzę nad zagrabionymi posiadłościami zamorskimi, uprawiały w nich rozbój pod osłoną prawa swoich krajów.

Bernardito uważał, że zdobywanie złota kosztem krwi i potu niewolników kolonialnych to zajęcie pospolite i niezbyt honorowe. Czyż nie jest rzeczą prostszą i bardziej zyskową wyciągać to złoto wprost z kupieckich kieszeni? Jego szkunier z garstką gotowych na wszystko opryszków, którzy nigdy nie spoglądali w przyszłość dalej niż na dwie najbliższe godziny, dokonał takiego spustoszenia wśród statków kupieckich na wodach Morza Śródziemnego i sąsiednich mórz, że obławę na niego urządziły jednocześnie władze angielskie, francuskie, hiszpańskie i tureckie, nie licząc prywatnych kompanii okrętowych i pojedynczych amatorów polujących na nagrodę.

Bernardito zręcznie wymykał się wszystkim prześladowcom - którzy niewątpliwie schwytałiby odważnego pirata, gdyby działali wspólnie - i teraz, prześliznąwszy się przed samym nosem myszkujących tuż obok okrętów wojennych, powiódł swój szkunier w daleki indyjski rejs.

Lecz tym razem mogło się zdawać, iż łaskawy dotychczas los odwrócił się od jednookiego kapitana. Jeszcze przed wyruszeniem w rejs po raz pierwszy w swym bujnym życiu odkrył na własnym okręcie spisek wymierzony przeciwko jego osobie. Ktoś działał wśród załogi, ostrożnie, lecz zdecydowanie. Kapitan unieszkodliwił spiskowców, lecz utracił najbardziej

oddanego mu człowieka - Fernanda Diaza. Bernardito domyślał się, że ukrytą sprężyną nieudanego spisku jest nikt inny, tylko jego zastępca, Leopard Grelli, przyjęty na „Czarną Strzałę” przed trzema laty. Teraz, wykorzystując chorobę kapitana, Giacomo Grelli wyraźnie czekał na okazję, by samemu stać się hersztem bandy i kapitanem „Strzały”.

Ocknąwszy się w swej kajucie z ciężkiego omdlenia, Bernardito uniósł się na łokciu. W kajucie nie było nikogo. Za oknem majaczyły tylko plecy marynarza stojącego przy kole sterowym. Bernardito nacisnął guzik w ścianie. Z otwartej w ten sposób skrytki wyjął skórzaną sakiewkę i rozłożył na kocu przeszło dwadzieścia zamszowych woreczków z drogocennymi kamieniami. Przeliczywszy je, schował z powrotem kamienie do sakiewki, zamknął skrytkę i zawołał na swego służącego. Nikt się nie odezwał.

- Obmierzłe kanalie! - mruknął Bernardito przez zęby. - Pedro! Gdzie jesteś, Pedro, synu świni i mnicha! Poczekaj, już ja cię nauczę ryczeć „sacramento!”

Lecz olbrzym Pedro, służący a zarazem straż przyboczna kapitana, też stał na pokładzie, usiłując dojrzeć coś z toczącej się w oddali bitwy. Również sternik, zamiast pilnować kursu, spoglądał wciąż w bok.

- Ja was nauczę porządku! - ze złością rzucił Bernardito. Wyciągnął rękę po pistolet wiszący u wezglowia i nie mierząc strącił kulą słomiany kapelusz z głowy sternika. Na huk wystrzału wpadł do kajuty Leopard Grelli. Razem z Pedro wyprowadził Jednookiego na pokład i pomógł mu wejść na mostek.

Miotając przekleństwa kapitan pokrzepił się łykiem czystego rumu jamajskiego i wziął od Leoparda lunetę. Ani jeden szczegół rozgrywającej się przed nimi bitwy nie uszedł jego jedynemu, lecz bystremu oku. Momentalnie zorientował się w sytuacji, niezrozumiałej jeszcze dla pozostałej załogi. Domyślił się, że okręty, zamykające angielsko-holenderski konwój, zostały niespodziewanie zaatakowane przez dwie wrogie, prawdopodobnie francuskie lub hiszpańskie korwety, które podkradły się ku nim pod osłoną niskich chmur.

Mimo to działa eskorty zdążyły otworzyć ogień i zapalić jedną z atakujących korwet. Wywiązał się pojedynek artyleryjski i z kolei dwa okręty transportowe stanęły w płomieniach. Drugiej, ocalałej korwecie udało się w końcu odciąć od konwoju jedną brygantynę angielską, która musiała zmienić kurs i ratować się ucieczką. Szła teraz wprost na szkuner piracki.

Korweta, wycofawszy się z walki, puściła się w pogoń za umykającą zdobyczą. Nie mogła jednak rozwinąć szybkości - jej żagle mocno ucierpiały w bitwie.

Gdy martwy, poprzedzający burzę sztyl zatrzymał oba okręty, brygantyna znalazła się nieomal tuż pod bokiem „Czarnej Strzały”, korweta zaś pozostała daleko w tyle za swą ofiarą.

- Caramba! Gdybym jeszcze z godzinę przeleżał w kajucie, stracilibyśmy zdobycz, która sama pcha się nam w ręce! - ryknął Bernardito. - Gdzieś ty miał oczy, Grelli? Do stu diabłów, na co czeka bosman, ten pokurcz starej małpy i kaszalota! Hej, ludzie! Spuścić obie łodzie! Posadzić w każdej po dwunastu chłopca - za pół godziny powinni być na brygancynie. Grelli i Rekin poprowadzą ich do boju. Reszta - zrzucić żagle i dobrze umocnić działa pokładowe, sztorm się zbliża! Żeby tego bosmana piorun strzelił! Prędeż, ofiary losu!

W parę minut później odbiły od szkunera dwie łodzie z uzbrojonymi po zęby piratami i pomknęły w stronę brygancyny.

Tymczasem Bernardito zobaczył przez lunetę, że z korwety też opuszczają na wodę trzy łodzie. Widocznie kapitan korwety również postanowił zaatakować brygancynę. Lecz przewaga była po stronie ludzi Bernardita. Łodzie „Czarnej Strzały”, idąc jedna za drugą, przebyły już połowę odległości dzielącej szkuner od brygancyny.

Przedsztormowy sztyl, miarowo tocząca się oceaniczna martwa fala i daleka luna przyświecająca napastnikom - to wszystko sprzyjało atakowi. A przy tym łodzie z korwety dopiero odbiły się od burty swego okrętu.

Na brygancynie, noszącej nazwę „Ophir”, zauważono niebezpieczeństwo zagrażające jednocześnie z dwu stron. Całe uzbrojenie tego okrętu, który wyruszył w daleki rejs pod

pewną ochroną eskorty, stanowiły dwa niewielkie działa, po jednym na dziobie i rufie. Gdy łódź Grellego zbliżyła się na odległość jednego kabla, gruchnął wystrzał armatni i żelazny pocisk wpadł do wody za łodzią.

Grelli skierował łódź ku środkowi prawej burty, zaś bosman Bob Rekin gotował się do ataku na lewą burtę. Obie łodzie znalazły się już poza zasięgiem dział okrętowych. Salwa z karabinów i pistoletów, oddana przez obrońców brygantyny, położyła trupem jednego z ludzi Leoparda i dwóch zraniła. Leopardowi kula strąciła kapelusz. Lecz oto już burta okrętu. Haki abordażowe wczepiły się w drzewo poszycia. Po zwisających linach zerwanego w bitwie takielunku piraci Leoparda w jednej chwili wspięli się na pokład. Jednocześnie przez lewą fałszburłę, posługując się hakami i sznurowymi drabinami, wdarła się na pokład „Ophiru” banda Boba Rekina. W krótkim, gwałtownym starciu jako pierwsi padli kapitan i pozostali oficerowie brygantyny. Pozbawiona dowódców załoga rozpięzchła się pod naporem rozjuszonych bandytów. Marynarze szukali ocalenia w różnych schowkach na okręcie, wyłamywali zamknięte drzwi i padali od kul i ciosów noży.

Tymczasem trzy łodzie z korwety zbliżały się coraz bardziej do opanowanego Przez piratów okrętu. W bladym brzasku poranka można już było dojrzeć, że ich dowódca ma na sobie mundur francuskiego oficera.

Stojąc na mostku kapitańskim „Ophiru” Grelli gotował się do nowej walki. Na jego rozkaz piraci przeciągnęli oba działa na prawą burtę brygantyny i nabili je kartaczami. Gdy pierwsza łódź Francuzów zbliżyła się na odległość pół kabla, nie przypuszczając nawet, że mógłby ją powitać z burty ogień armatni huknęła salwa i celnie ugodzona łódź w mgnieniu oka poszła na dno. Następna salwa dokonała straszliwego spustoszenia w drugiej łodzi, zabijając oficera stojącego na rufie i co najmniej połowę załogi.

Załodze trzeciej łodzi nie pozostało nic innego, jak wycofać się pod gradem kul z karabinów i pistoletów, jakimi piraci zasypali Francuzów.

Grelli i bosman, z pistoletami w rękach, zagroździł swoim ludziom drogę do kajut i salonu; trzeba było wprawdzie odholować „Ophir” do szkunera, jako że Francuzi - przeciwnik bez wątpienia silniejszy od garstki piratów na zrabowanym okręcie - mogli ponowić atak.

Okazało się jednak, że nie ma już potrzeby holować „Ophiru”. Poranny wiatr przyniósł pierwsze krople ulewy, napełniając jednocześnie żagle brygantyny. Ludzie rzucili się do rej, a Grelli sam ujął koło sterowe, postawiwszy nogę na grzbiecie zabitego sternika. W kwadrans później, wśród tryumfalnych wrzasków piratów, którzy zapomnieli i o korwecie, i o nadciągającej burzy, brygantyna została przycumowana do odrapanej burty „Czarnej Strzały”. Morscy rozbójnicy, zapominając o wszelkiej ostrożności, runęli z siekierami do ładowni i kajut zagrabionego okrętu...

Na brygantynie były dwie kajuty: górna, nieduża, obok pomieszczenia kapitana, oraz dolna, obszerna, sąsiadująca z przytulnie urządzonej salonikiem. „Ophir” był widocznie przeznaczony dla zamożnych pasażerów.

W górnej kajucie, do której włamał się Bob Rekin, nie było nikogo, znajdowało się tu natomiast mnóstwo kosztownej zastawy, pękatek waliz i męskiej garderoby. W salonie piraci natrafili tylko na czterech rannych marynarzy - Hindusów, których na miejscu dobili.

Lecz gdy Grelli, Rudy Piu i Jacob Szkielet siekierami wyłamali drzwi dolnej kajuty, z jej głębi huknął strzał. Kula z pistoletu, drasnawszy ramię Leoparda, ugodziła w pierś Jacoba Szkieleta, który runął twarzą do ziemi, zagrządzając wejście do kajuty.

Grelli wystrzelił z dwóch pistoletów równocześnie i przestąpiwszy przez trupa wpadł do kajuty wypełnionej gryzącym dymem.

Zastąpił mu drogę niewysoki, starszy pan w ufryzowanej peruce i staromodnym kaftanie z żabotem i szerokimi mankietami z brabanckich koronek Odrzucił dymiący pistolet i wyrwawszy z pochwy szpadę skierował ją w pierś pirata. I niewątpliwie Grelli padłby przebitý jej ostrzem, gdyby nie Rudy Piu który w progu kajuty strzelił ze swego ciężkiego

pistoletu wprost w głowę starego. Dżentelmen runął na ziemię. Wyrwawszy mu szpadę Grelli odsunął nią, brokatową kotarę oddzielającą tylną część kajuty i... stanął jak wryty. Na łożu zasłanym koronkową narzutą leżała bez czucia piękna młoda dama. Obok, zagradzając sobą dostęp do łoża, stał wysoki, młody mężczyzna o orlim nosie, z krótkimi baczkami u skroni. Spokojnie uniósł pistolet i nacisnął kurek, lecz broń się zacięła i nie wypaliła, co znów uratowało życie Leopardowi Grellemu.

Jednym ciosem szpady Grelli przeszył ramię młodemu dżentelmenowi. Ten cofnął się o krok, lecz utrzymał równowagę i rękojeścią pistoletu, który zawiódł przed chwilą, z całej siły zdzielił pirata po głowie. Grelli zachwiał się i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymały ramiona przybyłych mu na pomoc innych rozbójników z „Czarnej Strzały”.

- Na miłość boską, niech pan zaniecha oporu, mister Riland - rozległ się nagle głos, zdający się wychodzić spod łoża. I rzeczywiście, spomiędzy fałd kotary, tuż u nóg wysokiego obrońcy młodej damy, wysunęła się głowa starego, łysego grubasa, który ku wielkiemu zdumieniu nie tylko piratów, lecz i młodego dżentelmena znalazł sobie schronienie pod łożem. - Błagam pana! Wszelki opór jest bezcelowy, drogi sir Frederick!

- Pańskie zachowanie nie jest godne dżentelmena, mister Morton! - gniewnie zawołał młody człowiek i chociaż ramię jego broczyło krwią, wyrwał z pochwy szpadę i rzucił się na piratów.

Grelli tymczasem zdążył już przyjść do siebie. Ktoś wsunął mu w rękę załadowany pistolet. Huk wystrzału wstrząsnął ścianami kajuty. Grelli ujrzał, jak dżentelmen zbliżył się i upadł pod nogi piratów. Z pół tuzina podwładnych Leoparda, depcząc po nim, rzuciło się do leżącej bez czucia damy. W jednej chwili owinęli ją w koc i ponieśli do kajuty Grellego na „Czarnej Strzale”. Tam też piraci powlekli na wpół żywego ze strachu łysego grubasa...

Zataczając się jak pijany Grelli wyszedł za piratami. Na mokrym pokładzie uchwycił się relingu i spojrzął na horyzont. Z północy nadciągała czarna ściana huraganu. Wiatr zrywał już takielunek i straszliwa ulewa runęła na dachy pokładowych nadbudówek brygantyny. Cumy utrzymywały ją u burty pirackiego szkunera, z którego przerzucono już wąski trap na brygantynę.

Na morzu, w odległości zaledwie mili, widać było francuską korwetę. Zrzucano tam w pośpiechu ostatnie żagle...

Do dżentelmena z lunetą, stojącego na szczycie urwiska w Zatoce Starego Króla, znów podszedł groom, lecz uderzony dziwnym wyrazem twarzy swego pana nie śmiał się odezwać. Gdy wreszcie przemówił, dżentelmen drgnął i odwrócił się do niego.

- Ach, to ty, Anthony? - mruknął jakby obudzony ze snu, wysiłkiem woli odrywając się od wspomnień i powracając do rzeczywistości.

- Sir Frederick Riland - głosem cichym i pełnym szacunku mówił groom

- w domu już od dawna czekają ze śniadaniem. Miał pan zamiar odwiedzić dziś doki mister Pattersona. Konie osiodłane, milordzie...

Rozdział pierwszy

Rękopis mister Mortona

*Se non e vero, e ben trovato**

1

Andrew Lawson, wynajmujący statecznym przyjezdnym swój niewielki domek w porcie, stał w ogródku i przyszytywał sekatorem krzewy jaśminu. Stary pudel, obrośnięty kudłatą sierścią po sam czubek nosa, leżał obok klombu, spoglądając spod oka na swego pana. Czerwcowe słońce dopiero co wstało nad dachami Bultonu.

Skrzypienie kroków na posypanej morskim żwirem ścieżce obudziło pudła ze słodkiej drzemki. Pies zawarczał na obcego człowieka w odzieniu ulicznego sprzedawcy, który przystanął przed klombem. Człowiek miał na plecach niewielki worek podróżny, a w ręce - laskę.

- Czy mogę się widzieć z panem Lawsonem? - z lekkim cudzoziemskim akcentem spytał przybyły.

Jego powierzchowność nie zdradzała jednak niczym cudzoziemca.

- Czym mogę panu służyć? Jeszcze dość słabo trzymam się na nogach, byłem chory i dopiero dziś wstałem z łóżka.

- Muszę z panem pomówić w pewnej niezwykle ważnej sprawie, i to w cztery oczy. Sprawa wymaga, by nasze spotkanie zostało zachowane w najściślejszej tajemnicy...

Lawson zmarszczył siwe brwi.

- Jestem człowiek stary i nie chciałbym się mieszać do jakichś tajemniczych spraw. Kto pana skierował do mnie i skąd pan przybywa?

- Nazywam się Rogers. Jestem kupcem. Niebogaty kupcem. Wczoraj byłem w tutejszym kantorze prawnym pana Williama Thompsona. Pan Thompson poradził mi, abym się zwrócił do pana o potrzebne informacje... Mister Lawson, to pan zajmował się szacowaniem drogich kamieni w bultońskiej firmie nieboszczyka Nathaniela Gardy, prawda?

- Tak, lecz od tej pory minęły już cztery lata. Z końcem tysiąc siedemset sześćdziesiątego ósmego roku firma została zlikwidowana. Cóż więc pana do mnie sprowadza, mister Rogers? Może pan spokojnie mówić, prócz tego pudła nikt nas tu nie usłyszy.

- Mister Lawson, interesują mnie właśnie wypadki sześćdziesiątego ósmego roku. Proszę mi powiedzieć, czy firma Gardy prowadziła handel kosztownościami również z krajami kontynentu?

- Naturalnie, tego rodzaju transakcje były u nas normalną rzeczą, lecz przeprowadzała je zwykle nasza firma w Portsmouth. Ale dlaczego interesują pana sprawy dawno nie istniejącej firmy?

- Widzi pan, szukam śladów pewnego kamienia, zrabowanego w roku sześćdziesiątym ósmym moim... przyjaciołom. Poszukiwania te zawiodły mnie do Bultonu. Mam podejrzenie, że rabusie osiedli tutaj. Jednego z nich nawet widziałem... Niech mi pan powie, czy nie przeszedł przez pańskie ręce grubo szlifowany błękitny diament wielkości... no, tego kamyka. O tu, na dolnej krawędzi diamentu, była malutka żółta plamka. Mógł on być wart jakieś cztery tysiące gwinei. Nie przypomina pan sobie takiego kamienia?

Lawson zamyślił się i bacznie spojrzał na nieznajomego:

- Widziałem ten diament i szacowałem go. Gdyby nie plamka, byłby wart znacznie więcej. Tak, ten kamień istotnie przeszedł przez moje ręce, lecz dalszy jego los nie jest mi znany. Nie

* Jeśli to nawet nie jest prawda, jest z pewnością zmyślone.

wiem, czy firma go nabyła, czy też nie.

Błysk radości, który na mgnienie rozjaśnił czarne oczy nieznanego, znowu zgasł.

- W czyich rękach znajdował się wówczas ten diament? - spytał szybko.

- Tego nie mam prawa zdradzić.

- Do diaska! A jeśli ja sam wymienię jego nazwisko, czy potwierdzi pan słusność moich domysłów? Otóż kamień ten dał panu do oceny obecny właściciel portowej tawerny „Brzuch Wieloryba”, mister Woodrow Crag, prawda?

Lawson wzruszył tylko ramionami.

- Niech pan posłucha, mister Lawson, powiem panu więcej. Najpierw został skradziony błękitny diament, później zaś rabusie zawładnęli całym skarbem, składającym się z przeszło dwudziestu drogocennych kamieni. Wszystkie razem przedstawiały olbrzymią wartość - sześćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Być może, gdy natrafie na ślad błękitnego diamentu, uda mi się odnaleźć i resztę. Niechże pan ma do mnie trochę zaufania i powie mi, że się nie mylę. Kamień oferował do sprzedaży Woodrow Crag, prawda? A może... uczynił to pewien... cichy wspólnik Craga? Wiem, kto jest tym wspólnikiem! To bardzo ważna persona w tym mieście. Nazywa się sir...

- Ech, Rogers, teraz niech pan posłucha mnie, starego. Stoję już dziś nad grobem i lepiej niż ktokolwiek wiem, ile błota i krwi może przylgnąć do skrzących się diamentów i brylantów. Ten kamień miałem w rękach dawno temu i nie chcę teraz budzić przeszłości ani mieszać żyjących do starych tajemnic. Niechże sobie leży spokojnie na dnie jakiegoś kufra. Panu też radzę zapomnieć o nim. Ten kamień nie przyniesie panu szczęścia!

- Mister Lawson, boi się pan rzucić cień na dobre imię swych dawnych chleboborców? Zapewniam pana, że pozostanie ono nieskalane. Proszę mi powiedzieć, czy zmarły właściciel firmy nie pozostawił po sobie spadkobierców, którzy mogliby pana upoważnić do odsłonięcia mi wszystkiego, co było firmie wiadome o tym kamieniu?

- Mister Gardy pozostawił córkę. Może się pan do niej zwrócić. Mieszka o dwanaście mil od Bultonu w posiadłości Chancefield i obecnie nazywa się lady Emily Riland.

Czoło nieznanego pokryło się potem. Otarł je chustką. Lawson zauważył przy tym, że u lewej ręki nieznanego brak małego palca.

- Tylko, na Boga - cicho rzekł Rogers - niech pan nikomu nie wspomina o naszej rozmowie. Jedno nieopatrzone słowo może zgubić i pana, i mnie!

2

Pryncypał największego w Bultonie kantoru prawniczego „Thompson i Syn”, królewski adwokat i uczonego serjeant, mister William Thompson, siedział w swym domowym gabinecie i uważnie studiował rozłożone na biurku papiery. Był tak pochłonięty tym zajęciem, że nie widział nawet, jak jego stary sługa podchodził co pewien czas do stołu i szczypczykami objaśniał dwie świece płonące w masywnym kandelabrze.

Gdyby ktoś był ciekaw historii powstania i działalności Północnobrytyjskiej Kompanii Handlowej, mógłby się wiele dowiedzieć z papierów leżących w tej chwili przed doktorem Thompsonem. Firma ta od niedawna stała się najpoważniejszym klientem kantoru prawniczego „Thompson i Syn”. Dokumenty świadczyły o pomyślnym stanie interesów kompanii. Dyrektor handlowy firmy, mister Ralph Norward, od niedawna pozostawał w przyjaznych stosunkach z panem Thompsonem.

Adwokat wiedział, że inicjatorem i głównym właścicielem firmy jest nowa, ważna figura w mieście - sir Frederick Jonathan Riland. Ten utytułowany szlachcic zaledwie cztery lata temu osiadł w Bultonie odziedziczywszy rodową posiadłość Chancefield i tytuł wicehrabiego. Obdarzony nieprzeciętną energią i przedsiębiorczością, nie krył się z tym, że nie ma

bynajmniej zamiaru ograniczać się do tradycyjnych szlacheckich zajęć - wojaczki, myślistwa i plotek - i potrafił pozyskać dla swych planów znanego, cieszącego się ogólnym szacunkiem kupca Norwarda.

Za pieniądze włożone do przedsiębiorstwa przez sir Fredericka Rilanda uruchomiono dużą wytwórnię lin okrętowych, zbudowano fabrykę płótna żaglowego, wykupiono i rozwinięto „Bultońską Manufakturę Sukienną” oraz zakupiono pierwsze trzy okręty.

Włożony kapitał już po czterech latach przyniósł dochód, co pozwoliło sir Frederickowi Rilandowi na powiększenie swej niewielkiej posiadłości ziemskiej w północnej Anglii. Na uzyskanych w ten sposób terenach założył nowe, wielce dochodowe przedsiębiorstwo - hodowlę cienkorunnych owiec.

Wszystkie trzy okręty, odbywające dalekie rejsy, pomnażały dochody firmy, a w rozległych halach nowych fabryk manufaktury wyrabiano już cienkie sukno na oficerskie mundury dla królewskiej armii, grubą tkaninę dla zamorskich kolonistów, liny okrętowe i płótno żaglowe. Wypuszczone przez firmę akcje stały wysoko i nawet niedawno panika na giełdzie w latach 1771-72 nie zachwiała reputacji Kompanii Północnobrytyjskiej.

- Mister Samuel Landy i mister Robert Patterson - oznajmił w pewnej chwili stary sługa, otwierając drzwi i odrywając swego pana od czytania papierów.

Mister Thompson fularową chustką otarł łysinę spoconą od wysiłku myślowego i zdjął z okrągłej podstawki staromodną perukę imponujących rozmiarów, z długimi puklami, bez warkocza. Włożył ją i od razu jego głowa stała się niewspółmiernie wielka w stosunku do drobnej postaci. Ta wspaniała ozdoba nadawała panu Williamowi podobieństwo do lwa, a ściślej mówiąc do owych kudłatych zwierząt domowych, które ich próżni właściciele usiłują przy pomocy nożyc upodobnić do króla zwierząt.

Obu dżentelmenów, którzy przybyli na tradycyjną partię cribbage, zastał pan domu w salonie w towarzystwie swego syna Richarda, współwłaściciela kantoru.

Stolik do kart, z nie zmazanymi jeszcze zapiskami wyników ostatniej gry na zielonym suknie, z kolorowymi kredkami i okrągłymi szczoteczkami, z dwiema zapieczętowanymi taliami kart i ciężkim, brązowym lichtarzem pośrodku, czekał na graczy. Obok, na drugim stoliku ustawionym przy płonącym kominku, grzał się poncz w dużym naczyniu w kształcie baryłki z nakrywką, napełniając pokój rozkosznym aromatem. Przy stoliku krzątał się służący, ustawiając talerze z zimną wołowiną, serem, ostrygami i biszkoptami.

Miejsce nieobecnego przyjaciela domu, pastora Redlinga, zajął mister Thompson junior, dwudziestoosmioletni dżentelmen bez peruki, o bardzo starannie przyczesanych włosach, przypominający tym Charlesa Grandissona, bohatera znanej powieści... Podczas gry wszyscy czterej dżentelmeni zachowywali milczenie. Gardzili karciańskimi powiedzonkami i dowcipuszkami, używanymi w mniej doborowym gronie, i porozumiewali się tylko przy pomocy gestów i uprzejmych uśmiechów.

Lecz gdy baryłka z nakrywką opróżniła się do połowy, a twarze graczy upodobniły się barwą do napoju, powoli nawiązała się rozmowa. Od wypadków wojny europejskiej, która właśnie zakończyła się rozbiorem Rzeczypospolitej przez Rosję i Prusy, panowie przeszli na temat polityki angielskiej.

- Nastają trudne czasy! Niebezpieczeństwo wciąż wzrasta i potrzeba silnej ręki, aby ocalić najżywniejsze interesy Anglii - mówił bankier mister Samuel Landy, człowiek w wieku lat około pięćdziesięciu pięciu, ubrany w staromodny strój o długich połach. - Świat drży w posadach, żyjemy jak na wulkanie. Ameryka - już prawie stracona. Jej działacze, ci wszyscy Adamsowie, Jeffersonowie i Franklinowie, jawnie prowadzą wrogą nam politykę i nieuchronnie musi dojść do starcia z hydrą amerykańskiej rewolucji. Jest to tym bardziej groźne, że i ludność Francji się burzy, jej zubożali chłopci buntują się, wybuchają rewolty w miastach, a Paryż stał się ogniskiem bezbożnych wywrotowych idei. Rosyjska caryca Katarzyna z każdym rokiem rozszerza swe władanie zarówno na południe jak i na zachód. Jej

flota rozgromiła potęgę Turcji. Stara Porta chyli się ku upadkowi. To wszystko jest bardzo groźne. - Pociągnąwszy tęgi łyk mówił dalej: - W światowym kotle wrze. W tej chwili Anglii potrzebna jest twarda, mocna ręka, aby wylapać z tego kotła najtłustsze kaski, nim je pochwyć inni. Nie widzę zdecydowania w pociągnięciach naszego rządu. Niekiedy trzeba być wilkiem w skórze jagnięcia, lecz nie wolno być jagnięciem w skórze wilka. To hańba! Nie wolno, powiadam, nadal pobłażać amerykańskim kolonistom, gdyż możemy na zawsze utracić Amerykę.

Syn adwokata, mister Richard Thompson, przysłuchiwał się wywodom starego bankiera ze źle ukrywanym niesmakiem.

- Ja uważam - powiedział stanowczym tonem - że nasza polityka w koloniach jest istotnie wilczą polityką. Koloniści w Ameryce pragną być sami gospodarzami we własnym kraju, któremu nasz rząd, lordowie Butte i Grenville, usiłuje związać ręce i nogi.

Mister Landy zmarszczył brwi i już miał ostro odpowiedzieć zapalonemu przeciwnikowi lordów Butte'a i Grenville'a, gdy nowa osoba weszła do salonu. Był to wikariusz katedry bultońskiej, przewielebny Thomas Redling, który tłumaczył swe spóźnienie tym, że brał udział w rodzinnym święcie u pewnego znakomitego parafianina.

- Spędziłem dziś bardzo przyjemny dzień u lorda Fredericka Rilanda w jego podmiejskim domu. Dwa lata temu Bóg obdarzył młodą parę prześlicznym synkiem. To ja właśnie go chrzcilem, nadając mu imię Charles. Dziś państwo Riland obchodzili urodziny swego pierworodnego... Drogi mister William! Sir Frederick prosił, by przekazać panu najlepsze pozdrowienia.

Ku zdziwieniu pastora pan domu dość chłodno przyjął jego słowa.

- Już od trzech lat stoję na straży interesów Kompanii Północnobrytyjskiej, należącej w dziewięciu dziesiątych do pana Rilanda, lecz jak dotychczas fakt ten nie skłonił ani mnie, ani mego znakomitego klienta do zawarcia osobistej znajomości. Stosunki z kompanią utrzymuję przez jej dyrektora handlowego, mego przyjaciela pana Norwarda.

Mówiąc to mister Thompson podniósł kielich, zmrużył powieki i poprzez wino patrzył na płomień w kominku. Pastor Redling zakasłał i nie odzywał się więcej. Zapadło niezręczne milczenie.

- Mister Thompson! - przerwał ciszę właściciel stoczni, mister Patterson, który do tej pory nie brał udziału w rozmowie. - Zebrali się tu sami starzy przyjaciele pańskiego domu. Może by nam pan wreszcie coś powiedział o owych podwodnych rafach pomiędzy panem i sir Rilandem, których istnienie jest aż nazbyt widoczne dla pańskich przyjaciół?

- Mister Patterson zdumiewająco utrafił w moją myśl! - zawołał mister Landy. - Gdy lord Riland pojawił się w naszym mieście, wiele mówiło się o nim w związku z tragicznymi okolicznościami towarzyszącymi jego powrotowi z Indii do Europy. Pamiętam, że pisało się o tym nawet w gazetach, lecz były to tylko skąpe wzmianki.

- Znam go już nie pierwszy rok, panowie - mówił dalej Patterson. - Moja stocznia zbudowała dla kompanii dwa szkunery: „Glorię” i „Doroteę” oraz bryg „Orion”, a obecnie wykonuje czwarte zamówienie. Będzie to najlepszy okręt, jaki kiedykolwiek wyszedł z angielskich stoczni. Przyjemna jest współpraca z tym dżentelmenem. To śmiała natura, o szerokim rozmachu. Jednakże muszę przyznać, że i dla mnie ten zamknięty w sobie człowiek i jego małomówna małżonka z wiecznym smutkiem w oczach stanowią do pewnego stopnia zagadkę!

- Drogi mister Patterson i pan, Samuelu, mój stary druhu! - nieco patetycznym głosem rzekł mister Thompson. - Chętnie spełnię wasze życzenie, lecz muszę mieć zgodę Richarda na ogłoszenie pewnego szczegółu, wiadomego dotychczas jedynie nam, rodzicom Richarda.

Thompson senior spojrział przy tym pytająco na syna. Ten skinął głową i dodał:

- Wierzę w dyskrecję naszych przyjaciół, ojcze. Ta rodzinna tajemnica nie powinna stać się żerem dla plotek...

Panowie pochylili głowy na znak zgody, a wikariusz wznosił nawet ręce do góry. Zresztą, jako osoba duchowna, znał już ten intymny szczegół. Wiedział, że sir Frederick Riland odbił narzeczoną Richardowi, lecz sam był ciekaw posłuchać, jak i w jakich okolicznościach doszło do tak godnego ubolewania faktu.

- A zatem, panowie, usłyszycie za chwilę jedną z najosobliwszych współczesnych tragedii. Przyniosłaby ona zaszczyt teatrowi Drury Lane, gdyby w dawnych czasach dostała się pod pióro Marlowe'a czy Szekspira. Pozwólcie, panowie, że wam odczytam pewien ciekawy dokument, złożony u mnie na przechowanie. Pozostawiając go do mej dyspozycji, autor wyraził zgodę na udostępnienie tego dokumentu innym w tych granicach, jakie uznam za stosowne.

Powiedziawszy to królewski adwokat wyszedł do swego gabinetu i po chwili wrócił stamtąd z kajetem oprawnym w brązową tłoczoną skórę. Nałożywszy na nos okulary stary dżentelmen zaczął czytać.

Mojej najukochańszej córce Mary od jej ojca, Thomasa Mortona, attorney kalkuckiego biura notarialnego „Noël-Abrahams i Mohandas Madżarami”.

Moja droga córko!

*Kajet ten zawiera autentyczne zapiski z podróży. Zaczęłam je w Kalkucie i skończyłam w Bultonie dnia 20 grudnia 1768 roku. Myśląc nieustannie o Tobie i zasyłając gorące modły do niebios, aby mi pozwoliły jak najszybciej uściskać ukochaną córkę, zabrałam się przed wyjazdem do tych zapisków i dalej prowadziłam je potem w drodze, połykając lzy bólu i rozpacz. Zachowaj ten kajet, gdzie opisane są okoliczności, w jakich zatonął nasz okręt, jak również szczegóły zagarnięcia nas do niewoli i naszego ocalenia. Taka była wola Najwyższego, iż tylko ja i dwoje moich współtowarzyszy podróży uszło z życiem z tej strasznej opresji. Tych licznych, co zginęli, przyjmij Panie, do swej chwały! In sancta martyrorum sanguine est salus tua, Britania!**

Thomas Morton, solicitor

Kalkuta, 19 lutego 1768 r.

Dowiedziawszy się o moim postanowieniu opuszczenia Kalkuty i powrotu na stałe do Europy, moi pryncypałowie, mister Salomon Noël-Abrahams i mister Madżarami, poruczyli mi dwie sprawy w Anglii, po których załatwieniu mogę się uważać za człowieka wolnego od wszelkich obowiązków i żyć spokojnie ze swych oszczędności i niewielkiej pensji. Mam błogą nadzieję, że uda mi się osiąść w rodzinnym Portsmouth, które opuściłem równo czterdzieści lat temu jako dziesięcioletnie dziecko. Tam, w Portsmouth, oczekuje mnie moja córka Mary, wysłana do Anglii przed dwunastu laty, kiedy to straciłem niezapomnianą małżonkę, siostrzenicę pana Madżarami. Obie poruszone mi sprawy mają związek z kantorem „William Thompson i Syn” w Bultonie, cieszącym się reputacją jednego z najsolidniejszych kantorów prawniczych w metropolii.

Pierwsza dotyczy wprowadzenia esq., Fredericka Jonathana Rilanda, klienta naszego biura w Kalkucie, w posiadanie rodowego dziedzictwa.

Dalecy przodkowie mister Rilanda, uchodźcy z Niderlandów, po kądzieli spokrewnieni byli z domem Orańskim. Za panowania Wilhelma III Orańskiego mister Francis Riland otrzymał za swe zasługi wobec tronu angielskiego tytuł wicehrabiego i niedużą posiadłość pod Bultonem,

* W świętej krwi męczenników twoje zbawienie, Anglio!

Chancefield.

Syn pierwszego wicehrabiego Chancefieldu, Henry Riland, ulegając namowom swego sąsiada, markiza Blandhilla, zagorzałego stronnika partii torysów, dał się wciągnąć w spisek przeciwko królowi Jerzemu I, za co pozbawiony został godności para i reszty swych dni dokonał na wygnaniu w Chancefieldzie. Do niedawna Chancefield należał do syna banity, sir Edwarda Rilanda. Jego młodszy brat, oficer wojsk królewskich, William Riland, wyjechał do Kalkuty, gdzie w roku 1742 urodził mu się syn Frederick Jonathan.

Mister Frederick wcześniej stracił rodziców, a jego opiekunem został mój ojciec, pracujący w tym samym biurze notarialnym, gdzie potem i ja objąłem pracę. Po ukończeniu angielskiego kolegium w Madrasie młody mister Riland wziął udział w kilku wyprawach morskich w charakterze oficera, wykazując dużą znajomość astronomii i sztuki nawigacji.

W roku 1763 mister Frederick Riland wyjechał do Europy i odwiedził swego stryja, sir Edwarda, wicehrabiego Chancefieldu, właściciela majątku bultońskiego. Sir Edward, bezdzietny wdowiec, zniechęcony Chancefield - miejsce wygnania swego ojca - mieszkał w stolicy, gdzie wiódł dość swobodny tryb życia. Nie troszczył się ani trochę o swą posiadłość, pozostawiając jej zarząd panu Montagu Wentowi. Zaniedbany majątek dawał zresztą małe dochody. Sir Edward przyjął bratanka dość oziębło i ten wrócił do Indii, gdzie poświęcił się badaniom naukowym i w tym celu spędził parę miesięcy w gęstym indyjskiej dżungli.

W końcu r. 1767 zmarł sir Edward. Sir Frederick Riland odziedziczył po nim niewielki kapitał i zrujnowany majątek pod Bultonem. Powinien też przejść na niego tytuł wicehrabiego Chancefieldu, jeśli prawa do tego tytułu, którymi sir Edward mało się interesował, nie są bezpowrotnie utracone.

Bultoński kantor „Thompson i Syn”, którego klientem był sir Edward, zwrócił się do naszego biura z prośbą o odszukanie spadkobiercy. Papiery sir Fredericka złożone były u moich pryncypałów, którzy też - wobec mego powrotu na stałe do Anglii - dali pełnomocnictwo na przeprowadzenie wszelkich formalności związanych z postępowaniem spadkowym.

Drugie polecenie moich szefów to likwidacja interesów niewielkiej bengalskiej firmy handlowej „Gardy i Demurée”, zgodnie z wolą jedynego jej właściciela, pana Nathaniela Gardy. Mister Gardy urodził się w Bultonie, lecz większą część życia spędził w Indiach, gdzie wspólnie z francuskim inżynierem, panem Demurée, nabył kopalnię srebra w Bengalii. Ożenił się z córką swego współnika i w r. 1749 z małżeństwa tego urodziła się córeczka, ochrzczona według obrządku katolickiego. Na życzenie matki wychowywała się ona w jednym z klasztorów we Francji, gdzie przebywała do osiemnastego roku życia. W r. 1767 wróciła do Kalkuty, do rodziców, lecz nie zasiała już matki przy życiu. Po stracie żony, a także współnika, ogarnęła pana Gardy, podobnie jak mnie, przemożna tęsknota za dobrą starą Anglią. Sprzedał kopalnię i postanowił zlikwidować nieduże oddziały swej firmy w Bultonie i Portsmouth. Nasze biuro podjęło się załatwienia wszelkich formalności z tym związanych, poruczając mnie tę sprawę.

W chwili gdy piszę te słowa, mister Gardy i jego jedynaczka, jak również spadkobierca sir Edwarda, mister Frederick Riland, przyszyły wicehrabia Chancefieldu, pochłonięci są przygotowaniami do dalekiej podróży. Zarówno oni, jak i ja jesteśmy już prawie gotowi do drogi. Z początkiem marca wypływa z Kalkuty duży konwój okrętów. Wykupiłem już dwie kajuty na angielskiej brygantynie „Ophir”; jedna z nich przeznaczona jest dla sir Fredericka i dla mnie, druga dla pana Gardy i jego córki miss Emily. Mister Gardy to chodząca dobroć. Jest bardzo miły i nazywa mnie swoim guwernerem. Nie miałem jeszcze sposobności zobaczyć jego córki.

Port Kalkuta, 3 marca 1768 r.

Oto już obie ładownie „Ophiru” przyjęły ostatnie tony ładunku. Brygantyna wiezie do Europy cenne towary - kosztowne barwniki do tkanin, szlachetne metale w sztabach, drogie kamienie dla holenderskich jubilerów, jedwabie dla angielskich modniś i środki lecznicze dla europejskich aptekarzy. Najważniejsza i najcenniejsza partia ładunku - srebro w sztabach i drogie kamienie - należy do pana Gardy.

Pasażerowie ulokowali się już w kajutach. Brygantyna jest tak mała, że musimy zadowolić się usługami załogi - dla własnej służby nie starczyło już miejsca. Miss Emily, córka pana Gardy, to zaiste czarująca młoda lady! Mam wrażenie, że i mister Riland jest tego samego zdania. Zresztą mój klient to człowiek małomówny i wobec mnie nie grzeszy zbyt kurtuazją.

Jutro o świcie podnosimy kotwicę. Nie opodal kończą załadunek inne statki naszego konwoju. Uzbrojone okręty ochrony czekają już na redzie. Konwój składa się z ośmiu statków handlowych i czterech okrętów ochrony. Również statki handlowe są uzbrojone - na naszej brygantynie widziałem dwa spiżowe działa. Niech Bóg ma nas w swojej opiece podczas tej dalekiej podróży!

Zatoka Bengalska, pokład „Ophiru”, 5 marca

Dziś pożegnaliśmy ujście świętego Gangesu. Płyniemy drugi dzień i potężna delta rzeki, nizinne wybrzeża pokryte bujną zielenią, masywne pagody - to wszystko niknie już na horyzoncie. Ocean jest spokojny, jak dotychczas podróż upływa bardzo przyjemnie. Konwój trzyma kurs na Madras.

Przed nami idzie trypokładowy, studziolowy okręt „Hampshire”, przybyły na nasze wody z Indii Zachodnich. Płynie on do Portsmouth, zatem do końca rejsu będziemy pod jego pewną ochroną. Dwie lekkie fregaty osłaniają flanki konwoju, zamyka zaś pochód korweta. Nasza brygantyna idzie na samym końcu, pod osłoną dział korwety.

Cały wczorajszy dzień spędziłem na pokładzie rozmawiając z panem Gardy, którego na zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci. Ucieszyła mnie wiadomość, że właściciel bultońskiego kantoru prawniczego mister Thompson senior jest nie tylko jego ziomkiem, lecz i szkolnym kolegą. Łączy ich nawet jakieś dalekie pokrewieństwo. Przez ostatnie trzydzieści lat obaj panowie, mieszkając w różnych częściach świata, stale korespondowali ze sobą. Z czasem w korespondencji tej wzięły również udział ich dzieci. Zaczęło się od tego, że mister Gardy posłał staremu przyjacielowi akwarelowy portret przedstawiający jego samego wraz z córką. W odpowiedzi na to ojciec i córka otrzymali wkrótce portret pana Williama Thompsona z jego synem Richardem. Młodzi ludzie, znając się tylko z portretów, przypadli sobie do gustu i ojcowie uważają ich zaręczyni, nie ogłoszone jeszcze oficjalnie z powodu różnicy wyznania, za rzecz postanowioną. Ślub Richarda i Emily to już jedna z przyczyn, które przyspieszyły wyjazd pana Gardy do Anglii.

Młody Frederick Riland wyłowił wczoraj z wody ostatni kwiat lotosu u ujścia Gangesu, by go ofiarować miss Emily. Podczas gdy ja i mister Gardy pochłonięci byliśmy rozmową, sir Frederick i nasz przemiły kapitan wtajemniczali miss Emily w arkana sztuki żeglarskiej. Sir Frederick Riland to bardzo opanowany, pewny siebie człowiek. Zachowuje się z dużą godnością. Sympatyczna twarz o szlachetnych rysach, piękny orli nos, ciemne włosy...

- W tym miejscu kajet nieco ucierpiał. Jest w nim sporo zamokłych stronic, a tu niektóre linijki są prawie nieczytelne - wtrącił mister Thompson przerywając czytanie.

- Mam wrażenie, iż ucierpiał jedynie panegiryk na cześć pana Rilanda. Wydaje mi się, że tę stratę można łatwo przeboleć - skrzywił się mister Landy. - Proszę, niech pan czyta dalej, tam gdzie tekst jest bardziej czytelny.

Mister Thompson czytał dalej:

- ...krótkie baczki. Nie ma prawie na okręcie prac, z którymi nie dałby sobie rady. Jednocześnie jego wykształcenie oraz znajomość ludów indyjskich i ich tajemniczej, magicznej sztuki czynią go nieocenionym rozmówcą, kiedy raczy wdać się w rozmowę, gdyż nie należy do ludzi towarzyskich.

Zatoka Bengalska, 17 marca.

Dwa dni staliśmy na redzie w Madrasie, nie schodząc na brzeg - w mieście szaleje epidemia ospy. Zbliżamy się do wybrzeży Cejlonu. Naszą żeglugę opóźniają skomplikowane manewry tak dużej ilości okrętów, dlatego płyniemy nieco wolniej niż pojedyncze statki.

Port Colombo, Cejlon, 25 marca.

Podróż przebiega pomyślnie. Wyłynęliśmy z zatoki i rozkoszujemy się bajecznym pięknem Cejlonu.

Gdybym był poetą, poświęciłbym Cejlonowi duży poemat. Zawsze mnie zdumiewało, dlaczego ludzie osiedlają się na pustyniach i wśród skał, skoro istnieją na świecie takie rajskie zakątki, jak Cejlon, który wcale nie jest gęsto zaludniony.

Pokład „Ophiru”, bezbrzeżny ocean, 3 kwietnia.

Mija równo miesiąc, od kiedy dzielę z sir Frederickiem kajutę, a znam go równie mało jak w dniu naszego poznania.

Nawiasem mówiąc, wobec miss Gardy jest on nie tylko pełen galanterii, lecz nader szczerze sypie opowieściami i dowcipnymi anegdotami. Z zapadnięciem zmroku zabawiał wczoraj ojca i córkę, wtajemniczając ich w sztukę prowadzenia okrętu podług ciał niebieskich. Twarz miss Gardy o wielkich wyrazistych oczach wpatrzonych w gwiazdziste niebo była tak precudna, że w głosie sir Fredericka pojawiły się nowe u niego, miękkie nuty. Młoda lady słuchała jak urzeczona, co tym bardziej zachęcało sir Rilanda do mówienia. Miss Gardy dużo podróżowała i pytania, jakie zadawała, świadczyły o niepoślednim zmyśle obserwacji i żywym umyśle.

Pokład „Ophiru”, 6 kwietnia.

Gdyby nie kalendarz, w którym co wieczór wykreślam upływający dzień, straciłbym zupełnie rachubę czasu, tak te dni są do siebie podobne. Zaczynają się i kończą monotonnym dźwiękiem okrętowych szklanek, który towarzyszy całemu naszemu życiu na okręcie.

Dziś znikły na zachodzie zarysy Wysp Malediwickich. Pomyślny wiatr sprzyja żegludze, płyniemy teraz z dwakroć większą szybkością. Robimy przeciętnie pięć, sześć węzłów, co czyni do stu czterdziestu mil na dobę. Mister Riland uważa, że to dobra szybkość dla tak dużego konwoju. Nie widuję prawie swego sąsiada w kajucie. Całe dni spędza na pokładzie lub w dolnej kajucie, w towarzystwie pana i panny Gardy. Sądząc po spojrzeniach, jakimi miss Emily wita każde jego pojawienie się, należałoby żywić obawę, aby mister Richard Thompson nie musiał kiedyś żałować, iż nie był w tych dniach na pokładzie „Ophiru”.

Pokład „Ophiru”, 10 kwietnia.

Wokół otwarte morze. Za kilka dni rzucimy kotwicę u wybrzeży wyspy Ile de France, czyli - jak ją inaczej nazywają - Mauritiusa. Znajdujemy się już na wysokości południowych wybrzeży Madagaskaru. Straszny upał.

Pokład „Ophiru”, 12 kwietnia.

Dni wydają mi się nieskończenie długie, lecz miss Emily w mojej obecności użalala się przed ojcem, iż czas leci z fantastyczną szybkością. Biedny mister Richard!

Pokład „Ophiru”, 16 kwietnia.

Wczoraj u wybrzeży Mauritiusa uzupełniliśmy zapas słodkiej wody. Przywieziono ją w baryłkach na łodziach. Okręty stały przez kilka godzin na zewnętrznej redzie, w odległości mili od pagórkowatej wyspy. Sir Frederick i miss Gardy pojechali na brzeg i złożyli wizytę francuskiemu gubernatorowi wyspy. Noc była duszna, powietrze gorące i parne, gwiazdy lśniły takim blaskiem jak nigdy dotychczas. Sir Frederick twierdzi, że to zapowiedź niepogody. Wczoraj wieczorem, przy rozstaniu z nim, miss Gardy zatrzymała swoją dłoń w jego dłoni. O, moja młodości, jakżeś jest daleka!

Pokład „Ophiru”, 18 kwietnia wieczorem.

Według słów kapitana zbliża się sztorm. Barometr idzie w dół. Jest nie do zniesienia duszno. Dmie gorący, północno wschodni wiatr. Jest to, jak mówi mister Riland, bejdewind w stosunku do naszego kursu. Od Mauritiusa i jakichś innych niedużych wysp tego samego archipelagu dzieli nas już trzysta mil. Trzymamy kurs na południowe wybrzeże Afryki; zbliżamy się do wód Madagaskaru.

Godzinę temu zauważyliśmy na horyzoncie żagle dwóch okrętów. Wkrótce znikły nam z oczu, jako że z powodu chmur widzialność znacznie się zmniejszyła. Rankiem, daleko od północy, przeszedł jakiś szkuner żeglujący w przeciwnym kierunku. Nie udało się nam dojrzeć jego flagi.

Miss Emily jest wzburzona i chodzi nie widząc nikogo i niczego. Widocznie jej stosunek do pana Richarda Thompsona opierał się na naiwnym „wzniosłym afekcie”, jak w modnych sentymentalnych romansach, spotkanie zaś z mister Rilandem po raz pierwszy obudziło w jej sercu prawdziwą miłość kobiecą. Rozumie to również mister Gardy, który jest mocno stropiony i zaskoczony tak nieoczekiwanym obrotem sprawy. Może to zburzyć wszystkie jego od dawna ułożone plany. Czyż jednak w naszych pożałowania godnych czasach dzieci postępują zgodnie z wolą rodziców? Zresztą mister Gardy jest pełen uznania dla rozumu, zdolności i nienagannyh manier sir Fredericka Rilanda. Nie należy też zapominać, że to jednak sir, a być może i milord, i że czeka go wspaniała przyszłość w kraju jego przodków!

A tymczasem, oby Bóg pozwolił nam szczęśliwie przetrwać sztormy i inne trudy podróży i obyśmy zdrowi wylądowali na ojczystej ziemi...

- Dalej tekst jest bardzo nieczytelny - podniósł wzrok na słuchaczy mister Thompson. - Ponieważ jednak właśnie na dalszych stronicach, pokreślonych i pokrytych kleksami, następuje opis najbardziej dramatycznych wypadków tego nieszczęśliwego rejsu, dołożę wszelkich starań, by odczytać te miejsca, przynoszą one bowiem zaszczyt autorowi... Francis, proszę zapalić więcej świec!

Pokład francuskiej korwety „Burgundia”, 24 kwietnia 1768 r.

O moja najdroższa córko! Jakież słowa zdolają oddać straszliwe przeżycia twego nieszczęsnego ojca w tych okropnych dniach! Z trudem mogę utrzymać w drżącej ręce byle jak zaostrzone pióro. Zebrałem jednak wszystkie siły, by utrwalić w tym kajecie straszny obraz zagłady naszego okrętu. Boże, miej litość nad moją zboląłą duszą i przebacz mi moje grzechy, świadome i nieświadome. To na pewno czyste modlitwy mojej córki ocaliły mi życie, które od dziś gotów jestem poświęcić modłom o wieczne odpoczywanie poległych przyjaciół. Amen!

Wieczorem 18 kwietnia, zmorzony nieznośnym upałem i miarowym kołysaniem okrętu, usnąłem mocno w kajucie. Wtedy to właśnie zaszły nas od tyłu francuskie okręty kaperskie, usiłując odciąć dwa statki handlowe.

Jednakże towarzysząca nam korweta odwróciła się burtą do jednego z nieprzyjacielskich okrętów i oddała salwę ze wszystkich dział burtowych. Wyrwany ze snu straszliwym grzmiotem, który wziąłem za loskot piorunu, w jednej chwili zeskoczyłem z koi.

Kiedy zaspany, nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co się dzieje, wybiegłem na pokład, ujrzałem obłoki armatniego dymu i ogarnięty płomieniem okręt przeciwnika, który szedł wprost na nas. Ciemności nocy rozświetlała luna pożaru i błyski salw armatnich. Tylko dzięki śmiałości manewrowi „Ophir” uniknął śmiertelnego zderzenia. Wtedy to płonący okręt, jak ranny zwierz w przedśmiertelnym skoku, runął na korwetę ochraniającą tyły konwoju, chcąc pomścić poniesione straty. Wpadł na nią z rozpędu, miażdżąc rufę korwety. Przy zderzeniu maszty i takielunek płonącego okrętu zwały się na korwetę, która w jednej chwili również zamieniła się w pochodnię.

Tymczasem drugi z atakujących nas okrętów - francuska korweta „Burgundia” - zdążył unieszkodliwić i podpalić lekką fregatę z naszej ochrony i zaszedłszy drogę „Ophirowi” zasypał go pociskami armatnimi, odcinając nas od konwoju. Pociski ze świstem przelatowały nad pokładem, rwąc żagle i łamiąc reje.

Nagle tuż u fałszyburty z sykiem spadła na pokład żelazna bomba napelniona prochem. Kręciła się w miejscu jak bąk, a jej krótki lont, płonący na wietrze, złowrogo jarzył się w ciemności. Załoga rzuciła się do ucieczki. Lecz w tej chwili jakiś wysoki mężczyzna przyskoczył do bomby. Uderzywszy po niej wyciorem, zapędził bombę między dwa pacholki i powstrzymawszy w ten sposób jej wirowanie pochylił się, wziął tę przerażającą rzecz w ręce i przeniósłszy przez fałszyburkę rzucił w morze. Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Gdy człowiek ten odwrócił się ku nam, poznałem w nim sir Fredericka Rilanda ze szpadą u boku. Sir Frederick spokojnie podniósł odrzucony przed chwilą pistolet, wsunął go za pas i oddalił się.

Nasza brygantyna, postawiwszy wszystkie ocalale żagle, próbowała się wymknąć spod ostrzału w ciemność nocy, spodziewając się potem wrócić pod osłonę dział „Hampshire'a”. Niestety w tej chwili, ciasno otoczony przez inne statki konwoju, które skupiły się bezładnie wokół jego burt niby kurczęta napadnięte przez jastrzębia, „Hampshire” był pozbawiony wszelkiej możliwości manewrowania. Nieprzyjacielska korweta „Burgundia”, której maszty mocno ucierpiały w bitwie, puściła się w pogoń za nami, lecz wkrótce pozostała daleko w tyle. Zdawało się, że jesteśmy uratowani.

Nagle spostrzegłem pana Gardy, również uzbrojonego w pistolet i szpadę. Prowadził pod rękę

miss Emily, która wyszła ze swej kajuty, by pomóc przy opatrywaniu rannych. Miss Emily z trwogą w oczach szukała kogoś wzrokiem na pokładzie. Uspokoila się wówczas, gdy zobaczyła sir Fredericka. On zaś, ujrawszy ją, zbiegł z mostka, gdzie rozmawiał z oficerami, i przyciskając jej rękę do ust prosił pannę, by wróciła do kajuty, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Pan Gardy opowiedział jej historię z bombą. Zbladła, zdawało się, że zaraz upadnie, lecz opanowała się i sama wróciła do saloniku, gdzie już okrętowy cyrulik, pełniący również funkcję lekarza, krzątał się przy rannych.

Naraz, niby złowieszcze widmo, wyłoniła się przed nami z ciemności sylwetka długiego czarnego szkunera. W nagle zapadłej ciszy morskiej oba okręty znieruchomiały. W dali wciąż jeszcze szalał pożar i rozlegały się wybuchy. To samoczynnie strzelały rozpalone nabite działa, pozostawione na płonących okrętach.

Ze szkunera spuszczone na wodę dwie łodzie, które mknęły teraz ku nam.

„Piraci! - przemknęło mi przez głowę. - Wpadliśmy w zasadzkę!”

Ogarnięty przerażeniem pobiegłem do dolnej kajuty! Byłoby rzeczą zbyt niebezpieczną pozostawać samemu w górnej kajucie. Biegłem przyciskając do piersi skózaną sakiewkę z moimi oszczędnościami i dokumentami. Bo - muszę Ci wyznać, córko - postanowiłem ukryć się pod szerokim łóżem miss Emily, stojącym za zasłoną.

Po chwili do kajuty weszli miss Gardy i sir Frederick Riland i tak stałem się mimowolnym świadkiem ich krótkiej rozmowy. Słowa „Emily”, „Fred” utonęły wkrótce w westchnieniach i pocałunkach.

Gdy drzwi kajuty otworzyły się ponownie wpuszczając ojca panny, jej głowa spoczywała na piersi dżentelmena, a dżentelmen tulił ją do ust. Na widok ojca sir Frederick wypuścił pannę z objąć i ująwszy ją za rękę, podprowadził do pana Gardy.

„Sir - z głębokim wzruszeniem powiedział młody człowiek - sir, Emily i ja kochamy się. Niech mi pan pozwoli walczyć o naszą wspólną przyszłość, inaczej bowiem nie pozostaje mi nic innego, jak tylko szukać śmierci w tej bitwie”.

„Niech was Bóg błogosławi, moje dzieci!” - odpowiedział ojciec.

Miss Emily zdjęła z szyi złoty medalik i zawiesiła go na szyi sir Fredericka. Młody człowiek raz jeszcze przycisnął do piersi swą przyszlą żonę i pospieszył na pokład, gdzie już gruchnął pierwszy wystrzał naszego okrętowego dział. Drżałem z lęku i trwogi, leżąc bez ruchu w mej ciasnej kryjówce i wsłuchując się w huk wystrzałów armatnich, zwierzęce ryki piratów, tych zbirów z piekła rodem, i zgiełk walki, która rozgorzała tuż nad naszymi głowami. Potem zapadła cisza i ktoś cicho zapukał do naszej kajuty. Wszedł sir Frederick. Jego kamizelka była zlaną krwią, twarz szerniała od dymu.

Razem z panem Gardy zamknęli drzwi, załadowali pistolety, sprawdzili szpady. Zaczny pan Gardy zapytał o mnie i sir Frederick wyraził przypuszczenie, że musiałem ukryć się gdzieś w ładowni.

Nasz okręt, znajdujący się już w rękach piratów, płynął teraz w niewiadomym kierunku. Miss Emily, padłszy na swe łożo za zasłoną, modliła się gorąco. Tymczasem na górze znów wybuchła strzelanina. Mister Riland wyjaśnił, że teraz toczy się bitwa między piratami i załogami francuskich łodzi. Bitwa ta zresztą nie trwała długo - piraci zmusili Francuzów do odwrotu.

Wkrótce moi współtowarzysze dojrżeli przez okno kajuty zbliżający się szkuner piracki. Nad nami rozległy się dzikie, tryumfalne wrzaski. Odczułem wstrząs i zaraz usłyszałem tupot nóg na pokładzie.

Ledwo żywy ze strachu, straciłem wszelką nadzieję! Zatrzeszczały drzwi i ukazały się w nich straszne twarze rozbawionych bandytów. Miss Emily krzyknęła i padła zemdlona, sir Frederick osłonił ją własnym ciałem, a mister Gardy strzelił do napastników. Zranił jedną z tych bestii, lecz w tejże samej chwili padł martwy, rażony ich kulami...

- Widocznie - przerwał czytanie mister Thompson - przy opisie tej dramatycznej sceny autor odzyskał panowanie nad sobą. W tym miejscu w kajecie brak paru kartek, które pan Morton musiał wydrzeć i przepisać na nowo, gdyż dalszy tekst skreślony został pewniejszą ręką i jest dość czytelny. Nawet kolor inkaustu jest inny, nieco ciemniejszy. Nie muszę już tak strasznie wyteżać wzroku. Francis, proszę zabrać zbędne świece. A zatem czytam dalej.

Mister Frederick walczył jak lew i kajuta zapelniła się wkrótce martwymi ciałami. Porwany przykładem takiego męstwa wyszedłem spod łóżka, chwyciłem szpadę i skoczyłem mu pomóc. Wyparliśmy napastników z kajuty i zabarykadowaliśmy drzwi. Zostawiono nas w spokoju, jako że tymczasem francuska korweta zbliżyła się do miejsca bitwy i otworzyła ogień do szkunera i przycumowanej do niej brygantyny.

Oba statki, ostrzeliwane pociskami zapalającymi i bombami z korwety, stanęły w płomieniach. Piraci rzucali się w wodę i ginęli pod gradem kul. Wszystkich tych niegodziwców spotkała zasłużona kara, ani jednego z nich Francuzi nie pozostawili przy życiu.

Gdy płomienie buszowały już obok naszej kajuty, wyszliśmy z kryjówki i zaczęli dawać sygnały. Ostatnia łódź francuska gotowała się właśnie do odejścia.

Sir Frederick wyniósł zemdloną Emily z kajuty, ja zaś zabrałem najważniejsze dokumenty i pieniądze, nie zapominając i o tym kajecie. W dziesięć minut później byliśmy już na pokładzie korwety „Burgundia”, gdzie przydzielono nam niewielkie pomieszczenie na rufie, słabo oświetlone jednym iluminatorem, umieszczonym tuż nad linią wodną. Ułożyliśmy tu miss Emily, która jeszcze nie ocknęła się z omdlenia, i wróciliśmy na pokład, skąd załoga korwety przyglądała się, jak tonie piracki szkuner i „Ophir”, nasz mały opuszczony okręt, który stał się grobem pana Gardy. Podobnie jak ciała poległych Francuzów i piratów i jego ciało pochłonęły morskie fale.

Tymczasem spadła tropikalna ulewa; wiatr z minuty na minutę przybierał na sile i nad oceanem rozszalał się sztorm, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Okręt wspinał się na fale, to znów spadał gdzieś w przepaść. Sir Frederick przywiązał wciąż jeszcze nieprzytomną miss Emily do łóżka, gdyż inaczej rzucaloby ją o ściany, jak rzucało nami. W końcu wgramoliłem się jakoś do koi i po chwili zapadłem w stan zupełnego odrętwienia.

Gdy się obudziłem, a raczej ocknąłem, usłyszałem gorączkowe majaczenia miss Emily i cichy głos sir Fredericka. Wciąż jeszcze szalał sztorm, jakkolwiek przespałem prawie całą dobę. W świetle dnia ocean wydał mi się jeszcze straszniejszy niż w nocy.

Sztorm ucichł dopiero pod wieczór 20 kwietnia. Kapitan „Burgundii” zaprosił nas do siebie i spytał grzecznie, czy mamy wygodne pomieszczenie. Wypytywał nas o nasze pochodzenie, stan majątkowy i cel podróży. Potem wyszliśmy razem na pokład. Korweta przedstawiała żalostny widok; to już był nie okręt, lecz wrak, bez omasztowania, bez łodzi. Aby zmniejszyć ciężar okrętu, kapitan musiał poświęcić nawet kilka dział.

Francuski żeglarz wyjaśnił nam, że korweta z trudem tylko może utrzymać kurs. Miał on zamiar dotrzeć do wybrzeży Afryki lub Madagaskaru pod zapasowym żaglem, sporządziwszy wpierw maszt z zebranych szczątków. Kapitan dał nam też do zrozumienia, że odzyskamy wolność dopiero wówczas, gdy nasi krewni złożą za nas dość pokaźny okup. Upowiedział również, że korweta posiada bardzo skąpe zapasy żywności.

Nasze położenie jest nad wyraz trudne. Jedyłą nadzieję pokładamy w nieprzebranym miłosierdziu Najwyższego.

Gdy wróciliśmy do kajut, miss Emily nadal leżała nieprzytomna. Powtarzała wciąż imię Fredericka, ale nie poznawała go. Sir Frederick znów usiadł przy łóżku, by czuwać nad

chorą. Lekarz okrętowy stwierdził u miss Gardy gorączkę, dał lekarstwo i obiecał, że będzie ją odwiedzał. Poczciwy doktor nie zauważył jednak, że na jej twarzy wystąpiły czerwone plamy i złowieszczą wysypka.

Pokład „Burgundii”, 26 kwietnia.

Pozwolono nam poruszać się swobodnie po całym okręcie. Marynarze zmajstrowali coś w rodzaju dwóch masztów i postawili kliwer i grot. Ale nawet przy wietrze nasz okręt nie robi więcej niż cztery węzły. Do jedzenia dostajemy jakąś wstrętną breję ze stęchłego ryżu. Zapas słodkiej wody powinien starczyć na dziesięć, dwanaście dni. Dyscyplina wśród załogi wyraźnie upada. Lecz najbardziej przeraża mnie choroba miss Gardy. Nie ulega już dla mnie wątpliwości, że to ospa. Nie uda się nam długo ukrywać przed kapitanem tej strasznej prawdy. Boże, co z nami będzie!

Pokład „Burgundii”, 28 kwietnia.

Zaczęły się parne, tropikalne upały. Stan zdrowia miss Emily nie poprawił się, lecz chwilami chora odzyskuje przytomność. Wie już, jaki los spotkał jej nieszczęsnego ojca. Obawiam się, że nas wszystkich czeka wkrótce ten sam bezdenny grób.

Pokład „Burgundii”, 30 kwietnia.

Na okręcie wybuchła epidemia ospy. Jestem przekonany, że to któryś z marynarzy-Hindusów przyniósł ją na pokład „Ophiru” w Madrasie, a miss Emily zaraziła się przy opatrywaniu rannych. Zachorowało już kilku ludzi z załogi. Ani dla mnie, ani dla sir Fredericka ospa nie jest straszna. Jeśli idzie o mnie, przeszedłem ją w dzieciństwie i do dziś mam na twarzy jej ślady. Sir Frederick też chorował na ospę w Indiach i widocznie wyleczył się za pomocą środków nie znanych naszej europejskiej medycynie, równie zadufanej w sobie, co ignoranckiej. Na jego twarzy nie ma śladu jakiegokolwiek oszpecenia.

Miss Gardy cierpi w milczeniu. Wszyscy nas opuścili i nie wolno nam teraz, pod groźbą śmierci, pojawiać się na pokładzie. Raz dziennie przynoszą nam trochę pożywienia i wrzucają do kajuty przez okienko w drzwiach jak dzikim zwierzętom.

Część załogi szykuje się do ucieczki z okrętu. Spuszczono już tratwę na wodę. Na korwecie pozostaną tylko kapitan, paru ocalałych oficerów i gromadka oddanych im marynarzy. Jutro rano zbuntowana część załogi opuści okręt.

Te wszystkie niewesołe nowiny przyniósł nam lekarz. Odwiedza on dalej miss Emily i jak dotychczas nie zaraził się jeszcze straszną chorobą.

Na maszcie powiewa żółta flaga, znak, że okręt znajduje się we władzy najgroźniejszego pirata - czarnej indyjskiej ospy.

Pokład fregaty „Krzyżowiec”, 3 maja 1768 r.

Chwała Najwyższemu! Jesteśmy uratowani! Ale za jaką straszną cenę!

Przedwczoraj późnym wieczorem po wyjściu lekarza zapomniano zamknąć drzwi naszej kajuty. Sir Frederick cichutko wyśliznął się na korytarz i przedostał na pokład. Jego orli wzrok nawet przy świetle księżycy dostrzegł żagiel na horyzoncie. Po chwili sir Frederick był

już na rufie, pod którą kołysała się na falach uwiązana do statku tratwa. Na pokładzie poniewierały się jeszcze narzędzia, użyte do jej budowy. Leżały tu również dwa długie wiosła. Zabrawszy ze sobą piłę i siekiere, sir Frederick opuścił się po linie na tratwę

Okręt stał w dryfie, ocean był spokojny. Nie było prawie wiatru i żagle zwisały bezwładnie. Sir Frederick stwierdził, że tratwa składa się z czterech bierwion, na których ułożono pomost z desek. Po przecięciu piłą obszycia pomostu można było oddzielić długą, wąską tratwę, którą bez trudu mogło manewrować dwóch ludzi.

Sir Frederick zabrał się do piłowania. Na szczęście nikt nie zwrócił uwagi na dziwne odgłosy za rufą - marynarze myśleli widocznie, że to cieśle kończą swoją robotę.

Wkrótce deski były przepiłowane i malutka tratwa, oddzielona od pozostałej części, zakołysała się na wodzie. Sir Frederick przytrzymał ją bosakiem, szybko przyciął wiosła do potrzebnych mu rozmiarów, wbił w belki dwa duże gwoździe okrętowe, mające służyć za dulki, i jednym ciosem siekiery przeciął cumę,

utrzymując całą tratwę. Następnie przeskoczył na swoją małą tratwę, stanął na niej wyprostowany i wiosłując jedną ręką, popłynął wzdłuż lewej burty w stronę iluminatora naszej kajuty. Ja oczywiście o tych wszystkich przygotowaniach nic nie wiedziałem i bardzo się niepokoiłem tak długą nieobecnością naszego towarzysza.

Jakież było moje zdumienie, gdy w iluminatorze ukazała się ręka z końcem liny i rozległ się głos sir Fredericka Rilanda, który kazał mi trzymać linę. Pomogłem mu dostać się do wnętrza kajuty i razem z nim szybko zabrałem niezbędne rzeczy, dokumenty i odzież. Gdy byliśmy gotowi, sir Frederick kazał mi pierwszemu zejść na tratwę.

Szeptając modlitwę wcisnąłem się w wąski otwór iluminatora i z trudem opuściłem się po linie na chwiejny pomost tratwy. Potem w iluminatorze ukazała się głowa spowitej jak niemowlę miss Gardy. Wziąłem ją ostrożnie na ręce i ułożyłem na tratwie. Sir Frederick rzucił mi kilka zwiniętych koców i jeszcze raz wrócił do kajuty.

W tej chwili doszły nas wściekle wrzaski i huk wystrzałów. Krzyki: „Zdrada!”, „Śmierć oficerom!”, „Oficerowie odcięli tratwę!”, „Do broni!”, zmieszały się z głuchymi odgłosami bójki, jękami i strzałami.

Sir Frederick cicho zeskoczył na tratwę. Ująłem wiosło, sir Frederick - drugie i ze wszystkich sił zaczęliśmy wiosłować, by jak najszybciej oddalić się od okrętu ogarniętego szaleństwem buntu. Wkrótce dobiegły nas okrzyki: „Ogień na okręcie!”, i odwróciwszy głowy ujrzelśmy na rufie długie języki płomieni.

W tym momencie zauważono naszą ucieczkę.

- Prędeż! - rzucił mister Riland i znów napaarliśmy na wiosła. Z łoskotem rozwarła się porta jednego z dział lewej burty.

Za armatą ukazał się puszkarz z dymiącym lontem w ręce. Huknął strzał i pocisk z sykiem zarył się w wodę za nami.

Nagle całe niebo rozbłysło krwawym blaskiem. Upuściłem wiosło i padłem twarzą na tratwę. Rozległ się straszliwy huk, od którego, rzekłbyś, rozwarły się niebiosa i rozstąpił się ocean jak w Piśmie świętym. Ogluszony potężnym wstrząsem powietrza straciłem na chwilę świadomość. Potem wokół nas ze świstem poczęły spadać w wodę odłamki drzewa i metalu. Płaty sadzy i popiołu osiadały niby czarna chmura. Spojrzawszy w stronę korwety zobaczyłem tylko zadarty w górę dziób pogrążający się w spienionym wirze.

- Widocznie któryś z oficerów postanowił kosztem własnego życia położyć kres niegodnemu zachowaniu się buntowników - rzekł mister Riland i obnażywszy głowę odmówił krótką modlitwę za spokój duszy męznego wroga, który wysadził w powietrze prochownię zbuntowanego okrętu. - Z pokładu korwety widziałem w dali żagiel. Miejmy nadzieję, że nas zauważą.

I rzeczywiście, w pierwszych przeblaskach świtu ujrzelśmy w odległości jakichś trzech mil dużą fregatę zmierzającą w naszą stronę. Na gładkiej powierzchni wody pływały szczątki

zatonionego okrętu i kołysała się tratwa. Nie widać było jednak ani jednego człowieka, ani jednego członka załogi, który by ocalał.

Wymachując białym prześcieradłem zwróciliśmy na siebie uwagę fregaty. Natychmiast spuszczone na wodę łodzie. Już po paru minutach zawołał nas po angielsku miczman z pierwszej łodzi. Wymieniliśmy nasze nazwiska. Jakież było moje zdumienie, gdy ów młody człowiek usłyszawszy moje skromne nazwisko, wydał radosny okrzyk i o mało nie wskoczył do wody, by jak najszybciej znaleźć się na naszej tratwie.

- Mister Morton, sir Frederick Riland - z entuzjazmem wykrzykiwał młodzieniec - prędeż na pokład naszego okrętu! Hura, chłopcy!

Wioślarze, do których odnosił się ostatni okrzyk, pchnęli łódź naprzód, lecz sir Frederick poprosił, by zatrzymali się w pewnej odległości, i zażądał lekarza, który by obejrzał ważny, lecz niebezpieczny bagaż. Młody człowiek rzucił komendę, łódź pomknęła w stronę fregaty i po chwili miczman powrócił z lekarzem. Tęgi dżentelmen w peruce i z lorgnon spytał nas, co za bagaż ma obejrzeć, lecz gdy tylko popatrzył na leżącą, okrytą kocami miss Emily, od razu się domyślił, o co chodzi.

Mister Riland, przeszedłszy na język francuski, by nie być zrozumianym przez załogę, wytłumaczył mu, że chorą na ospę należy bezwzględnie umieścić w oddzielnej kajucie, gdzie będziemy przy niej czuwać, dzieląc z nią kwarantannę. Poczciwy doktor, mrużąc coś pod nosem, udał się na fregatę.

Długo się naradzano. Te chwile oczekiwania były straszne, oczami wyobraźni widziałem już nasz żalotny koniec na kruchej łupince, pośród oceanu. Z trwogą patrzyłem, jak jedna ze spuszczanych z fregaty łodzi podpłynęła do dużej tratwy i podpaliła dzieło rąk zbuntowanych marynarzy. Widocznie taki był rozkaz dowódcy fregaty.

Wreszcie łódź z naszym przyjacielem miczmanem znów się do nas zbliżyła. Miczman trzymał w ręku linę holowniczą.

Łódź przyholowała naszą tratwę do trapu okrętu. W dziesięć minut później miss Gardy leżała w łóżku, my zaś ulokowaliśmy się wygodnie w drugiej połowie kajuty szpitalnej, przegrodzonej na dwie części. Usługiwał nam Murzyn Sam, marynarz z fregaty, o twarzy oszpeconej ospą.

Wkrótce potem podszedł do drzwi nasz młody wybawca i opowiedział nam, w jaki sposób fregata „Krzyżowiec” znalazła się na tych wodach i skąd on, miczman królewskiej floty, Edward Went, zna nasze nazwiska.

Okazało się, że fregata, podążając na wody Oceanu Indyjskiego jako angielski kaper, spotkała u wybrzeży Madagaskaru nasz przetrzebiony konwój i udała się na poszukiwanie „Ophiru” i piratów. Ale i ją huragan zniósł daleko z kursu. Utraciwszy wszelką nadzieję odnalezienia zaginionego okrętu, fregata wzięła kurs na Kapsztad. Wtedy to zauważono eksplozję i „Krzyżowiec” pospieszył na miejsce katastrofy „Burgundii”.

Los chciał, że na fregacie odbywał swój pierwszy rejs w charakterze miczmana mister Edward Went, syn pana Montagu Wenta, zarządcy Chancefieldu. Edward Went ukończył morską szkołę w Portsmouth, moim rodzinnym mieście, gdzie wychowywała się u swej ciotki moja córka Mary. I cóż się okazało? Otóż ten urwipoleć, ten osiemnastoletni mister Went, zarozumiał miczmana, nosi w portfelu miniaturę mojej Mary i już gotów jest uważać mnie za swego przyszłego teścia! O, moja mała figlarko, niech tylko Bóg mi pozwoli powrócić szczęśliwie do domu, już ja się postaram wybić ci z główki wszelką myśl o miczmanach i oficerach floty!

Pokład fregaty „Krzyżowiec”, 17 maja.

Fregata zbliża się ku wybrzeżom Afryki. Miss Emily już wyzdrowiała. Lecz jakże bardzo się

zmieniła! Z jej twarzy znikły delikatne rumieńce, na skroniach i brodzie pozostało kilka niedużych blizn, jej oczy utraciły blask, a włosy - puszystość. Mimo to, oczywiście, jest nadal uroczą młodą lady. Za dwa, trzy tygodnie skończy się nasza kwarantanna i będziemy mogli wychodzić na pokład.

Brzemie cierpienia przytłoczyło bardzo miss Gardy. Dzielnie zniosła wszystkie okrutne ciosy - śmierć ojca, któremu nie dane było zobaczyć rodzinnego Bultonu, chorobę, okropne przeżycia, lecz trudno teraz poznać w tej zgaszonej istocie dawną, pełną radości życia Emily.

Pokład fregaty „Krzyżowiec”, 22 maja port Kapsztad.

Co za radość; Płyniemy do Anglii na „Krzyżowcu”.

W Kapsztadzie, dokąd przybyliśmy 20 maja, zastaliśmy cały nasz konwój, który wyruszy do Anglii razem z „Krzyżowcem”.

Szkoda, że kwarantanna nie pozwala nam opuścić kajuty; w Kapsztadzie mam dalszych krewnych i starych przyjaciół.

Miss Emily wygląda już trochę lepiej. Oboje z sir Frederickiem wiodą długie rozmowy. Dzięki kwarantannie zaraza nie przeniosła się na okręt i lekarz pozwolił nam od 1 czerwca przychodzić do kajuty ogólnej.

Na razie jedyną moją rozrywką jest ten kajecik, który pomoże zachować w pamięci szczegóły tragicznych przeżyć, jakie przypadły mi w udziale u schyłku moich dni.

Ocean Atlantycki, pokład „Krzyżowca”, 1 czerwca 1768 r.

Żeglujemy już piąty dzień. Minęliśmy pustynną Wyspę św. Heleny.

Dziś zostaliśmy przedstawieni kapitanowi i oficerom naszego okrętu. Sir Frederick z dużą godnością podziękował dżentelmenom za pomoc i prosił o przyjęcie od niego czeku na pięćset funtów, przeznaczonych na upiększenie okrętu i nagrody dla członków załogi. Zyskał sobie tym ogromną popularność, a jego doskonała znajomość sztuki żeglarskiej zwiększyła ją jeszcze do tego stopnia, że pierwszy oficer „Krzyżowca”, mister Donald Blackwood, poradził mu żartem, by wykupił patent oficerski i objął dowództwo okrętu. Sir Frederick odpowiedział mu na to, że gdyby zrzędzeniem losu został kiedyś armatorem, najlepszy swój okręt powierzyłby panu Blackwoodowi.

Miss Emily chodzi milcząca, zamknięta w sobie i mało pokazuje się w towarzystwie. Prawdopodobnie główną przyczyną tego jest zmiana w wyglądzie zewnętrznym, na co każda dama jest bardzo wrażliwa. Łzy stanęły jej w oczach, gdy się jej przedstawił, z entuzjastycznymi wyrazami podziwu dla sir Fredericka, młody mister Went, syn starego plenipotenta domu Rilandów...

Teraz mamy już oddzielne kajuty z wszelkimi wygodami.

Port Plymouth, pokład „Krzyżowca”, 2 sierpnia 1768 r.

Piszę te słowa drżącą ręką. Przez iluminator kajuty widzę wojenny port mojej ojczyzny. Słyszę loskot łańcucha kotwicznego i okrzyk: „Jesteśmy na miejscu!” Niech żyje stara Anglia! Boże, chroń naszego króla!

Bulton, 20 grudnia 1768 r.

Dopisuję jeszcze parę wierszy, by zakończyć te notatki. Sprawy poruczone mi przez biuro „Noël-Abrahams i Mohandis Madżarami” zostały już załatwione.

Mister Riland, po przeprowadzeniu postępowania spadkowego, osiedlił się w swojej posiadłości Chancefield, w pobliżu Bultonu. Dużo starań kosztowało odzyskanie praw do tytułu wicehrabiego, tak nieopatrzenie utraconych przez lekkomyślnych przodków. Pociągnęło to też za sobą niemałe wydatki, lecz sir Frederick ma szerokie plany. Żywi nadzieję, że z czasem zdoła przywrócić podupadłemu rodowi banitów prawa parów i utorować sobie drogę do najwyższych sfer. Niech mu Bóg pomaga w tych poczynaniach!

Z prawdziwym żalem przyjął sir Frederick wiadomość o niedawnej śmierci ojca miczmana Edwarda, czcigodnego pana Montagu Wentu, administratora majątku Chancefield. Sir Riland zaproponował mnie objęcie tego stanowiska. Głęboko wzruszony okazanym mi zaszczytem przyjąłem jego propozycję i z dniem 1 stycznia 1769 r. obejmuję obowiązki plenipotenta.

Miss Emily zamieszkała w prywatnym pensjonacie Andrew Lawsona, byłego pracownika jej ojca, gdzie pozostanie do końca żałoby. Przyjęła do służby Murzyna Sama Hopkinsa, który był z nami na „Krzyżowcu”; ten czarny sługa ogromnie przywiązał się do miss Emily.

Wszystkie formalności związane z likwidacją firmy pana Gardy załatwiłem ściśle podług woli najzaciejszego z moich klientów. Niewielki kapitał, jaki pozostał po likwidacji obu angielskich kantorów firmy Gardy, złożyłem w „Bultons Bank” na konto miss Emily.

Ślub sir Fredericka i miss Emily wyznaczony został na wiosnę przyszłego roku. Na życzenie miss Gardy odbędzie się on za granicą, we Francji lub Italii.

Na tym kończę swe zapiski. Moją córkę przycisnąłem do serca jeszcze w Portsmouth, gdzie Mary kończy edukację. Po ukończeniu pensji przeniesie się do mnie, do Chancefield. Te zapiski oddaję na przechowanie panu Thompsonowi aż do pełnoletności mej córki.

Mister Thompson senior zamknął kajet.

Pierwszy przerwał milczenie Patterson, właściciel stoczni.

- Wydaje mi się, że mister William i mister Richard winni uścisnąć szlachetną prawicę sir Fredericka Rilanda i puścić w niepamięć niezamierzoną krzywdę, która w świetle dopiero co ukazanej nam prawdy zdaje się być rzeczą zaiste błahą - oświadczył z namaszczeniem.

- W zupełności podzielam pańskie zdanie - dodał mister Landy.

- Ojczce, gotów jestem przyznać panom słuszość - zabrał głos Richard, głęboko poruszony usłyszaną epopeją. - Uważam, że po tym wszystkim, co tych dwoje przeszło, byłoby grzechem ich rozdzielić i nasza zraniona ambicja nie powinna mieć wpływu na nasz stosunek do nich.

Pastor Redling z zadowoleniem kiwał głową. Tylko stary William Thompson, odchyliwszy się na oparcie fotela, w milczeniu przyglądał się tłocznej skórze oprawy rękopisu i nie podniósł oczu na rozmówców.

Ledwo tylko dzentelmeni wypowiedzieli swe zdanie, rozległ się stuk młotka przy drzwiach wejściowych. Stary sługa, wpuściwszy kogoś do poczekalni, stanął w progu salonu.

- Znowu przyszedł ten wczorajszy interesant - zameldował.

William Thompson, który był przekonany, że to jego żona wróciła z posiedzenia swego komitetu, ze zdziwieniem wyszedł za służącym do poczekalni. Przed nim stał niewysoki mężczyzna w ubiorze, jaki zwykli byli nosić uliczni sprzedawcy. Kapelusz trzymał w lewej ręce, u której brakowało małego palca.

- Słucham pana, mister Rogers - rzekł adwokat oschłym tonem. - Jak na interesanta przychodzi pan o dość niezwykłej porze.

- Najuprzejmiej proszę o przebaczenie - szepnął nieznajomy, kłaniając się nisko - lecz pańska pomoc i rada są mi potrzebne natychmiast. Jeszcze raz proszę o udzielenie mi paru minut rozmowy. Dziś rano mówiłem z Andrew Lawsonem i upewniłem się, że jestem na właściwym

tropie. Gdy tylko otrzymam od pana obiecane mi dodatkowe informacje o katastrofie „Czarnej Strzały”, niezwłocznie opuszczę Bulton. Dłuższe pozostawanie tutaj nie jest dla mnie bezpieczne...

Mister Thompson poprosił interesanta do swego gabinetu, a służącemu kazał przeprosić gości i powiedzieć im, że jest zajęty z klientem, który przybył w bardzo pilnej sprawie.

Panowie wymienili ukłony i wkrótce turkot ich ekwipaży zamilkł w oddali.

Rozdział drugi

Ludzie potrzebni królestwu

1

W bultońskiej stoczni okrętowej kończył się dzień pracy, lecz łoskot młotów kowalskich, stukot siekier, zgrzyt pił i hebli - cały ten zgiełk i hałas zagłuszający głos ludzki - rozlegał się jeszcze w dokach. Niekiedy nad tą kolebką okrętów przelatywały mewy i wystraszone piekielnym hałasem wzbijały się wyżej, gdzie wiatr rozwiewał czad wrzącej smoły i dym kowalskich palenisk. Na pochylniach stały kadłuby okrętów otoczone płataniną żurawi, bloków, rusztowań i drabin. Jeden z nich był już wolny od rusztowań i tylko wąskie kładki opasywały jeszcze jego wysokie burty. Od kładek prowadziło kilka trapów w górę, do fałszburty, inne w dół, do kilu.

Wodowanie tego okrętu, największego z budowanych w stoczni, było wyznaczone na następny dzień. Stary majster okrętowy, Jacob Harvey, barczysty mężczyzna z ognistorudymi bokobrodami, w nisko nasuniętej na czoło czapce z szerokim daszkiem, czuwał nad ostatnimi przygotowaniem. Trzymając w zębach krótką fajeczkę rzucał rozkazy, nie otwierając przy tym ust, i po każdym słowie wypuszczał kłęby dymu.

Deski pochylni, po których okręt zsuwa się na wodę, były już wysmarowane tłuszczem wieloryba. Kadłub okrętu utrzymywały w miejscu jedynie podpory z potężnych bierwion.

Przywodził on na myśl cielsko jakiegoś nieznanego stwora morskiego; pod poszyciem można się było domyślić „szkieletu” z monstrualnymi żebrami-wręgami; wysoki ostry dziób i płynnie wygięte linie burt nadawały kadłubowi podobieństwo do fantastycznej ryby, a zaokrąglona rufa przypominała głowę wieloryba.

Okręt nie miał jeszcze ani omasztowania, ani nadbudówek pokładowych - to wszystko miało być zbudowane dopiero na wodzie - lecz w smukłych liniach długiego kadłuba doświadczone oko mogło już dostrzec wysokie zalety żeglarskie przyszłego „ujarzmiciela oceanów”.

Właściciel stoczni, mister Patterson, i jego klient, sir Frederick Riland, brnęli przez sterty szczap, wiórów, trocin, lawirując między stosami belek i zwojami lin. Obejrzeni cały okręt i zabierali się już do odejścia, gdy nagle gdzieś blisko rozległ się głośny krzyk bólu. Obaj panowie odwrócili się. Kilku cieśli, porzuciwszy siekiery i dłuta, pobiegło ku przeciwniejszej burcie.

- Harvey, zobaczcie, co się tam stało - rozkazał pryncypał.

- Cieśla Patkins obciął sobie trzy palce u lewej ręki, sir - zameldował majster, na moment tylko wyjąwszy fajkę z ust.

- To bardzo przykra sprawa, Harvey. Ten cieśla jest nam w tej chwili bardzo potrzebny. Czy będzie mógł jutro stanąć do pracy?

- Nie, sir, tu potrzebny lekarz...

- Dobrze, wezwę doktora Gracewella, tego dziwaka ze szpitala Świętego Krzysztofa. Proszę posłać po niego moje konie. Gracewell musi go postawić na nogi, chociażby tylko na jutrzejszy dzień. Aha, trzeba nałożyć karę na tych dwóch wałkoni, aby w przyszłości nie porzucali narzędzi i nie gapili się przez dziesięć minut na człowieka, któremu opatruje się zadraśnięcie. I jeszcze jedno, Harvey: honorarium doktora potrąćcie z zarobku Patkinsa. A w przyszłym tygodniu poszukacie na jego miejsce jakiegoś innego dobrego cieśli. Sir Riland, proszę do mnie do gabinetu.

Usadowiwszy gościa przy swoim biurku w gabinecie, który był zastawiony modelami i rysunkami okrętów, mister Patterson zaczął spacerować po pokoju. Gość w milczeniu przyglądał się modelowi brygu o rozpiętych żaglach, stojącemu na dębowej podstawie.

- Lubuje się pan modelem swego „Oriona”? - rzekł Patterson. - „Skrzydlaty” będzie jeszcze lepszym okrętem. Obaj z Harveyem mieliśmy już z nim niemało utrapienia. Okręt potężny, pięciomasztowy, mocno wydłużony, z dwupiętrowymi pokładami artyleryjskimi. Burty poszyte warstwą twardego jak kamień dębu grubości pół jarda! Żaden pocisk armatni ich nie przebije. Nawet ogień bomb zapalających nie jest dla nich groźny. Statek będzie uzbrojony w trzydzieści sześć ciężkich kanonad i taką samą ilość dział okrętowych średniego kalibru, strzelających dwudziestofuntowymi pociskami. Przy nośności trzech tysięcy ton „Skrzydlaty” będzie mógł rozwinąć szybkość do piętnastu węzłów pod pełnymi żaglami i przy pomyślnym wietrze. Nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się spotkać z tak złożonymi i sprzecznymi wymaganiami klienta. To łatwo powiedzieć - przy takiej szybkości i takim uzbrojeniu ładownie „Skrzydlatego” mają pomieścić ładunek co najmniej dwóch szkunerów handlowych. Wykonując to zamówienie z taką rzetelnością, jakiej dotąd nie знаła nasza stocznia, powoduję się raczej uczuciem osobistej sympatii dla klienta niż widokami na zyski. Koszta „Skrzydlatego” są tak ogromne, że nie spodziewam się specjalnego profitu...

Sir Riland skłonił się lekko, dając tym wyraz swej wdzięczności, lecz nadal zachowywał milczenie.

- Już czwarty rok, sir, trwa nasza współpraca - mówił dalej Patterson. - Okręty zbudowane w mojej stoczni żeglują pomyślnie pod pańską banderą. Przywoziły one i dla mnie niejednokrotnie cenny ładunek, niekiedy nawet - że tak powiem - z pominięciem pewnych formalności celnych. Wydaje mi się, że czas już, abyśmy byli ze sobą bardziej szczerzy. Zalety żeglarskie i bojowe „Skrzydlatego” nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości co do jego przeznaczenia. To może być tylko kaper, sir.

- Nie wiem, po co był panu potrzebny ten przydługi wstęp dla wypowiedzenia tak oczywistej prawdy - z niewzruszonym wyrazem twarzy odparł sir Riland.

- Oczywistej prawdy? - aż podskoczył mister Patterson. - Od kiedy to znakomity szlachcic angielski i właściciel ziemskiej posiadłości, głowa świetnego i szanowanego rodu, uważa za rzecz dla siebie naturalną, aby zamiast gospodarzyć na swej ziemi i prowadzić interesy, puszczać się na niepewną, choć może nęcącą drogę korsarstwa? Bo przecież kaper to nic innego jak uprawniony przez państwo korsarz!

- Po pierwsze kaperstwo jest popierane przez rząd angielski i przysparza ogromnych dochodów skarbowi królewskiemu. Po wtóre, dlaczego sądzi pan, że właściciel okrętu-kapera musi koniecznie sam uganiać się za przyzami?

- O, sir, niedawno miałem okazję zapoznać się z pewnym krótkim rozdziałem pańskiej niezwyklej biografii, uwiecznionym w kajecie Mortona. Człowiek z pańską znajomością morza, pańską odwagą i męstwem, mając taki okręt jak „Skrzydlaty” nie usiedzi w domu!

Sir Frederick roześmiał się.

- Nie mogę przecież być jednocześnie kapitanem wszystkich okrętów mojej kompanii, kierować wszystkimi przedsiębiorstwami, być dobrym gospodarzem w swym majątku i w dodatku być dowódcą własnego kapera! A zresztą - dodał z uśmiechem - nie ukrywam, że miałbym ochotę odbyć kiedyś samodzielny rejs na „Skrzydlatym”. Proszę też, by zechciał pan wówczas dzielić ze mną ryzyko i sukcesy, jeżeli tylko mistress Patterson nie zatrzyma pana przy sobie.

Patterson zamyślił się. Oczami wyobraźni widział już dalekie morza, sztormy, zgiełk bitew, spowite dymem maszty „Skrzydlatego”, bryły złota w ładowniach... Ryzyko i sukcesy, hm! O do licha, ten wicehrabia Chancefieldu to śmiały człowiek!

- Czy rozesłano już wszystkim gościom zaproszenia na jutrzejszą skromną uroczystość wodowania nowego okrętu? - spytał Riland.

- Wszyscy znakomitsi mieszkańcy miasta i hrabstwa z zadowoleniem przyjęli zaproszenie. Nawet lady Stanford.

- Lady Ellen Stanford? To moja sąsiadka, nasze posiadłości graniczą ze sobą, lecz jakoś do tej

pory nie miałem okazji poznać jej osobiście.

- O, lady Stanford to nie tylko urocza, lecz również nader dalekowzroczna lady. Owdowiała przed dwoma laty i podobno wyraziła niedawno zgodę na ogłoszenie swych zaręczyn z młodym panem Richardem Thompsonem.

- Ach tak? - Sir Frederick słuchał bardzo uważnie. - Cóż skłoniło tę zamożną damę do takiego mezaliansu?

- Prawdopodobnie dar przekonywającej wymowy pana Thompsona. Zresztą to bardzo zacny młodzieniec. Nawiasem mówiąc jest on synem mego starego przyjaciela, pana Williama Thompsona, doktora praw.

- No cóż, rad będę zawrzeć znajomość z tą lady na pokładzie „Skrzydlatego”. Słyszałem, że jeśli idzie o interesy, popierała poczynania swego nieboszczyka męża, sir George'a Stanforda, a poza tym...

- Doktor Randolph Gracewell - przerwał wicehrabiemu majster Jacob Harvey otwierając drzwi do gabinetu. Za nim wszedł niewysoki mężczyzna w binoklach, mrużąc dobrotliwe oczy krótkowidza.

Dżentelmeni wymienili ukłony i mister Riland wyszedł. „Randolph Gracewell - myślał wsiadając do swego giga. - Gdzie ja już słyszałem to nazwisko? To było chyba bardzo, bardzo dawno temu...”

Znany bankier bultoński, mister Samuel Landy, utykając mocno na podagryczną nogę, wchodził na stopnie szarego budynku, w którym mieścił się kantor prawniczy „Thompson i Syn”. Powóz zaprzężony w parę wypasionych koni czekał przed podjazdem.

Dysząc głośno dżentelmen przeszedł przez korytarz, skąpo oświetlony jedynym wąskim gotyckim oknem, i odsapnąwszy chwilę, pchnął drzwi do ciasnego pokoiku.

Dwóch klerków, nie podnosząc oczu na wchodzącego, skrzypiało gęsimi piórami, maczając je w ogromnych kałamarzach. Trzeci z wielce skupioną miną usiłował wyjąć muchę z podobnego naczynia. Wysokie szafy wypełnione po samą górę pożółkłymi zwiwkami dokumentów i stertami papierów, których sam widok działał przygnębiająco, grube foliały ze skórzanymi grzbietami leżące na podłodze, stoły okryte zakurzonym sukmem, upstrzonym czarnymi, czerwonymi i zielonymi plamami - to wszystko pozostawiało zaledwie wąskie przejście ku drzwiom wiodącym do dalszych pokoi.

Mister Landy precyzyjnie się jakoś i wszedł do następnego, dużego i brudnego pokoju. Na widok interesanta cały tuzin siedzących tu klerków w różnym wieku od razu chwyciło za pióra z wyrazem niestrudzonej pracowitości na twarzach.

W głębi pokoju, za rzędami szaf, stołów i stosami papierów, oddzielono drewnianą barierką mały kącik dla interesantów. Stały tu dwie czarne ławy z wysokimi prostymi oparciami. Tu również, przed masywnymi drzwiami, zasiadał przy wysokim kantorku grubas w czarnym fraku, z gęsim piórem za uchem. Na drzwiach zawieszonych portierą połyskiwały dwie mosiężne tabliczki. Na górnej można było przeczytać: „William Thompson, królewski adwokat, doktor praw”. Dolna tabliczka oznajmiała, że za tymi drzwiami rezyduje również i barrister Richard Thompson.

Znalazłszy się za barierką, mister Landy ujrzał niemłodą już kobietę trzymającą za ręce dwóch chłopców. Gruby klerk wpuścił kobietę i jej synów do gabinetu pryncypała i wziął z rąk pana Landy bilet wizytowy. Poznaawszy w gościu przyjaciela obu swych pryncypałów, zgął się przed nim w niezgrabnym ukłonie i poprosił, by mister Landy wszedł do gabinetu.

Mister Thompson senior siedział w wysokim fotelu przy staroświeckim holenderskim biurku. Ciężka kotara z frędzlą i chwaścikami oddzielała dalszą część gabinetu, gdzie stał stół i puste w tej chwili twarde krzesło, na którym wysypiał się kot, korzystając z nieobecności młodszego właściciela kantoru.

Imponujących rozmiarów szafy były zamknięte i zasłonięte kotarami. Znajdowało się tu jeszcze kilka pluszowych fotelików dla klientów, całości zaś urządzenia dopełniał marmurowy posążek boga kupców Merkurego w sandałach ze skrzydełkami i kaduceuszem w ręce.

Mister Thompson poprosił gościa, by usiadł, a sam powrócił do rozmowy z kobietą, wciąż trzymającą dzieci za ręce.

- A więc, czego pani sobie życzy, mistress Bingle? - spytał.

- Milordzie - odpowiedziała patrząc na adwokata nieomal z nabożną czcią - przychodzę prosić pana o radę. Mój mąż nieboszyk był majstrem w Kompanii Północnobrytyjskiej. Kiedy wybudowano nową fabrykę manufaktury i zaczęto przenosić tam krosna, spod sufitu spadła jakaś belka i przygmiotła mego Johna na śmierć...

- Zaraz, zaraz, mistress Bingle, wiem o tym smutnym wypadku! Ta... jak jej tam... belka zniszczyła nowiutką maszynę. Prawdopodobnie nie obyło się tu bez umyślnej złośliwości i sam Pan Bóg skarał pani męża.

- Ależ, sir, to nieszczęście stało się późnym wieczorem, już w ciemnościach. Po dwunastu godzinach pracy kazano zmęczonym ludziom przenosić jeszcze te twory Belzebuba, te okropne, piekielne maszyny...

- Jeśli wdowa po majstrze może mówić tak gorszące rzeczy, czegoż można się spodziewać po innych robotnikach! Pani zapomina o Bogu, mistress Bingle!... Cóż nakazał nam Wszehmogący w swej nieskończonej mądrości? Niech pani powie, mistress Bingle.

Wystraszona kobieta chlipnęła i otarła oczy końcem szala.

- Nakazał nam pracować, milordzie.

- Tak, mistress Bingle - głos prawnika zmiażdżył nieco. - Powiedział: Będziesz się trudzić od świtu do ciemnej nocy w pocie czoła twego. Ot, tak jak ja się trudzę od przeszło czterdziestu lat... Dlatego niech pani nie narzeka na chlebobawcę, który daje wam możliwość pracować zgodnie z wolą bożą, niech pani nie narzeka na swego karmiciela. Zatem straciła pani męża, który prawdopodobnie padł ofiarą własnych złych zamiarów wobec mienia chlebobawców?

- Sir, Bóg świadkiem, że mój John nic tu nie był winien. Chociaż wielu naszych rzeczywiście tylko o tym mówi, jak by połamać jak najprędzej te przeklęte maszyny. To od nich przecież zaczęły się wszystkie nasze nieszczęścia. Podobno w Spittfieldzie rękodzielnicy już dawno rozwalili maszyny, a nawet mury przeklętej fabryki...

- I za to poszli na szubienicę! Niech panią Bóg broni, mistress Bingle, powtarzać te bezbożne brednie! Ci niewdzięczni ludzie zapomnieli, że swój kawałek chleba zawdzięczają wyłącznie przedsiębiorcy. Przecież i u nas dzięki czcigodnemu panu Rilandowi ubodzy mieszkańcy naszego drogiego Bultonu mają stałą pracę w nowych fabrykach. Jestem wstrząśnięty ludzką niewdzięcznością! Czyż przystoi tak mówić wdowie po majstrze? Dlaczego przyszła pani do mnie z podobnymi herezjami?

- Ależ, milordzie, jestem wraz z dziećmi w skrajnej nędzy! Ulitujcie się nad nami, wasza miłość! Nie mamy chleba, zadłużyłam się w sklepiku, administrator grozi, że jutro wyrzuci nas z mieszkania. Miejcie litość nad naszą nędzą, dobry panie! Moi chłopcy są tacy młodzi, to przecież jeszcze dzieci!

- Pani chłopcy stoją przede mną i ja wcale nie uważam, aby to były małe dzieci. Widocznie są leniwi, skoro cierpi pani tak wielką nędzę mając takich dużych synów. Jak oni się nazywają i czym się zajmują?

- Ukłońcie się milordowi, dzieci! Podejdźcie bliżej do pana mecenas. Ten, sir, to mój starszy, George, ma czternaście lat, a ten, Tom, ma dopiero dziewięć.

- I obaj na pewno już od dawna pracują w fabryce? - spytał mister Thompson spojrzawszy na czerwone, spękane palce młodszego chłopca.

- Zwolniono ich, milordzie. Toma zaraz po nieszczęściu z jego ojcem, a George'a jeszcze wcześniej. Ja piorę bieliznę dla sąsiadów i na razie to nasz jedyne zarobek.

- A co oni robili w fabryce i dlaczego ich zwolniono?

- Na Toma nigdy nie było skarg, sir! To takie pracowite dziecko. Już trzy lata sortował wełnę w oddziale sukieniczym. Ale kiedy zabiło naszego ojca i zniszczyła się ta przeklęta... ta nowa maszyna... wstrzymano Tomowi wypłatę zarobku. Mister Norward kazał pokryć koszt zniszczonej maszyny z zarobków naszej rodziny. Wtedy Tommy... przecież on ma dopiero dziewięć lat... trochę za ostro się postawił i wypędzono go...

- A wasz straszny syn? Czym on się teraz zajmuje?

- O, sir, George głęboko zranił moje matczyne serce! Zwolniono go z fabryki jeszcze w zeszłym roku, a teraz... zarobi czasem coś w porcie przy załadunku okrętów, ale przynosi najwyżej dwa, trzy szylingi na tydzień!

- Za cóż to wyrzucono go z fabryki, gdzie miał pewny i stały zarobek?

- On chciał... Bardzo chciał się uczyć rysować, milordzie... Starszy majster nie lubił go...

- Zaraz, zaraz, czy to nie ten właśnie młody człowiek narysował w zeszłym roku krosna tkackie jako potwora pożerającego ludzi?

- Tak, to on, milordzie...

- Pamiętam mistress Bingle, ja wszystko pamiętam. A więc to on jest tym hultajem, który na ścianie w fabryce narysował bezwstydną karykaturę pana Norwarda i nowych maszyn? I wyrzucono go z trzaskiem? Dobrze mu tak! Taki duży chłopak i taka lekkomyślność, takie karygodne pomysły? Cóż pani chce, abym dla nich uczynił?

- Milordzie, pan mógłby mi pomóc uzyskać przebaczenie pana Norwarda i poprosić go, by kazał nam wypłacić chociaż część zarobku mojego nieboszczyka męża... Dobry milordzie, proszę się wstawić u niego, żeby znów przyjął do pracy moich synów, inaczej umrzemy z głodu, milordzie!

- Sama pani chyba rozumie, że wszelkie wasze pretensje w stosunku do sir Rilanda i mister Norwarda są bezpodstawne. O wypłacie pani zarobku nieboszczyka męża nie może być mowy - przez jego niedopatrzenie czy złą wolę uległa zniszczeniu fabryczna maszyna. A przyjmować pani synów z powrotem do fabryki w tak niepewnych czasach też nie byłoby rzeczą wskazaną, albowiem wykazali oni zuchwalstwo i brak szacunku dla chlebobawców. Kobieta zasłoniła twarz rękami i zdawało się, że zaraz upadnie, złamana bólem i rozpaczą. Mister Thompson mówił tymczasem dalej, już nie tak suchym i surowym tonem:

- Ale ja zawsze mam współczucie dla ludzkiej niedoli i gotów jestem wyświadczyć pani przysługę, jaką rzadko komu wyświadczam. Dam pani list polecający do właściciela stoczni bultońskiej i osobiście go poproszę, by przyjął pani synów do pracy. Właśnie jadę zaraz z panem Landy do stoczni i zobaczę się tam z samym panem Pattersonem. Niech pani weźmie te kartkę i zgłosi się z nią jutro u właściciela stoczni lub majstra Harveya. Mówiąc to wyjął z teczki kartkę papieru i napisał parę zdań. Kobieta pieczołowicie schowała kartkę za gorset i skłoniwszy się nisko uczonemu mężowi wyszła razem z dziećmi. Mister Thompson ze znużeniem odchylił się na oparcie fotela.

- Tacy to petenci całymi dniami odrywają mnie od poważnych spraw! Ale zwykłem pomagać bliźnim i poświęcam temu wiele sił i zdrowia... Jankins! - przywołał grubego klerka. - Dziś już nikogo więcej nie przyjmuję. Wyjeżdżamy do stoczni na uroczystość wodowania nowego okrętu.

- Domyślam się, że sir Richard pojechał już po lady Stanford - rzekł Landy. - Przecież ją też zaproszono. Ale jest dopiero południe, a wodowanie odbędzie się o drugiej. Może wstąpilibyśmy na piwo do „Białego Niedźwiedzia”?

Dżentelmeni wyszli na ulicę i zajęli miejsca w wygodnym powozie pana Landy. W na pół pustej sali oberży „Pod Białym Niedźwiedziem” powitał ich sam właściciel.

- Jak idą interesy, Hopkins? - spytał mister Thompson, siadając przy stoliku w głębi sali.

- Nieszczęśliwie, sir! „Brzuch Wieloryba” znajduje się bliżej portu. Wszyscy marynarze i pasażerowie okrętów tam idą. Straciłem wielu klientów od czasu, gdy ta brudna knajpa z

dziewkami...

- Nie burczcie, Hopkins! Rdzenni bultończycy pozostali wierni „Białemu Niedźwiedziowi”. Poza tym u was zatrzymuje się poczta i wszyscy pasażerowie dylżansu trafiają tutaj.

- To prawda, mister Thompson. Czym mogę panom służyć?

Gdy oberżysta przyjął zamówienie, stary adwokat zwrócił się do swego przyjaciela:

- A propos, czy był pan kiedyś w „Brzuchu Wieloryba”? Jego właściciel Woodrow Crag nader szybko się wzbogacił. Jak wygląda to jego przedsiębiorstwo?

Landy wzruszył ramionami.

- Zwykła tawerna portowa z numerami... Parę dni temu byłem tam na kolacji z sir Frederickiem Rilandem.

- Z sir Frederickiem Rilandem? Ach tak? - zdziwił się adwokat przypomniawszy sobie repliki pana Landy podczas niedawnego czytania rękopisu Mortona. - To znaczy, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni zdążył się pan bliżej zapoznać z tym dżentelmenem?

Mister Landy w milczeniu skinął głową.

- A ja - mówił dalej adwokat - całkiem nieoczekiwanie zostałem zaszczycony wizytą jego małżonki. Nie dalej jak wczoraj odwiedziła mój dom w towarzystwie miss Mary, córki Thomasa Mortona. Damy przyjechały, by poprosić mnie o rękopis, który panom czytałem. To piękna osoba ta lady Emily Riland i pełna ujmującej prostoty.

Adwokat zamyślił się. Była to przecież młodzieńcza miłość jego syna! Obecny wybór Richarda nie cieszył ojca; należało raczej wątpić, by młody barrister miał wieść prym w swym przyszłym małżeństwie...

Pokrzepiwszy się, obaj czcigodni dżentelmeni opuścili oberżę. Powóz pomknął w stronę portu i wkrótce para siwych koni zatrzymała się przed bramą w wysokim parkanie oddzielającym teren stoczni od peryferii miasta.

3

Dwie długie girlandy zieleni i żywych kwiatów opasywały na krzyż potężny kadłub okrętu wznoszący się na pochylni. Opleciony zielenią bukszpryt zdobiła para pięknie rzeźbionych w drzewie skrzydeł łabędzich rozpostartych do lotu.

Na niewielkim prowizorycznym mostku pośrodku okrętu, osłoniętym na wypadek deszczu daszkiem z płótna żaglowego, stał z mosiężną tubą w ręce właściciel „Skrzydlatego”. Lekki wietrzyk rozwiewał fałdy jego płaszcza, przód kamizelki przecinał na ukos tkany złotem pendent szpady. Sir Riland był bez kapelusza. Jego gęste, ciemne, lekko kędzierzawe włosy, starannie ufryzowane, przyprószyła już wczesna siwizna. Lekceważąc wymogi mody wystąpił tym razem bez swej pudrowanej peruki z harcapem. Stał teraz sam jeden pośrodku okrętu, a jego sylwetka efektownie rysowała się na błękitnym tle nieba.

Nie opodal pomostu, z którego miał zsunąć się na wodę nowy okręt, na zbudowanym z desek podwyższeniu zebrali się goście, z ciekawością przyglądając się dokom, okrętowi i samotnej sylwetce mężczyzny na pokładzie. Wokół miejsca przeznaczonego dla gości tłoczyli się odświętnie odziani robotnicy, którzy przyszli tu z żonami i dziećmi.

Okolo burt i dna „Skrzydlatego” krzątali się ludzie pod wodzą majstra Harveya, kończąc przygotowania. Nad samą wodą trzepotała na wietrze błękitna wstęga, którą miał przerwać okręt. Orkiestra złożona z dwunastu muzykantów, ulokowana na nadbrzeżu, stroiła trąby i litaury, słychać było głuchy łoskot dużego bębna.

Na dziobie i rufie statku, przy kabestanach kotwicznych, ustawili się, w dwóch grupach po sześciu ludzi, marynarze w granatowych czapkach, białych bluzach i czarnych spodniach. Poczworne łapy kotwic lśniły świeżą farbą. Łańcuchy kotwiczne uchodziły w czarne czeluści kluzów. Powietrze przesycone było zapachem smoły, dziegciu, konopii, świeżego drzewa -

owym odwiecznym, wszędzie jednakim i jednako podniecającym zapachem przystani morskiej. Przestrzeń dokoła była uprzątnięta i czysto zamieciona. Tłum zebranych widzów pobrzmiwał przygłuszonym gwarem.

Sir Frederick spojrzął na duży zegarek kieszonkowy, który wskazywał dokładnie drugą.

- Do wodowania gotuj się! - zakomenderował przez tubę.

Śmiech i rozmowy w tłumie umilkły. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu.

Do drewnianych słupów podpierających okręt podeszli ludzie z siekierami. Majster Harvey dał znać ręką i ostrza siekier wbiły się w drzewo. Poleciały drzazgi. Belki dzwoniły jak mocno naciągnięte struny. Słysząc było trzask drzewa. Kadłub okrętu, drgając leciutko, począł osiadać.

W tej chwili przy przednim słupie powstało jakieś zamieszanie. Jeden z robotników pośliznął się na grubo wysmarowanych tłuszczem deskach pochylni i upadł. Inni cieśle, nie widząc tego, dalej walili siekierami. Rozległ się głośny trzask - podcięte słupy zaczęły się łamać. Cieśle z siekierami w rękach zdążyli zeskoczyć z pomostu. Słup, przy którym usiłował podnieść się leżący na pochylni człowiek, trzasnął jak złamana zapalka i ogromne cielsko okrętu całym ciężarem ruszyło płynnie naprzód, miażdżąc pod sobą nieszczęsnego. Mimowolny okrzyk zgrozy wyrwał się z ust patrzących na to ludzi, lecz okręt, nabierając coraz większej szybkości, sunął już w dół po pochylni, witany dźwiękami orkiestry. Zatrzepotał w powietrzu błękitny jedwab przerwanej wstęgi; butelka szampana, zręcznie rzucona ręką marynarza stojącego w pogotowiu obok wstęgi, z dźwięcznym odgłosem rozbiła się o wyniosłą dziobnicę. Trysnęły w górę fontanny bryzgów, na spienioną powierzchnię morza wypłynęły drobne drzazgi, wióry, gałązki, kwiaty - i kadłub „Skrzydlatego” zakołysał się na łagodnej fali.

Na dymiących, szerniałych w jednej chwili deskach pochylni, na rozartym gorącym tłuszczu czerwieniła się ledwo widoczna plama. Doktor Gracewell, znajdujący się wśród gości, uczynił gest, jakby chciał pospieszyć z pomocą, lecz widząc, że to już daremny trud, pozostał na miejscu.

Pastor Redling, nakreśliwszy w powietrzu znak krzyża nad pustym teraz dokiem i okrętem, skąd dochodził już łoskot kotwiczonych łańcuchów, odmówił modlitwę. Robotnicy z płóciennymi węzami w rękach polewali zimną wodą tłące się deski pochylni i zmywali ślady krwi.

Tymczasem „Skrzydlaty”, przycumowany do nabrzeża, rzucił drugą kotwicę. Marynarze opuścili na nabrzeże szeroki trap. Honorowi goście, prowadzeni przez mister Pattersona, weszli na pokład, gdzie już służba nakrywała stoły pod tentem.

Wzdłuż nabrzeża ustawiono długie, zbite z desek stoły dla robotników-budowniczych okrętu, którym właściciel postawił kilka beczek rumu i piwa. Zerkając na pusty dok, który stał się bezimiennym grobem ich towarzysza, robotnicy brali do rąk ołowiane kufle. „Krwawy chrzest” - mówili do swych żon, zniżając głos i oglądając się na okręt, gdzie grała orkiestra, krzątała się służba i gdzie ożywione, wytworne towarzystwo raczyło się arcydziełami sztuki kulinarnej i winiarskiej.

Zapomniano tam już o przykrym wypadku, który o mało nie zepsuł całej uroczystości, a wesole toasty i opary wina wymazały wkrótce wszelki jego ślad z pamięci uczujących dżentelmenów. Tylko przy tych prostych nie heblowanych stołach coraz to wstawał jakiś Tom lub Jack o mętnych od trunku oczach i podnosił kufel za biednego Mike'a. A w ubogiej izdebce na robotniczym przedmieściu, przylgnąwszy twarzą do wełnianej męskiej kurtki, szlochała stara kobieta, dowiedziawszy się, że już nigdy nie usłyszy wesolego wołania od progu: „Dzień dobry, mamol!”.

- Więc gdzie on ci wyznaczył spotkanie, Kamilo?... No, przestańże płakać, nie gniewam się już na ciebie.

Młodziutka pokojówka lady Emily Riland chlipnęła raz jeszcze, otarła chusteczką łzy i podniosła zapłakane oczy na swoją panią.

Lekki kabriolet zaprzężony w gniadego stępaka toczył się po drodze wiodącej do Bultonu. Powoził dziobaty Murzyn w czerwonym kaftanie. Na skórzanych poduszkach siedzenia kołysały się dwie damy w długich sukniach przybranych falbankami, duszkami i wolantami.

Na koźle obok Murzyna siedział stary Andrew Lawson, były taksator firmy Gardy.

- Madame - mówiła po francusku zapłakana pokojówka - przyrzekam, że się to nigdy nie powtórzy. Nie przypuszczałam nawet, iż moja lekkomyślność może spowodować tak poważne następstwa. Ten człowiek wcale nie robił na mnie wrażenia oszusta, dopiero później zrozumiałam, że musi to być jakiś niebezpieczny tajny agent. Spotkanie wyznaczył mi tam, gdzie go wczoraj ujrzałam po raz pierwszy - o tam, w tych zaroślach za zakrętem, na polance otoczonej krzakami. Siedzieliśmy tam na ławeczce, madame.

- Dobrze, Kamilo, że wreszcie powiedziałas mi prawdę, jakkolwiek powinnaś to była uczynić zaraz. A teraz wysiadaj, idź na polanę i czekaj na niego jak gdyby nigdy nic. Andrew, pan pozostanie na razie tu, w tym lasku, potem pana poproszę. Sam - zwróciła się dama do Murzyna - a wy idźcie za Kamilą, ukryjcie się w krzakach za ławką i zatrzymajcie bezwzględnie nieznanego, gdyby próbował umknąć. Chcę z nim sama porozmawiać. Konia i kabriolet też trzeba ukryć, by nie było ich widać z drogi. Ja zostanę tu, pod tym drzewem. Kiedy on ma przyjść, Kamilo?

- O czwartej, madame.

- Teraz jest wpół do czwartej. Mamy dość czasu, by się przygotować do tego spotkania. Idź, Kamilo, i nie rób takiej nieszczęśliwej miny!

Jednakże nie zdążyła jeszcze Kamila zniknąć w krzakach, gdy w listowiu drzewa, pod którym zajęła pozycję strategiczną lady Riland, rozległ się głośny szum, trzask gałęzi i z drzewa zeskoczył na ziemię jakiś nieznanomy człowiek.

Murzyn skoczył ku niemu, lecz nieznanomy pochylił się już przed damą w niskim ukłonie i powiedział z lekkim cudzoziemskim akcentem:

- Lady Riland, pani wojenne przygotowania są zupełnie zbyteczne. Nie mam zamiaru unikać rozmowy z panią. Pozwoli pani, że jej powiem kilka słów na osobności.

- Niech pan powie, co skłoniło pana do szpiegowania mojej osoby i wypytywania służby o mnie?

Mówiąc to lady Riland skierowała swe kroki ku niewielkiej polance wśród zarośli.

Nieznanomy poszedł za nią. Lady Emily usiadła na drewnianej ławce. Stojąc przed nią z obnażoną głową nieznanomy zaczął:

- Jak widzę, lady Riland, stary Lawson złamał dane mi przyrzeczenie, że zachowa w tajemnicy moją wizytę!

- Tak, chory staruszek pieszo przywłókł się do Chancefieldu, aby mi wszystko opowiedzieć. Kamila też znalazła w sobie dość odwagi, by się przyznać, że tydzień temu spotkała się tu z człowiekiem, który wypytywał ją szczegółowo o chlebodawców. Dlaczego posunął się pan do tak niskich sposobów i co pan zamierza przez to osiągnąć?

- Pani wie, co mnie sprowadziło do Bultonu, i powinna się pani domyślić, dlaczego szukałem sprzymierzeńców wśród pani służby. Nie mogłem przecieżyć, nie wiedząc nic o pani, oczekiwać zrozumienia od... lady Riland! Lecz po tym wszystkim, co usłyszałem od Kamili, gotów jestem zdradzić pani moje prawdziwe nazwisko. Nie nazywam się Rogers i nie jestem Anglikiem.

- Na nic by się też nie przydało, gdyby chciał pan udawać Anglika! Pańska powierchowność i akcent wskazują, że musi pan być Hiszpanem lub Włochem.

- Lady Riland, przyszedłem na spotkanie i nie uważałem za stosowne zmieniać swej powierzchowności. Gdy to jest konieczne, potrafię przybrać wygląd urodzonego Anglika. Niemniej ma pani słuszość. Jestem rzeczywiście Hiszpanem i nazywam się Fernando Diaz. Pochodzę z Toledo. Kiedyś pływałem jako sternik na pirackim okręcie. Boję się wymienić w tej chwili nazwisko mego byłego kapitana, albowiem jest ono pani dobrze znane.

- Mówi pan o okrutnym piracie imieniem Bernardito Luiz? - spytała cicho dama.

- Tak, seniora. Bernardito jednak był tygrysem, nie hieną. Nie splamił się nigdy mordowaniem starców ani porywaniem w niewolę kobiet...

- Ale nie przeszkadzał w popełnianiu tych zbrodni ludziom ze swej bandy!

- Seniora, widzę, że pani sądzi o Bernardicie, który jednak miał poczucie honoru, jest bardziej surowy niż o innej osobie, której ręce po same łokcie zbroczone są krwią niewinnych.

Lady wzdrygnęła się. Zaciśnięwszy palce na koronkach kołnierzyka, podniosła się z ławki.

- Proszę mówić po hiszpańsku - szepnęła zbielełymi wargami. - Rozumiem pański język ojczysty. Czego pan chce ode mnie?

- Seniora, pani jest córką świętej pamięci pana Gardy. Proszę rozkazać staremu pracownikowi pani ojca, by mi powiedział, w czyich rękach widział skradziony kamień.

- Najpierw, senior Diaz, chciałabym wiedzieć, komu on został skradziony.

- Kamień ten wręczył mi osobiście sam Bernardito, abym go zawiózł do Grecji i oddał starej seniorze Estrelli Luiz, jego matce. Przysiągłem, że uczynię wszystko, aby doręczyć starszeczce podarek od syna. Drugi kamień, mniejszy, kapitan dał mnie. Ale dwaj moi wrogowie, szturman Giuseppe Lorano i bosman Woodrow Crag, w walce na śmierć i życie odebrali mi oba kamienie. Stało się to na wybrzeżu hiszpańskim przed wyruszeniem „Czarnej Strzały” w jej ostatni rejs... Dopiero w pół roku później, cały pokryty ranami, dotarłem do Grecji. U matki Bernardita zjawiłem się z pustymi rękami i z wieścią o zagładzie szkunera. Wiadomość ta doszła mnie jeszcze w Marsylii - wszyscy marynarze mówili wtedy o przybyciu do Gibraltaru brytyjskiej fregaty „Krzyżowiec”. Owa fregata uratowała rozbitków z korwety „Burgundia”, która zatopiła szkuner Bernardita... Zastałem starszeczkę w skrajnej nędzy, w dodatku z wnukiem na rękach. Jak się okazało, chłopczyk urodził się, gdy jego ojciec, Bernardito, wypłynął już na morze. Matka dziecka, piękna Greczynka, umarła przy porodzie. Stara wyniańczyła dziecko i teraz żyje w wielkiej nędzy z małym Diego w Pireusie. Ale ja przysiągłem sobie, że znajdę rabusiów, i oto niedawno wpadłem na ich trop. Ściśle mówiąc, odnalazłem jednego z nich, Woodrowa Craga. O drugim, Giuseppe Lorano, jakoś nigdzie nie słyhać. Przy podziale mój kamień przypadł widocznie jemu, zaś większy diament zatrzymał Crag. Stary Lawson powiedział mi, że widział ten kamień w Bultonie i że ocenił go na cztery tysiące gwinei. A teraz błagam panią, proszę mi ujawnić, kto oferował ten klejnot firmie pani ojca.

- Proszę zawołać Lawsona - rzuciła lady Riland. - Mister Andrew - zwróciła się do starego, gdy ten stanął przed nią - niech pan powie panu Rogersowi wszystko, co jest panu wiadome o diamentcie.

Stary Lawson z nie ukrywanym zdumieniem patrzył na Hiszpana.

- Nigdy bym w panu nie poznał mego gościa! - zawołał. - Mister Rogers, pan odmłodził o dwadzieścia lat! Jak długo żyję, nie widziałem takich cudów! - Pochwyciwszy niecierpliwym gestem Hiszpana, stary westchnął: - Cóż mogę panu powiedzieć? W zasadzie idzie pan właściwym tropem. Istotnie, późną jesienią tysiąc siedemset sześćdziesiątego ósmego roku przyniósł ten kamień do naszego kantoru były marynarz Woodrow Crag. Lecz firma nie zakupiła diamentu, gdyż trudno było przypuszczać, aby tak cenny klejnot mógł trafić do rąk marynarza czy choćby bosmana uczciwą drogą.

- A czy wie pan coś o dalszym losie tego klejnotu?

- Nie powinienem o tym mówić... lecz po pewnym czasie zaprosił mnie do siebie do domu pewien handlarz drogimi kamieniami i pokazał mi ten diament.

- Jak się ten handlarz nazywał?

- Geoffrey MacRail. On i teraz mieszka w Bultonie.

- Znam MacRaila! Ongiś był marynarzem, a teraz zajmuje się handlem kosztownościami. Bernardito niejedną raz sprzedawał za jego pośrednictwem łupy. Ale po co on pana wzywał, mister Lawson?

- Chciał się poradzić, czy warto dać za ten kamień trzy tysiące gwinei. Powiedziałem mu, że cena ta jest niższa od faktycznej o cały tysiąc gwinei.

- I co było dalej?

- A potem bezdomny Woodrow Crag, były marynarz, kupił sobie dom, winiarnię z własną winnicą i tawernę „Brzuch Wieloryba” koło portu. Dlatego przypuszczam, że to właśnie on sprzedał diament MacRailowi.

- A więc teraz już wiem, w czyim posiadaniu jest kamień! Dziękuję panu, mister Lawson, to mi wystarczy. Dziękuję i pani, seniora. Proszę tylko nie zapominać, że może pani ściągnąć na siebie duże przykrości, jeśli nie zachowa pani w tajemnicy naszej rozmowy.

- Od czterech lat żyję w nieustannym niebezpieczeństwie.

- Nie rozumiem, co panią zmusza do milczenia, ale ostatecznie to nie moja sprawa i wcale nie mam zamiaru wtrącać się do cudzej gry. Po tym, co mi opowiedziała Kamila o stosunkach między panią i małżonkiem, nieodwołalnie postanowiłem osobiście porozmawiać z panią. I gdy dziś, czekając na Kamilę, ujrzałem panią, natychmiast zrozumiałem, że nie ma co odkładać tego na później! Seniora, moje podejrzenia znalazły całkowite potwierdzenie i może będę musiał w mojej tajnej walce zetknąć się...

- Dlaczego nie mówi pan dalej, Fernando?

- Ciszej! Ktoś tu idzie!

Lady Emily odwróciła się i zobaczyła młodego oficera z obandażowaną ręką i ładną, młodzianką panienkę. Szli, trzymając się za ręce, w stronę polanki, nie zauważywszy ani kabrioletu, ani ludzi w zaroślach.

Fernando rozchylił krzak leszczyny rosnącej za ławeczką, pomógł ukryć się lady Riland i sam usiadł na ławce. Młodzi ludzie widząc, że ławka zajęta, postali chwilę na polance i poszli w kierunku drogi. Wkrótce zniknęli za zakrętem.

- Pani ich zna, seniora?

- To moi dobrzy znajomi. Młody oficer to mister Edward Went, syn byłego zarządcy Chancefieldu. Tej wiosny został ranny i teraz bawi u swej matki w Chancefieldzie. Młoda zaś lady to jego narzeczona, Mary Morton. Mam do niej zaufanie. Nie podejrzewa nawet, czym narzędziem stał się jej ojciec.

- Czytałem u mister Thompsona sfalszowany rękopis Mortona i zrozumiałem, że toczy się tu gra znacznie poważniejsza, niż mogłem początkowo przypuszczać...

- Fernando! Muszę się spieszyć, moja nieobecność może zwrócić uwagę. A więc chciał pan powiedzieć, że w tej tajemnej walce o zrabowane skarby być może czeka pana starcie z... zabójcą Bernardito Luiza?

- Zgadła pani, seniora. Bo, po pierwsze, nie może tak być, ażeby łup całej załogi dostał się jednemu. Po wtóre - dlaczego stara matka i mały synek kapitana Bernardita mają żyć w nędzy gdzieś na obczyźnie, podczas gdy wrogowie Bernardita, zagrabiwszy jego pieniądze, opływają w dostatki? Moim obowiązkiem jest dotrzymać przysięgi, jaką złożyłem przed kapitanem, i może mi pani wierzyć - gdyby kamień wrócił do mych rąk, zawiózłbym go do Grecji i oddał starej seniorze.

- Jeszcze chwileczkę! Na wszelki wypadek wzięłam z sobą pieniądze. Tu, w tej sakiewce, jest sto suwerenów. Proszę to wziąć i zawieźć lub przesłać staruszce i jej biednemu wnuczkowi... A gdyby pan kiedyś musiał znów ze mną porozmawiać lub podać jakąś wiadomość, może pan przyjść do ogrodnika-Murzyna lub do Mary Morton. A teraz żegnam, senior...

Fernando Diaz skłonił się nisko przed młodą kobietą. Podaną mu na pożegnanie drobną dłoń

ucałował z taką czcią, z jaką we wczesnej młodości całował wyrzeźbione z kości słoniowej palce Najświętszej Panienki w starej kaplicy w Toledo.

5

- Drogi sir Frederick! - mówił wieczorem dobrze już podchmielony mister Patterson, gdy uczta na pokładzie „Skrzydlatego” się skończyła i ostatnie karety i powozy gości opuściły stocznię. - Muszę panu wyrazić mój najwyższy podziw! Jestem przekonany, że właśnie tacy ludzie jak pan są w tej chwili potrzebni naszemu królestwu. Nie tylko zresztą ja podziwiam pana! Odniósł pan dziś jeszcze jeden zaszczytny sukces: lady Stanford bez końca wypytywała przy stole moją żonę o pana i nie miała słów zachwytu dla pańskiej energii. Oto moja ręka na dowód przyjaźni i sympatii! Będę się czuł zaszczycony, jeśli okaże mi pan zaufanie i powie, jakie nadzieje pokłada pan i pańska firma w „Skrzydlatym”.

- Mister Patterson, czy widział pan kiedyś pływającą górę lodową na oceanie?

- N... nie, ale ja... nie bardzo rozumiem... nie widzę związku...

- Chcę panu powiedzieć, mister Patterson, że podwodna część takiej góry lodowej, niewidoczna dla oka, zawsze jest pięć, sześć razy większa od tej, którą widać nad wodą...

- Świetnie powiedziane, sir! Zaczynam się domyślać sensu tych słów, jakkolwiek... jeszcze nie całkiem rozumiem, do czego pan zmierza. Przecież pańska firma, sir... Jej reputacja, jej akcje, cała działalność handlowa... Nie przypuszczam, by mogło być w tym coś... „podwodnego”.

- Niech pan posłucha, Patterson! Nie jestem wiejskim sklepikarzem, aby przez całe życie odkładać po farthingu do żoninej pończochy! Moja firma razem z fabrykami i okrętami handlowymi, moja posiadłość ziemska i farmy, to wszystko będzie z czasem przynosić niemałe dochody. Lecz to sprawa... zbyt odległej przyszłości. A ja już potrzebuję złota, rozumie pan, Patterson, i to... dużo złota! Toteż nie ma się co długo zastanawiać. I nie ma się co krępować! Świat jest pełen niewiarygodnych, bajecznych wprost bogactw. Niekiedy trzeba ich szukać w przyrodzie, ale częściej - wystarczy po prostu wyrwać je z cudzych, słabych lub nieudolnych rąk, zwłaszcza kolorowych! Wyrwać, aby uchwycić w swoje ręce. Do odważnych świat należy! Oto do czego potrzebny mi jest „Skrzydlaty” i inne okręty z dobrą załogą. Może mi pan wierzyć, że nie stracę na tym.

- Mister Riland, czy mogę zrobić panu pewną poważną propozycję?

- Zawsze chętnie przyjmuję rzeczowe propozycje.

- A więc proponuję panu, aby już od dziś zechciał pan dzielić ze mną -jak się pan wczoraj wyraził - ryzyko i sukcesy!

- Gra... wymaga stawki, mister Patterson.

- Oddaję do pańskiej dyspozycji całą swą wolną gotówkę. Chciałbym, aby pańskie rozległe plany stały się naszymi planami i abyśmy je wspólnie realizowali.

- Cóż, dziękuję za zaufanie! I sądzę, że nie będzie pan żałował. Potrzebni mi są pewni wspólnicy. Ale muszę pana z góry uprzedzić: do tego trzeba mieć mocne nerwy! Za to nasze dzieci niech już nie mają żadnych kłopotów. Niech zajmą fotele w parlamencie, przywdzieją togi sędziów i szaty biskupie, zostaną ministrami, lordami, do diaska. Naszą rzeczą jest położyć złote fundamenty pod ich przyszłe pałace. By ten cel osiągnąć, dobry jest każdy środek, byleby szybko dawał złoto!

- Tak, sir... ale na drodze do... tak szybkiego wzbogacenia się można napotkać... niebezpieczne przeszkody. Na przykład, prawo...

- Ha, prawo! Prawo potrzebne jest po to, by trzymać w ryzach maluczkich. Ani Cortez, ani Pizarro nie troszczyli się o prawo, i potomność ich nie potępiła. Kim oni byli? Po prostu ludźmi zdecydowanymi na wszystko... Dawno już minęły czasy świętoszków i szlachetnych

rycerzy. Wszystko, co staje na drodze, czy to będzie litera prawa, czy cudza wola - należy usuwać lub zρέcznie omijać.

- Sir, już raz dałem wyraz swemu przekonaniu, że tacy właśnie ludzie są w obecnej chwili jak najbardziej potrzebni naszemu państwu. Znalazł pan we mnie gorącego sprzymierzeńca! Mógł się pan już przekonać, że ja też nie jestem zwolennikiem zbytnej ostrożności. Gdy nieraz stawały nam na drodze pewne przepisy celne, zawsze znajdowaliśmy sposób, aby się - że tak powiem - nie potknąć!...

- Świetnie! A teraz do rzeczy. Jaką sumę gotów pan na początek włożyć w pierwsze operacje? Patterson długo obliczał coś w pamięci i wreszcie odpowiedział w zamyśleniu, nie patrząc rozmówcy w oczy:

- Chyba ze sześć tysięcy można by włożyć... Ale jakie są pańskie plany na najbliższą przyszłość, sir?

- Powiem to panu, gdy wróci z rejsu mój bryg „Orion”. Już od dwóch tygodni oczekuję go z dnia na dzień. Kapitan Brantley powinien mi przywieźć ważne dane o pewnej nieznannej wyspie, której koordynaty podałem mu przed rozpoczęciem rejsu. Te dane być może otworzą przede mną, chciałem powiedzieć - przed nami, nader nęcące perspektywy. W niedalekiej przyszłości obiecuję sobie solidny zysk po pewnej ekspedycji w głąb Afryki. Oba moje szkunery - „Gloria” i „Dorotea” - są już tam, u wybrzeży afrykańskich...

- Heban? Kość słoniowa? Tak, sir Frederick? - Patterson patrzył na rozmówcę z zaciekawieniem i chciwością.

- Nie, mister Patterson, czarna kość. Proszę mi wybaczyć ten żart - czarna kość, a raczej czarne ręce! Plantacjom bawełny i trzciny cukrowej potrzebne są ręce, czarne ręce w żelaznych bransoletach. Amerykańskie kolonie wołają o miliony czarnych rąk, mister Robert!

- O, rozumiem pana, sir! Bardzo, bardzo rozsądna lokata kapitału... Gdy tylko „Orion” wróci, zaraz go wstawimy do doku, urządzimy na nim pokłady artyleryjskie i damy nowe ożaglowanie. Roboty przy nim będą szły dniem i nocą. O, kolonie i plantacje otrzymają przy naszej pomocy wiele tych czarnych rąk, upiękuszonych żelaznymi bransoletami!

I dwie białe dłonie, upiękשone złotymi pierścieniami, złączyły się w mocnym, długim uścisku.

6

Geoffrey MacRail, zażywny brunet o różowych policzkach i wypielegnowanych wąsikach (zachował je na pamiątkę nieudanej kariery wojskowej), wrócił z uroczystości wodowania „Skrzydlatego” do swego kawalerskiego mieszkania, które zajmował wspólnie z marynarzem Josephem Lornem. Lorn spędzał większość czasu na morzu, toteż domek na Garden Road prawie przez cały rok pozostawał do dyspozycji MacRaila. Właścicielką domku była wdowa-Niemka, Gertruda Taube, która ubóstwiała swego lokatora. Dogadzała mu we wszystkim, jak tylko sentymentalna Niemka potrafi dogadzać rozpieszczonemu mężczyźnie.

Czyściutka, świeżo malowana siatka oddzielała od ulicy przytulny parterowy domek, przyjaźnie spoglądający na przechodniów czterema oknami frontu. W oknach wisały firanki i story; frau Taube własnoręcznie farbowała je dwa razy do roku w ... fusach kawy. Dokoła domku rosły jabłonie i grusze, przed oknami cieszyły oczy dwa klomby kwiatowe, przypominające torty cukiernicze i odurzające wieczorami zapachem kwiatu tytoniu. W głębi podwórza, wśród kasztanów i grabów, widać było małą oficynkę, gdzie mieszkała gospodyni. Razem z MacRailem mieszkał w domku jego służący Mulat Enrico Roy. Doprowadzał on do rozpaczki gospodynię swoimi kawalerskimi nawykami, brakiem szacunku i zdolnością próżnowania całymi dniami. Spanie było dla niego najlepszym sposobem spędzania czasu.

Gospodarz długo pukał do zamkniętych drzwi mieszkania. Wreszcie wsunął rękę w głęboką

kieszon fraka i wyjął klucz. Wszedłszy do środka zastał Mulata chrapiącego na szerokiej, okrytej dywanem sofie. Pokój z tym wschodnim łóżem służył MacRailowi za sypialnię i gabinet. Dość bezceremonialny kopniak pana zrzucił służącego z sofy.

- Wynoś się stąd do diabła, bydlaku! - krótko rozkazał pan. - Zaraz przyjdą tu do mnie goście. Mulat przeciągnął się, aż mu kości w stawach zatrzeszczały, ziewnął szeroko, podrapał się w głowę i splunął. To wytworne zachowanie bynajmniej nie zgorszyło jego pana.

- Słuchaj no, Mac - zwrócił się służący do pana z poufałością na ogół nie przyjętą u służby - po kiego diabła pętasz się jeszcze po Bultonie! Słyszałem, że Giacomo dawno pędzi cię do Holandii na pomoc Giuseppe w sprawach tego starego durnia Landy.

- Po pierwsze, nie pchaj swego nosa do spraw, których nie rozumiesz. Po wtóre, szykuj podróżny kufer, bo w najbliższych dniach wyjeżdżam. A po trzecie - ile razy mam ci wbijać w tę zakutą pałę, abyś nie mówił „Giacomo”, tylko...

- Dobrze, dobrze, przepraszam, tak mi się wyrwało! To znaczy, Mac, że jedziesz do Amsterdamu? Ach, ość ci w gardziel, dasz tam sobie ducha w holenderskich traktierniach! A co ja mam robić?

- Wylegiwać się na tej sofie i flirtować z frau Taube, dopóki nie przybędzie „Orion”. Wtedy już sir Frederick znajdzie i dla ciebie zajęcie. Wróć niedługo z Holandii razem z Giuseppe Lorano, a wtedy...

- Ejże, Mac, ty też się przejęczyłeś, powiedziałaś „Giuseppe Lorano”!

- Do diabła! Chciałem powiedzieć, że po moim powrocie z Holandii w towarzystwie mister Josepha Lorna prawdopodobnie czeka nas mała niedzielna wycieczka w interesach jaśnie wielmożnego wicehrabiego Chancefieldu, sir Fredericka Jonathana Rilanda.

- Co za wycieczka? Dokąd?

- Całkiem niedaleko - mały piknik u wybrzeży Afryki, Ameryki i na wodach indyjskich.

- Znów te przeklęte wody indyjskie! Nie powiodło się wtedy jednookiemu Bernardito z tą indyjską wyprawą!

- Za to powiodło się komu innemu...

- A po cóż ja miałbym się wlec z wami?

- Jak to - po co! Nie mogę przecież puszczać się w drogę bez tak oddanego i niezastąpionego sługi! No, dość tego! Zmykaj do swojej nory, prędzej! Idą tu Riland i bankier Landy... Witam panów! Enrico, jesteście wolni... Mister Landy, miło mi panu donieść, że otrzymałem dziś od Josepha Lorna z Amsterdamu dobre nowiny w sprawie, która pana interesuje.

- O, mam dziś szczęśliwy dzień! Jaką sumę w gotówce oferują mu ci lichwiarze?

- W angielskiej walucie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy funtów za dwadzieścia sześć kamyków...

- Mister Riland, jak pan się zapatruje na taką cenę za pańskie klejnoty rodzinne?

- Cena jest nie najgorsza, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę sprzedaż większej ilości kamieni na raz i dyskretny charakter transakcji.

- Pan jest moim zbawcą, sir Frederick! Nigdy panu nie zapomnę tej przysługi, okazanej w ciężkiej dla mnie chwili. Składa pan w ofierze rodzinne kosztowności, aby podtrzymać „Bulton Bank” w najbardziej krytycznym momencie. Proszę mi wierzyć, iż od dziś interesy Kompanii Północnobrytyjskiej będą zawsze na pierwszym miejscu we wszelkich operacjach mego banku. Kiedy będę mógł otrzymać te pieniądze uzyskane ze sprzedaży kamieni?

Frederick Riland spojrział pytająco na MacRaila. Landy wodził oczami od jednego do drugiego.

- Sądzę, że za jakieś dwa tygodnie MacRail i Joseph Lorn dostarczą panu tę sumę w całości. Może pan przygotować weksel na sześćdziesiąt tysięcy, mister Landy.

Bankier gorąco uściśnął dłoń sir Fredericka.

- A teraz, kiedy już koniec z interesami, może byśmy spędzili resztę wieczoru w „Brzuchu Wieloryba”? - zaproponował MacRail.

Jednakże bankier wymawiając się zmęczeniem wstał, by się pożegnać. MacRail wyprowadził obu gości i obserwował z ganku, jak dżentelmeni zajmują miejsca w obszernym powozie bankiera.

W porcie zamigotało światło latarni morskiej i jasna letnia noc zapaliła nad miastem blade gwiazdy.

MacRail wrócił do mieszkania. Mulat już znowu spał rozwalony na macie w swojej komórce.

- Bydlę! - wycedził MacRail i ze świecą w ręce poszedł do swego gabinetu. Było tu duszno, w powietrzu wisiał jeszcze mocny zapach cygar Rilanda.

MacRail kichnął, otworzył okno i wyrzwał do ogródka. Światło świecy padło na bujny krzew akacji okryty delikatnymi zielonymi strączkami. MacRail przypomniał sobie, jak to kiedyś w dzieciństwie robił świstawki z takich strączków, i westchnął.

- Trzeba skończyć z interesami, znaleźć sobie żonę, wyjechać do Ameryki i chować dzieci... Czas już pomyśleć o starości, mały Geoffrey! - przemawiał sam do siebie lokator frau Taube; zdążył przy tym zdjąć liliowy frak i rozwiązać szeroki węzeł halsztuka.

Myśli takie nawiedzały MacRaila zwykle przed snem. Długo pluskał się przy umywalni, wcierał jakieś pachnidła w różową skórę policzków, po czym obejrzał uważnie swą perukę, starannie umieszczoną na specjalnej podstawie, i rozczesał grzebykiem kilka pukli.

Gdy wreszcie skończył wieczorną toaletę, wstawił świecę do lichtarza, objaśnił ją i położył się do łóżka. Frau Taube nauczyła go spać na pierzynie - pogrążył się w nią jak w morską toń i już rozkosznie przymknął Powieki, gdy nagle poczuł zimny powiew nocnego powietrza idącego od otwartego okna.

- Roy! - zawołał w półmrok. - Brudna świnia!... Muszę powiedzieć Giacomo, by zabrał ode mnie to bydlę. Niech go umieści, gdzie chce, albo niech go zabiera do siebie! Roy, bydlaku!

Lecz wszelkie próby przywołania Roya były daremne - MacRail wiedział to z własnego długoletniego doświadczenia.

Zaklął więc i pochylił się, szukając nocnych pantofli. Ale nie zdążył ich jeszcze włożyć, gdy usłyszał szelest w krzakach akacji pod oknem. Podniósł głowę - i ujrzał przed sobą człowieka w masce, który jednym skokiem znalazł się na parapecie okna.

W następnej chwili cios kastetem zadany w pierś zrzucił MacRaila z łóżka. Nieznajomy przydusił go do ziemi i przyłożył mu nóż do gardła.

- Przyszedłem po swój kamień, MacRail - rozległ się świszczący szept. - Oddasz mi go natychmiast albo poderżnę ci gardło, ty psie!

W pokoju panował półmrok. Migocąca w lichtarzu świeca rzucała blade światło, kołysane podmuchami wiatru. Przy każdym podmuchu po ścianach i suficie tańczyły niewyraźne cienie.

MacRail poruszył się.

- Puść! - wychrypiał. - Kim jesteś i o jaki kamień ci chodzi?

- Błękitny diament z żółtą plamką na dolnej krawędzi. Wiem, że jest u ciebie. Kupiłeś go od Czarnego Woodrowa za trzy tysiące gwinei. Gadaj, oddajesz mi go zaraz?

- Ten kamień już dawno sprzedałem. Nie kosztował tyle! Ale kim ty jesteś?

- Jeśli sprzedałeś mój kamień, oddaj cztery tysiące gwinei, które za niego wzięłeś.

- Oszalałeś, przecież to kupa złota! W całym moim domu nie znalazłaby się nawet dziesiąta część takiej sumy!

- Posłuchaj, MacRail. Przyszedłem tu, by odebrać kamień lub pieniądze albo zabić ciebie. Daję ci minutę czasu. Wstań, zapal jeszcze jedną świecę i nie próbuj się wykręcać! Liczę do sześćdziesięciu - przy słowie „sześćdziesiąt” roztrzaskam ci łeb, jeśli kamień lub pieniądze nie będą w moich rękach.

Nieznajomy w masce uniósł MacRaila i postawił na nogi, po czym skoczył ku oknu, zaciągnął firankę i skierowawszy lufę pistoletu wprost w głowę MacRaila odwiódł kurek.

- Raz... dwa... trzy... Gdy cię zabiję, przetrząsnę cały dom i tak czy owak znajdę... dziesięć...

twój Mulat śpi, tylko jeden jedyny Bernardito potrafił go obudzić... dwadzieścia.

- Stój! Należałeś do ludzi Bernardita?

- Trzydzieści... Pośpiesz się, lichwiarzu, i nie spodziewaj się litości...

- Posłuchaj! Byłem przyjacielem Bernardita!

- Czterdzieści... oszukiwałeś go, lichwiarzu...

- Powtarzam ci, że nie mam ani kamienia, ani pieniędzy!

- Pięćdziesiąt! Zatem to są ostatnie sekundy twego życia, Mac! Pięćdziesiąt jeden...

- Poczekaj, zaraz wydostanę kamień, jest w tamtym pokoju!

- Masz diabelnego pecha, MacRail, nie wypuszczę cię do drugiego pokoju... pięćdziesiąt dwa...

MacRail pochylił się nad posadzką w kącie i tupnął nogą.

- Poczekajże!

- Pięćdziesiąt pięć... Jesteś już prawie trup, Geoffrey MacRail!... Pięćdziesiąt sześć...

- Rzuć mi nóż, ty przeklęty piracie! Muszę podważyć klepkę w parkiecie!

- Pięćdziesiąt siedem...

Nieznajomy cisnął MacRailowi scyzoryk leżący na nocnym stoliku. Tamten chwycił go w locie.

- Pięćdziesiąt osiem...

MacRail podważył scyzorykiem klepkę parkietu i odrzucił ją na bok.

- Pięćdziesiąt dziewięć!

Pod klepką leżało malutkie zawiniątko. MacRail cisnął je pod nogi nieznajomemu.

- Trochę grzeczniej, Mac! Rozwiń to i pokaż kamień. Za oszustwo - śmierć bez litości!

Ręce odmawiały posłuszeństwa MacRailowi. Gdy gałganek poleciał w kąt, nieznajomy ujrzał malutki woreczek zamszowy. MacRail otworzył go.

W słabiułkim świetle dwu świec wyjrzała z wnętrza jakby ogromna, zakrzepła kropla porannej rosy. Ledwie jednak ręka MacRaila poruszyła się lekko, w przejrzystej głębi owej kropli zapaliła się nagle zielona iskra. A potem, przy najmniejszym drgnieniu ręki krawędzie cudownego kamienia sypały snopami czerwonych, niebieskich, pomarańczowych promieni.

Dwaj mężczyźni jak urzeczeni patrzyli na tę czarodziejską grę ogni.

Pierwszy ocknął się MacRail. Zacisnąwszy kamień w pięści, pochylił głowę i jak byk runął na człowieka w masce.

Ale ten błyskawicznym ruchem lewej ręki uderzył atakującego kastetem w twarz od dołu do góry. Padając na kolana MacRail uchwycił się ręki, która zadała mu cios, i wtedy wyczuł, że jedna obrączka kastetu jest pusta - nieznajomy nie miał małego palca... W tej samej chwili w mózgu MacRaila rozbłysły wszystkie iskry i ognie diamentu. Tracąc świadomość po nowym ciosie, puścił rękę nieznajomego i ciężko zwałił się na ziemię.

Tej samej nocy odszedł z Bultonu do Cherbourga statek pocztowy. Na pokładzie wśród nielicznych pasażerów znajdował się również ubogo odziany Hiszpan. Okutany w płaszcz, złożywszy u nóg swój worek podróżny i oparłszy ręce w czarnych rękawiczkach na lasce, siedział pośród skrzyń i worków zwalonych na rufie stateczku i chyba tylko on jeden nie uległ morskiej chorobie, okrutnie męczącej pozostałych podróżnych.

Pod płaszczem i grubą kurtką pasażer ów miał zawieszony na szyi malutki skórzany woreczek i co pewien czas ostrożnie dotykał go ręką. Wymęczeni morską chorobą sąsiedzi nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

O świcie, gdy powiał silniejszy wiatr i statek co chwila zanurzał się dziobem w spienioną wodę, minął ich z szumem żagli jakiś duży bryg handlowy. Hiszpan wparł wzrok w piękną sylwetkę brygu i z trudem odczytał jego nazwę wypisaną na dziobie dużymi białymi literami: „Orion. Port Bulton”.

W Cherbourgu, nie tracąc czasu, Hiszpan przesiadł się na statek francuski podążający do

grecko-tureckiego portu Pireus.

Rozdział trzeci

Ludzie z wyspy

1

Blask pogodnego letniego dnia nadaje każdemu krajobrazowi nieco idylliczny charakter. Łagodzi on również surowość pejzażu północnej Anglii, gdzie niebo rzadko bywa bezchmurne, a wzgórza i doliny - nie okutane smutną przesłoną mgły i deszczu. Wiadomo, że w okolicy Bultonu, gdzie leży Chancefield, łatwo nabawić się reumatyzmu i trudno obronić się przed spleenem.

Ale w końcu lipca, już w przededniu jesiennej szarugi, zdarzają się tu cudowne dni - pogodne i słoneczne, zmieniające Chancefield w uroczy zakątek.

W taki to jasny letni poranek, gdy puszyste obłoki unoszącej się w górę mgły były jeszcze różowe, lady Emily Riland szła brzegiem długiego wąskiego jeziora otoczonego zielenią parku. Na jasnoszarej sukni lady i błękitnym szalu osiadły kropelki rosy; rzeński słonawy wietrzyk od oceanu igrał z końcami szala, a w oczach młodej kobiety odbijały się migocące na wodzie słoneczne błyski.

Zwinne wiewiórki z cmokaniem przeskakiwały z drzewa na drzewo, gdzieś w górze zawzięcie stukał dzięcioł. Tuż przed lady Riland wypadła na alejkę sarna; nie przestraszyła się wcale właścicielki majątku i ostrożnie zszedłszy z brzegu pochyliła się nad wodą. Lady Emily przystanęła, by nie spłoszyć zwierzęcia.

Nagle sarna drgnęła, uskoczyła w bok i w dwóch susach znikła wśród krzewów parku. Ktoś biegł szybko dróżką po przeciwległej stronie jeziora. Lady Emily poznała Anthony'ego, młodego grooma sir Fredericka. Rozgniewana, że naruszono jej spokój, młoda kobieta skierowała kroki ku altance ukrytej w odległym, zapuszczonym zakątku parku i tu pograżyła się w lekturze rękopisu, który przed dwoma dniami otrzymała od pana Williama Thompsona.

Wszystkie okiennice starej siedziby Rilandów były jeszcze na głucho zamknięte, gdy Anthony - który zepsuł swej pani poranny spacer - zapukał do jednego z parterowych okien od tyłu domu.

Wpuścił go kamerdyner. Wbiegłszy na pierwsze piętro Anthony stanął przed drzwiami gabinetu i zapukał nieśmiało, potem głośniejsze. Wreszcie drzwi się otworzyły. Sir Frederick, w szlafroku i bez peruki, wpuścił go i położył mu rękę na ramieniu, zatrzymując chłopca u progu.

- Sir - szybko mówił zdyszany Anthony - na horyzoncie widać żagle „Oriona”. Za jakieś dwie godziny statek wpłynie do portu. Dojrzałem go przez pana lunetę, milordzie! Przedwczoraj, kiedy weszliśmy na skałę w Zatoce Starego Króla, był sztorm, a dziś niebo jest bezchmurne i widać bardzo daleko, niemal do samej Irlandii.

- Ciszej, Anthony! Czy się jednak nie omyliłeś?

- Poznam „Oriona” wśród tysiąca innych okrętów, milordzie! Przecież to na nim przybyliśmy tu z Italii.

- Dobrze, mój mały! Masz tu gwineę za gorliwość... A teraz idź i odpocznij sobie. A może masz jeszcze jakieś nowiny?

- Sir! Moja siostra... Chcę powiedzieć, sir, że Dorotea wkrótce przestanie być piastunką Charlie'go i wtedy...

- Idź, Anthony, i nigdy się nie martw o los swojej siostry - przerwał mu pan.

Zamknawszy drzwi za chłopcem sir Riland przeszedł do pokoju przyległego do gabinetu. Była to jego osobista sypialnia, sąsiadująca z pokojami żony, lecz oddzielona od nich zabitymi na głucho drzwiami.

W swojej sypialni wicehrabia Chancefieldu podszedł do młodej czarnookiej kobiety trzymającej na rękach śpiące dziecko o kędzierzawej główce. Kobieta, którą wystraszył głos Anthony'ego, siedziała u łóża sir Rilanda tuląc się do wezglowia.

Sir Riland uspokoił ją pieszczotliwymi słowami. Ostrożnie, by nie obudzić dziecka, ucałował jej różowe wargi, z czułością dotknął zaciśniętej piąstki chłopczyka i wrócił do gabinetu, szczelnie zamykając za sobą drzwi. Potem zadzwonił na kamerdynera, by mu pomógł w porannej toalecie; w końcu włożył granatowy frak, przypominający mundur oficera floty, i z zadowoleniem przyjrzał się swemu odbiciu w zwierciadle.

Pachnący perfumami, w starannie ufryzowanej i upudrowanej peruce i w małym, trójgraniastym kapeluszu sir Riland wyszedł na korytarz i na samym jego końcu zapukał do drzwi pokoju swej żony. Drzwi uchyliły się i wyjrzała z nich Kamila, pokojówka lady Emily. Dowiedziawszy się, że lady wyszła na spacer, wicehrabia jakby się trochę zaniepokoił. Szybko przeszedł przez park, przez łukowaty mostek przerzucony w najwęższym miejscu jeziora i pospieszył do ulubionej altany swej żony. Z zachowaniem największej ostrożności zbliżył się do krzaków otaczających malutką budowlę, przypominającą indyjski bungalow. Ujrawszy w oknie altanki pochyloną głowę żony, wycofał się cichutko w gąszcz, spiesznie wyszedł z parku i w parę minut później wyjeżdżał już z bramy w malutkim gigu zaprzężonym w gniadą klacz, kierując ją na drogę wiodącą do miasta i portu.

Cały dwór znów jakby wymarł. Ale oto zaczęły dymić kominy kuchenne, służba wyniosła z salonu ogromny dywan i zabrała się do trzepania go kijami. Dom się budził, jedna po drugiej otwierały się okiennice. Do ogrodu wyszła czarnooka Dorotea z małym Charliem na rękach i usiadła z nim na słoneczku.

Pomocnik ogrodnika, wysoki Murzyn o twarzy oszpeconej śladami ospy, obszedł dokoła oranżerię, usiadł pod jej tylną ścianą, przylegającą do dworskiego ogrodzenia, i zakurzył dużą czarną fajkę.

Zaciągnąwszy się głęboko, uważnie rozejrzał się dokoła. Na przełaj przez łąkę zmierzał w stronę dworu jakiś marynarz. Murzyn przeskoczył przez ogrodzenie i skinął na tamtego. Wymienili między sobą parę zdań, marynarz zacisnął w garści monetę, która przeszła z czarnej ręki do białej, i wesoło pogwizdując oddalił się.

- Co takiego, Sam? - spytała lady Riland, gdy ogrodnik zbliżył się ostrożnie do okna jej altanki. - Czyżby Rogers, nasz wczorajszy znajomy, zjawił się znów w Chancefieldzie?

- Nie, był tu marynarz z portu. Dwie godziny temu bryg „Orion” ukazał się na horyzoncie. W tej chwili jest już pewnie na redzie w Bultonie.

Cała krew uciekła z twarzy młodej kobiety. Mnąc w ręce koronkową chusteczkę lady Riland szybkim krokiem poszła w stronę domku zarządcy.

Murzyn niepostrzeżenie wrócił do oranżerii.

2

Na oceanicznym brygu „Orion” zwijano żagle. Okręt nie wpłynął do przystani, lecz rzucił kotwicę na redzie, czekając na przybycie urzędników portowych.

Od pirsu przy nabrzeżu odbił dwunastowiosłowy kuter i pomknął ku brygowi. Na rufie stało trzech ludzi. Dwaj z nich, urzędnicy celni w marynarskich mundurach, z trudem utrzymywali równowagę. Trzeci, wysoki džentelmen o orlim nosie, w płaszczu narzuconym na granatowy frak, stał wyprostowany, wpatrując się bacznie w sylwetę brygu.

Kuter przybił do dziobowego trapu okrętu, marynarze zgodnym ruchem unieśli wiosła. Na redzie panowała taka cisza, że słychać było szmer kropel spadających z uniesionych nad wodą wiosel.

Trzej džentelmeni, których oczekiwał już kapitan, weszli na pokład lśniący nienaganną

czystością.

- Winszuję panu, kapitanie Brantley, szczęśliwego powrotu do kraju!

- Miło mi powitać pana na pańskim okręcie, sir Riland - odparł kapitan wymieniając uścisk dłoni z właścicielem „Oriona”.

Celnicy w asyście kapitana i bosmana Olsena, ogromnego Norwega z siwymi bokobrodami, mieli właśnie zabrać się do kontroli ładunku i dokumentów, gdy podszedł kucharz-Chińczyk i poprosił gości do kapitańskiej kajuty.

Czekał tu już nakryty stół. Obok sztuców, połyskujących złotem i srebrem, leżały nakrochmalone serwetki. Olbrzymia ryba z potwornym pyskiem, butelki wytrawnych win hiszpańskich, pasztet z dziczyzny, półmisek ostryg, szparagi w ostrym sosie, rzadkie owoce w srebrnej wazie, gorzkawa konfitura z migdałów i sery w czterech rodzajach - te wszystkie wspaniałości złagodziły nieco oschły, służbisty wyraz twarzy obu celników.

Gdy wreszcie wszyscy wstali od opustoszałego stołu, celnicy, ocierając dużymi chustkami czerwone, spocone twarze, skierowali się do ładowni oświadczając, że gotowi są zadowolić się asystą bosmana, i uprzejmie pozostawili kapitana w towarzystwie sir Rilanda.

Krzążący się bezgłośnie Chińczyk natychmiast zmienił obrus i podał do stołu kawę z francuskim koniakiem i likierami z piwnicy słynnego opactwa Świętego Benedykta. Kapitan rozłożył między kielichami mapę ostatniego rejsu „Oriona”.

- Z boską pomocą udało mi się spełnić wszystkie pańskie życzenia, sir. Rejs był wyjątkowo pomyślny. Jak pan na pewno pamięta, wyszliśmy na morze dwadzieścia miesięcy temu, z końcem siedemdziesiątego roku, zmierzając do Chile...

- Mister Brantley, otrzymywałem regularnie pańskie raporty przesyłane pocztą i wiem o wszystkim, co się działo na okręcie, z wyjątkiem ostatnich czterech miesięcy. Dlaczego przestał pan wysyłać sprawozdania?

- Poczta nie dotarłaby do Bultonu wcześniej niż my, sir. Dokładne raporty znajdzie pan w dzienniku okrętowym. Pieniądze i czek są tu, w tej szafie. A teraz opowiem wszystko pokrótce.

- Wyspa, Brantley! Najpierw o wyspie! Znalazł ją pan według podanych przeze mnie koordynatów?

- Tak, sir, znalazłem tę wyspę, ale pan pozwoli, że opowiem wszystko po kolei... Gdy opuściliśmy Melbourne...

- Chwileczkę! Czy człowiek na wyspie żyje?

- Tak, sir, żyje, lecz gdybyśmy przybyli o jakieś dwa tygodnie, najwyżej o miesiąc później, nie wiem, co by się z nim stało. Był u kresu sił. Teraz jest zaopatrzony we wszystko, co może mu być potrzebne. Prosił, bym oddał list...

- Mnie?

- Nie, prosił, bym go wręczył miss Gardy. Chciałem powiedzieć - lady Riland, sir.

- Czy oddał mu pan zapieczętowany pakiet?

- Tak, sir, pakiet przeszedł z moich rąk bezpośrednio w jego ręce.

- Czy prosił, by mi pan coś powtórzył, kapitanie?

- Nie, sir.

- Proszę mi dać list dla lady Riland.

- Sir, człowiek na wyspie zobowiązał mnie, abym oddał list do rąk lady. Przyrzekłem mu...

- Kapitanie Brantley!

- Nie mogę złamać danego słowa, sir!

- Dobrze... Niech go pan na razie zatrzyma. Sam go pan przyniesie do mnie do domu. Dziś, o szóstej wieczorem, oczekuję pana u mnie na obiedzie. Wręczy pan list w mojej obecności, kapitanie!

- Słucham, sir, i gotów jestem spełnić każdy rozkaz, który nie będzie sprzeczny z moim sumieniem.

- Kapitanie Brantley! Nie sądzi pan chyba, że mam zamiar narażać pana na kolizję z pańskim wrażliwym sumieniem?
 - Nie, sir, ale odniosłem wrażenie...
 - Proszę na przyszłość liczyć się ze słowami, kapitanie. Obawiam się, że na morzu odwykł pan trochę od towarzystwa, mister Brantley!
 - Być może, sir. Najuprzejmiej pana przepraszam.
 - Mapa wyspy?
 - Jest tu, wśród tych papierów.
 - Czy koordynaty okazały się dokładne?
 - Nie, sir. Długość geograficzna podana przez pana nie zgadza się. Szerokość prawie się pokrywała z pańskimi danymi, lecz jeśli idzie o długość, wyspa leży o półtora stopnia bardziej na zachód.
 - Widocznie przyrządy na moim okręcie nie działały dość dokładnie i pomyliłem się w obliczeniach... Dobrze, Brantley, jestem bardzo zadowolony, otrzyma pan swoją nagrodę. Dziś, wybierając się do mnie, weźmie pan z sobą dwóch ludzi dla ochrony i przywiezie mi kasę, dziennik okrętowy, mapę i dokumenty dotyczące wyspy. Proszę też nie zapomnieć o liście! Opowie mi pan wtedy szczegółowo o całym rejsie.
 - Z przyjemnością, sir.
 - Widzę, że celnicy skończyli już kontrolę. Sądzę, że pańska gościnność nie pozostała bez wpływu na jej wynik. Ja też poczyniłem w tym celu pewne starania. Proszę się dowiedzieć, jak się rzecz przedstawia.
- Kapitan wyszedł i po chwili wrócił do kajuty:
- Sir, okręt może bez przeszkód wpłynąć do przystani. Celnicy wracają zaraz na brzeg.
 - Zabiorę się z nimi. A więc do wieczora, mister Brantley!

3

Gdy kuter zbliżył się do pirsu, sir Federick ujrzał swego stangreta trzymającego za uzdę konia zaprzęzonego do giga. Obok stał kabriolet, w którym siedziała lady Emily Riland z córką zarządcy majątku, ładniutką Mary Morton. Ledwo tylko kuter przybił do pirsu, młoda dama niecierpliwie wyskoczyła z kabrioletu i pospieszyła naprzeciw przybywających z „Oriona”. Obaj celnicy skłonili się przed nią z szacunkiem i szybko poszli naprzód pozostawiając lady sam na sam z małżonkiem.

Lekki wietrzyk rozwiewał puszyste włosy kobiety. Stojąc na pirsie, twarzą w twarz z sir Frederickiem, surowo patrzyła mu prosto w oczy.

- Cóż to za nierozważne pomysły? - odwracając wzrok spytał z niezadowolaniem. - Nie powinna była pani tu przyjeżdżać. Proszę przestrzegać obowiązujących konwenansów, mistress Riland.

- A ja proszę, by mnie pan tak nie nazywał, gdy nas nikt nie słyszy. Niech mi pan powie otwarcie - czy on żyje?

Przez twarz sir Rilanda przebiegł skurcz, zagrały mięśnie na szczękach. Zacisnął zęby i milczał.

- Niech mnie pan nie doprowadza do ostateczności! A może boi się pan powiedzieć mi prawdę? Jestem na wszystko przygotowana i nie uczynię w tej chwili nic przeciwko panu. Ale - słyszy pan! - jeśli pan natychmiast nie odpowie, rzucę się głową w dół z tego pirsu!

- On... żyje - wycedził.

- Dowody! Gdzie są dowody, że mnie pan nie okłamuje, jak okłamuje pan bez przerwy cały świat?

- Dziś wieczór kapitan Brantley wręczy pani jego list. Proszę mi dać słowo, że go pani beze

mnie nie otworzy.

- Nie, takiego słowa nie dam!

- Wobec tego list zostanie zniszczony, nim go pani przeczyta.

- Niech pan uważa, by mnie nie doprowadzić do ostateczności!

- Niczego się nie boję! „Orion” to szybki statek, a ja jeszcze nie odwykłem od morza, caramba! - rzucił z wściekłością.

- Nareszcie znów pana poznaję! Przywykłam już widzieć pana w masce dżentelmena. Chwalić Boga, znów pan przemówił swoim prawdziwym językiem. Dobrze, przeczytam list w pańskiej obecności.

- To mało. Ja też muszę go przeczytać.

- Cóż, Fred wie, w czyich rękach się znajduję, i na pewno domyśla się, kto jeszcze przypuszczalnie może czytać jego list. Muszę się zgodzić. Ale jeśli mnie pan oszukał, przysięgam, że ani „Orion”, ani wszystkie moce piekielne, które panu patronują, nie ocalą pana przed zasłużoną karą. Proszę mnie przepuścić! I niech mnie pan nie dotyka, sama wrócę do powozu!

4

Po uroczystym obiedzie na dwadzieścia osób, trwającym blisko dwie godziny, tylko cztery osoby przeszły z jadalni do gabinetu sir Fredericka. Gdy lady Riland, kapitan Brantley i mister Thomas Morton zasiedli w fotelach wokół stołu, pan domu szczelnie zamknął drzwi.

Kapitan Brantley wyjął zza szerokiego mankietu niedużą zalakowaną kopertę. W milczeniu pochyliły się nad nią głowy pozostałych osób. Na laku widniał odcisk staroświeckiego medalika, użytego przez autora listu zamiast pieczęci.

Lady Emily ujęła list drżącą dłonią i ucałowała ową pieczęć.

Nawiasem mówiąc - uszło to uwagi kapitana. Pociągając wino ze smukłego weneckiego kielicha i pykając długą piankową fajkę, ustawioną między kolanami, kapitan Brantley zaczął opowiadać o przebiegu rejsu.

Była już ciemna noc, gdy skończył opisywanie wszystkich operacji handlowych i rejsów „Oriona” między portami Ameryki, Afryki, Indii i Australii, odbytych w ciągu tych dwu bez mała lat. Sztormy, rafy podwodne, korsarze, okręty państw nieprzyjacielskich i zakaźne choroby - te wszystkie niebezpieczeństwa i przeciwności losu nie przeszkodziły wcale wytrawnemu wilkowi morskemu przywieźć do Anglii tysiąc gwinei czystego zysku i ładowni pełnych towarów, zafrachtowanych w Indiach i Australii.

Podczas gdy właściciel okrętu słuchał relacji kapitana, dwaj marynarze, przybyli z Brantleyem do Chancefieldu, rozsiadłszy się w kuchni pośród służby mister Rilanda, ze swej strony opowiadali oszołomionym słuchaczom o tym rejsie. Załoga - jak się chwalili - zarobiła tym razem tyle, że dziś od samego rana dźwięczy złoto na szynkwasiu tawerny „Brzuch Wieloryba” i wiele wesołych nocy w Bultonie czeka marynarzy z „Oriona”.

Kapitan Brantley zakończył swą relację opisem poszukiwań nieznannej wyspy na Oceanie Indyjskim. Koordynaty tej wyspy otrzymał od wicehrabiego tuż przed odpłynięciem z Bultonu, w listopadzie 1770 roku, i zobowiązał się do zachowania ich w największej tajemnicy.

Wyspa ta, jak mu oświadczył wówczas sir Frederick, została przez niego odkryta przypadkiem, jeszcze we wczesnej młodości. Na polecenie wicehrabiego kapitan Brantley miał zapoznać się bliżej z tą ziemią nieznaną i wręczyć pakiet jednemu mieszkańcowi wyspy, jeśli go znajdzie przy życiu. W razie gdyby ekspedycja nie odnalazła wyspiarza, pakiet miał być zwrócony do rąk pana na Chancefieldzie. Kapitan Brantley otrzymał też surowy rozkaz, aby nikt z załogi nie zetknął się z człowiekiem przebywającym na wyspie.

Wszystkie te polecenia kapitana wypełnił jak najdokładniej. Krążąc po wskazanych mu wodach, w czwartym dniu nieprzerwanych poszukiwań natrafił na wyspę, która nie była oznaczona na żadnej morskiej mapie. Jej ukształtowanie odpowiadało opisowi, jaki kapitan otrzymał.

„Orion” podpłynął do wyspy nocą. Od razu zauważono z okrętu sygnał - ognisko rozpalone na nagim wierzchołku góry, stanowiącym najwyższy punkt na całej wyspie. Wczesnym rankiem mieszkańiec wyspy, odziany w skóry zwierzęce, próbował podpłynąć do brygu na wątlej pirodze, lecz otrzymał ostrzeżenie z mostku kapitańskiego, by pod groźbą śmierci nie zbliżał się do okrętu. Mimo tak niegościnnego przyjęcia człowiek ten wskazał - płynąc na swej pirodze przed okrętem - wejście do jedynej większej i nader dogodnej dla postoju zatoki, o której istnieniu zresztą kapitan też był uprzednio poinformowany.

Wprowadziwszy okręt do zatoki kapitan wsiadł wieczorem do łodzi i udał się na brzeg. Wioślarzy pozostawił w łodzi, wytłumaczywszy im - jak mu nakazano - że człowiek z wyspy to pasażer jakiegoś okrętu, który zaraził się trędem i został tu wysadzony na ląd.

Kapitan wiedział, że morza i oceany kryją w sobie wiele najbardziej nieprawdopodobnych zagadek i tajemnic, toteż nie zdziwił się wcale, gdy oczekujący go już na brzegu dziwny pustelnik przemówił do niego najczystszą angielszczyzną; nie zadał mu też ani jednego zbędnego pytania.

Idąc przez las dotarł do chatki wyspiarza. Tu kapitan wręczył mu pakiet od sir Fredericka Rilanda oraz przybory piśmienne potrzebne do napisania odpowiedzi. Okazało się, że ów tajemniczy anachoreta był już u kresu sił; jedyna strzelba pozostawała bezużyteczna z powodu braku amunicji, kończyły się zapasy żywności, fale uniosły w morze splecioną przez niego rybacką sieć.

Człowiek ten opowiedział dalej, iż owa bezimienna wyspa, w odróżnieniu od innych wysepek na Oceanie Indyjskim z ich ubogą fauną, obfituje w grubą zwierzynę. Gdy zdumiony Brantley spytał, skąd na tak odległej wyspie wzięły się zwierzęta lądowe, wytłumaczył mu, że jakieś pięćdziesiąt lat temu rozbiła się na tych wodach swego rodzaju arka Noego - statek arabski wiozący żywy ładunek dla królewskich zwierzynców we Francji i Hiszpanii. Sam odkrył szczątki tego statku, którego załoga zginęła pośród skał na północnym wybrzeżu wyspy.

Dziki zniszczyły ogród wyspiarza. Dawno już znosił europejski ubiór i teraz odziewał się w kożle skóry. Poza tym jątrzyła mu się noga, którą zranił polując na górskiego kozła, a nie miał żadnych lekarstw.

Gdy nazajutrz kapitan przybył po odpowiedź, otrzymał od mieszkańca wyspy zalakowaną kopertę. I oto teraz, po jedenastu tygodniach, mógł ją wreszcie oddać do rąk adresatki.

Kapitan zakończył swe opowiadanie mówiąc, że przed odpłynięciem z wyspy marynarze przywieźli na dwóch łodziach i wyladowali na brzeg wszystko, czego potrzebował mieszkańiec wyspy i jego dwaj towarzysze.

- Dwaj towarzysze? - ze zdumieniem powtórzył wicehrabia. - Więc nie jest on jedynym człowiekiem na wyspie?

- Nic mi o nich nie mówił, lecz samo urządzenie chaty świadczyło, że mieszka w niej co najmniej trzech ludzi.

Wicehrabia zmarszczył brwi. Lady Emily spoglądała nań z nie ukrywaną satysfakcją.

- I tamci nie ujawnili się do końca? - rzekł gwałtownie.

- Przeciwnie, przed odpłynięciem „Oriona” ukazali się całkiem otwarcie wszyscy trzej na szczycie przybrzeżnej skały. Machali do nas przyjaźnie rękami i długo wykrzykiwali przekleństwa pod adresem strasznego pirata zwanego Leopardem. Widocznie to on zostawił ich na tej wyspie. Pan zresztą powinien był o nim słyszeć, sir. Płynął jako pomocnik kapitana na „Czarnej Strzale” i zginął, można powiedzieć, na pańskich oczach.

- Czy przypatrzył się im pan dobrze? Jak wyglądają?

- Bez wątplenia są Europejczykami. Jeden z nich był ogromnego wzrostu. Nic więcej nie

udało mi się stwierdzić.

Wicehrabia ledwo się powstrzymał, by nie zakląć. Zły, z chmurną twarzą podniósł się z miejsca, dając tym do poznania, że uważa rozmowę za skończoną.

- Kapitanie - powiedział zdławionym głosem - pan odpowiada głową za to, że ani koordynaty wyspy, ani wiadomość o jej mieszkańcach nie wyjdą poza ściany tego gabinetu. Pokój dla pana przygotowano pod lewą basztą, ale jutro z samego rana musi pan wrócić na okręt, który pójdzie do doku na remont. Trzeba go jak najszybciej przygotować do nowego rejsu. Tym razem ja sam wybiorę się z panem na wyspę. Za miesiąc powinniśmy wyjść na morze. Załogę zredukuje pan do minimum. Wskażę panu pięciu, sześciu marynarzy i oficerów, których przyjmie pan dodatkowo. Sam też dostarczę na okręt uzbrojenie. Frachty może pan brać tylko do portów afrykańskich. Na powrotny rejs załadujemy bryg na wyspie. Wszystkie przygotowania należy zachować w tajemnicy. Jest pan wolny, kapitanie Brantley!

5

Kapitan pożegnał się. Do gabinetu wszedł kamerdyner, odstawił do kąta fajkę, którą palił pocziwy marynarz, i dorzucił drzewa na kominek płonący mimo letniej pory. Wicehrabia skinieniem brwi odprawił służącego i usiadł przy biurku, w milczeniu obracając w rękach mapę wyspy.

Thomas Morton, niski grubas z ogromną łysiną, w złotych okularach, siedział w fotelu zgarbiony, ze spuszczonej oczami, utkwivszy wzrok w ogień kominka. Przy samym kominku, przyciskając do piersi zalakowaną kopertę, nieruchoma jak posąg stała lady Emily. Tylko źrenice jej pociemniałych oczu, w których odbijały się płomyki ognia, zdawały się iskrzyć błyskami gniewu i tajonego tryumfu.

- Proszę oddać list, Emily - ochryplym głosem powiedział wicehrabia - niech mister Morton odczyta go na głos.

- Nie stanie się to wcześniej, póki „Orion” nie będzie gotów do rejsu na wyspę. I przeczyta pan ten list dopiero w kajucie „Oriona”, która zostanie tam przygotowana dla mnie. Popłynę na wyspę razem z panem. Mam nadzieję, że mnie pan zrozumiał?

- To niemożliwe. Pani sama wie, że to nie jest możliwe. Ręczę pani za jego życie. Ale pani nie może, nie powinna brać udziału w tej wyprawie.

- Wobec tego zaraz wrzucę w ogień ten list, choć tak bardzo jest mi drogi, i pan nigdy się nie dowie, kto z załogi „Czarnej Strzały” ciskał przekleństwa na Leoparda Grellego i w tej chwili gotuje się do strasznej rozprawy z nim,

- Proszę milczeć, Emily! Jeśli Leopard przegra, nie zobaczy pani swego przyjaciela żywego!

- Jeszcze jedna pogróżka i rzucam list w ogień!

Wicehrabia odwrócił się. Upłynęło parę minut w milczeniu. Wreszcie kobieta usłyszała stłumiony, dobrze jej znany gardłowy śmiech.

- No cóż, signora, w pani samej siedzi widać diabeł! Wiem, że nie ma rady na pani upór. Ale, jak się to mówi, klin klinem... Być może poddała pani niezłą myśl, albowiem pani obecność na pokładzie złamie upór kogoś innego... Cóż, nadamy naszej wyprawie charakter rodzinnej wycieczki gwoili przyjemności. Po drodze zatrzymamy się tylko u ujścia Rzek Oliwnych* - mam tam pewien mały interes do załatwienia... Czy zobowiązuje się pani święcie przestrzegać naszej zasadniczej umowy, lady? Proszę pamiętać, że od tego zależy jego i pani życie!

- Nie mam zamiaru złamać raz danego słowa.

* Rzeki Oliwne - tak nazywano czternaście ramion delty rzeki Niger.

- Dobrze, signora. Mamy dość czasu, by się zastanowić, kogo jeszcze zaliczyć w skład uczestników tej wyprawy. Może tam, u celu podróży, będą nam potrzebne usługi pewnych osób urzędowych, co? Poza tym podróż ta mogłaby zainteresować moich nowych wspólników... Dalibóg, pani poddała niezłą myśl, lady! Godzę się na to, byśmy odbyli raz jeszcze wspólną podróż morską, w dodatku w nader miłym, niedużym towarzystwie. Prawdopodobnie odbędzie się ona w bardziej komfortowych warunkach aniżeli poprzednia... Proszę tylko nie zapominać, signora, że w razie najmniejszego podstępu z pani strony nie zawaham się posłać na dno brygu wraz z całym uroczym towarzystwem. A teraz odda nam pani ten list! Morton, niech pan weźmie od lady kopertę!

Morton siedział z opuszczoną głową i zdawał się być całkowicie obojętny na wszystko. Ale powieki mu drgały i peruka zsunęła się na zroszone potem czoło. Lady Riland rzuciła nań spojrzenie pełne pogardy.

- On dostanie list w mojej kajucie na „Orionie”. Nie wcześniej! Dopiero przed odpłynięciem na wyspę pan i pański wspólnik Morton usłyszycie, co pisze do mnie człowiek, którego szlachetne imię z taką szatańską przewrotnością przywłaszczyłeś sobie, piracie i handlarzu niewolników, Giacomo Grelli!

Gdy pan na Chancefieldzie pozostał sam w gabinecie, do drzwi zapukał Anthony.

- Milordzie, już od dawna czeka na dole jakiś człowiek - zameldował.

- Wprowadzić go.

Przed wicehrabią stanął Mulat Enrico Roy. Jego buty były szare od kurzu.

- Sir Riland, już od trzech godzin czekam, by donieść panu ważną wiadomość. W Bultonie pojawił się Fernando Diaz! Tej nocy ograbił i pobił MacRaila. Mac nie będzie mógł pojechać do Holandii, tak jest poturbowany.

- Anthony, konie! - krzyknął wicehrabia.

W dziesięć minut później trzech jeźdźców mknęło w stronę Bultonu. Spienione konie, przebiegłszy galopem dwanaście mil, zatrzymały się przed tawerną „Brzuch Wieloryba”.

6

Lipcowe słońce świecące nad Anglią zdaje się słać ziemi czułe, dobrotliwe pozdrowienie. Lecz o parę godzin wcześniej płynie ono nad spienionymi falami Oceanu Indyjskiego jak ogromna, bezlitosna ognistoczerwona kula, która w niczym nie przypomina przyjaznego słońeczka. Na zagubionych pośród oceanu skrawkach lądu wypala do szczytu trawę, wysusza strumienie, spopiela spękaną ziemię i w wyobraźni ludzi rodzi straszne legendy o karzącym niebieskim rydwanie.

Ale i tu, na pustynnej wyspie, na dalekich wodach Oceanu Indyjskiego, pierwsze poranne promienie słońca są jeszcze łagodne i miłe...

W dziewiczym lesie przeraźliwie skrzeczały papugi. W prześwitach gąszczu migwały maleńkie różnobarwne kolibry. Ruchliwe stado małych przemknęło po wierzchołkach drzew, kołysząc się na lianach, płosząc ptactwo i strącając na ziemię owoce, liście i gałązki. Czarne cielska krokodyli zastygły w bezruchu jak głązy na piaszczystej przybrzeżnej mieliźnie. Różowe pelikany, przewalając się ciężko z nogi na nogę, kończyły nad jeziorem nocny połów. Cała rodzina dzików zmierzająca nad strumień do wodopoju nagle zawróciła gwałtownie i z tupotem rzuciła się do ucieczki, znikając wśród kolczastych zarośli. Gdzieś niedaleko rozległ się straszny, przejmujący grozą ryk. To głodny lew, któremu nie udało się widać nocne łowy, skradał się do wodopoju, wypatrując zdobyczy na śniadanie.

Opuściwszy nisko grzywiasty łeb, zwierz wolno przedzierał się przez gęstwinę. Był

najzupełniej pewny swej siły, nie obawiał się, że może tu spotkać godnego przeciwnika, i wiedział doskonale, że innych mieszkańców lasu ocalić mogą od jego kłów jedynie bardzo szybkie nogi lub bardzo głębokie i ciasne nory.

Nagle z gęstych bambusowych zarośli huknął strzał. Lew dał potężnego susa i łamiąc wysokie pnie rzucił się na nieznanego wroga. Jeden po drugim gruchnęły jeszcze dwa strzały. Cała połać młodego zagajnika legła pod ciężarem ogromnego cielska. Krótki przedśmiertny ryk - i dwumetrowe ciało drapieżnika wyprężyło się i zamarło. Na podkurczonych łapach po raz ostatni wysunęły się i schowały pazury podobne do zakrzywionych tureckich jataganów.

W gąszczy, gdzie ukryci byli myśliwi, rozległy się głośnie okrzyki.

- Wyjątkowy okaz! - powiedział zbliżając się do zabitego lwa wysoki mężczyzna w marynarskich butach, grubych spodniach z płótna żaglowego i solidnej wełnianej kurtce. - Takiego lwa jeszcze nigdy nie widziałem. To już chyba ostatni na naszej wyspie. Licząc razem z młodymi - siódmy w ciągu czterech lat.

W ślad za pierwszym myśliwym wyszedł z zarośli olbrzym z czarną kędzierzawą brodą. Za skórzanym pasem miał zatknięty szeroki nóż marynarski. Trzeci myśliwy, w hiszpańskim sombrero z szerokim rondem, nachylił się nad zwierzęciem.

- Niech pan spojrzy, oto pańska kula - zwrócił się do pierwszego myśliwego. - Przeszyła na wylot serce lwa. Wspaniały strzał!

- To dziwne, że dusza takiego silnego i wielkiego zwierzęcia mogła tak szybko opuścić ciało przez taką małą dziurkę - powiedział drugi myśliwy wskazując niedużą ranę pod łopatką.

- Wytnę serce lwa i zjem, niech przejdzie we mnie jego siła.

- I bez tego jesteś dość silny, Pedro - roześmiał się mężczyzna w sombrero.

- Zjadłbyś lepiej mózg zwierzęcia, aby przeszedł w ciebie jego rozum i chytrość.

- Silnemu i odważnemu nie jest potrzebna chytrość - zaproponował pierwszy. - Chytrość i podstęp to broń tchórzy...

- Jednakże, seniores - zauważył myśliwy w sombrero - dzisiejsze łowy nie wzbogaciły naszej spiżarni. Czas już wracać i, prawdę mówiąc, żywy kozioł na muszce uradowałby mnie bardziej niż martwy lew u moich stóp! Mister Fred, to pańska zdobycz. Niech pan przy niej zostanie, aby szakale nie zepsuły skóry, a ja i Pedro zatroszczymy się o śniadanie. Trzeba będzie naruszyć zapasy pozostawione nam przez kapitana „Oriona”. Chodź, Pedro, przygotujemy dla mister Fredericka świąteczne śniadanie. A pan zdejmie skórę, mister Fred, i wyprawi ją. Kiedyś będzie ona najpiękniejszą ozdobą pańskiego domu w ojczystym kraju. Będą się na niej bawić pańskie dzieci...

- ...a ja będę im opowiadał, jak to uratował nas z tej wyspy okręt, którego nazwy nikt z nas jeszcze w tej chwili nie może przewidzieć. Ale przecież musi on się w końcu zjawić i wtedy każdego z nas czeka taki los, na jaki sobie zasłużył - przerwał towarzyszowi myśliwy w kurtce.

- Chce pan powiedzieć, mister Fred, że pana czeka dom w Chancefieldzie, a mnie i Pedro - szubienica w Newgate?

- Nie bardzo lubię takie żarty, senior! Miejmy nadzieję, że los, tak niesprawiedliwy dotąd dla pana, zechce chociaż w części wynagrodzić panu doznane krzywdy - poważnym tonem powiedział pierwszy myśliwy. - Jeśli idzie o mnie, dotrzymam słowa i nie zdradzę pańskiego nazwiska dowództwu okrętu, który prędzej czy później przyjmie nas wszystkich na pokład. A już na pewno nie jestem człowiekiem, który by pomógł katu z Newgate zaprowadzić pod stryczek... Bernardita Luiza. Z całego serca życzę panu, by los odwrócił od pana tę groźbę, kapitanie!

- Sir Frederick Riland - rzekł człowiek w sombrero, a w jego głosie, obok nutki ironii, zabrzmiał ton uznania - mając w ciągu wielu lat do czynienia z samymi szubrawcami, nie spodziewałem się nigdy, że w końcu Bóg uczyni mnie towarzyszem niedoli prawdziwie szlachetnego dżentelmena! Nie, Pedro, zostań z sir Frederickiem, pomóż mu zdjąć skórę z

Iwa i przynieś ją do domu. Postaram się jakoś sam poradzić sobie z kuchnią.

W ostatnich dniach sierpnia 1772 roku z portu w Bultonie wyruszył w daleki rejs, biorąc kurs na południe, uzbrojony bryg oceaniczny „Orion”.

Okręt ten, należący do głównego właściciela Północnobrytyjskiej Kompanii Handlowej sir Fredericka Jonathana Rilanda, szedł pod dowództwem kapitana Guy Brantleya i trzech oficerów - porucznika Edwarda Wenta, mister Josepha Lorna i mister Geofireya MacRaila.

Według dokumentów okrętowych na pokładzie znajdowali się następujący pasażerowie: właściciel brygu sir Frederick Riland z żoną lady Emily i małym synkiem Charlesem; zarządca majątku Chancefield mister Thomas Morton z córką Mary; młodszy współwłaściciel kantoru prawnego „Thompson i Syn” adwokat Richard Thompson; właściciel stoczni bultońskiej mister Robert Patterson; wdowa po śp. George'u Stanfordzie, esq., lady Ellen Stanford; wikariusz katedry bultońskiej wielebny Tomas Redling; lekarz okrętowy, doktor medycyny Randolph Gracewell, i wreszcie służba wyżej wymienionych pasażerów.

Jak pisał w pierwszym wrześniowym numerze bultoński tygodnik „Monitor”, celem wyprawy sir Rilanda i jego towarzyszy miało być pewne odkrycie geograficzne oraz działalność misjonarska.

Bryg płynie na afrykańskie wody Oceanu Indyjskiego.

O świcie 29 września „Orion” rzucił kotwicę u marokańskich wybrzeży Berberii. W drodze z Bultonu do Maroka bryg zawinął do ujścia Tamizy i z uwagi na pewne interesy właściciela miał tydzień postoju w porcie londyńskim.

Rozdział czwarty

Chrześcianiacy Neptuna

1

Na niskim lakierowanym suficie kajuty migotały zielonkawe plamki świetlne. Odblaski promieni słonecznych, załamujących się w grzebieniach fal, wpadały przez iluminator do kajuty i wesoło tańczyły po ścianach i suficie.

Po obiedzie całe towarzystwo na „Orionie” rozeszło się do swoich kajut. Okręt płynął wzdłuż wybrzeży Afryki. Suchy wschodni wiatr przynosił aż tu, nad ocean, gorące tchnienie Sahary. Zmorzona lekkim kołysaniem okrętu lady Emily zdrzemnęła się siedząc w fotelu. Na jej długich rzęsach zawisała maleńka lza. Na kolanach śpiącej leżał list, koperta ze złamanymi pieczęciami zsunęła się na ziemię. Lady nie obudziła się, gdy ktoś cichutko zapukał do drzwi i lekko je uchylił.

To mister Richard Thompson zajął do kajuty i widząc odpoczywającą w fotelu damę chciał się wycofać, lecz wbrew woli przystanął, nie mogąc oderwać od niej oczu. Może obudziło się w nim młodzieńcze uczucie do byłej narzeczonej, a może po prostu wzruszył go wyraz smutku na twarzy lady, która w tej spokojnej pozie przypominała splakane dziecko zmorzone snem - dość, że mister Richard odczuł nieodpartą potrzebę ucałowania ręki śpiącej. Pochylił się nad nią - i wtedy zobaczył na podłodze rozerwaną kopertę, a na kolanach lady - zapisaną kartkę papieru.

I tu profesjonalna ciekawość okazała się - niestety! - silniejsza od dyskrecji dżentelmena, albowiem widok koperty skojarzył się w umyśle młodego adwokata z następującym niewielkim epizodem: Na krótko przed odpłynięciem z Bultonu, gdy już pasażerowie „Oriona” ulokowali się w swych kajutach, mister Richard - szukając na pokładzie jakiegoś zacisznego kącika na poobiedni spoczynek - postanowił usadowić się w jednej z łodzi na lewej burcie, oświetlonej łagodnym jesiennym słońkiem. Urządziwszy sobie z pledu i płaszcza wygodne gniazdko już miał pogrążyć się we śnie, gdy nagle usłyszał prowadzoną półgłosem, lecz w bardzo ostrym tonie rozmowę na pokładzie. Było już za późno na ujawnienie swojej obecności. Mister Richard usłyszał, jak sir Riland zażądał od swej małżonki wydania jakiegoś ważnego listu. Lady nie chciała się zgodzić, wicehrabia nalegał dość brutalnie. Wreszcie odeszli do kajuty lady, a w kilka minut potem wezwano tam Mortona. W pierwszej chwili mister Richard był nieco zażenowany rolą mimowolnego świadka sprzeczki małżeńskiej, lecz rychło o tym zapomniał. Jednakże teraz, widząc kopertę ze złamanymi pieczęciami, nie mógł się oprzeć pokusie i spojrzął na podpis.

Uniósłszy w zdumieniu brwi, niesłuchanie zaintrygowany, patrząc przez ramię lady Riland przeczytał cały list, po czym cofnął się i wyszedł z kajuty równie cicho, jak tu wszedł. Dopiero zamykając za sobą drzwi niechcący szczerknął klamką.

Emily drgnęła, momentalnie się obudziła i spieszenie przykryła list książką, nie podejrzewając nawet, w jak głęboką rozterkę duchową wprowadził on młodego adwokata.

Pewna, że hałas, który ją przestraszył, był przypadkowy, młoda kobieta znów wzięła do ręki list.

„Moja droga Emily! - czytała po raz nie wiem który tak dobrze znane słowa. - Od chwili, gdy się ocknąłem na wyspie i przeczytałem pozostawioną przez Ciebie kartkę, aż do dnia dzisiejszego, kiedy po czteroletniej przerwie znów otrzymałem Twój list, przywieziony przez kapitana Brantleya, nie było chwili, aby się nie zadreślał myślami o Tobie i Twoim położeniu.

Trudna walka, jaką wiesz w zupełnej samotności, przejmuję mnie podziwem, i całe moje życie, jeśli sądzono mi jeszcze żyć, należy całkowicie do Ciebie.

Prosisz, abym zakomunikował swe postanowienie w odpowiedzi na warunki, jakie mi stawia nikczemny pirat Giacomo Grelli. Otóż, jestem zmuszony je przyjąć i w ciągu następnych trzech lat zaniechać wszelkich prób opuszczenia wyspy i zdemaskowania złooczyńcy, który skradł moje imię. Dopóki jesteś we władzy tego człowieka, nie mam wyboru, lecz jego zbrodnie głośno wołają o pomstę do nieba i przybliżają godzinę zapłaty.

Mój attorney Morton, który stał się współnikiem Giacoma Grellego, bez wątpienia podzieli również i przyszły los pirata. Dziennik Mortona, przepisany pod dyktando Grellego, jak każde fałszywe świadectwo nie ostoi się w świetle prawdy. Już teraz żal mi jego córki, miłej Mary. Może uda mi się być pomocnym tej młodej osobie w urzędzeniu przyszłego życia, po wymierzeniu sprawiedliwości jej występnemu ojcu.

Zawsze przebywający myślami przy Tobie, oddany Ci do ostatniego tchnienia, Twój Frederick Jonathan Riland, wicehrabia Chancefieldu.

Bezimienna wyspa na Oceanie Indyjskim 10 maja 1772 r.

P.S. Z braku papieru nie mogłem prowadzić dziennika. Opis moich przygód przyślę Ci, gdy zdobędę pewność, że będziesz jedyną jego czytelniczką, albowiem lasy i wąwozy tej wyspy kryją nie tylko naszą tajemnicę”.

Lady Emily ucałowała list, otarła łzę, włożyła list do koperty i ukryła ją na piersi. Potem sięgnęła po kajet oprawny w tłoczoną skórę i na nowo, uważnie zaczęła się weń wczytywać.

2

Wybiegłszy na pokład Richard Thompson popędził do swojej kajuty. Zajmował ją razem z panem Pattersonem i teraz chciał go jak najszybciej odszukać. Jednakże w kajucie nie zastał nikogo.

Na pokładzie mister Richard zobaczył idącego z przeciwnej strony Mortona. Cofnął się, jakby ujrzał diabła, i pędem wbiegł po schodach na spardek.

Część pasażerów obserwowała stąd widoczny na wschodzie wąski pas afrykańskiego lądu. Nie znalazłszy i tu swego sąsiada z kajuty, adwokat w niepewności przystanął przy poręczy. Wiatr rozwiewał mu włosy i chłodził rozpaloną twarz. Uspokojony nieco majestatycznym widokiem oceanu, zeszedł na dół.

W nadziei, że znajdzie Pattersona w towarzystwie lady Stanford, i jeszcze nie zdecydowany, czy ma odsłonić zdumiewającą tajemnicę w obecności swej narzeczonej, której szybko rosnące sympatie dla pseudowicehrabiego zaczynały go już niepokoić, zapukał do drzwi jej kajuty.

Za drzwiami słyhać było jakieś szmery. Pewny, że to Betsy, pokojówka lady Stanford, sprząta kajutę, i chcąc się od niej dowiedzieć, gdzie jest jej pani, Richard nacisnął mocniej klamkę. Drzwi ustąpiły i mister Thompson, potknąwszy się o próg, o mało nie upadł jak długi.

W kajucie panował półmrok, lecz to, co zdążył zobaczyć młody adwokat, było wręcz niewiarygodne!

Znajdująca się w kajucie Ellen spiesznie uwolniła się z objęć właściciela „Oriona”. W następnej chwili kawaler pięknej lady skoczył ku drzwiom i biedny mister Richard poczuł

żelazny uchwyt męskich rąk, które uniosły go w powietrze i z siłą wyrzuciły z kajuty. Uderzywszy głową o przeciwległą ścianę wąskiego przejścia, runął przed progiem.

Drzwi kajuty zatrzasnęły się z łoskotem, lecz nim adwokat zdążył podnieść się z ziemi, znów się otworzyły i wypadł z nich właściciel okrętu. Rzekomy sir Riland pochylił się nad leżącym, chwycił go oburącz, dźwignął i biegiem puścił się z nim do swojej kajuty, znajdującej się w pobliżu miejsca fatalnego zdarzenia.

W przestronnym salonie urządzonym ze wschodnim przepychem, nie dając przyjść do siebie swej ofierze, wy dostał zza oparcia kanapy dwie szpady i bez słowa wetknął jedną z nich w rękę Richarda.

Następnie przeszedł w róg pokoju i zdjął perski szlafrok. Stał teraz w obszytej koronkami koszuli i pantalonach wpuszczonych w pończochy, przepasany szerokim jedwabnym pasem, jakie noszą hiszpańscy toreadorzy. Gotów do walki, wypróbował szpadę. Giętka stalowa klinga ze świstem przecięła powietrze.

Mister Thompson, dysząc ciężko, siedział na kanapie obserwując przygotowania przeciwnika. Szpadę trzymał zaciśniętą między kolanami. Kiedy poruszył się, szpada upadła na podłogę. Nie uczynił najłżejszego gestu, by ją podnieść.

- Bijemy się, czy ma pan zamiar tracić czas na szukanie sekundantów? - syknął przeciwnik. - A może w ogóle nie myśli pan żądać satysfakcji? Wobec tego da mi pan słowo honoru...

Mister Thompson nigdy jeszcze nie miał w ręce pistoletu, a jego nieudolne szermiercze wypadki z floretem w sali gimnastycznej kolegium niejednokrotnie wywoływały śmiech kolegów. Jednakże będąc kiepskim fechtmistrzem Richard Thompson nie był tchórzem. Po prostu nie zdążył jeszcze ochłonąć z zaskoczenia i bezgranicznego zdumienia po swych dzisiejszych odkryciach.

Słowa przeciwnika dotarły w końcu do jego świadomości i otrzeźwiły go. Podniósł się gwałtownie i przydeptał leżącą na ziemi szpadę.

- Mógłbym żądać satysfakcji - powiedział twardo - czy dać słowo honoru, gdybym miał do czynienia z dżentelmenem, a nie z bezczelnym samozwańcem, który przywłaszczył sobie cudze nazwisko!

Jego przeciwnik osłupiał. Lecz już w następnej chwili odrzucił szpadę i runął na adwokata. Richard kopnął go z całej siły. Po sekundzie dwa szczerzone w zacieklej walce ciała potoczyły się po dywanie.

W tym momencie drzwi kajuty rozwarły się na oścież i stanęli w nich pastor Redling oraz mister Patterson.

3

Lady Ellen Stanford, dama o powolnych ruchach i wyniosłej postawie, pochodziła ze starego, lecz zubożałego szlacheckiego rodu Grahamów. Jej przodkowie brali udział w wyprawach krzyżowych, ale już dziad lady Ellen utracił prawo do tytułu i przegrał w karty ostatki rodowej fortuny. Ojciec lady ostatecznie stracił wszelkie dziedziczne przywileje zdobyte przez rycerskich założycieli rodu i przez całe życie był po prostu mister Grahamem.

Piękna, opętana chorobliwą ambicją lady Ellen od dziecka marzyła o wysokich tytułach, doskonale orientowała się we wszelkich subtelnosciach heraldyki i genealogii najstarszych szlacheckich rodów w Anglii. Przerzucając pożółkłe karty rodzinnej kroniki widziała swych przodków w blasku turniejów królewskich, w kurzawie bitewnej, co przejmowało ją głębokim wzruszeniem. Czytała, jak to hrabiowie Grahamowie z całym samozaparciem mordowali się wzajemnie ku chwale Czerwonej lub Białej Róży, jak pragnąc wspiąć się wyżej, bliżej tronu, nierzadko trafiali na szafot, jak dzielili z królami w ich wyprawach jeśli nie słodycz zwycięstwa, to w każdym razie rozkosze stołu i kielicha...

W 1768 roku, mając dwadzieścia dwa lata, miss Ellen poślubiła najmłodszego potomka rodu Stanfordów, urzeczona dźwięcznym brzmieniem jego starego nazwiska, arystokratycznymi manierami i sukcesem w dorocznych wyścigach konnych, gdzie George Stanford na kasztanowatej klaczy zdobył puchar i tytuł najlepszego jeźdźcy hrabstwa. Niestety, ukryte nadzieje lady na przejście praw dziedzicznych i rodowego majątku na jej małżonka nie ziściły się. Gdy po dwóch latach owdowiała, pozostając bezdzietną, okazało się, że całą fortunę lady Stanford stanowi mały, zrujnowany majątek ziemski w okolicy Bultonu i mizerny kapitalik, o którego powiększeniu przemyśliwała siedząc w gabinecie męża, obwieszonym kopiami rodzinnych portretów i podobiznami rasowych koni wyścigowych. Interesy wdowy znajdowały się już na granicy całkowitego upadku, gdy właściciel stoczni okrętowej mister Patterson poradził jej, by nabyła parcelę w mieście. Lady Ellen obraziła się w pierwszej chwili, lecz potem się zgodziła i wkrótce na jej parceli wyrosły wielkie domy czynszowe, przypominające zupełnie koszary, które przyjęły w swe posępne mury setki rodzin rzemieślników, drobnych urzędników i robotników ze stoczni.

Zarząd domami sprawował mister Hamprey Chiswick, godząc to zajęcie z obowiązkiem pedagoga i kierownika szkoły-internatu dla chłopców.

Zająwszy się z zapałem owymi prozaicznymi handlowymi operacjami lady Stanford nie zrezygnowała bynajmniej ze swych marzeń o tytułach i bogactwie. Dumna i nieprzystępna, utrzymywała stosunki towarzyskie tylko z nielicznymi osobami. Jednakże lata mijały, a upragniony królewicz nie zjawiał się.

Miała dwadzieścia sześć lat, gdy Richard, młodszy z właścicieli kantoru prawnego „Thompson i Syn”, po niedługim okresie znajomości ze swą klientką w gorących słowach wyznał jej swe uczucia i poprosił o rękę. W pierwszej chwili lady Ellen roześmiała się; Richard Thompson nie mógł się poszczycić ani pięknie brzmiącym nazwiskiem, ani dziedzictwem rodowym. Lecz po zastanowieniu lady poskromiła swą arystokratyczną dumę, tym bardziej że młody adwokat miał już reputację jednego z najlepszych prawników hrabstwa i był jedynym spadkobiercą pokaźnego majątku.

Cóż, myślała, czasy się zmieniają i ci wszyscy bankierzy, adwokaci i fabrykanci coraz bardziej wchodzą w modę. I chociaż w jej pojęciu nie była to świetna partia, a serce jej pozostawało najzupełniej obojętne wobec osoby mister Richarda, młoda wdowa nie spieszyła się z odmową, pozwalając Richardowi do woli rujnować się na prezenty i zabawiać ją dowcipnymi historiami.

Gdy jednak na uroczystości wodowania „Skrzydlatego” ujrzała po raz pierwszy swego sąsiada, wicehrabiego Chancefieldu, od razu wyczuła w nim nie tylko władczą naturę, ale i pokrewną duszę. Ich znajomość, zapoczątkowana na pokładzie „Skrzydlatego”, już po paru tygodniach przerodziła się w przyjaźń. W odpowiedzi na chłód okazywany jej przez lady Emily, Ellen Stanford niemal otwarcie zaczęła czynić afronty pani Riland, co wyraźnie sprawiło satysfakcję jej małżonkowi. Ze swej strony dziedzic tytułu i posiadłości Chancefield, oczarowany arystokratycznym nazwiskiem, manierami i pańsko wyniosłym sposobem bycia swej nowej przyjaciółki, przeznaczył jej w myślach bardzo ważną rolę w swych planach na przyszłość. Pomógł mu w tym mister Patterson, i lady Stanford, zebrawszy na początek blisko trzy tysiące funtów, podobnie jak Patterson włożyła je w ciche przedsięwzięcie przygotowywane przez prezesa Kompanii Północnobrytyjskiej. W ten sposób wicehrabia pozyskał w osobie ambitnej lady jeszcze jednego wspólnika.

Wtajemniczona całkowicie w przyszłe interesy swych przyjaciół i bynajmniej nie zgorszona obranymi przez nich drogami wzbogacenia się, lady Stanford przyjęła również zaproszenie Rilanda i Pattersona na odbycie wspólnej podróży na „Orionie”. A że dowódca tej tajemniczej wyprawy potrzebował usług prawnika, także i nieoficjalny narzeczony lady Stanford, mister Richard Thompson, znalazł się w liczbie pasażerów brygu.

Mister Richard bardzo chętnie pozostawił kantor bultoński pod jednoosobowym

kierownictwem swego ojca w nadziei spędzenia kilku obiecujących miesięcy na komfortowym okręcie, w towarzystwie miłych dżentelmenów i uroczych dam.

Nieoczekiwane odkrycie, jakich dokonał w kajutach lady Emily i lady Stanford, zmieszały zupełnie karty w rozpoczętej grze i postawiły niektórych partnerów w nader niewygodnej sytuacji.

Pozostawszy sama w kajucie lady Stanford ubrała się z pomocą pokojówki i usiadła przy iluminatorze, pod którym pluskały migotliwe, zielonkawe fale.

Na ustach damy błąkał się pogardliwy uśmiech; układała w myśli zabójczo--sarkastyczne zdania, przeznaczone dla uszu niefortunnego adwokata. Zapadał już zmierzch, gdy usłyszała niepewne pukanie do drzwi. Pokojówka Betsy, drzemiąca za swą zasłonką, gdzie zwykle siedziała, dopóki lady nie pozwalała jej odejść do alkierzyka, wpuściła do kajuty pana Pattersona. Był on wyraźnie zdenerwowany; w krótkich słowach wyjaśnił lady, że przychodzi z polecenia pana Thompsona, i wyszedł z wielkim pośpiechem, pozostawiając na stole mały pakiecik.

Lady Ellen rozerwała papier i wyjęła z niego przyniesiony jej przedmiot. Był to pierścionek zaręczynowy z jej imieniem. Lady i mister Richard wymienili pierścionki tuż przed rozpoczęciem rejsu.

4

Gdy zaskoczeni w najwyższym stopniu pastor Redling i mister Patterson, przekroczywszy próg salonu, ujrzeni na ziemi dwóch szanownych dżentelmenów bultońskich, skoczyli, by rozdzielić bijących się, i w samą porę zdążyli wyrwać z rąk Grellego jego na wpół uduszoną ofiarę. Podczas gdy pastor, spryskując wodą twarz Richarda, usiłował go ocucić, Patterson odprowadził właściciela okrętu w kąt kajuty.

- Na miłość boską, sir Frederick, niech pan powie, co zaszło między wami? - spytał z niepokojem, widząc leżące na ziemi szpady. - Co się stało?

W tej chwili z nosa Thompsona buchnęła krew; jego nieruchome źrenice zmętniały, powieki opadły, twarz z sinej stała się kredowobiała i całym ciałem wstrząsnęły drgawki. Przerażony Patterson rzucił się na ratunek.

Grelli zamknął drzwi, uprzął szpady, podszedł do kanapy, na której jego przyjaciele ułożyli Richarda, i zmoczonym w wodce ręcznikiem sam otarł krew z twarzy i szyi swego wroga.

Oddech Richarda stał się teraz równiejszy. Adwokat otworzył oczy i ujrawszy trzech mężczyzn krzątających się koło niego uniósł się na łokciu.

- Proszę pamiętać, Thompson, że pańskie życie było w moich rękach i że je panu darowałem. Niechże i pan będzie dżentelmenem!

- Idź do diabła! - mruknął adwokat. - Panowie! - zaczął ogarnawszy pamięcią ostatnie wypadki. - Ten człowiek nie jest tą osobą, za którą się podaje. To zbrodniarz, który porwał kobietę i przywłaszczył sobie cudze nazwisko! Proszę wezwać kapitana, oficerów, lekarza! Tego człowieka - wskazał na Grellego - należy według prawa aresztować i oddać w ręce sprawiedliwości.

Grelli roześmiał się.

- Prawo pozostało za burtą tego okrętu, na którym wy wszyscy znajdujecie się w mojej mocy. Zmiażdżę cię, ty gryziopórku, pchający nos w nie swoje sprawy! Jeśli trzeba będzie, zatopię „Oriona” razem z wami wszystkimi.

- Zatapanie okrętów z niewinnymi ofiarami to zwykle zajęcie pirata Giacoma Grellego! -

rzucił z pogardą adwokata.

- Niech się pan uspokoi, mister Richard - błagalnym głosem wtrącił pastor. - Niech się pan uspokoi i opamięta!

- To zazdrość zaćmiła rozsądek pana Richarda - bełkotał wystraszony Patterson. - Widocznie ten mimowolny i... niewinny podziw, jaki pewna dama... jak i my wszyscy... niezmiennie żywimy dla sir Fredericka...

- Proszę milczeć, mister Patterson! I niech się pan nie waży wypowiadać imienia tej damy obok mojego! Panowie, wezwijcie kapitana! Musimy natychmiast aresztować pirata.

- Tak, niech pan idzie po kapitana, Patterson! - z wściekłością wychrypiał Grelli, widząc wahanie swego współnika. - Okręt był remontowany w pańskiej stocznicy i pan wie równie dobrze jak ja, że wystarczy w tej kajucie nacisnąć guzik, aby na ten tajemniczy sygnał zapłonął lont w prochowni okrętowej. Co prawda, nie jest panu wiadome, kto z moich ludzi to wykona, ale orientuje się pan dobrze, że moja łódź zdąży odbić wcześniej, nim maszty „Oriona” znikną pod wodą. Pana, który złamałeś naszą umowę, nie będzie oczywiście w tej łodzi, mister Patterson! Razem z panem mecenasem dostanie się pan rekinom, a ja z moimi ludźmi za dzień wyląduję na afrykańskim brzegu, a za pół roku wrócę do Bultonu. Powinien pan zdawać sobie sprawę, że ja nie ryzykuję nic oprócz straty brygu. Proszę, niech pan spełni życzenie pana Thompsona i przyprowadzi kapitana, to mi pomoże szybciej skończyć z tym kłębowskiem zmił na moim własnym okręcie!

- Ależ, drogi mister Frederick - zawołał Patterson, blady i aż nazbyt jasno pojmujący grozę własnej sytuacji. - I pan, mister Richard, niech się pan uspokoi! Opamiętajcie się, panowie, sprzeczka zawiodła was zbyt daleko! Nie jesteśmy na sali sądu kanclerskiego, nie ma tu szeryfów ani konstabli. Żyjemy na okręcie jak jedna wielka rodzina i wszelkie nieporozumienia powinny być załatwione na radzie rodzinnej. Usiądźmy przy stole, poprośmy gospodarza, by wyjął z lodu butelkę, i porozmawiajmy spokojnie. Czyż nie tak, wielobny pastorate?

Pastor milczał, zmieszany i zdumiony, usiłując zrozumieć coś z tego, co się tu działo.

- Rad jestem słyszeć słowa godne roztropnego dżentelmena - zmieniając ton powiedział gospodarz. - Lepsza słomiana zgoda niż złota niezgoda. Siadajcie, państwo, i pomóżcie panu Thompsonowi doprowadzić się do porządku.

Wygłosiwszy to pokojowe oświadczenie Grelli znikł za kotarą i po kilku minutach stanął przed zebranymi w swym zwykłym ubiorze, uczesany i umyty. Mister Richard, który tymczasem całkiem już przyszedł do siebie, siedział przy stoliku ponury, czując na sobie baczne, ostrzegawcze spojrzenie Pattersona.

Wezwany służący poszedł po Mortona. Na stole pojawiło się wino i kieliszki...

„Rada rodzinna”, zebrana w kajucie Grellego, debatowała dwie godziny. Po rozpoczęciu obrad zaproszono lady Emily. Nie była tam długo i wyszła z zapłakanymi oczami. Nie miała już przy sobie ani listu, ani kajetu w tłoczzonej oprawie.

Gdy panowie się rozeszli, nad morzem zapadała już noc. Po drodze do swej kajuty Patterson zajrzał do lady Stanford, aby wypełnić misję, jaką mu powierzył mister Richard. Ze wszystkich zamiarów Richarda, tak zdecydowanych i niezłomnych, tylko ten jeden jedyny - zwrot pierścionka - został zrealizowany.

Po wyjściu z „narady rodzinnej” adwokat czuł się tak, jak się musi czuć mucha, która wpadła do słoika z płynnym klejem. W kajucie zwałił się na łóżko i leżał z otwartymi oczami, utkwivszy tępe spojrzenie w płomień świecy, dopóki Patterson jej nie zgasił.

5

Jeszcze jedna z uczestniczek podróży na „Orionie” zadrezczała się skrycie, znajdując się w

stanie najwyższej rozterki.

Przy kołysce śpiącego chłopczyka, w czyściutkiej kajucie oświetlonej w tej chwili lampką oliwną, modliła się przed krucyfiksem młoda czarnooka kobieta. Gdy w ciszy zapadającej nocy przebrzmiały trzy krótkie podwójne uderzenia szklanek okrętowych, dziecko poruszyło się, otwarło senne oczy, tak samo czarne jak oczy kobiety, i cmoknąwszy wargami znów usnęło.

Kobieta słyszała, jak na pokładzie, prawie tuż nad oknem kajuty, przystanąły, rozmawiając cicho, lady Riland i miss Mary Morton.

Północnozachodni wiatr zmuszał kapitana do złożonych manewrów; okręt szedł halsami po pięć, sześć mil wzdłuż atlantyckich wybrzeży Afryki, zbaczając z zasadniczego kursu raz na wschód, raz na zachód. Słychać było zgrzyt łańcucha sterowego i dźwięczny głos Edwarda Wenta, który stojąc na mostku wydawał rozkazy wachtowym.

- Kurs?

- South-south-east, wzięłem trzy rumby w prawo - odpowiedział sternik.

- Tak trzymać!

- Tak jest, tak trzymać, panie poruczniku!

Po chwili młody oficer zbliżył się do rozmawiających dam.

- Przeciwny wiatr znosi nas na południe - powiedział.

- Czyżby nasz kurs nie wiódł wprost na południe? - zdziwiły się obie panie.

- Nie, mister Riland kazał płynąć ku wyspie Fernando Po w Zatoce Gwinejskiej. Spodziewa się tam uzyskać wiadomości o afrykańskiej wyprawie dwóch swoich okrętów. Tylko ten wiatr przeszkadza... Jutro przepełniemy równik, zrobimy zwrot o cztery, pięć rumbów i weźmiemy kurs na wschód. Jeśli wiatr się nie odmieni, będziemy musieli kilka razy powtórzyć ten manewr.

- Proszę powiedzieć, mister Went, czy te manewry i postój w Zatoce Gwinejskiej bardzo przedłużą naszą podróż? - z niepokojem spytała starsza lady.

- Trudno to powiedzieć. Być może o jakieś dwa tygodnie, o ile nie więcej. Ale za to już jutro zobaczą panie obrzęd chrztu nowicjuszy, gdy będziemy przekraczać równik.

- Widziałam to już niejednokrotnie na innych okrętach. Mnie też „ochrzczono” słońą wodą, gdy miałam dziesięć lat.

- Pani jest bywałą podróżniczką, lady Riland! A teraz na pewno czeka pani na wzejście gwiazd? Czy to prawda, że Krzyż Południa to ulubiony gwiazdozbiór pani małżonka?

- Tak, mister Went, on wierzy, że Krzyż Południa i Orion to jego szczęśliwe gwiazdy. O, proszę spojrzeć, jakieś ptaki przeleciały tam za rufą!

Obie kobiety podeszły do samej burty. Za rufą ciągnęły się dwie długie bruzdy, w których migotały zielonkawe iskierki, jakby tysiące świeczników żyło w wodach oceanu. Nad burtą bezszelestnie przeleciały dwa duże białe ptaki o sztywnych, długich skrzydłach.

- Albatrosy! - westchnął porucznik. - Migną tylko i znikają jak zwodnicza ułuda szczęścia!

Poetyczna melancholia porucznika rozśmieszyła lady Emily.

- O, mister Went - powiedziała - nie widzę powodu, dla którego nie miałby pan osiągnąć prawdziwego, bynajmniej nie złudnego szczęścia. Ono zawsze leży na zwyczajnej drodze, nie trzeba go szukać na drogach niezwykłych!

I zostawiwszy swą towarzyszkę z porucznikiem, by razem mogli podziwiać cztery gwiazdy Krzyża Południa, lady Emily pospieszyła do siebie.

Przechodząc obok jednej z kajut usłyszała swe imię wypowiedziane cicho, głosem drżącym i błagalnym. Przy uchylonych drzwiach, ukryta za muślinem zasłony, stała Dorotea Cenni.

- Błagam, signora, proszę mnie wysłuchać! Nie zawiniłam przecież niczym wobec pani!

- Przyjdź do mojej kajuty - tak samo szeptem odpowiedziała lady Emily. - Nie żywię w moim

sercu żalu do ciebie...

- Siadaj, Dorothy, i uspokój się - uprzejmie przyjęła lady młodą kobietę, która, wszedłszy parę minut później do kajuty, uczyniła gest, jakby chciała paść jej do nóg.

- O signora, już całkiem nie rozumiem, co się wokół dzieje. Od czasu, gdy Giacomo przywiózł nas z Italii, ogromny ciężar przytłacza moje serce, lecz dotąd wciąż żyłam nadzieją, że się wszystko zmieni na lepsze, i wierzyłam w to, co mówił mi Giacomo. Ale teraz już zupełnie przestałam go rozumieć.

- Nie umiem cię pocieszyć, Dorothy. Związałaś swoje życie z podłym niegodziwcem.

- Signora, kiedyś, w Italii, gdy był prostym marynarzem, a ja ledwo umiałam pisać, kochaliśmy się. Byłam szczęśliwa, gdy przychodził do małej chatki rybackiej, w której mieszkaliśmy razem z matką. Potem żeglował po morzach na szkunerze Bernardita i przywoził mi takie prezenty, że wszystkie dziewczęta w naszej wiosce żółkły z zazdrości! Gdy do Sorrento doszła wieść, że Bernardito i Giacomo utonęli na „Czarnej Strzale” gdzieś na dalekich wodach, starali się o moją rękę różni rybacy, lecz ja nie wierzyłam w śmierć Giacoma i przeszło rok czekałam na niego. I on przyszedł po mnie, przyszedł nocą, gdy cała nasza wioska pod Sorrento spała. Był ubrany jak jakiś wielki pan i powiedział, że mam go teraz inaczej nazywać. Długo nie mogłam nawet zapamiętać jego nowego nazwiska i mówiłam do niego po prostu „Frederico”.

„Zabiorę Dorotę i Antonia - powiedział mojej matce - do innego kraju, ale nikt nie powinien się dowiedzieć o mojej przeszłości. Jedno nieostrożne słowo może nas wszystkich zgubić...”

Przyjechaliśmy do Anglii na jego własnym okręcie i zamieszkaliśmy na przedmieściu Bultonu. Giacomo często nas odwiedzał i był dla mnie dobry i czuły. Mego brata Antonia, który ukończył wtedy trzynaście lat, zrobił swoim groomem i zabrał do swego domu w Chancefieldzie, a ja zostałam sama na bultońskim przedmieściu i co wieczór czekałam na Fredericka. Mówił, że nas kocha, ale ja czułam, że jesteśmy mu do czegoś potrzebni, lecz nie wiedziałam, do czego!... Antonio nadal był w Chancefieldzie, a mnie Giacomo zawiózł do Paryża, gdy mu powiedziałam, że wkrótce zostanę matką. Jak on się wtedy ucieszył!

Już przedtem wiedziałam, że ma w zamku żonę, ale on mi mówił, że pani, signora, nie jest prawdziwą żoną. W Paryżu Giacomo oświadczył mi, że jeśli urodzi się syn, to dla szczęścia dziecka trzeba będzie udawać przed ludźmi, że to pani syn, lady. A ja miałam być tylko piastunką własnego dziecka! Nie śmiałam mu się sprzeciwiać. Jemu nie wolno się sprzeciwiać, lady! Wkrótce urodził się Charles. A jeszcze przedtem pani przyjechała do Paryża i gdy wstałam po połogu, wróciliśmy wszyscy troje na statku pocztowym do Anglii. Wtedy zrozumiałam, że wyjazd do Francji miał ukryć przed służbą, że to nie jego żona, ale ja wydałam na świat dziecko.

Po tym, jak pastor Redling ochrzcił w zamku mego Charlesa, przepłakałam wiele nocy. Przecież i pastor, i wszyscy ludzie uważali panią za matkę małego, i tak zostało zapisane w jego papierach. A ja... ja jestem tylko niańką...

Giacomo kocha dziecko nad życie. Tak często się z nim bawi i zawsze tak pięknie malował przede mną przyszłość naszego syna! Pragnie, by chłopczyk został kiedyś wielkim panem - lordem, biskupem albo ministrem, i aby ludzie kłaniali się jemu, synowi angielskiego wicehrabiego, a nie pirata Giacoma Grellego!

- Dostyc, Dorothy - znużonym głosem przerwała jej lady Emily. - Te wszystkie szczegóły są mi równie dobrze znane jak tobie. Wspominanie ich jest dla mnie przykre i bolesne. Jakie nowe zmartwienie cię sprowadza?

- Rozumiem panią, signora! I od dawna już widzę, że pani nienawidzi Giacoma, a on boi się pani. Nigdy jednak nie uczyniła pani krzywdy ani mnie, ani mojemu biednemu dziecku. W duchu zawsze współczułam pani... A gdy ujrzałam panią klęczącą przed Madonną i przekonałam się, że obie wyznajemy tę samą wiarę, jeszcze bardziej zrobiło mi się pani żal... Myśl, że Giacomo wraz z nazwiskiem zmienił również i wiarę, przejmuje mnie trwogą.

- Dorothy, już cię prosiłam, byś opowiedziała o swych ostatnich zgryzotach! Zostawmy te stare sprawy, w niczym ci tu pomóc nie mogę.

- Signora! Gdy „Orion” przybył do Bultonu, Giacomo powiedział, że popłyniemy w rejs na daleką wyspę i wrócimy już bez pani.

- Beze mnie? Jakież los czeka mnie podczas tego rejsu?

- Tego mi nie mówił, ale przyrzekł, że po powrocie z wyspy ożeni się ze mną i Charlie będzie mi mówił „mamo”.

- Dlaczego więc postanowiłaś zdradzić mi tę tajemnicę?

Twarz Dorothei wykrzywił grymas gniewu; oparła brodę na zaciśniętych pięściach i mówiła szeptem, namiętnie i ze wzburzeniem:

- Widzę, że on okłamuje nie tylko panią, ale i mnie. Lady Stanford... ta zła, dumna lady... to ona zostanie wicehrabiną Chancefieldu...

- Skąd o tym wiesz?

- Podśledzałam ich w nocy... On ją całował i nazywał... przyszłą lady Riland...

- Posłuchaj więc mojej rady, Dorothy. Nie mogę ci wyjawić powodów, dla których muszę milczeć, a nawet pomagać twemu Giacomo w utrzymywaniu w błędzie całego miasta. Ale jest wyższa sprawiedliwość i ta nie dopuści, by owo oszustwo trwało bez końca. Wiedz, że Giacomo Grelle wcześniej czy później zostanie oddany w ręce kata. Ale dziecko nic tu nie zawiniło. I jeśli chcesz, Dorothy, by twój syn wyrósł na porządnego człowieka, uciekaj z nim spod dachu Grellego.

- Na Boga, signora! Pani jeszcze nie zna Giacoma! On mnie odnajdzie nawet na dnie tego oceanu! Boję się go, signora... i... ja... też już przywykłam marzyć o świetnej przyszłości swego syna... A jakież los czeka moje biedne dziecko, jeśli zostanę z nim sama, w nędzy?

- Po cóż tedy przyszłaś do mnie prosić o radę? Idź do Giacoma Grellego i proś go, by cię zostawił w swoim domu jako niańkę, gdy twój syn zostanie powierzony opiece lady Ellen... albo decyduj się szybko i uciekaj wprost z tego okrętu. Mam pieniądze, pomogę ci.

- Boże, jakie to wszystko straszne! Nie wiem w tej chwili, co odpowiedzieć, ale będę pamiętała o pani radzie i dobroci. Dobranoc, signora, pójdę teraz do małego.

Gdy Dorotea wyszła, do uszu lady Emily dobiegł jakiś szmer za ścianą kajuty. Wzburzona rozmową nie zwróciła na to uwagi i jeszcze raz wyszła na pokład.

Nad widnokregiem błyszczał jasno Krzyż Południa.

Na mostku stał kapitan Brantley, który objął właśnie nocną „psią” wachtę. Wiatr igrał z pióropuszem nad jego wielkim, trójgraniastym kapeluszu. Oparty na rękonożki szpady kapitan patrzył uważnie przed siebie. Jego potężna, męska postać tchnęła odwagą i prawością. Nie zauważył lady Emily, która nagle przypomniała sobie słowa Dorotei, że okręt z tą samą załogą, z tym samym kapitanem, ale już bez niej ma powrócić do Anglii. Co ją czeka? Jaki nowy zdradziecki cios gotuje w ciemności ręka pirata Giacoma Grellego? Po dzisiejszej „naradzie rodzinnej” aż nadto jasno zrozumiała, że nie ma sprzymierzeńców i nie może znikąd oczekiwać pomocy, dopóki nie osiągną upragnionego celu podróży.

A tam? Co czeka ją tam, gdzie sprawiedliwość ma skrzyżować szpadę ze zbrodnią?

Tymczasem z małego, sąsiadującego z kajutą lady Emily i zwykle zamkniętego alkierzyka, gdzie złożony był bagaż lady Stanford i gdzie spała jej pokojówka Betsy, z zachowaniem największej ostrożności wymknęła się tęga, niemłoda osoba w czepku i białym nocnym kaftaniku.

Rozejrzała się dokoła i widząc schodzącą z pokładu lady Emily, mimo swej tuszy zręcznie dała nura w korytarz i po chwili zniknęła w kajucie lady Stanford.

Nie zaskoczona bynajmniej obecnością o tak niezwyklej porze pana Rilanda, Betsy, ta prawdziwa perła pośród pokojówek, poprosiła swą panią za kotarę i tam szeptała jej coś do ucha przez parę minut. Gdy wreszcie pani kazała jej pójść spać, wróciła do siebie, dość głośno zamknęła drzwi, rozwiązała sakiewkę wyjętą spod materaca i wrzuciła do niej

nowiutką srebrną monetę.

6

Szesnastego października przed południem huknął na „Orionie” wystrzał armatni i rozległ się głos dzwonu okrętowego.

Do kajuty ogólnej, gdzie pasażerowie siedzieli jeszcze przy lunchu, wszedł drugi oficer mister Geoffrey MacRail i poprosił całe towarzystwo na pokład. Załoga przygotowała się, by uczcić przejście przez równik.

Okręt przybrał odświętny wygląd. Wszystkie mosiężne części, poręcze i ozdoby lśniły tak oślepiająco, iż „Orion” zdawał się pławić w promieniach tropikalnego słońca.

Na rejach powiewały flagi i wimpe. Deski świeżo malowanego pokładu, wyszorowane i osuszone, były pokryte dywanami. Wielki kobierzec z kajuty ogólnej rozłożony był pośrodku wolnej przestrzeni na baku. Goście zasiedli na przygotowanych dla nich ławkach, cała zaś załoga, odświętnie wystrojona, ustawiła się wzdłuż burt.

Na dywanie, pod baldachimem z portier, siedział na tronie „Neptun”. Długa broda z łyka sięgała aż do ziemi. Płaszcz boga mórz zdobiły muszle perłowe i najróżniejsze emblematy.

Bóstwo z ważną miną potrząsało trójzębem. Za tronem stało dwóch czarnych, obnażonych do pasa Senegalczyków, powiewając nad głową władcy oceanów wachlarzami z gałęzi palmowych.

- Widzę jakiś okręt. Wezwać tu do mnie kapitana! - z powagą rzekło bóstwo.

Dwie syreny z rybimi ogonami - w tej odpowiedzialnej roli boskich posłańców pasażerowie bez trudu rozpoznali majtków okrętowych - skoczyły na mostek po kapitana.

Guy Brantley w paradnym uniformie, ze wszystkimi orderami, z czcią podszedł do tronu.

- Co to za okręt zbliża się do równika na moim oceanie? - zwrócił się Neptun do kapitana.

- Bryg „Orion”, o boski władco mórz, pod dowództwem kapitana Brantleya.

- Znam tego kapitana i jego sławny okręt! Niech staną przed moim tronem wszyscy pasażerowie i członkowie załogi, którzy po raz pierwszy przekraczają równik!

Dwaj marynarze stojący przy przeciwległych burtach, z płóciennymi węzami od pomp przeciwpożarowych w rękach, gotowi już byli na przyjęcie pochodu. Z dwóch stron trysnęły silne strugi wody i nie zderzając się ze sobą utworzyły wodny łuk, pod którym Neptun poprowadził swoich gości.

Gdy tylko bóstwo i pierwsza para - lady Stanford i mister Patterson - „przekroczyli równik”, marynarze opuścili niżej węże. Dwie przeciwległe strugi wody zderzyły się w powietrzu i deszcz bryzgów spadł na przechodzących; z mokrymi głowami i ramionami „nowicjusze” - pasażerowie i ich służba - usiłowali spieszenie wydostać się spod słonego prysznicy.

Prawdziwa jednak uciecha zaczęła się dopiero, gdy przyszła kolej na młodych majtków. Ścigani przez strugi wody, miotali się po pokładzie przy wtórze śmiechu całej załogi. Kiedy zmoczeni do nitki uciekli w końcu od wodnych strug, ustawiono ich przy burcie i kazano wypatrywać wśród fal... pas równika! A gdy tak stali wpatrzni w morze, z tyłu podkradł się sam Neptun i wylał nowicjuszom za kołnierz dwa kubły zimnej wody.

Po chwili obryzgni wodą pasażerowie i przemoczeni marynarze znaleźli się przed stołami nakrytymi na pokładzie. Przeszli tu też z rufy wszyscy bywali żeglarze, którzy nie brali udziału w dzisiejszej ceremonii. Na baku pozostał tylko właściciel okrętu i Dorotea z dzieckiem na ręku. Neptun pospieszył ku nim. Grelli wziął dziecko od kobiety, czule przycisnął do piersi i z synem na rękach przeszedł pod wysokim wodnym łukiem. Neptun ostrożnie spryskał chłopczyka garścią słonej wody oceanicznej. Załoga krzyknęła „hura!”, trzeci oficer Joseph Lorn dał znak ręką i salut armatni zmieszał się z pieśnią marynarzy „Oriona”, ułożoną przez Edwarda Wenta.

*Jeśli chmura blask księżycy
Przesłania
I podnosi się spieniona
Zła fala,
 Znaczy to, że bóstwo morskich
 Odmętów
 Gniewa się na kapitanów
 Okrętów.
Nasz stary przy kole stoi Sterowym;
Wzrok podnosi ku niebiosom Surowy.
My te burze, niepogodę
Już znamy
 I niestraszne dla nas wody
 Nieznane!
 Znowu się rozjaśni groźny Nieboskłon
 I zaświeci wielogwiazdny Orion!
Znowu jutro popłyniemy
W szafirze
I ze śmiechem zapomnimy
O burzy!*

„Neptun”, który po zdjęciu płaszcza i brody okazał się bosmanem Olsenem, zasiadł u góry stołu dla załogi. Kapitan Brantley podał ramię lady Emily, Grelli - lady Stanford i obaj poprowadzili damy do stołu wyniesionego na świeże powietrze. Obok zajęli miejsca oficerowie i pasażerowie.

Kapitan dał znak. Przy stole zapadła cisza. Pastor Redling wstał i odmówił modlitwę. Znow huknęła salwa armatnia, zadzwoniło szkło kielichów po pierwszym toaście i zaczęła się uczta trwająca do samego wieczora.

A gdy czwórka najlepszych tancerzy spośród marynarzy puściła się w tany, uczującym rozbłysły oczy i na ich twarzach wygładziły się bruzdy wryte przez troski. Tylko „niania” Charlesa, Dorotea, biorąc znow dziecko na ręce, poczuła na sobie baczne, niedobre spojrzenie Grellego. Zapominając od razu o święcie i weselu, uciekła do swej kajuty i gorzko zapłakała, przypadłszy twarzą do białej koronkowej zasłony nad kolebką swego synka.

Rozdział piąty

Leopard i szakale

1

W ostatnią niedzielę października o świcie pokład „Oriona” był pełen ludzi; ani jeden marynarz nie pozostał w kubryku, ani jeden pasażer w kajucie. Wykonawszy - z powodu przeciwnych wiatrów - dość wymyślny zygzak na wodach równikowych bryg zbliżał się wreszcie do zatoki oddzielającej wyspę Fernando Po od wybrzeży Gwinei.

Słońce, przesłonięte leciutką mgiełką, wstawało zza fioletowej dali afrykańskiego lądu. Z tumanu oparów wylaniał się ledwo widoczny na wschodzie stożkowaty szczyt wulkanu Mały Kamerun, otoczony łańcuchami gór. Nawet bez lunety widać już było afrykański brzeg z jego fantastycznymi rudymi skałami i intensywną zielenią tropikalnej dżungli. Z lewej burty wyrastało z wolna wybrzeże górzystej wyspy Fernando Po. Bryg płynął naprzód z coraz większą ostrożnością...

Gdy fale roziskrzyły się w pierwszych promieniach słońca, „Orion” wszedł do zatoki Santa Isabel u stóp potężnej góry o tej samej nazwie. Kapitan Brantley otrzymał rozkaz, by tu rzucić kotwicę.

Na brzegu zatoki, wśród bujnej zieleni palm kokosowych, przycupnęło kilka domków budowanych na sposób europejski, a należących do portugalskiej faktorii handlowej i potomków jakichś dawno zapomnianych misjonarzy. Ci dalecy przodkowie - portugalscy katolicy i angielscy baptyści - osiedlili się tu jeszcze w ubiegłym stuleciu. Oddzieleni od swych krajów ojczystych tysiącami mil oceanu, zapomniani zostali wkrótce zarówno przez kościół, jak i kompanie handlowe. Doczesne szczątki owych misjonarzy od dawna już spoczywały na miniaturowym chrześcijańskim cmentarzysku u stóp Pico di Santa Isabel, a ich potomkowie mieszały się z tubylcami, uprawiali maniok, kukurydzę i banany, pili wino palmowe, handlowali z krajowcami i zgodnie z tradycją przodków krzewili wśród nich wiarę chrześcijańską, bez zbytniego zresztą powodzenia.

Stojący na mostku kapitańskim właściciel „Oriona”, z wyteżoną uwagą wpatrywał się przez lunetę w zbliżającą się wyspę. Zlustrował każde załamanie wybrzeża i widocznie nie zadowolona go ta obserwacja, gdyż zmarszczył brwi, z trzaskiem złożył lunetę i rzucił rozkaz kapitanowi, by się pospieszono.

Załoga zwijała żagle, mokre jeszcze od nocnej wilgoci. Z kluzy opadł z łoskotem łańcuch kotwicy dziobowej, która z pluskiem zanurzyła się w zielonkawą, przejrzystą aż do kamienistego dna morską wodę.

Nagle gdzieś daleko, pośród spiętrzonych skał nadbrzeżnych, ukazał się jak gdyby malutki kłaczek waty. Huk wystrzału armatniego, płosząc ptaki, przetoczył się nad wodą i odbił się echem w lesistych górach. Grelli i Brantley skierowali lunety na obłoczek dymu i dopiero teraz dojrzeli w oddali niewielki szkuner, mistrzowsko ukryty wśród skał. Na maszcie szkunera ukazała się flaga. Kapitan Brantley wpatrzył się uważniej w sylwetę dalekiego statku... i powinszował właścicielowi „Oriona” szczęśliwego spotkania: przed nimi, w odległości zaledwie kilku mil, znajdował się drugi okręt kompanii - szkuner „Gloria”.

Teraz „Orion” odpowiedział wystrzałem. Na grotmaszcie brygu zatrzepotał na znak powitania wimpel z herbem właściciela. Kapitan Brantley i porucznik Went popłynęli ku brzegowi, w stronę najbliższego budynku, obok którego wznosił się flagsztok i przechadzał się tam i z powrotem bosy oberwaniec w słomianym kapeluszu, ze strzelbą na ramieniu.

Grelli, Patterson, MacRail i Lorn siedzieli w kajucie kapitana „Oriona” i z niecierpliwością

oczekiwali przybycia kapitana „Glorii”.

Tymczasem na pokład „Oriona” wyszła Dorotea Cenni, prowadząc za rączkę małego dziedzica Chancefieldu. Stąpając niepewnie na mocnych, tłustych nóżkach i czepiając się spódnicy matki, malec wygramolił się na pokład i dreptał teraz po nagrzanym deskach. Dorotea przyniosła wyplatany fotelik dla siebie i pluszowego niedźwiadka dla dziecka. Ale dokoła działo się zbyt wiele ciekawych rzeczy, by warto się było zajmować zwykłymi zabawkami. Pluszowy miś z zadartymi do góry łapkami leżał porzucony na pokładzie, a Charlie jak urzeczony patrzył na wodę.

Do brygu zdążyły już podpłynąć dwie łodzie z krajowcami. W łódkach leżały stopy ogromnych morskich muszli, korale i naszyjniki, strusie pióra, „piły” i „miecze”, stanowiące niegdyś „uzbrojenie” groźnych, drapieżnych ryb, orzechy kokosowe, niewielkie kły słoniowe, złociste ananasy i melony, banany i daktyle. Wykrzykując gardłowe, niezrozumiałe słowa, nadzy Murzyni oferowali swe towary pasażerom brygu.

Pierwsza łódź z jednym wioślarzem była już przy samym trapie okrętu. Dorotea podeszła z dzieckiem do trapu. Rosły tubylec o kędzierzawych włosach, spiętych na karku grzebieniem z rybiej ości, zaczął jej podawać z łodzi soczyste owoce.

Naraz jakiś cień przesłonił Dorotei słońce. Uniosła głowę i zobaczyła przed sobą Mulata Enrico Roya, który bacznie obserwował jej handel z wyspiarzem.

Pragnąc obejrzeć z bliska prześliczne muszle perłowe, Dorotea chciała zejść do łodzi. Lecz w tejże samej chwili Mulat powstrzymał ją i w milczeniu pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie wolno jej schodzić z trapu.

Dorotea wróciła z dzieckiem i swymi zakupami na poprzednie miejsce i dopiero teraz zwróciła uwagę, że Mulat też ulokował się w pobliżu jej fotela, pod narożnikiem płóciennego tentu.

Lady Emily, Mary Morton, Richard Thompson i pastor Redling poprosili bosmana, by spuścił dla nich na wodę łódź, i zaproponowali Dorotei wspólną przejażdżkę na brzeg. Ucieszona kobieta chwyciła dziecko na ręce i pobiegła w stronę trapu. Obie damy siedziały już w łodzi.

Jednakże gdy tylko Dorotea zbliżyła się do trapu, znów wyrosła przed nią postać Mulata, który zagroził jej drogę.

- Miss Dorothy - szepnął Enrico Roy - sir Riland nie pozwala pani zejść z okrętu!

- Ladies - zwrócił się do dam siedzących w łodzi - miss Dorothy prosi, by płynąć do brzegu bez niej. Natomiast lady Stanford prosiła, by na nią zaczekać. Zaraz tu będzie. O, jest milady.

2

- A zatem, mister Patterson, zaraz się dowiemy o pierwszych rezultatach wyprawy, którą przygotowałem pół roku temu - mówił Grelle patrząc przez okno kajuty na szybko zbliżającą się łódź z „Glorii”. - „Dorotea” też powinna przybyć na te wody, jej kapitan otrzymał rozkaz, by spieszył ku afrykańskim wybrzeżom z ładunkiem, który wiezie z Ameryki Południowej. A oto i kapitan „Glorii”. Witam, mister Wilson!

Kapitan „Glorii” - niski, tęgi mężczyzna o zachrypniętym głosie - uściśnął dłoń Grellego, zadzierając ku niemu głowę i mrugając raz po raz jasnymi, bezbarwnymi rzęsami. Jego lśniące od potu, pokryte rudym zarostem policzki wspierały się o kołnierz dość brudnego munduru. Czerwona twarz tak gęsto była osypana piegami, jakby pędzel nieostrożnego malarza zbryzgał oblicze pana Wilsona żółtą farbą.

- Pozwoli pan, mister Wilson, że go zapoznam... Mister Patterson - mój wspólnik, Joseph Lorn - pierwszy oficer. Pana MacRaila już pan zna... Może pan mówić całkiem swobodnie.

Kapitan wyjął rogową tabakierkę i pociągnął potężny niuch tabaki. Kichnął ogłuszająco i dopiero wtedy zaczął mówić rwącym się głosem, przechodzącym w chrapliwy bas, to znowu

nieomal w poufny szept.

- Panowie, pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że nikt z panów nie pożąda pieniędzy włożonych w tę zupełnie wyjątkową wyprawę. Tak, wyjątkową, panowie, albowiem już co najmniej od stu lat żaden europejski okręt nie zapuszczał się aż do ujścia rzeki Kuorrry*.

- Do diabła z historią, Wilson, nie jesteśmy na posiedzeniu Królewskiego Towarzystwa Geograficznego. Gdzie jest drugi szkuner? Czego się dowiedzieliście? Jak wygląda sprawa... werbunku?

- Ależ, sir, pan mi nie daje dojść do słowa! - obrażonym basem wychrypiał marynarz. - Dalibóg, ta wyprawa mogłaby nas wsławić wobec uczonych mężów całej Europy, gdyby jej przyświecały... nieco inne cele. I niech mnie piorun strzeli, jeśli ja i mister O'Heary nie narażaliśmy się na to, że zostaniemy złożeni na ołtarzu ofiarnym jakiegoś afrykańskiego bożka!

- Dobra, kapitanie, niech się pan nie gniewa! - Grelli dał znak oczami i na stole, jak na stoliku magika, z zadziwiającą szybkością pojawiły się butelki i szklaneczki. - Niech pan przepłucze gardło i, na litość boską, nie wystawiaj pan na próbę naszej cierpliwości, streszczaj się pan!

Kapitan Wilson „przepłukał gardło” dwiema szklaneczkami whisky i jego wilgotne czoło rozpozodziło się.

- A wiec, panowie, półtora roku temu, w czasie rejsu na Złote Wybrzeże zaangażowaliśmy z kapitanem „Dorotei” byłego agenta pewnej splajtowanej bostońskiej firmy zajmującej się handlem niewolnikami, niejakiego mister Cyrusa Erwina O'Heary, Amerykanina pochodzenia irlandzkiego, wielkiego asa w handlu „hebanem”. Na krótko przedtem, nim go poznaliśmy, ów mister O'Heary bywał w takich zakątkach Gwinei, gdzie już od dawna nie powstała noga białego człowieka i które rokują przedsiębiorczym dżentelmenom niemałe korzyści, co prawda połączone z równie dużym ryzykiem.

Mister Patterson nie odrywał oczu od Wilsona. Grelli marszczył brwi i niecierpliwie uderzał obcasem o podłogę, jakby chciał przynaglić opowiadającego.

- Królestwo Edo, kraj Wielkiego Benina, murzyńskie królestwo u ujścia potężnej Kuorrry - oto ów skarbiec, do którego mister O'Heary pragnie dobrać... kluczyk!

- Przyznam się, że nic z tego nie rozumiem - z rozczarowaniem odezwał się Patterson. - Cóż może być ciekawego dla nas w tym państwie Edo?

- Jeszcze chwila cierpliwości, sir. Zaangażowany przez nas mister O'Heary opracował śmiały plan wyzyskania głównego, że się tak wyrażę, bogactwa naturalnego tej krainy, którym jest czarna ludność. Jest ona bardzo liczna i powiedziałbym, diabelnie zręczna, jeśli idzie o różne pożyteczne rzemiosła, nie mówiąc już o tym, że czarni z plemion Edo są wyjątkowo rośli i silni... Mister O'Heary przedłożył jeszcze w Anglii swój plan panu Rilandowi...

- I oto jesteśmy tu, Wilson, lecz jak dotąd nie wiemy o przebiegu wyprawy więcej, niż wiedzieliśmy odpływając z Bultonu!

Patterson usilnie starał się pochwycić sens relacji kapitana. Dręczyły go wątpliwości. Bał się, by nie wpadł i nie został oszukany. Niedowierzanie i chciwość kotłowały się w nim niczym ślód i jęczmień w młodym piwie.

Co właściwie szczególnego jest w tym planie O'Heary? Dlaczego połączony jest z ryzykiem? Jeśli jest tak korzystny, jak tu starają się nam wmówić, to dlaczego taki plan nie przyszedł do głowy jeszcze komuś innemu?

Uczucia nurtujące Pattersona odbijały się aż nazbyt wyraźnie na jego twarzy. Grelli bez zbyteńnego trudu odgadł wątpliwości swego współnika i mrugnął do Wilsona.

- Widzi pan, mister Patterson - poufnym tonem podjął znów kapitan „Glorii” - tutaj handel czarnym towarem nie jest sprawą tak prostą, jak to pan sobie widocznie wyobraża. Delta Kuorrry to nie Złote Wybrzeże, Aszanti czy Dahomej. Zasoby ludzkie są tam już mocno

* Kuorra - lokalna nazwa dolnego biegu rzeki Niger.

uszczupełone, ceny na Murzynów poszły w górę i handel niewolnikami coraz mniej się opłaca. Natomiast tu w dolnym biegu Kuorrry, Europejczycy od dawna się nie pokazują. Odstrasza ich zabójczy klimat, trudności żeglugi, głównie zaś - potęga tutejszych państw murzyńskich, przede wszystkim państwa Edo, czyli Benin, jak je nazywają od stolicy tego kraju.

Patterson w zdziwieniu unióśł brwi.

- Potęga? O jakiej potędze pan mówi? Mowa przecież o brudnych, nagich Murzynach, czyż nie tak?

- Hm... Widział ich pan brudnych i nagich na targach niewolników... U siebie w domu to doskonalni odlewnicy, tkacze, budowniczości i rolnicy. Władca Benina, obba, jak go nazywają, według słów O'Heary mieszka w prawdziwym pałacu. W Beninie jest dużo wojska, są obrotni kupcy i silna kasta kapłanów... Tu, w dolnym biegu Kuorrry, leży niemało większych osiedli różnych czarnych plemion, ale najpotężniejsze z nich to Edo, czyli Benin. Jeszcze dwieście lat temu nierzadkimi gośćmi w Beninie byli Holendrzy i Portugalczycy, którzy zakładali tu swe faktorie i nieźle zarobili na handlu czarnoskórymi. Niestety, władcy Benina szybko zrozumieli, że w rezultacie swej gościnności mogą pozostać... bez poddanych. Dlatego, diabli by ich wzięli, woleli wyrzec się chrześcijaństwa i cywilizacji i zamknęli Europejczykom dostęp do swego państwa. Tym, którzy odważą się ten zakaz przekroczyć, jak również białym jeńcom grozi śmierć na ołtarzu ofiarnym. Jak opowiada O'Heary, tamtejsi kapłani bardzo lubią składać ofiary z ludzi - pomaga to utrzymać, że tak powiem, w bojaźni bożej czarne owieczki...

Pattersona dreszcz przeszedł.

- To wszystko brzmi jak bajeczka dla dzieci! - mruknął z jeszcze większym niedowierzaniem. - A jeśli jest w tym chociaż cień prawdy, to... po jakiego licha pchaliśmy się tutaj, w te przeklęte strony?

- A teraz proszę posłuchać, co mi jeszcze w Bultonie zaproponował O'Heary - wtrącił Grelli. - Gdy udało mu się przedostać z Dahomeju do Benina, stwierdził, że to murzyńskie państwo jest osłabione przez nie ustające właśnie pomiędzy feudałami i kapłanami z jednej, a obbą - z drugiej strony. Miasto Benin, otoczone fosą i murem, mocno ucierpiało w tych walkach wewnętrznych. O'Heary widział uszkodzony pałac obby. Na skutek owych zamieszek państwo chyli się ku upadkowi i tę właśnie okoliczność można wykorzystać, jak słusznie rozumuje nasz mister O'Heary. Udało mu się potajemnie wejść w porozumienie z wrogo usposobionym dla króla czarnym wielmożą imieniem Ezomo-Iszan. W tej walce przeciwko obbie ów Ezomo-Iszan, murzyński feudał czy kapłan, potrzebuje broni palnej. O'Heary otrzymał od niego przyrzeczenie, że w zamian za partię broni i jakieś tam niewymyślne podarki przepuści pod ochroną swoich wojowników dwa nasze lekkie statki w dół Kuorrry i odstąpi nam swych pięciuset czarnych poddanych. Ezomo-Iszan rozporządza wojskiem w sile pięciu tysięcy ludzi i ma z dziesięć tysięcy własnych niewolników. Jego ludzie zabezpieczają, że tak powiem, tyły naszej wyprawy przed nieprzyjemnymi niespodziankami ze strony benińskiego obby i wszelkich innych królików plemion Joruba, Nupe, Hausa i jak tam się one jeszcze zowią... Czy sytuacja jest już dla pana jasna, mister Patterson?

- N-n-ie, niezupełnie... Przecież potrzebna jest partia broni? I gdzie gwarancja, że ten Ezomo-Iszan nie chce nas wciągnąć po prostu w pułapkę?

- Partia broni znajduje się na „Glorii”, której kapitan siedzi przed nami. Pozostałe towary - na szkunerze „Dorotea”. Jest tam proch, tytoń, rum jamajski i różne świecidełka. Gdzie jest w tej chwili „Dorotea”, Wilson?

- Dobrze ukryta niedaleko Gato, opuszczonej portugalskiej faktorii u ujścia Kuorrry. Nigdzie w pobliżu nie ma czarnych - na tę okolicę przezornie nałożono dla Murzynów tabu... Czekaliśmy tylko na pańskie przybycie, sir Riland. Wszystko gotowe do wymiany towarów na czarnoskórych...

- Świetnie! Trzeba działać natychmiast, aby jakieś obce szczury nie zwęszyły zdobyczy i nie

chciały się przy nas pożywić. Co się zaś tyczy gwarancji za całość naszej skóry, mister Patterson, to niestety muszę pana zmartwić - nie jest ona całkiem pewna. Każdą wygraną okupuje się ryzykiem. Im ryzyko większe - tym większa wygrana... No, a teraz do rzeczy, panowie... Bryg „Orion” pozostanie przez dwa tygodnie tutaj, w zacisznej zatoce Fernando Po. W ciągu tych dwóch tygodni musimy się uwinąć z całą operacją. W tej chwili moja obecność na „Orionie” nie jest konieczna. Lady Stanford będzie miała na oku pastora Redlinga i tutejszych misjonarzy, Roy będzie pilnował Dorotei, Thompsona polecam pańskiej opiece, MacRail. Spośród załogi może pan polegać na Jensenie i Caraccioli. A nas, panowie Patterson i Lorn, czeka przyjemna wycieczka najpierw sto pięćdziesiąt mil do ujścia Kuorry, a potem prawdopodobnie popłyniemy w górę tej ciekawej rzeki... Nie mam zamiaru kupować pół tysiąca „kotów w worku”, sam chcę popatrzeć na swój towar, który ma pójść do Ameryki... Dzentelmeni, którzy pozostają na brygu, nie powinni oczywiście niczego się domyślić. Trzeba im będzie powiedzieć, że nie możemy się oprzeć pokusie i korzystamy z okazji, by zapolować na słonie i hipopotamy, prawda? Wilson, niech pan natychmiast przygotowuje „Glorię” do drogi. W handlu szybka dostawa to grunt, panowie! Grelli był niezwykle podniecony. Oczy mu błyszczały, rozdymały się nozdrza orlego nosa. Jego podniecenie udzieliło się Pattersonowi.

„Pirat! Prawdziwy morski rozbójnik! - myślał spoglądając na swego współnika. - Ale jaka energia, namiętność, nieprzebieranie w środkach! Ten człowiek jest urodzony, by podporządkować sobie innych. Nie, tacy jak on są niezbędni dla społeczeństwa! Kimkolwiek byłby w istocie, poświęcenie go gwoli jakiejś staromodnej sprawiedliwości to wręcz niepowetowana strata dla całego naszego handlu! A dla mnie osobiście równałoby się to niemal ruinie! Ten łotr tak szybko zawładnął moim kapitałem i tak mocno wciągnął mnie w swoje interesy, że gdyby się z nim stało jakieś nieszczęście, przepadną wszystkie moje pieniądze i kuszące nadzieje. Albowiem ten człowiek nie będzie czekał, aż szeryf położy mu dłoń na ramieniu! Na swym diabelskim „Skrzydlatym”, który ja sam pomagałem mu zbudować, przyjmie walkę z całą brytyjską flotą. I co z tego, że w końcu znajdzie się na dnie? Razem z nim pójdzie na dno i moje sześć tysięcy funtów!”

W dwa dni później, pod wieczór, szkuner „Gloria” zbliżył się ostrożnie ku delcie Kuorry. Potężna rzeka spokojnie toczyła swe żółtawe fale. Czternastoma ramionami Rzek Oliwnych wdzierały się one w zieloną morską toń i mętnobrazowe strugi słodkiej rzecznej wody na przestrzeni wielu mil odcinały się wyraźnie od wód oceanu.

Na okręcie znajdował się już locman-krajowiec, przysłany przez Ezomo-Iszana. Był to Murzyn z plemienia Kru, cały pokryty tatuażem. Stojąc na mostku kapitańskim wskazywał drogę do jednego z pustynnych ramion delty... Z zapadnięciem zmierzchu wypłynęła stamtąd duża tubylcza łódź z dwunastu wiosłarzami. Pod osłoną tropikalnej nocy łódź zbliżyła się do szkunera, wzięła go na cumę i bezgłośnie powiodła ku delcie... Cała załoga „Glorii” przycisnęła się u fałszyburty, Joseph Lorn, trzymając w każdej ręce pistolet, nie spuszczał oka z tubylców w łodzi.

Patterson kręcił się po pokładzie w męczącym oczekiwaniu dalszych wypadków. Cichy plusk wiosel, krótkie słowa komendy, wypowiedane szeptem, dalekie krzyki jakichś nocnych ptaków na brzegu - te wszystkie odgłosy wydawały mu się złowieszcze. Gdzieś daleko na brzegu migotały światelka, widocznie rybacy rozpalali ogniska, ale jemu za tymi nikłymi światelkami zwidywali się wrogowie gotujący nieuniknioną zasadzkę...

W pewnej chwili stojący na mostku Grelli zawołał na niego półgłosem. - O tam - wskazał ręką w kierunku najbardziej na zachód wysuniętego ramienia delty - zupełnie niedaleko, o jakieś sto mil od nas, leży stolica Edo, Wielki Benin. Niejeden uczoney-geograf mógłby panu pozazdrościć, mister Patterson! Być może i pan marzy w duchu, by stanąć jutro przed

obliczem jego królewskiej wysokości - obby? Na wszystkich bogów Edo, zgotowałby panu wesołe przyjęcie!

Patterson miał już zakląć, gdy nagle, ku przerażeniu spokojnego obywatela Bultonu, z mostka rozległ się okropny, przeciągły chichot. To Murzyn-locman nader udatnie naśladował nocny krzyk hieny. Nim Patterson zdołał oprzytomnieć, na krzyk ten odpowiedział z bliskiego już brzegu podobny chichot. Był to sygnał ukrytej na brzegu ochrony wyprawy, oznaczający, że droga w górę rzeki jest wolna.

Rankiem statek przebył już dziesięć mil w górę rzeki. Na błotnistej nizinie, gdzie łąd zielonymi językami wybiegał w szeroko rozlany wodny przestwór, wśród zarośli lasów mangrowych i nieprzebitego gąszczu jaskrawozielonych przybrzeżnych paproci, skrzypów i trzciny, gnieździły się nieprzeliczone chmary ptactwa. Miało się wrażenie, że statek znalazł się w stolicy ptasiego królestwa. Pelikany, bociany, czaple, czajki, flamingi, kormorany, mnóstwo skrzydlatych drapieżników - całymi chmurami krążyły w powietrzu, pływały przy brzegu lub stały nieruchomo nad samą wodą. W pewnej chwili z zielonego cypla rzucił się w wodę, płosząc jakieś białe ptaki, ogromny hipopotam. Potężne cielsko zwierzęcia pograżyło się w wodzie i długo nie było go widać. W końcu na powierzchni ukazała się sama tylko olbrzymia głowa, podobna do gitary, z różowymi nozdrzami i wypukłymi, na wpół przymkniętymi oczyma. Hipopotam ziewnął, szeroko rozwarłszy potworną paszczę i nie zwracając najmniejszej uwagi na statek, przepływający w odległości pół kabla od niego.

Wreszcie, podając sobie z rąk do rąk lunetę, podróżnicy ujrzeli wsie leżące po obu stronach rzeki, w głuszy niezliczonych dopływów Kuorry.

Obok prymitywnych okrągłych chat z trzciny, krytych słomą, widać było również budynki z gliny i kamienia. Kilka na wpół rozwalonych domków, budowanych na sposób europejski, należało widocznie kiedyś do portugalskiej faktorii i misjonarzy. Osady tonęły w gęstej, przybrzeżnej zieleni, niezwykle jaskrawej dla oczu Europejczyków. Dalej za wsiami widać było niewielkie zagony uprawnej ziemi, na których wschodziły właśnie zasiewy kukurydzy, jamsu i manioku. Na piaszczystych plażach smukłe palmy kokosowe wznosiły w niebo swe wiecznie zielone korony. Pod palmami i wokół chat piętrzyły się stosy skorup z orzechów kokosowych.

Po spokojnej powierzchni sąsiednich ramion Kuorry uwijały się w różnych kierunkach liczne łodzie żaglowe, tubylcze barkasy rybackie i pirogi. Nie darmo przewodnicy wybrali właśnie ten spokojny, bezludny szlak wodny. Stąd można było obserwować okolice i sąsiednie ramiona delty na wiele mil dokoła, pozostając samemu niewidocznym za osłoną bujnej przybrzeżnej zieleni. W ten sposób, bez przygód, „Gloria” zrobiła jeszcze wiele mil w górę Kuorry.

3

Statek płynął w atramentowej ciemności wilgotnej tropikalnej nocy. Na dziobie i rufie okrętu paliły się latarnie. Ich blask wyrwał z mroku kilka jardów czarnej jak smoła wody, postać marynarza mierzącego żerdzią głębokość farwatera i roje nocnych motyli krążących wokół światła.

Wielkie, jasne, jakby puszyste gwiazdy majestatycznie i tajemniczo migotały w granatowoczarnej mgle. Gdzieś na brzegu pokrzykiwał bąk. Wycie szakali rozlegało się raz zupełnie blisko, to znów się oddalało. Z głębi zarośli wtórowały mu hieny. Wokół zalegał głęboki mrok, księżyc jeszcze nie wzeszedł. Powietrze było duszne i parne jak w oranżerii.

Pattersona poczęło ogarniać nieprzyjemne uczucie strachu. Wyjął cygareto i chciał zapalić, lecz

przypomniawszy sobie, że nie ma ognia. Zrobił w ciemności parę kroków i o mało nie wpadł na dwóch ludzi, stojących pod grotmasztem, którzy rozmawiali półgłosem i nie słyszeli jego kroków.

Byli to Grelli i Joseph Lorn.

Fajka w ręce pseudowicehrabiego znaczyła w ciemności ogniste zygzaki, syjąc iskrami. Patterson nastawił uszu.

- Do kaduka! Po tych durniach Rilandach dostał mi się zapomniany tytuł i nędzny folwarczek. Tylko własna służba nazywała mnie milordem. Sąsiedzi z początku ledwo raczyli wycedzić „sir”! Ale to nic, będą się jeszcze czołgać u stóp wicehrabiego Chancefieldu, gdy zostanę parem Anglii! Niech mnie piorun strzeli, jeśli nim nie będę! Da mi to władzę, otworzy drogę do urzędów i zaszczytów, do kieszeni kupców i przemysłowców.

- Czy nie za wysoko mierzysz, Giacomo? Uważaj, abyś nie spadł - usłyszał Patterson głos Lorna. - Za wcześnie wykreśliłeś ze swego rachunku tego z wyspy. On jest gotów do walki z tobą na śmierć i życie.

- Głupstwo, Giuseppe. Albo zrobię z niego łagodnego baranka, albo... cała załoga będzie polować na „trędowatego” na wyspie. Taka walka nie może trwać zbyt długo.

- On zna wyspę lepiej niż ty swój Chancefield.

- Przypuśćmy, że utrzymają się tydzień, miesiąc, że sprzątną kilku moich ludzi. Tak czy owak skończą z nimi, a wtedy... można będzie odetchnąć swobodniej i nie obawiać się już zdemaskowania. Zdobyć fotel para, caramba!

- Wystarczy ci twoje wicehrabiostwo. Przecież już jesteś lordem, do licha! Lord, par... Nie rozumiem twoich planów. Pogadajmy lepiej o interesach. Po kiego czorta taszczysz z sobą Pattersona? Chcesz go wysłać do Ameryki?

- Z początku chciałem go posłać z wami do Ameryki, ale będzie mi chyba bardziej potrzebny na wyspie. Dowództwo wyprawy do Ameryki obejmie MacRail i ty, mój stary Giuseppe. Nie mogę zdać się ze sprzedażą towaru na moich kapitanów. To nieźli żeglarze, ale tu trzeba mieć kupieckie podejście. Moje warunki - czterdzieści funtów za głowę. Jeśli potraficie wyciągnąć więcej, nadwyżka dla ciebie i Maka. Od dawna znam MacRaila. To szczwany lis, potrafił oszukiwać nawet Bernardita. Będziesz musiał dobrze patrzeć mu na ręce. Giuseppe! Pieniądze przywieziesz mi do Bultonu i złożysz w banku Landy'ego. Dostaniesz pięć procent od całej dostarczonej sumy. Zgoda?

- To nie takie łatwe, Giacomo.

- Nie nazywaj mnie dawnym imieniem, Giuseppe. Dlaczego się wahasz?

- Po pierwsze, nie mamy jeszcze czarnych na pokładzie. Na razie dzielimy skórę na żywym niedźwiedziu, znajdując się w jego barłogu i będąc w jego łapach. Po wtóre, wydaje mi się, że wyznaczyłeś zbyt wysoką cenę hurtową. Plantatorzy trzciny cukrowej na Jamajce czy na Kubie znacznie taniej kupują Malajów z wysp Oceanu Spokojnego.

- Murzynów ceni się wyżej. Łatwo przywykają do pracy i nie zdychają tak szybko jak Indianie czy Malajowie. Mac ma przyjaciół wśród pośredników na targach niewolniczych w Luizjanie i Wirginii. Mamy tam zapewniony zbyt całej partii. Sprzedasz ich po pięćdziesiąt suwerenów, słyszysz?

- Kobiety i młodzież idą taniej.

- Plantatorzy biorą wszystkich. Tam gdzie się uprawia bawełnę, nawet pięcioletni dzieciak - to już robotnik. Czy mam ciebie uczyć, Giuseppe? Od ładnych matek odbierzesz niemowlęta i sprzedasz te ślicznotki trzykrotnie drożej, kupców na nie znaleźć można we wszystkich częściach świata. A bachory oddasz brzydkim kobietom i sprzedaż je plantatorom razem z całą dzieciarnią. Na dużych plantacjach chętnie biorą je z przychówkiem. Tylko nie obniżaj ceny! Jeśli, wbrew oczekiwaniu, nie znajdziesz zbytu na drobniak, raczej utop, ale nie oddawaj za bezcen. To psuje handel. Na razie nie mamy ich gdzie umieścić i zawracać sobie głowę tą drobnicą nie ma sensu. Potem urządzę na naszej wyspie całą hodowlę... Założymy

tam własne plantacje i równocześnie będziemy hodować czarny towar na sprzedaż, bo polowanie na tych dzikusów czy kupowanie ich u królików to rzecz coraz bardziej trudna i kosztowna.

Następnego pytania Lorna Patterson nie dosłyszał, domyślił się jednak, że I mówią o nim. Grelli milczał chwilę, podczas gdy Lorn zapalił fajkę. Płomyk ognia oświetlił gęste brwi Lorna, ogorzałą na brąz, niemłodą już twarz, twarde proste włosy i białą bliznę przecinającą na ukos czoło.

Wreszcie Grelli odezwał się:

- Widzisz, Patterson nie jest z tej samej gliny co my, ale to też człowiek interesu. Z czasem się wciągnie. Wziąłem go z sobą po prostu po to, by się przyjrzał robocie. Być może, jego stocznia wejdzie kiedyś do mojej kompanii, ale w tej chwili nie jest mi to potrzebne. Chodzi o to, że w swojej grze postawił on na mnie i powinien wygrać! Muszę mieć sprzymierzeńców. Szkoda, żeś nie widział, jak on osadził tego smarkacza Thompsona!

Umilkli. Patterson bał się poruszyć i odetchnąć.

- Posłuchaj, Giacomo, nie byłem w Bultonie, kiedy Fernando obskubał MacRaila. Jak się to stało, że twoi ludzie go przegapili?

- Liczyłem na Woodrowa Craga. Ale Fernando sprytnie się maskował i nie wpadł w oko ani jednemu szpiegowi Craga. Wynajął wpierw pokój w „Białym Niedźwiedziu” z jakimś kaznodzieją Eliotem Maggersonem. Potem zamieszkał w prywatnym domu pod nazwiskiem Rogersa. Zawładnąwszy diamentem, od razu znikł... Powiedz, Giuseppe, a ty wiedziałeś, że ten kamień jest u Maka?

- Woodrow mówił, że sprzedał za tanie pieniądze MacRailowi, ale nie bardzo w to wierzyłem.

- Dlaczego większy kamień dostał się wtedy Woodrowowi, a nie tobie? - spytał Grelli po chwili milczenia.

- Gdy Bernardito wysadził nas na brzeg, ja i Woodrow byliśmy całkiem do niczego. Ocknąłem się już na brzegu. Z Woodrowem było bardzo kiepsko, miał zgruchotane kartaczem kości obu nóg. Dowlekliśmy się jakoś do zatoki, gdzie stał francuski statek. Nocą na brzegu my trzej - Woodrow, Roy i ja - postanowiliśmy skończyć z Fernando Diazem. Woodrow niby to stracił przytomność, a ja i Roy udawaliśmy, że śpimy. Fernando cały czas miał się na baczności, ale wtedy właśnie się zdrzemnął. Woodrow zaczął go dusić, Roy mu pomagał. Fernando już charczał, gdy wtem Woodrow namacał na jego piersi woreczek z dwoma kamieniami. Zerwał mu woreczek i kiedy my oglądaliśmy kamienie, Fernando oprzytomniał. Wywiązała się bójka, Fernando ogłuszył Roya, a mnie rozharatał nożem czoło. Strzeliłem do niego z bliskiej odległości, kula urwała mu palec u lewej ręki, ale gonić go nie mogliśmy i Fernando uszedł z życiem. Rankiem statek francuski przyjął nas na pokład i lekarz okrętowy odciął Woodrowowi obie stopy. Na okręcie rzucaliśmy kości - błękitny diament przypadł Woodrowowi i Royowi, a drugi - mnie. Woodrow spoił Roya i ten odstąpił mu swoją połowę „niebieskiego kamienia” za kilka starych hiszpańskich dublonów. Rozstaliśmy się w Marsylii. Ja sprzedałem swój kamień i leczyłem się dalej w Italii. A potem ty, Giacomo, zaczęłeś nas ściągać do Bultonu. Pierwszy urządził się tam Woodrow...

- Tak, spotkałem go w Plymouth, gdy przybyłem na „Krzyżowcu” do Anglii, i wtedy mu poradziłem, aby trzymał się blisko mnie. Kupił tawernę w Bultonie i zaczęliśmy razem szukać swoich - MacRaila, ciebie, Giuseppe, Roya... Ten jeszcze w Marsylii dostał się do więzienia, trzeba go było wyciągać...

- Słuchaj, a jakim sposobem Fernando wywąchał, że Woodrow sprzedał kamień Makowi?

- To mnie też zaniepokoiło! Bałem się już, że Fernando wpadł na ślad całej partii kamieni, którą wtedy postanowiliśmy sprzedać holenderskim lichwiarzom. Ale, jak sam wiesz, wszystko poszło gładko, sprzedałeś je szczęśliwie. A jednak Diaz coś wie... Jakaś kanalia nas zdradziła... Podejrzewam, że kantor Thompsona prowadzi podwójną grę. Woodrow na

przykład zaklina się, że Rogers, to znaczy przebrany Fernando, dwukrotnie był u Thompsona w domu.

- Po cóż w takim razie wzięłeś w ten rejs jego syna?

- Wolę go mieć stale na oku. Poza tym w takiej ekspedycji potrzebny jest prawnik, i to prawnik z dobrą reputacją. Nie martw się, będzie mi jadł z ręki albo też nigdy nie wróci do Bultonu. Z jego pomocą łatwiej mi będzie rozprawić się z Emily i tym na wyspie, jeśli...

Grelli zniżył głos do szeptu i Patterson nie dosłyszał końca zdania. Przeszedł go zimny dreszcz. Jakby w odpowiedzi na jego niewesołe myśli gdzieś zupełnie blisko rozległ się piekielny chichot hieny, zanoszącej się już po chwili babskim, histerycznym szlochem.

Właściciel bultońskiej stoczni po omacku doznał do kajuty i zatykając uszy skulił się w plecionym fotelu.

4

O świcie „Gloria” znalazła się zaledwie o kilka mil od miejsca postoju „Dorotei”. Wiatr przybrał na sile i jeszcze przed południem oba szkunery, zbudowane ongiś w tym samym doku, znów stanęły burta w burtę na egzotycznych wodach Kuorry.

Grelli, Patterson, kapitan Wilson i Joseph Lorn udali się na śniadanie do kapitana „Dorotei”. Wysoki, o chorobliwym wyglądzie kapitan Hatchinson zakomunikował gościom ostatnie nowiny.

- Wszystko w porządku, panowie. Przybyliście w samą porę. Nasz jaśnie oświecony czarnogęby kontrahent Ezomo-Iszan z niecierpliwością czeka na broń. Wczoraj byli tu od niego posłańcy. Partia czarnego towaru ma spłynąć w dół Kuorry na trzech wielkich tratwach. Jak wygląda sprawa z przyrzeczoną mu bronią?

- Broń znajduje się w ładowniach „Glorii”. Jednocześnie z załadunkiem Murzynów na pokład obu szkunerów przeniesiemy broń na tratwy i czcigodny Ezomo-Iszan otrzymają, nim szkunery wypłyną na otwarte morze... Ile... sztuk mieści każda tratwa?

- Około dwustu. „Gloria” przyjmie trzysta pięćdziesiąt, a „Dorotea” dwieście pięćdziesiąt. Możemy jeszcze dodatkowo przyjąć z dwieście sztuk. Będzie trochę ciasno, ale kompania nie zobowiązywała się do zapewniania komfortu tym pasażerom - zaśmiał się Hatchinson.

Na twarzy Grellego malował się wyraz tryumfu.

- Gdy pierwszy strzał jest trafny, polowanie zawsze będzie udane! Na razie sześćset sztuk... z tego dojedzie do Ameryki jakieś pięćset sztuk. Po potrąceniu kosztów powinno to dać na czysto dziesięć, dwanaście, może nawet piętnaście tysięcy funtów w złocie! Mister Hatchinson, kiedy spodziewa się pan przybycia tratw do miejsca postoju „Dorotei”?

- Mniej więcej za tydzień, ale jesteśmy gotowi do przyjęcia ładunku choćby jutro. O'Heary z chłopakami sam popłynął w górę rzeki, by odebrać partię w Lokodzy, o jakieś trzysta czy czterysta mil stąd. Teraz prawdopodobnie tratwy są już w drodze pod eskortą naszych łodzi. Płynąć muszą oczywiście z zachowaniem wielkiej ostrożności, przeważnie nocą. Zresztą bliżej ujścia rzeka jest dostatecznie szeroka, ładunek nie rzuca się w oczy z brzegów.

- Świetnie, panowie! Mister Patterson, będziemy musieli popracować, by doprowadzić operację do końca. Wojowników obcy Benina jakoś chwała Bogu nie widać, ten Ezomo-Iszan sprytnie nas przeprowadził aż tutaj. Sytuacja jest sprzyjająca, lecz mimo to nie wolno zapominać, gdzie się znajdujemy! Trzeba działać natychmiast, nie zwlekając ani chwili. Wilson, proszę zaraz przygotować łódź! Ja, mister Patterson i Lorn popłyniemy naprzeciw tratw. Do zachodu słońca zdążymy wypocząć.

Wieczorem dwóch Senegalczyków przeniosło na dużą łódź strzelby, naboje i zapasy. Załogi obu szkunerów zebrane na rufie „Glorii” i „Dorotei” żegnały myśliwców.

Łódź pomknęła pod prąd, pozostawiając za sobą dwie długie, rozchodzące się bruzdy, które

długo jeszcze utrzymywały się na pomarańczowej, gładkiej jak zwierciadło powierzchni wody, oświetlonej ostatnimi blaskami zachodu.

W panującej wokół ciszy słuchać było, jak drobna fala, poruszona czterema parami wiosł, plusnęła o burty „Glorii” i pobiegła ku brzegowi, gdzie z lekkim szelestem zakofyła się liście królewsko pięknych białych lotosów.

W łodzi znajdowało się ośmiu ludzi. Grelli, w wysokich butach i szerokiej bluzie wpuszczonej w spodnie, z dwoma pistoletami za pasem, stał na dziobie. Przed nim na baku dziobowym leżała dwururka dużego kalibru, roboty słynnego londyńskiego rusznikarza.

Obok niego Anthony, oparty kolanami o burtę łodzi, przygotowywał naboje dla swego pana. Na rozesłanym kawałku płótna żaglowego leżały puste mosiężne patrony o średnicy około pół cala i długie na jakieś trzy cale. Chłopiec nabierał proch niedużą miarką i wsypywał do patronów. Napełniwszy patron do połowy prochem zatykał go pęczkiem przetruszczonej sierści wielbłądziej, po czym do drugiej połowy wsypywał śrut lub wkładał kulę i znów mocno zatykał sierścią. Gotowe naboje umieszczał w przegródkach skórzanej ładownicy.

Na polowaniu Anthony był niezastąpiony. Potrafił ze zdumiewającą szybkością ładować broń po wystrzale i dlatego Grelli postanowił i tym razem zabrać go ze sobą.

Na rufie siedział mister Patterson, w płaszczu i szerokim kapeluszu kupionym jeszcze w Maroku; w rękach trzymał strzelbę i był przekonany, że ma ogromnie wojowniczy wygląd.

Przy sterze, podciągnąwszy wysoko nogi, siedział z fajką w zębach ponury Joseph Lorn. Przyjrzawszy mu się uważniej Patterson stwierdził, że mister Lorn to rzeczywiście nie Joseph, lecz Giuseppe. Czarne oczy, smągła cera, lekko kędzierzawe, przyprószone siwizną włosy zdradzały południowca, Włocha.

Czterej wiosłarze, siedzący jeden za drugim, pochylali się i prostowali rytmicznie jak jeden mąż. Na przednich ławkach wiosłowali dwaj marynarze - Europejczycy. Za nimi, robiąc wiosłami tak lekko, jakby były z trzciny, siedzieli dwaj Senegalczyki, przyjęci na pokład „Oriona” w Maroku, istoty milczące, zaciekle i niezmordowane. Ogorzałe karki marynarzy pokryły się już kropelkami potu, ich oddech stał się przyspieszony, a skóra Murzynów pozostawała wciąż tak samo matowa i sucha jak na początku drogi.

Przez pierwszą noc płynęli prawie bez przerwy. Dopiero następnego dnia, w porze największego upału, Grelli pozwolił na krótki odpoczynek w przybrzeżnych zaroślach mangrowych. Łódź szła tuż przy brzegu, pod osłoną krzaków, to znów przecinała rzekę na ukos, skracając odległość na zakrętach. Pod koniec pierwszej doby mieli już za sobą jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści mil.

Trzeba było pomyśleć o noclegu. Na znak Grellego wiosłarze skierowali łódź ku piaszczystej mierzei. Z tego miejsca otwierał się rozległy widok w górę rzeki. Jednakże sześć potężnych, wyciągniętych nieruchomo na piasku krokodyli nie okazało najmniejszej chęci ustąpienia miejsca podróżnym.

Grelli złożył się z pistoletu do najbliższego, lecz w tejże chwili jeden z Senegalczyków wydał ostrzegawczy okrzyk i porzuciwszy wiosła uchwycił się burty. Patterson też nie uważał za rzecz szczególnie pożądaną niepokojenie bestii i poprosił, by wybrano jakieś inne miejsce na postój. Musieli więc popłynąć jeszcze milę w górę, gdzie wrzynał się w łąd niewielki zalew cały pokryty wodną roślinnością i otoczony dziwacznymi drzewami mangrowymi, o korzeniach uchodzących w wodę. Dalej rozciągała się zielona, zarośnięta paprociami polana, która zwiężając się przechodziła w ledwie widoczną ścieżkę.

Okolica była pagórkowata, na widnokregu rysowały się niewysokie góry, do samych wierzchołków pokryte lasem. Z najbliższych, rosnących na rzeką drzew można było obserwować rzekę na milę w dół i w górę jej biegu.

Łódź weszła do zalewu, z trudem torując sobie drogę wśród olbrzymich liści jakichś wodnych roślin, zdolnych utrzymać ciężar pięcioletniego dziecka. Brzegi tych liści, podwinięte do góry, tworzyły jakby rurszkę wokół całego liścia. Bliżej brzegu, pośród wysokich trzciny i

osoki, kołysały się na zmaconej wodzie kwiaty białych lili. Wreszcie podróżni dotarli do brzegu, spędziwszy stamtąd uprzednio z tuzin żmij, które znikły w gęstej osoco.

Nie opodal, niby leśny król, górował nad okolicą olbrzymi baobab. Rósł na niedużym pagórku, a jego niezliczone konary i gałęzie sprawiały z daleka wrażenie całego fantastycznego lasu.

Wyszędłszy na ląd podróżnicy dojrżeli na błotnistej polanie, jak i wzdłuż ilastego koryta wyschniętego strumyka, liczne ślady zwierząt - dzików, sarn bawołów. Widocznie łódź przybiła do miejsca wodopoju dzikich mieszkańców lasu.

Grelli wybrał na nocleg owo olbrzymie drzewo, wysokie na jakieś dwadzieścia metrów i tak grube, że czterech ludzi ledwo mogło je objąć. Jego potężne konary tworzyły jakby cienisty namiot o średnicy chyba czterdziestu metrów. Od ziemi, czepiając się pnia i konarów, pięły się w górę liany okryte delikatnym, drobnym kwieciem. Wyglądało to, jakby leśny olbrzym wspierał się na mnóstwie sękatych kijów.

Patterson, śmiertelnie zmęczony bezseną nocą, skwarem i podróżą w łodzi, ledwo wyszedł na brzeg, rzucił na trawę płaszcz i koc i rozciągnąwszy się na ziemi momentalnie usnął. Pozostali zajęli się przygotowaniem obozowiska.

Marynarze weszli z siekierami na drzewo i urządzili na nim nieduży pomost dla Grellego i Pattersona. Dla reszty przygotowano miejsca na nocleg na dolnych gałęziach drzewa, pośród splotów lian.

Gdy napowietrzna sypialnia była już gotowa, Grelli i marynarze ukryli łódź w zaroślach, przenieśli z niej zapasy i broń na drzewo, po czym bezskutecznie próbowali obudzić Pattersona. Rozespany burknął coś niezrozumiale i naciągnąwszy na głowę płaszcz dla ochrony przed moskitami, odwrócił się na drugi bok.

Nie opodal, u stóp piaszczystego pagórka, zatrzeszczało rozpalone ognisko. Wkrótce już i kolacja była gotowa, lecz nawet smakowite zapachy nie zdołały wyrwać ze snu Pattersona. W końcu, pozostawiając Anthony'ego na straży obozu i śpiącego dżentelmena, Grelli Lorn, obaj Senegalczyki i marynarze udali się na polowanie.

Słońce stało już nisko nad rzeką i dżunglą. Miriady owadów napęlniały brzęczeniem coraz bardziej wilgotne powietrze. Zmęczony Patterson spał z otwartymi ustami i rozrzuconymi rękoma. Anthony okrył go moskitierą i rozejrzał się dokoła.

Nigdy jeszcze nie był w takim lesie. Nad gęstwą zarośli górowały rafie, podobne do ogromnych paproci. Trochę dalej od rzeki z leśnego gąszczu wystrzelały proste jak maszty, smukłe i gładkie pnie drzew mahoniowych i żywicznych. Ich drogocenne, twarde jak krzemień drewno używane było widocznie przez krajowców, gdyż bliżej rzeki bielilo się kilka świeżych pniaków.

W głębi lasu korony potężnych drzew splatały się z sobą: ich pnie aż do samego wierzchołka pozbawione były zupełnie gałęzi. Ten przedziwny las sprawiał wrażenie czegoś nierealnego i zdawał się być zamieszkały przez równie dziwne, baśniowe zwierzęta.

Robiło się coraz chłodniej. Chłopca poczęła ogarniać senność, lecz walczył z nią dzielnie, pamiętając o nakazie Grellego.

By się z niej otrząsnąć, postanowił zrobić smolną pochodnię, jak mu radził jego pan. Nawinąwszy trochę pakuł na kij, porządnie nasycił je smołą, którą znalazł w beczce stojącej na rufie łodzi (smoła była przeznaczona do osmołowania burt). Gotową pochodnię położył na konarze drzewa, który wybrał sobie na nocleg, po czym pogrzebał w ognisku i dorzucił do ognia świeżych gałęzi.

Nie mając już nic więcej do roboty, Anthony usiadł obok śpiącego, oplótłszy rękami kolana. Oczy mu się kleiły, myśli snuły się po głowie coraz wolniej, powtarzały i rozplywały. Wreszcie głowa mu opadła i chłopca zmorzył sen. Teraz już dwóch ludzi spało na nadrzecznej polance.

W ten sposób upłynęła dobra godzina. Tymczasem spadła gęsta rosa, las pogrążył się w

mroku. Tylko czerwony żar ogniska z lekkim potrzaskiwaniem tlił się wśród ciemności i po czarnych, opalonych głowniach przebiegały niebieskie płomyki.

W pewnej chwili Anthony drgnął i od razu otrzeźwiał. Gdzieś daleko, w odległości co najmniej dwu mil, rozległ się głuchy odgłos wystrzału, a potem jakby trzask złamanego, walącego się drzewa. W kompletnych ciemnościach chłopiec odwiódł kurek i namacał zamek swej strzelby.

Również i Patterson, którego do tej pory żadna siła nie była w stanie obudzić, w jakimś niewytłumaczonym przeczuciu niebezpieczeństwa ocknął się, rozglądając się dokoła. W tej chwili do uszu obu mężczyzn dobiegł głośny trzask gałęzi. Gdzieś zupełnie blisko ze świstem łamały się i waliły na ziemię drzewa, chlupotała woda w kałużach. Nagle zadudniła ziemia i na polanę z ciężkim tupotem wpadło jakieś ogromne zwierzę.

Chociaż świadomość Pattersona zamroczona była jeszcze snem, chwila ta głęboko i na zawsze wryła mu się w pamięć. Na wprost niego w migotliwym świetle ogniska wychynęła z leśnej gęstwiny tępą, opuszczoną ku ziemi, potworna morda o malutkich, szeroko rozstawionych oczkach, ze sterczącym na nosie rogiem. W następnej sekundzie tuż obok Pattersona błysnął długi język płomienia i huknął strzał. To Anthony wypalił z bliska w łeb nosorożca. Ogromny zwierz wspiął się na tylne łapy, poderwał łeb i runął na bok, nie dobiegłszy do brzegu. Ziemia drgnęła od upadku ciężkiego cielska, a młody strzelec, nieświadomy skutków swego celnego strzału, ogarnięty strachem cisnął strzelbę i pędem rzucił się do ucieczki.

Z lasu tymczasem, idąc tropem zwierzęcia i dysząc ciężko wyszedł Grelli, a za nim pozostali myśliwi. Gdy zbliżyli się do zabitego nosorożca, Patterson, wciąż jeszcze drżąc na ciele, wstał i gorąco uściśnął dłoń szesnastoletniego grooma z Chancefieldu.

Myśliwi obejrzeni nosorożca. Głowa zwierzęcia, cała w fałdach i guzach, była zalana krwią. Kula chłopca roztrzaskała mu mózg. Dwa rogi na pysku, twarde jak kość słoniowa, wyglądały niby potworne narośle na drzewie. Gruba, sfałdowana skóra była prawie nie do przebiccia przez kulę. Strzał Anthony'ego okazał się niezwykle szczęśliwy. Gdyby chłopiec spóźnił się o sekundę, Patterson niechybnie zostałby stratowany przez kolosa.

Nad rzeką ukazał się wąski sierp księżyca, na wodzie zamigotała długa, srebrna dróżka. Na lasy i wody zstąpiła cisza, w której nie milkło tylko dzwonienie cykad.

Grelli objął chłopca i poprowadził do baobabu. Wszyscy wdrapali się na drzewo i dopiero teraz Patterson mógł ocenić tę przezorność.

Od przybrzeżnych trzciny i olbrzymich paproci nadciągała mgła i jadowite opary. Trawa na brzegu, pełna szelestów, zdawała się roić od żmij. W świetle księżyca wyraźnie rysowało się na ziemi cielsko nosorożca.

Nagle z zarośli wypadły na polanę lekkie szare cienie. Trudno było sobie wprost wyobrazić, że te zwierzęta chodzą normalnie na nogach, a nie unoszą się na skrzydłach, tak lekki i zwiewny był ich skradający się krok. Wydawszy krótkie, zawodzące wycie, przemknęły przez polanę i znikły jak przywidzenie. Były to szakale, które zwietrzyły żer. Po chwili ich wycie rozległo się z dwu stron i już dwa stada tych tchórzliwych drapieżników pojawiły się na polanie. Wkrótce ze dwadzieścia szakali żarło się przy cielsku nosorożca.

I znów dwa skradające się, lecz nieco większe cienie wynurzyły się z gąszczu. Zbliżały się wolno do padliny, z nisko opuszczonymi łbami, podwinawszy pod siebie kuse ogony.

Siedząc na pomoście obok Grellego Patterson z uczuciem wstrętu obserwował, jak drapieżniki zaczęły wydzierać wnętrzności zabitego zwierzęcia. Były to pręgowane hieny. Ich odrażające pyski o złych, okrągłych, blisko osadzonych oczach przypominały trochę psa a trochę świnię. W pewnej chwili jedna z nich uniosła ociekający krwią pysk i zaczęła wietrzyć. Sierść zjeżyła się jej na grzbiecie. Szakale też znieruchomiały i nagle rzuciły się gwałtownie do ucieczki. Hieny pognały za nimi.

Niemal jednocześnie w leśnym gąszczu rozległo się chrapliwe miauczenie i jakiś długi, gibki

kształt zsunął się z drzewa rosnącego najbliżej zabitej zwierzyny. Patterson wyraźnie zobaczył dużego leoparda, który skoczył na grzbiet nosorożca. Ogon plamistego drapieżnika wił się i jak szpicruta walił po twardej skórze nosorożca. Leopard uniósł głowę i wydał przeraźliwy ryk. W tej chwili Grelle, oparłszy lufę swej ciężkiej strzelby na splecionych gałęziach, zmierzył i wypalił.

Snop ognia oślepił Pattersona. Pomost zachybotał się gwałtownie, po czym rozległ się czyjś rozpaczliwy krzyk. Zapłonęła smolna pochodnia Anthony'ego i w jej świetle Patterson ujrzał pod drzewem kotłujące się na ziemi ciała leoparda i jednego z Senegalczyków.

Jak się okazało, leopard zraniony kulą Grellego śmignął ku drzewu z ludźmi. Wskoczywszy na Murzyna, który usadowił się na jednej z dolnych gałęzi, nie utrzymał się i spadając w dół pociągnął za sobą swą ofiarę.

Anthony, nachyliwszy się nisko ze swej gałęzi wymachiwał płonąca pochodnią. Grelle wystrzelił z drugiej lufy, lecz chybił. Anthony, nie spodziewając się wystrzału, drgnął, uczynił niepewny ruch i straciwszy równowagę runął w dół, na korzenie drzewa, tuż obok drapieżnika. Pochodnia potoczyła się po ziemi znacząc swój ślad płonąca smołą.

Leopard porzucił swą ofiarę i uskoczył w bok przed ogniem. Broczący krwią Murzyn zerwał się na równe nogi i uciekł. Jednakże ledwo tylko Anthony zdążył się podnieść, drapieżnik rzucił się na chłopca i powalił go na ziemię.

W mgnieniu oka Grelle zeskoczył z pomostu. W jego ręce błysnął sztylet. Wbił go wprost pod łopatkę leoparda i zwaliwszy się całym ciężarem na zwierzę odciągnął je od chłopca. Sztylet, tkwiący po samą rękojeść między żebrami zwierzęcia, pozostał w ranie.

Leopard już zdychał, lecz Grelle - umazany krwią, sam w tej chwili podobny do dzikiej bestii - zacisnąwszy w żelaznym uchwycie ręce na jego szyi dusił go dalej. Ogon zwierzęcia uderzył raz jeszcze o ziemię, łapy wykonały parę konwulsyjnych ruchów, rozszarpując w strzępy odzież Grellego, i wreszcie drapieżnik znieruchomiał.

Uwolniony ze szponów leoparda Anthony usiadł. Na czole, piersi i ramionach miał porozdzierane całe płyty skóry. Na lewej ręce krwawiła głęboka rana zadana kłami zwierzęcia.

Grelle usiłował wstać, lecz zatoczył się i padł na kolana. Jego ręce i pierś również miały na zawsze zachować ślady pojedynku z groźnym drapieżcą, którego miano przez wiele lat było nierozzerwalnie związane z jego osobą.

Nikt z uczestników wyprawy nie mógł już usnąć tej nocy. Grelle sam troskliwie opatrzył rannego chłopca i ułożył go na pomoście obok siebie. Joseph Lorn opatrzył Grellego.

Senegalczyk Ali zsunął się z drzewa, wziął głównię z ogniska i obejrawszy zabite zwierzę opalił mu wąsy.

- Inaczej duch tego leoparda przez całe życie będzie cię straszył po nocach - wyjaśnił Grellemu.

„No, dla signor Giacomina to jeszcze najmniejsze nieszczęście” - pomyślał Patterson.

Na niebie gasły gwiazdy, tylko tu i ówdzie na ciemnym granacie mrugały jeszcze światła porannych konstelacji. Nad rzeką rozpalala się pomarańczowa afrykańska zorza. Ptaki podniosły gwar, lekki wietrzyk zaszeleścił w konarach drzew. Ten krótki świt trwał zaledwie parę minut. Po nocnych strachach i mroku nastął jasny, bezchmurny dzień.

Poblady Patterson zszedł z drzewa głęboko przekonany, iż Grelle zarządził powrót na „Glorię”. Ale dowódca wyprawy spał jeszcze na swoim pomoście, gdzie leżał razem z obandażowanym Anthonym.

Patterson z niecierpliwością czekał na obudzenie się Grellego. Pragnął jak najprędzej wrócić na szkuner, gdzie była miękka pościel i nie było nosorożców ani leopardów. Czcigodny dzentelmen z Bultonu nie przypuszczał, jak gorzkie spotka go rozczarowanie.

5

Grelli był straszny, gdy zszedłszy z drzewa stanął przed resztą myśliwych jedzących już przy ognisku śniadanie.

Ogromny siny obrzęk prawie całkiem zakrywał mu jedno oko, włosy miał zlepione zaschniętą krwią. Bandaże, opasujące jego ciało, zsunęły się odsłaniając głębokie blizny i szramy. Zdrowe oko błysnęło groźnie spod krzaczystych brwi. Kopnął zabitego leoparda i poszedł umyć się do strumienia.

Śniadanie przeszło w milczeniu. Marynarze wykroili kilka płatów mięsa z nosorożca i upiekli je. Okazało się soczyste i przypominało w smaku wieprzowinę. Po śniadaniu, ku wielkiemu rozczarowaniu Pattersona, Grelli kazał zbierać się czym prędzej do dalszej drogi.

Anthony miał gorączkę. Grelli kazał ułożyć chłopca na rufie, na posłaniu i koców. Wzdłuż burty rozwieszono skórę zdjętą z leoparda. Wioślarze w milczeniu zajęli swoje miejsce. Joseph Lorn miał zastąpić przy wiosłach ciężko rannego Senegalczyka, który nad ranem stracił przytomność. Pozostawiono go w krzakach na miejscu pierwszego noclegu. Nim jednak Lorn wszedł do łodzi, wrócił w krzaki. Po chwili rozległ się stamtąd niegłośny wystrzał z pistoletu... i mister Lorn wyszedł z zarośli.

Płynęli dalej.

Następna noc, spędzona na brzegu, minęła bez szczególnych przygód. Obóz urządzono w ujściu kamienistej doliny, gdzie rozbito namiot i całą noc palono ognisko. Grelli, obawiając się febry, kazał wszystkim uczestnikom wyprawy wypijać co wieczór szklankę whisky z chininą. W tym obozowisku złapała ich pierwsza tropikalna burza, wyprowadzając z równowagi nawet samego dowódcę wyprawy. Białe, pomarańczowe i ognistoczerwone błyskawice bez przerwy przecinały niebo, a gwałtowna ulewa o mało nie zniosła namiotu.

Jeszcze trzy dni łódź płynęła w górę Kuorry. Minęli kilka dużych murzyńskich wsi. Przekradali się obok nich nocą, środkiem rzeki. Niekiedy spotykali idące w dół rzeki tubylcze łodzie. Widać było przez lunetę, że są wyładowane glinianymi naczyniami, napelnionymi pewno olejem kokosowym. Na starych, wyschniętych odnogach rzeki i bagnach w bliskości głównego koryta roilo się od kaczek i czajek. W lasach gruchały turkawki. Pewnego dnia podczas wieczornego postoju, zapuściwszy się w las i przeszedłszy łańcuch pagórków, podróżnicy natrafili na tropy słoni i usłyszeli w dali trąbienie przywódcy stada.

Anthony czuł się już lepiej i brał udział w niedużych wypadach myśliwych. Podczas jednego z takich polowań natknął się na kopiec termitów, skrzydlatych mrówek afrykańskich, i pokazał go innym myśliwym. Kopiec był dwakroć wyższy od człowieka i z wyglądu przypominał porowaty głaz, jakby wyciosany ze skamieniałej gąbki.

Wieczorem czwartego dnia żegluga ukazały się nad rzeką zagony czerwonej, uprawnej ziemi i nieduża wioska. Ze dwadzieścia okrągłych stożkowatych chat otaczało niewielki plac z podłużnym budynkiem pośrodku. Wioska była okolona ciernistym żywopłotem. Dwóch wyrostków pilnowało pastwiska, gdzie pasły się kozy. Nad błotnistą rzeką, wpadającą do Kuorry, wylegiwały się w mule bawoły. Na przybrzeżnej polanie pasło się kilka spętanych koni, przypominających konie berberyjskie. Bydła domowego było tu mało. Gineło masowo od zarazy roznoszonej przez muchy tse-tse. Pozostawały przy życiu jedynie najsilniejsze osobniki, które odziedziczyły wyrobioną w ciągu pokoleń odporność na ukąszenie jadowitej muchy.

Łódź przybiła do brzegu późnym wieczorem. Nikt jej nie zauważył - wszyscy mieszkańcy wioski ukończyli już dzienne prace i teraz odpoczywali spokojnie w swych chatkach.

Grelli ożywił się, nawet poweselał. „Zwierzyna”, o której tyle myślał ów handlarz niewolników, była tuż przed nim. Wprawdzie otwarty rozbój był niebezpieczny, lecz bliskość okrętów gotowych do przyjęcia towaru i widok tej spokojnej wsi, którą - jak sądził - można

będzie zaskoczył nagłym napadem, zachęcały pirata do tego ryzykownego polowania, dającego widoki na duże zyski.

Miał mało ludzi. Anthony jeszcze zbyt młody i osłabiony od ran, z Pattersona żaden wojak, a przy tym całkiem się rozkleił. Pozostawało wszystkiego pięciu ludzi, w tym jeden - czarny.

Niemniej, nie mając jeszcze żadnego określonego planu, Grelli starannie ukrył łódź w krzakach, zamaskował miejsce postoju w lesie pod rozłożystym drzewem rafii i nie pozwolił rozpaść ogniska. Pozostawiwszy Anthony'ego i Pattersona na straży łodzi, Grelli i jego towarzysze z bronią w rękach podkradli się na skraj lasu. Cichutko, by nie obudzić czujności psów, wdrapali się na wysokie drzewo, skąd jak na dłoni widać było osadę.

Wszystko wskazywało na to, że zamieszkiwali ją Murzyni z jakiegoś biednego leśnego plemienia. Osada mogła mieć jakichś dwustu mieszkańców - w tym może pięćdziesięciu, sześćdziesięciu dorosłych mężczyzn. Życie dzienne już zamarło, wioska pogrążyła się w sen. Tylko przed jedną jeszcze chatą dwie kobiety tłukły coś w dużej drewnianej stępie. Jedna z nich miała przywiązane na plecach dziecko. W końcu i one znikły. Zapadła cisza i tylko dwa cienie - dwóch nocnych stróży z grubymi kijami w rękach - przesuwwały się bezgłośnie wzdłuż ogrodzenia otaczającego kraal...

Podczas gdy Grelli obmyślał sposoby napadu, Joseph Lorn rozglądał się dokoła. Nagle zauważył, że przez pobliskie krzaki skrada się ktoś w ich kierunku. Wyteżył wzrok i poznał Anthony'ego. Po chwili chłopiec był już pod drzewem.

- Tratwy! - zawołał szeptem.

Grelli wydał rozkaz, by nikt nie opuszczał zasadzki, a sam bezszelestnie zeskoczył z drzewa i razem z chłopcem oddalił się w stronę rzeki. W gęstniejącym zmroku wyraźnie zobaczył przez lunetę płynące tratwy i łodzie. Z tej odległości cała flotylla czyniła wrażenie nieruchomej.

- Anthony - mówił Grelli, nie odrywając oczu od lunety - weźmiesz łódź i popłyniesz naprzeciw nich. Staraj się spotkać z nimi możliwie jak najdalej stąd. Patterson pomoże ci wiosłować. Powiesz O'Heary'emu, żeby tratwy spłynęły jeszcze z dziesięć mil poniżej i tam przybiły do brzegu. Konwojuje je dziesięć łodzi. O'Heary niech tu wysiadzie i weźmie z sobą uzbrojonych ludzi. Powiesz mu, że jest tu robota... Pokaż im, gdzie można niepostrzeżenie wyjść na ląd, i prowadź ich wprost do miejsca naszej zasadzki. Sygnał - krzyk czapli. Patterson niech pilnuje łodzi. Gdy tylko przyprowadzisz O'Heary'ego z ludźmi do mnie, wracaj zaraz do Pattersona.

Anthony puścił się biegiem w stronę zarośli. Razem z Pattersonem odepchnęli łódź od brzegu i wyprowadzili na środek rzeki. Grelli wrócił do swoich. W lesie panował już mrok. Od północnego zachodu nadciągały ciężkie chmury. Powiało chłodem. Nad widnokresem zapalały się pierwsze błyskawice. Pomruki grzmotów z każdą chwilą były bardziej ogłuszające. Tak minęła godzina.

Gdzieś daleko przeciągle krzyknęła czapla. Grelli zeskoczył z drzewa i przyłożywszy ręce do ust odpowiedział takim samym krzykiem.

Pierwsze rzadkie krople deszczu uderzyły o twarde liście palm; wkrótce prostopadłe strugi ulewy tropikalnej jak wodospad lunęły na myśliwych. W kompletnych ciemnościach zalegających las, rozświetlanych raz po raz ogniem błyskawic, Grelli zderzył się pod drzewem z barczystym mężczyzną. Człowiek ten wyciągnął ku niemu mocną, twardą jak deska dłoń.

- Witam, mister O'Heary! - Przed Grellim stał Amerykanin, kierujący wyprawą po niewolników. - Czy wszystko w porządku? Ile ma pan z sobą uzbrojonych ludzi?

- Dwudziestu. Reszta pilnuje tratw. Co pan tu zamierza robić, mister Riland? Parszywa pogoda!

Grelli w krótkich słowach wyłożył swój plan. O'Heary wdrapał się za nim na drzewo i przy blasku błyskawic przyjrzał się osadzie. Ludzie, którzy z nim przybyli, tłoczyli się pod

drzewem. Grelli widział ich bandyckie, brodate gęby obrośnięte po same oczy i zimne błyski luf karabinowych, noży i srebrnych rękojeści pistoletów.

W pewnej chwili O'Heary dotknął jego ramienia.

- Ta budowla pośrodku wsi to świątynia przodków i siedziba kapłana lub głowy rodu - powiedział. - A tam na słupie wisi erero, dzwon rytualny, pod drewnianym bożkiem. Ten bałwan - to Olokun, bóstwo rzek i mórz. Biciem w dzwon kapłan zwołuje mieszkańców. Sądzę, że przez niego powinniśmy działać. Mam ze sobą Murzyna-tłumacza, z plemienia Joruba, rozumie po angielsku. Arcysprytna bestia, też był kapłan, wypędzony przez swoje plemię za jakieś tam grzechy. Ten typ gotów jest mścić się na swych czarnych braciach do końca swoich dni. O, niech pan spojrzysz na tego czarnego wieprza z naszyjnikiem.

Grelli zobaczył otłętego, przygarbionego starucha o krótkich, pulchnych rękach, z głową wciągniętą w ramiona. Jego kędzierzawe włosy, wysmarowane tłuszczem i zebrane w pęczek na czubku głowy, przytrzymała srebrna obręcz, zsunięta na czoło. Murzyn był w tunice sięgającej do kolan i spiętej na ramieniu mosiężną klamrą, na tunikę miał zarzuconą plamistą skórę pantery, szyję zaś jego ozdobił naszyjnik z kłów tego zwierzęcia. W przeciwieństwie do mieszkańców wioski, którzy chodzili boso, stary nosił sandały. Twarz miał przebiegłą i złą, co go upodabniało do hieny.

- Nazywa się Urikon. Służy mi jako nieoceniony pies gończy w polowaniach na „czarną zwierzynę”. Zaraz z nim pomówię. Hej, szanowny Urikonie, wejdź tu do nas i pokłoń się panu.

Były kapłan ze zrećnością małpy wspiał się na drzewo i pokornie przycisnął grube, czerwone wargi do ręki Grellego.

Tymczasem ulewa ustała. Niebo wciąż jednak było pokryte ciężkimi chmurami. Robiło się coraz chłodniej. Świt był już bliski, należało się spieszyć. O'Heary poszeptał chwilę z Urikonem, po czym wtajemniczywszy Grellego w swój plan oddalił się, by rozstawić swych ludzi wzdłuż żywopłotu. Ich zadaniem było strzelać do każdego tubylca, który próbowałby ratować się ucieczką. O'Heary i Grelli byli zdania, że po zakończeniu operacji nie powinien pozostać najmniejszy ślad po osadzie i jej mieszkańcach.

W chwilę potem cała wioska obstawiona była przez uzbrojonych ludzi.

O'Heary, Urikon i Grelli ze swymi czterema myśliwymi skierowali się wprost ku chacie kapłana stojącej pośrodku wsi.

- Mister Riland, Urikon pyta, czy nie zauważył pan jakichś świeżych trofeów myśliwskich u mieszkańców osady? - poinformował się O'Heary.

- Kilka kłów słoniowych... Leżą przed dwiema czy trzema chatami...

- To dobrze. Zaraz pan zobaczy bardzo zabawne przedstawienie. To popisowy numer naszego Urikona.

W ciemności, przy wtórce wściekłego ujadania psów, doszli do środka wioski. Nagle tuż przed nimi wyrosły wojownicze postaci dwóch stróży, których Grelli zauważył jeszcze z drzewa. Kijami zagrządzali drogę przybyszom. Lecz wtedy wystąpił Urikon i władczym tonem kazał im paść na twarz przed bóstwami burzy, wysłannikami rozgniewanych niebios.

- Uderzcie w dzwon i zwołajcie wszystkich ludzi na plac. Tak wam rozkazuję ja, boski kapłan.

Obaj Murzyni cofnęli się w popłochu, prosząc o przebaczenie, i natychmiast pospieszyli - pod konwojem Senegalczyka Alego - do słupa z dzwonem.

O'Heary skierował się teraz ku chacie kapłana i uniósłszy matę u wejścia przepuścił do środka Urikona i Grellego. Sam wszedł na końcu, z pistoletem w ukrytej za sobą ręce.

W chacie palił się kaganek napełniony tłuszczem. Na posłaniu ze skór spał stary Murzyn okryty obszernym wełnianym kocem. W kącie, na podstawce, stała drewniana głowa, w której tkwił, pokryty misterną rzeźbą kiel słonia. Był to „ołtarz przodków”. Urikon szarpnął śpiącego za ramię i zawył cienkim, przeraźliwym głosem, wyczyniając przy tym jak opętany

dziwaczne łamańce.

Starzec zerwał się, tocząc dzikim wzrokiem.

- Wstań, o kapłanie, i słuchaj nas, wysłanników boga rzek i mórz Olokuna! - darł się Urikon w międzyplemiennym języku bini. - Słuchaj nas, zwiastunów wielkiego nieszczęścia! Zwołaj swoje plemię, o kapłanie, albowiem przychodzimy oznajmić mu straszną nowinę.

Jednocześnie z zewnątrz, od strony słupa stojącego obok chaty, dobiegły miarowe, posępne dźwięki dzwonu eroro.

Wieś w jednej chwili ożyła. Tu i tam spoza mat wyglądały już głowy mężczyzn. Po całym kraalu rozlegał się płacz dzieci.

Urikon wyprowadził kapłana z chaty.

- Wołaj głośno, o kapłanie, zbieraj swój lud, wszystkich, do ostatniego niemowlęcia!

Pod słupem Urikon powtórzył swoje łamańce. Patrząc na niego Grelli pomyślał, że ten człowiek naprawdę jest opętany przez szatana.

- O biada wam, biada, ludzie! - darł się wniebogłosy. - Posłuchajcie, co wam powie wasz kapłan, który nie ustrzegł was od nieszczęścia! Ktoś z waszego plemienia zabił świętego słonia, syna króla bogów Olokuna. Przed chatą zabójcy leżą jego święte kły! Wysłannicy Olokuna, bogowie burzy, sami przybyli do was, abyście przez ofiarę odkupili ten ciężki grzech!

Wystraszony kapłan plemienia podchwyciwszy ton Urikona powtórzył złą wieść. Teraz pod słupem w blasku rozpalonego ogniska wyczyniali łamańce już dwaj kapłani.

Podczas tego seansu Urikon zdążył uprzedzić półgłosem kolebę:

- Wiedz, że jeśli chociaż jeden człowiek wymknie się wysłannikom niebios, wielkie nieszczęście spadnie na twą głowę!

Mężczyźni, z posępnie opuszczonymi głowami, zaczęli podchodzić bliżej ku ognisku. Prerażone kobiety z dziećmi na rękach lub na plecach ustawiły się nie opodal. Za nimi chowały się nagie dzieciaki z wytrzeszczonymi z ciekawości i strachu oczami.

- A teraz niech tu przyjdą myśliwi polujący na słonie - rozkazał Urikon i zwracając się do Grellego i Amerykanina, rzucił szeptem: - Odprowadźcie ich do zagrody dla bydła i zwiążcie. To najsilniejsi mężczyźni plemienia.

Z tłumu, jeden po drugim, zaczęli występować pięknie zbudowani, wysocy mężczyźni. Ludzie O'Heary'ego odprowadzali jeńców do zagrody dla bydła; wkrótce na mokrej po deszczu ziemi leżało już ze trzydziestu mężczyzn, mocno skrępowanych rzemieniami z surowej skóry bawolej. Ten sam los spotkał również obu stróżów nocnych, którym Senegalczyk Ali odebrał kije.

Łańcuch strzelców opasujących kraal przerzedził się. Wszystko odbyło się bez jednego wystrzału. Nie było po temu potrzeby, gdyż nikt z mieszkańców wioski nie próbował nawet uciekać przed wysłannikami niebios.

Nagle straszliwy łoskot piorunu, który uderzył niemal jednocześnie z pomarańczowym ogniem błyskawicy, wstrząsnął, zdawało się, całym światem. Wysokie, uschłe drzewo na skraju wsi rozszepiło się od góry do dołu, jakby rozcięte na pół siekierą, i wałąc się na ziemię buchnęło jasnym, białym płomieniem.

- Na kolana! - ryknął Urikon. - Ktoś z was chciał się ukryć przed karzącą ręką boga! Trzymajcie go, trzymajcie, inaczej nikt z was nie ujdzie z życiem!

Ale nikt nie myślał nawet uciekać. Ogarnięci przerażeniem ludzie padli na kolana, kryjąc twarze w trawie, między wyciągniętymi przed siebie rękami.

Grelli, O'Heary i ich ludzie od razu na placu związali ręce pozostałym mężczyznom.

Kobietom kazali nieść lub prowadzić dzieci za związanymi ojcami rodzin. Całe plemię, jak jeden mąż, znalazło się wewnątrz ciasnej zagrody otoczonej przez uzbrojonych „myśliwych”.

Z każdą chwilą narastał rozdzierający płacz dzieci, również i kobiety podniosły lament. Wystraszone bydło zbiło się w najdalszym kącie zagrody.

Teraz Grelli obszedł z ludźmi chaty. Tylko w jednej znaleźli kilka śmiertelnie przestraszonych kobiet, które natychmiast dołączyli do reszty jeńców.

Wstawał świt, purpurowy i złowieszczy.

O'Heary wybrał trzydziestu młodych mężczyzn i kazał im pod dozorem swych marynarzy ścinać drzewa na brzegu błotnistej rzeki płynącej za wsią. Kobiety i dzieci obcinały gałęzie.

Cztery pary bawołów, popędzane przez jeńców-poganiaczy, ciągnęły pnie nad samą wodę, skąd spuszczano je na leśną rzekę.

Inna grupa pod okiem Lorna budowała tratwę. Do południa tratwa była gotowa. Zbudowana z mocnych pni, związanych giętkimi pędami, mogła śmiało pomieścić wszystkich jeńców, a nawet część bydła, zapas żywności i wszystkie kły słoniowe.

Z łodzi dostarczono długie, trzydziestometrowe liny okrętowe, do których co pół metra przymocowane były pętle w rodzaju obroży.

Ułożywszy te liny na ziemi marynarze podprowadzili do nich po dwóch jeńców; jeden ruch - i na szyjach mężczyzn zamykały się metalowe sprzączki obroży. Ludzie ci byli już „wprzęgnięci”. W ten sposób marynarze O'Heary'ego „zaprzęgli” dwójkami wszystkich mężczyzn. Pracę tę wykonywali z błyskawiczną szybkością i uderzającą wprawą. Wkrótce nie pozostało na linach ani jednej wolnej obroży. Czterech marynarzy uzbrojonych w pistolety, ze skórzanymi biczami w rękach, poprowadziło pierwszą partię „towaru” nad Kuorę. Dopiero teraz nieszczęśliwi zrozumieli, że zostali haniebnie oszukani. Podniósł się krzyk i wycie. Jednakże bicze i kilka wystrzałów z pistoletów szybko przywróciły porządek.

Do następnego wspólnego jarzma, obliczonego również na sześćdziesięciu jeńców, wprzęgnięto młodych chłopców, kobiety i dziewczęta.

Wreszcie do ostatniego - czterdzieści kobiet i starszych mężczyzn, którzy wydali się Grellemu jeszcze zdolni do pracy. Koniec liny, z wolnymi obrożami, podzwaniając włókł się po ziemi.

W zagrodzie pozostał tylko kapłan plemienia i ośmioro najstarszych ludzi o bezzębnych ustach i głęboko wpadniętych oczach.

Przyniesiono łopaty. Grelli sam wyprowadził starców z zagrody i przyszedłszy z nimi na skraj niedawno zasadzonego zagonu kukurydzy kazał im kopać długi płytki dół. Stary kapłan skrzyżował ręce na piersiach i nie tknął łopaty. Pozostali zaczęli wolno kopać ziemię.

Nim ostatnia grupa jeńców zniknęła z widoku, na polu była wykopana jama głęboka na jakieś dwa łokcie. Grelli wyjął pistolet zza pasa, gdy wtem usłyszał za sobą czyjeś głośne wołanie. To Patterson, ożywiony i podniecony, biegł w jego stronę.

- Ależ to nadzwyczajne, sir Frederick! - wykrzyknął podchodząc do współnika. - Stu sześćdziesięciu ludzi! Pięćdziesięciu sześciu mężczyzn, osiemdziesiąt kobiet, dwadzieścioro czworo młodzieży i ponadto ze dwadzieścioro dzieci i niemowląt! I to wszystko bez jednego wystrzału, humanitarnie, szybko i bezboleśnie! Łatwiej poszło niż z leopardem, prawda?

Grelli nie odpowiedział. Uniósł pistolet. Huknął pierwszy strzał i stary kapłan, ugodzony kulą w czoło, runął obok przygotowanego grobu. Stara Murzynka o wyschniętych piersiach przerażona wystrzałem upuściła łopatę i plasnęła w dłonie.

Znów huknęła salwa z karabinów. Podkute marynarskie buty zepchnęły ciała ofiar do dołu.

Patterson osłupiał i zdruzgotany powlókł się ku łodzi.

W pięć minut później pole opustoszało, przybierając swój zwykły wygląd. Tylko świeżo zasypana mogiła i słupy ognia unoszące się nad chatami kraala przypominały o przybyszach.

O'Heary kazał spędzić nad rzekę część bydła. Pozostawione kozy i bawolice z rykiem i meceniem miały się po zagrodzie, otoczonej ze wszystkich stron ogniem.

Nim słońce zaszło, na miejscu wioski pozostały tylko tlejące zgliszcza, okryte szarym popiołem. Gryzący swąd dymu, palonej sierści i mięsa długo jeszcze unosił się w powietrzu.

A gdy zapadła noc, z zarośli wyczołgał się ranny pies z przetrąconym grzbietem. Z trudem powłóczęc tylnymi łapami nieszczęsne zwierzę wciągnęło w nozdrza powietrze przesycone swędem spalenizny i zadarłszy łeb do księżyca zawył przeraźliwie i rozdzierająco.

6

Marynarze spławili tratwę po leśnej rzece aż do Kuorry, do miejsca postoju wyprawy. Czekali tu już niewolnicy przykuci do lin. Grelli, O'Heary i Lorn dokładnie obejrzeni „towar” przed ładunkiem, przesortowali go, a nawet obliczyli z grubsza przyszłe zyski. Wreszcie załadowano niewolników na jedną tratwę razem z bydłem. „Myśliwi” usadowili się w łodziach i flotylla ruszyła w drogę.

Jedna z łodzi płynęła tuż przy brzegu. O'Heary wypatrywał w przybrzeżnych zaroślach tratw idącej przodem partii. Obok niego siedział pobladły Anthony, do głębi wstrząśnięty tym, co widział. Ten dzień na zawsze pozostał w jego pamięci jak jakaś czarna i straszna plama.

Przed świtem następnego dnia nowa tratwa dołączyła do trzech poprzednich i cała partia bezzwłocznie ruszyła w dół rzeki.

Brzegi tratw były obwiedzione jakby płotem z gałęzi i chrustu. Z daleka nie widać było ładunku, mogło się wydawać, że na tratwach płynie bydło uwiązane do palików.

Dwa krótkie postoje, wystarczyły, by napoić bydło i nakarmić niewolników; każdy z nich otrzymywał garść ryżu dziennie, a niektórzy dodatkowo kawałek gotowanego mięsa.

Wśród niewolników kupionych u Ezomo-Iszana było kilku sudańskich Tuaregów, chudych, muskularnych i niesłychanie okrutnych. Im to właśnie O'Heary zlecił funkcję dozorców pod komendą Urikona. Bezlitośni, uzbrojeni w długie skórzane baty, Tuaregowie-nadzorcy wzbudzali w związanych jeńcach większy strach niż sami handlarze niewolników.

Ósmego grudnia, mimo gwałtownej ulewy i burzy, opróżniono ładownie „Glorii” i „Dorotei”. Przywiezione dla Ezomo-Iszana drewniane podłużne skrzynie ze starymi muszkietami skałkowymi, beczułki prochu i rumu oraz kilka lekkich skrzynek z tanimi świecidełkami powędrowały na puste tratwy i oba statki przyjęły na pokład żywy ładunek z czterech tratw. Patterson zachnął się, zajrzawszy przez luk do wypełnionych ładowni...

Nazajutrz oba szkunery - z mokrymi jeszcze po ulewie żaglami, głośno łopoczącymi na wietrze - minęły ujście Kuorry, wyszły na morze i wzięły kurs na wyspę Fernando Po. Gdy zbliżyły się do wyspy, Grelli, Patterson i Anthony przesiedli się do łodzi i wrócili na pokład „Oriona”. Właściciel okrętu, nie zmieniawszy nawet swego myśliwskiego ubioru na uniform, który zwykle nosił na brygu, kazał poprosić do siebie pastora Redlinga.

- Drogi ojcze - zwrócił się do niego z głębokim przejęciem w głosie - serce mi się kraje, gdy widzę, w jak głębokich mrokach pogaństwa pogrążone są nieszczęsne dusze tubylców. Zawijają tu niekiedy okręty, trudzą się tu misjonarze, z którymi się pan zaznajomił podczas naszej nieobecności. Ubolewał pan, iż nie ma jeszcze świątyni chrześcijańskiej na tej wyspie. Toteż pragnę, by po naszej wizycie została ona wzniesiona. Proszę więc bezzwłocznie omówić tę sprawę z tutejszymi działaczami, gdyż za dwie godziny podnosimy kotwicę. Na pewno znajdzie pan wśród owych misjonarzy gorąco wierzącego chrześcijanina--kaznodzieję, który mógłby zostać kapłanem w przyszłej skromnej świątyni. W przeciwnym razie trzeba będzie sprowadzić duszpasterza z Europy. Proszę mi nie odmawiać i przyjąć te oto tysiąc funtów na budowę kościoła, który będzie służył dziełu nawrócenia pogan na prawdziwą wiarę. Niech pana raczy rozporządzać tą sumą według własnego uznania, albowiem dobrze wiem, że oddają ją w najgodniejsze ręce.

Pastor Redling skłonił się głęboko, odbierając podpisany czek, i w milczeniu nakreślił nad głową ofiarodawcy szeroki znak krzyża...

W parę godzin później zatoka Santa Isabel znów opustoszała. Dwa okręty pruły fale uwożąc żywy towar na targi niewolników w Ameryce, trzeci zaś - bryg „Orion” - pod pełnymi żaglami mknął ku dalekiej wyspie na Oceanie Indyjskim.

Rozdział szósty

Lokator mrs. Bingle

*Wszak łatwiej produkować ludzi niż narzędzia,
Życie ludzkie mniej warte niżli para pończoch -
Szubienice na Sherwood niech ożywią pejzaż
Akcentem, w którym Handel i Wolność się złączą.*

*Są, rzecz jasna, i tacy, którzy się tym gorszą,
Że kiedy Głód i Nędza zaostają nacisk,
Człowiek ma wtedy stanąć niżej ceny pończoch,
I za maszyny szkielet szkieletem swym płacić*.*

„Przysięgam, że nikomu na świecie nie zdradzę
nigdy nazwisk członków tajnego komitetu ani
tego, co robią, gdzie się ukrywają, jak są ubrani,
jak wyglądają ani czegokolwiek, co mogłoby
doprowadzić do ich ujawnienia... pod groźbą
śmierci z ręki pierwszego napotkanego brata...

Tak mi dopomóż Wszechmogący Boże i strzeż
mnie przed złamaniem tej przysięgi”.

(Przysięga angielskich luddystów*)

1

Stary kamerdyner Francis zapuścił story, zaciągnął firanki na oknach i wniósł świece do gabinetu pana Williama Thompsona.

Niewesoło zapowiadała się tegoroczna Wigilia. Gdzieś na nieznanym morzach, pod obcym niebem przebywa w tej chwili syn Richard a wraz z nim dwaj wierni przyjaciele domu. Może grozi im w tej chwili jakieś niebezpieczeństwo? A może pośród cudów południowych mórz wznoszą kielichy za pomyślność i nie pamiętają o tych, co pozostali w kraju? A może i oni w tej chwili wspominają ze smutkiem zimowy zmierzch, ciężkie płatki śniegu, pusty obecnie stolik do kart i przyjaciół przy kominku?

Mrs. Thompson, dama znana w całym Bultonie ze swej działalności filantropijnej, weszła do gabinetu męża, by oderwać go od niewesołych myśli i poprosić do odświeżenie nakrytego stołu.

- Williamie - powiedziała do męża - będzie nam dziś smutno przy wigilijnym stole. Bardzo bym pragnęła, by dzisiejsza Wigilia była naprawdę chrześcijańską wieczerzą, jak za dawnych, dobrych czasów! Wyślij, proszę cię, służącego na ulicę i każ mu przyprowadzić jakiegoś biednego chłopczyka, aby zasiadł z nami do stołu. Tak dawno nie widziałem już dzieci w naszym domu!

Mister Thompson wyszedł sam na poszukiwanie wigilijnego gościa. Nie musiał długo szukać. Na najbliższym rogu ulicy, przed jasno oświetlonym oknem wystawowym Niemca-

* G. Byron - Oda przeciw autorom ustawy o obronie warsztatów. Przełożył W. Chwalewik.

* Luddyści - uczestnicy żywiołowych ruchów robotniczych w Anglii 2-jej połowy XVIII i początku XIX w., noszących charakter buntu przeciwko maszynom.

kiełbaśnika, dojrzał drobną postać chłopczyka zatopionego w kontemplacji pieczonych prosiąt i szynek przybranych papierową koronką. Jak w każdej prawdziwej opowieści wigilijnej chłopczyk był ubogo odziany, kulił się z zimna, chuchał na zziębnięte palce i nie odrywał oczu od prosięcia w papierowym przybraniu.

Młody dżentelmen już miał czmychnąć przed panem Thompsonem, lecz i on przypomniał sobie widać o wigilijnej tradycji i poszedł z adwokatem.

„Powieś tu swoją kurtkę, synku, i powiedz tej oto dobrej lady, jak się nazywasz - powiedział mister Thompson do swego gościa, gdy weszli do przedpokoju.

- Nazywam się Thomas Bingle, sir - odparł chłopczyk. - Mama dała mi pół szylinga na słodycze i kazała zaraz wracać do domu, u nas też będzie dziś świąteczna wieczerze.

- Thomas Bingle? Powiedz mi, dziecko, czy to nie ty byłeś, jeszcze w lecie, razem ze swą matką u mnie w biurze? Poznajesz mnie, Tom?

- Tak, sir.

- Widocznie moja rada i moja pomoc wyszły na korzyść waszej rodzinie. Wiesz, Daisy, dałem wówczas matce tego małego list polecający do Pattersona. Na pewno pracujesz w stoczni, Tom?

- Nie, sir.

- Jeszcze jedno nakrycie! Daisy, zaprowadź małego do umywalni. Francis, proszę zapalić świece. Siadaj, Tom, i powiedz mi, co teraz robisz.

- Chodzę do szkoły pana Hampreya Chiswicka, sir.

- To ci się chwali. Ale skąd mistress Bingle bierze środki na twoją edukację, Tom? Uskarżała się przede mną na biedę... Zresztą, nie przeszkadzaj sobie, zjedz teraz kawałek pieczonej gęsi! Przypominam sobie, że masz jeszcze starszego brata. Jak widzę, twojej rodzinie zaczęło się lepiej powodzić. Moja dobra rada, udzielona w odpowiedniej chwili...

- Dziękuję, sir.

- Daisy, a teraz przygotuj paczkę dla swego gościa. Zabierze ją dla reszty rodziny. Powiedz mi jeszcze, Tom, co porabia mistress Bingle.

- Sir, gdy mama przyprowadziła nas do doków pana Pattersona, George'a wzięto do pracy przy wyładunku budulca, a mnie kazano zbierać wióry i odpadki. Były tam tego całe sterty. Wozilem to na taczkach i oddzielałem większe kawałki od wiór. Te większe sprzedaje się drożej na opał, a wióry kupują biedacy. Pracuje tam dużo małych chłopców. Przychodziliśmy do doków o szóstej rano, a o dziewiątej wieczór wracaliśmy do domu. Pracowałem dopiero miesiąc, a zdawało mi się, że to już trwa chyba rok. Potem przyjechała do naszej sąsiadki, ciotki Polly - wie pan, do tej staruszki, co to jej syna zmiażdżyło przy wodowaniu nowego okrętu - otóż przyjechała do niej pewna lady...

- Na pewno z twego komitetu, Daisy. No, no, mów dalej, chłopcze.

- Nie, ta lady nie była z komitetu. Damy z komitetu zawsze mówią dużo o zbawieniu duszy, dają parę pensów i obiecują, że przyślą starą odzież. A to była piękna, młoda, bardzo dobra lady. Gdy ciotka Polly opowiedziała jej o śmierci swego syna Mike'a, młoda lady rozplakała się. A w kilka dni potem nasz administrator, mister Chiswick, wezwał ciotkę Polly i powiedział, że będzie otrzymywać pensję i że ma zapłacone mieszkanie z góry za cały rok.

- I wtedy twoja matka też zwróciła się do tej lady?

- Tak, sir, moja mama dowiedziała się, kim jest ta dama, i sama poszła ze mną do niej. To daleko, chyba ze dwanaście mil od miasta. Lady rozmawiała z mamą w parku, w altanie, i od tego dnia wszystko się u nas odmieniło. Mnie posłano do szkoły pana Chiswicka i ja już umiem pisać i rachować. George'a uczy mister Barlet, starszy kreślarz w stoczni. George umie już dobrze rysować okręty i zarabia pieniądze swoimi rysunkami. On przecież ma piętnaście lat! Mister Barlet mówi, że jeśli George dalej będzie się uczył, wyrośnie z niego prawdziwy artysta... A kiedy mama wynajmie jeszcze jakiegoś spokojnemu lokatorowi nasz drugi pokój, wtedy już będzie nam całkiem dobrze.

- A nie wiesz, jak się nazywa ta dama? Musi być bardzo bogata, skoro mogła zabezpieczyć byt dwu rodzinom naraz. Daisy, kto by to mógł być spośród tutejszych dobrodziejek?
- Nie wiem, William, po raz pierwszy słyszę o tej tajemniczej osobie.
- Ale ja wiem, kto to jest, sir. Ta lady pomogła też naszemu starymu Patkingsowi, który obciął sobie siekierą palce u lewej ręki. Teraz on mieszka u niej w Chancefieldzie, jest domowym stolarzem... Ta dama nazywa się lady Emily Riland i... jest najpiękniejszą lady w całym hrabstwie!...

2

Minęły święta. Mister William Thompson dawno już zapomniał i o małym gościu, i o wigilijnej gałązce jemioli. Z każdym dniem stary adwokat miał więcej kłopotów. Dawniej cieszyło go zawsze, gdy czerwonołęby pocztylion schodził z dyliżansu przed bramą jego biura, wnosił na górę wytarty skórzany worek i wykladał na stół Jankinsa, starszego klerka, stos gazet, czasopism, zapieczętowanych pakietów i kopert z listami od interesantów i przyjaciół. A teraz? Ponaglące listy, nieprzyjemne i kłopotliwe sprawy, niepokojące wieści... Jakby rzeka czasu zmieniła bieg, a jej nurt stał się szybszy i mętniejszy. Widać i ją zmuszono, by obracała fabryczne koła! A on, doktor praw i królewski adwokat, jest już za stary, by rzucić się w ten wir...

W styczniowy wieczór, gdy w żółtym świetle latarni wiszących nad kamiennymi łukami bram wirowały wolno suche płatki śniegu, mister William Thompson wracał pieszo z biura do domu. Jakże lubił kiedyś ten codzienny spacer! Ile świetnych mów obrończych ułożył krocząc bez pośpiechu tymi wąskimi, znajomymi uliczkami! Z jaką łatwością układały się wtedy w głowie kwieciste zdania! Na myśl przychodzili starożytni mówcy, Cycero... Och, Cycero nie miał tych kłopotów, które dziś stały się udziałem prawnika. Za czasów Cycerona łatwiej było utrzymać motłoch w posłuszeństwie. Rzymski plebs wiódł życie próżniacze, zadowolając się okruchami ze stołu patrycjuszów, żył „chlebem i igrzyskami”, a ci... ci wytwarzają wszelkie bogactwa kraju. Ich ręce winny być zręczne, lecz dusze - pokorne! Biada, gdy uświadomią sobie swą siłę, jest ich bowiem wiele, całe tłumy. Zebrani razem w fabrykach łatwo mogą się zmówić...

...O tam, za miastem czerwona łuna na niebie. To daleki odbłask światła nad kopalnią.

Dniem i nocą skrzypiący kołowrót wyciąga z wnętrza ziemi ogromne plecione kosze z czarnym węglem kamiennym. Nad kopalnią stale wisi brudnobiały obłok.

To para, nowy żywioł, zrodzony z połączenia dwóch odwiecznych żywiołów - ognia i wody. Ogniste maszyny, ciężkie i niezgrabne, podobne do groźnych bałwanów starożytności, dymią i ciężko wzdychają, nad cylindrem parowym kołyszają się ociężałe dźwignie i z każdym westchnieniem maszyny wzbija się pod niebo nowy obłoczek pary...

A pod ziemią, w sztolniach i chodnikach bultońskiej kopalni, żyją ludzie, z żonami i dziećmi, całe rodziny, żyją przy bladym płomyku świecy, bardzo rzadko wychodząc na świat boży. Nie są to przestępcy ani skazańcy, to po prostu chłopcy pozbawieni przemocą własnego kawałka ziemi lub inni nieszczęśliwi biedacy. Na szyi noszą żelazne obręcze z wrytym na nich imieniem dumnego właściciela kopalni - sir Harry Hartleya, hrabiego Elswicku. W gazetach piszą, że właśnie w parlamencie trwa debata nad prośbą górników o zdjęcie im owych obręczy z szyi...

A tam znowu wzdłuż rzeki Kelsex, na odległych peryferiach Bultonu, gdzie ginie w dali nie kończąca się ulica Katedralna, wznoszą się nowe fabryki sir Rilanda - fabryki sukna, tkanin bawełnianych, lin okrętowych...

Przypomniało się starymu adwokatowi, jak to niedawno w towarzystwie dyrektora Kompanii Północnobrytyjskiej pana Ralpa Norwarda zwiedzał te fabryki, już pracujące i jeszcze

będące w budowie... Szczególnie wrył mu się w pamięć widok pracujących dzieci. Małe, żalosne postaci w drewnianych sabotach, inne - na wysokich klockach, aby dziecięce rączki mogły dosięgnąć do krosien... Jakiejś malutkiej, pięcio- może sześciolatniej dziewczynce wysunął się klocek spod nóg i dziecko upadło. Majster ze złością chwycił klocek i uderzył dziewczynkę po głowie... A kobiety-robotnice! Wynędzniałe, obojętne na wszystko, o ziemistych twarzach i przeraźliwie chudych, zniekształconych dłoniach... Cóż zrobić, dodatek do maszyn!

Te kobiety i dzieciaki setkami umierają na gorączkę fabryczną, chorobę podobną do więziennego tyfusu. I tak płynie ich życie od najwcześniejszego dzieciństwa aż do... pryczy w przytułku miejskim i nie heblowanej trumny za pensy ofiarowane przez małżonkę adwokata, mrs. Daisy Thompson... Nie ma co mówić, smutna to rzecz dla kraju, dla narodu, ale...

...Ale za to w jednym tylko, ubiegłym, 1772 roku (mister Thompson zdążył już to obliczyć) nowe fabryki w Anglii uzyskały ponad dziesięć milionów funtów rocznego obrotu! Ileż z tą cyfrą łączy się dochodów dla brytyjskich prawników w rodzaju Thompsona, ile skarg, sporów, petycji - dla brytyjskiego parlamentu!

Bo te cienie o bezkrwistych twarzach, ci robotnicy fabryczni jednak poskarżyli się w końcu przed parlamentem! Morze cierpienia i nędzy nie zawsze pozostaje spokojne, niekiedy burzy się i bije o skaliste brzegi...

Odpowiedzią na te wszystkie petycje był niedawny bill o prawach przedsiębiorców. Parlament poparł oczywiście nie prostaczków, lecz filary społeczeństwa, fabrykantów, i zalegalizował pracę dzieci od piątego roku życia... Czyż mogło być inaczej? Fabrykanci wprowadzają nowe maszyny, nowe krosna, i już nie dawny doświadczony tkacz czy przędzacz, lecz para dziecięcych rąk przy maszynie wyrabia przędzę i tkaninę dziesięć razy szybciej niż dawniej i... dziesięć razy taniej!

Mister Thompson dobrze pamięta te czasy, gdy bogacąca się Anglia zaczęła sprowadzać ze swych amerykańskich kolonii nowe włókno - bawełnę. Wspaniała rzecz, jeśli podda się ją odpowiedniej obróbce. I ludzki umysł, niewyczerpany w pomysłach, szybko znalazł nowe sposoby lepszej i tańszej obróbki owego włókna. Pewien prosty cieśla angielski, nazwiskiem Hargraves, zbudował przędzarkę i nazwał ją „Jenny” na cześć swej jasnowłosej córeczki. Kiedyż to było? Czy tak dawno? Skądże, nie ma jeszcze dziesięciu lat, a już w całej Anglii kręca się te przędzarki. Wymyślono też maszynowe krosna, żeby i tkactwo nie pozostawało w tyle za przędzalnictwem. Liczba nowych fabryk wyposażonych w maszyny będzie oczywiście wzrastać z roku na rok. Zapotrzebowanie na towary jest ogromne, a produkcja maszynowa - tania... Ale co mają począć starzy wytrawni majstrowie, ojcowie rodzin od pokoleń żyjący z pracy rąk? To... nie jest takie proste. Hm! Gdy się nad tym zastanowić, to istotnie ich położenie...

Rozmyślenia adwokata przerwał nagle gwałtowny wrzask z wysokości kozła... Mister Thompson, który znalazł się właśnie na środku ulicy, ledwo zdążył umknąć spod końskich kopyt. Gruby stangret obrzucił roztargnionego przechodnia przekleństwami, lecz jadący w powozie dżentelmen... przyjaznym gestem odrzucił futrzaną baranicę zapraszając skonfundowanego adwokata do zajęcia miejsca. Jak się okazało, mister William Thompson o mało nie wpadł pod koła powozu bultońskiego bankiera, pana Samuela Landy!

Starzy przyjaciele pojechali razem do domu adwokata. Po drodze pan Thompson otrząsnął się z przestachu i zaproponował bankierowi wspólne spędzenie wieczoru na przyjacielskiej pogawędce. Bo też miał o czym pomówić z oddanym przyjacielem domu!

Obaj dżentelmeni, gość i gospodarz, zasiedli w fotelach w staroświeckim gabinecie. Na okrągłym stoliku stała kawa i likier. Płomyki świec zapalały rubinowe iskierki na oleistej powierzchni nalanego do kieliszków likieru. W kominku trzeszczały głośno szczapy, to buchały płomieniem sypiąc iskrami, to znów przygasały pokrywając się szarym popiołem. Kąty gabinetu tonęły w półmroku i gdzieś stamtąd, z zielonkawego cienia, dochodziło

ćwierkanie niestrudzonego świerszcza, zasiedziałego mieszkańca tego pokoju.

- Są świeże nowiny? - spytał bankier wskazawszy na rozpieczętowane koperty. - Gdzie teraz znajduje się bryg?

- Listy są datowane „Dwunastego listopada, południk Greenwich, dziesięć stopni południowej szerokości geograficznej, Zatoka Gwinejska”. Spotkany po drodze okręt wojenny, fregata „Krzyżowiec”, bardzo szybko dostarczył je do Plymouth. Richard pisze, że „Orion” zawinie z ładunkiem do Kapsztadu i potem popłynie dalej. Być może Wigilię obchodzili już na wyspie Rilanda. Patterson opisuje, jak to w Afryce ledwo uszedł z życiem z jakichś przygód z nosorożcami i leopardami. Na pewno strasznie przesadza!... O wiele dziwniejsze rzeczy dzieją się na samym okręcie. Co prawda Richard pisze o tym w nader skąpych słowach, lecz z jego listu widać wyraźnie, że stosunki między nim i Rilandem stały się wręcz wrogie. Napomyka o jakichś ciemnych sprawkach prezesa nowej kompanii.

- Czyżby Richard, przebywając w towarzystwie lady Stanford, miał czas zajmować się sprawami kompanii?

- Samuelu, powiem panu coś, o czym na razie nie wie nawet moja żona. Richard zerwał zaręczyny z lady Ellen...

- Boże! A to dlaczego?

- Widzi pan, Samuelu, ten Riland już drugi raz stanął pomiędzy moim synem i jego wybranką. Wprawdzie nie mogę powiedzieć, żebym był zachwycony nowym wyborem Richarda, niemniej całe miasto wie już o jego zaręczynach. I oto w podróży Richard zrobił odkrycie, nie pozostawiające najmniejszych wątpliwości co do istoty stosunków łączących lady Ellen z Rilandem.

- Zaraz, zaraz... Przecież oni się znają zaledwie pół roku!

- A jednak to fakt bezsporny. Richard jest tego absolutnie pewny.

- Ależ to wręcz sensacyjne nowiny! A... lady Emily?

- Widzi pan, Morton pisze mi, abym z zachowaniem jak najdalej posuniętej ostrożności zaczął przygotowania do procesu rozwodowego. Z tego wynika, że sprawa jest poważna.

- William, stare przysłowie mówi: Nie taki diabeł straszny, jak go malują! Może po ich powrocie wszystko się jakoś ułoży? A w ogóle ta cała eskapada to dość dziwny pomysł u tak trzeźwego człowieka jak Frederick Riland.

- Richard pisze o nim jeszcze dziwniejsze rzeczy. Z jego napomknień wynika, że Riland nie jest prawnym dziedzicem Chancefieldu!

- No, tu już przemawia przez niego urażona miłość własna! Zazdrość zaślepiała pańskiego syna.

- Być może. Dla mnie cała prawna strona przejęcia dziedzictwa przez Rilanda nie budzi wątpliwości. Niemniej Richard wręcz mi radzi, abym zerwał wszelkie stosunki z Kompanią Północnobrytyjską i jej prezesem.

- Bzdura! Riland to tęga głowa! Być może nie zawsze przebiera w środkach, ale to człowiek o szerokim rozmachu... Łączą mnie z nim poważne interesy. Czytał pan w ostatnim numerze „Monitora”, jak wzrosły dywidendy kompanii i na jak szeroką skalę rozwijają się zamorskie operacje handlowe? Ponadto Riland ofiarował duże sumy na potrzeby miasta i kościoła.

- To prawda. Ale jakie są źródła tych sum? Przecież on wydaje co najmniej półtora razy tyle, ile wynoszą dywidendy, których wysokość opublikowano w „Monitorze”. Za słowami Richarda coś się kryje, jestem o tym głęboko przekonany!

Landy chciał coś powiedzieć, lecz machnął tylko ręką i westchnął. Mister William mówił dalej:

- Pamięta pan ów ciepły letni wieczór, kiedy to w wąskim kręgu przyjaciół czytałem pamiętnik Mortona? Otóż w swym rękopisie Morton prawdopodobnie przemilczał jakieś istotne szczegóły ocalenia Rilanda. Zobowiązałem się zachować w tajemnicy pewne zdarzenie, które miało miejsce akurat w przeddzień owego wieczoru, lecz teraz sprawa tak się

skomplikowała, iż czuję się w obowiązku mówić z panem całkiem otwarcie. Tego dnia zjawił się u mnie nieznamy mężczyzna. Przedstawił się jako Rogers...

Stary Landy zamienił się w słuch i nie przerywał ani słowem. W pełnej napięcia ciszy trzeszczały tylko sucho szczapy na kominku i co pewien czas odzywał się świerszcz ze swego kącika.

Mister Thompson mówił dalej, zniżając głos:

- Człowiek ten szukał śladów zagrabionych drogich kamieni i przede wszystkim interesowały go okoliczności zatonięcia „Czarnej Strzały” i uratowania się Rilanda. Rogers wyraził przypuszczenie, iż Riland zabił kapitana Bernardito Luiza i zawładnął skarbem tego pirata - diamentami ocenionymi na sześćdziesiąt tysięcy funtów szterlingów!

Świerszcz umilkł, tylko z przyległej jadalni słychać było szuranie podagrycznych nóg Francisa w filcowych pantoflach.

- Niech pan powie, mister Thompson - znacząco spytał bankier - czy zna pan agenta Rilanda, byłego marynarza Geoffreya MacRaila?

- Zeszłego lata obito mi się to nazwisko o uszy... Mówiono o jakimś napadzie bandyty na jego mieszkanie...

- A czy nie dopatrzył się pan żadnego związku między tą historią a pańskim tajemniczym gościem Rogersem?

- Nie, to mi w ogóle nie przyszło do głowy.

- A więc właśnie ów pański Rogers był tym bandytą. To on ograbił MacRaila i omal go nie zabił.

- Boże!

- Cios był wymierzony bez wątplenia w Rilanda. I być może właśnie pan, Williamie, pośrednio dopomógł w zadaniu owego ciosu swemu najpoważniejszemu klientowi.

- Niech pan jednak zważy, mister Landy, że jeśli podejrzenia Rogersa są słuszne, dochodził on tylko swego udziału w skarbie Bernardita. Mój wielce szanowny klient, wchodząc w posiadanie kradzionych kosztowności, sam naraził się na ryzyko spotkania innych pretendentów do zagrabionego bogactwa.

- Pański Rogers to po prostu kuty na cztery nogi bandyta! Skorzystał z pańskiej pomocy, by ograbić sir Fredericka.

- Niech mi pan powie, Landy, od kiedy to stał się pan takim zagorzałym orędownikiem Rilanda? Czym pana urzekł ten człowiek? I w ogóle, co za epidemia ogarnęła umysły najpoważniejszych obywateli Bultonu? Patterson został jego współnikiem. Pana, jak sam pan mówi, łączą z nim poważne interesy. Lady Stanford powierzyła mu wszystkie swe wolne fundusze. „Monitor” wynosi go pod niebiosa i podobno jego redaktor został akcjonariuszem kompanii. Mer Bultonu przyjął od Rilanda znaczną sumę na potrzeby miasta. Władze portowe i celne idą mu jak najbardziej na rękę, a skarbowi kontrolerzy sukna podejrzanie lekką ręką dają plomby na wyroby „Bultońskiej Manufaktury”. Nawet Kościół... Słyszał pan te peany na cześć ofiarodawcy podczas ostatniego kazania w katedrze? Wreszcie setki drobnych akcjonariuszy... Nie, to już nie epidemia, to jakaś szatańska sieć, do kaduka! Ale ja mogę śmiało powiedzieć, że handlowe stosunki z tym klientem nie pozbawiły mnie niezależności. Prowadzę sprawy kompanii, gdyż przynosi mi to korzyści, ale mogę skończyć z tym każdej chwili, jak sobie tego życzy mój syn. Dlaczego pan milczy, Samuelu?

- Williamie! Szczerość za szczerość! Lepiej, aby pan poznał całą prawdę, nim pójdzie pan za niepoczytalną radą swego zaślepionego syna... Pan dobrze wie, że na kapitał mego banku składają się w głównej mierze wkłady Pattersona, kilku innych fabrykantów, pańskie oraz wkłady towarzystwa asekuracyjnego...

- Boże mój, do czego pan zmierza? Po co ten cały wstęp? Sprawy banku znam lepiej niż swoje własne! Niech mnie pan nie straszy, Landy!

- A więc proszę posłuchać! Podczas letniej paniki na giełdzie włożyłem ogromną sumę w

kupno spadających w cenie akcji - i przeliczyłem się... Przyszły pilne płatności, uratować mnie mogła tylko natychmiastowa pożyczka. Miotalem się jak ryba w matni, przy najmniejszych bowiem oznakach niepokoju ze strony moich klientów musiałbym ogłosić bankructwo. Skrzętnie ukrywałem faktyczny stan rzeczy nawet przed najbliższymi przyjaciółmi. Ale MacRail wiedział o mojej sytuacji, gdyż część akcji kupiłem za jego pośrednictwem. On to właśnie zaznajomił mnie z Rilandem, z którym szybko znalazłem wspólny język. I oto w najbardziej krytycznym dla mnie momencie Riland, zapoznawszy się pobieżnie tylko z bilansem mego banku, zdecydował się na ogromne ryzyko pożyczając mi na weksel sześćdziesiąt tysięcy funtów, co prawda na wysoki procent.

- Dalej, Landy, dalej!

- Pospłacałem wierzycieli i odetchnąłem. Dzięki tej pomocy Bulton Bank nie zbankrutował. Ale, mój drogi Williamie, te sześćdziesiąt tysięcy otrzymałem nie w banknotach. Były to duże diamenty, które agenci Rilanda w moim imieniu sprzedawali po cichu w Holandii. Riland zaoferował mi kamienie i usługi swych agentów, z tym jednakże zastrzeżeniem, że w tej transakcji jego nazwisko nie zostanie wymienione. Cóż miałem robić? Czy mogłem wtedy zastanawiać się nad pochodzeniem tych kamieni? A zresztą, czy istotnie przywłaszczenie sobie skarbu nieżyjącego pirata stoi w sprzeczności z honorem dżentelmena?

Mister Thompson dyszał ciężko.

- Nogi się pode mną uginają - jęknął. - Samuelu, pan nie powinien się gniewać, ale będę zmuszony wycofać moje wkłady...

- Niestety, to jest niemożliwe. Williamie. Po ocaleniu banku przed krachem, na usilne nalegania Pattersona włożyłem cały kapitał w akcje Kompanii Północnobrytyjskiej i spodziewam się szybkich zysków. Nie mam tyle wolnej gotówki, by zwrócić tak znaczny wkład jak pański. Teraz zarówno mój los, jak i pana uzależniony jest całkowicie od pomyślnego prosperowania kompanii Rilanda.

- Boże! A więc jakkolwiek cios zadany reputacji tej firmy lub plama na dobrym imieniu jej właściciela...

- ...zrobi z nas żebraków, mój stary przyjacielu! Nasz los spoczywa w obcych rękach, Williamie!

W głębokiej ciszy, jaka zaległa w gabinecie, znów odezwało się z ciemnego kąta, jeszcze wyraźniej niż przedtem, suche i jakby ironiczne: cyt! cyt! cyt!

I nagle wśród tej przytłaczającej ciszy stary Francis, poprawiający storę w oknie, plasnął w dłonie i cofnąwszy się w przestraszu strącił porcelanową wazę.

- Mister Thompson, proszę spojrzeć przez okno... Na ulicy Katedralnej palą się nowe fabryki sir Rilanda!

Obaj starsi panowie rzucili się ku oknu. Nad dachami miasta gorzała purpurowa luna. Nawet przez podwójne okna przenikał do gabinetu odległy głos dzwonu. Dwukrotnie też doleciał odgłos nieskładnych salw z broni palnej.

3

Wzdłuż ulicy Katedralnej, zaczynającej się przy Oldport Square i gubiącej się w końcu pośród mglistej płataniny przedmiejskich zaułków, sunął szary, milczący tłum mężczyzn, kobiet i dzieci odzianych w robotnicze bluzy i fartuchy. Wielu mężczyzn szło z odkrytymi głowami. Niektórzy nieśli na ramieniu łomy i młoty, tu i ówdzie nad głową idącego kołysała się nawet lufa strzelby. Z daleka cały ten pochód przypominał kondukt pogrzebowy.

Prawie trzecią część tłumy stanowiły dzieci. W niezgrabnych drewniakach stapały ciężko, trzymając się rąk starszych towarzyszy. Niektóre z nich, te najmłodsze, odwiecznym dziecięcym zwyczajem czepiały się jeszcze spódnic kobiet, idących w łachmanach, z

surowymi, kamiennymi twarzami. Sprawdziło się przeczucie starego bultońskiego adwokata: morze cierpień i rozpacz przelało się przez brzegi, zalewając miejską ulicę.

Nad pierwszym szeregiem kołysał się długi pas białego płótna z czarnym napisem: „Precz z maszynami”.

Niektórzy uczestnicy pochodu mieli na szyi tabliczki z napisami: „Maszyna zrobiła ze mnie kalekę”, „Maszyna pracuje - ja głoduję”.

Gdy pochód zbliżył się do przedmieść, wysoki mężczyzna w płaszczu, przypominający wyglądem purytańskiego kaznodzieję z czasów Cromwella, przeraźliwym głosem zaintonował pieśń, którą podchwycił cały tłum. Pieśń brzmiała niby kościelny chorał, monotonnie i uroczyście.

Ludzie na ulicach przystawali odprowadzając pochód wzrokiem, w którym malowało się współczucie lub strach.

Na przedmieściach coraz częściej witały demonstrantów życzliwe okrzyki padające z okien i chodników.

Pochód zbliżył się wreszcie do długiego zamkniętego ogrodzenia, poza którym widoczne były murowane budynki „Bultońskiej Manufaktury” i sąsiadującej z nią fabryki lin. W głębi, wzdłuż północnej granicy fabrycznego terenu, przepływała nieduża rzeka. Jej woda, z tłustymi plamami na nie zamrożonej powierzchni, czerniała pośród ośnieżonych brzegów. W przystani stały dwie barki. Na samym brzegu wznosił się budynek farbiarni. Powyżej fabryki rzekę przegradzała tama. Woda skierowana w boczne koryto szumiała gniewnie w zetknięciu ze śliskimi, zielonymi łopatkami ogromnych kół umieszczonych między dwiema murowanymi ścianami. Koła te obracając się z przeraźliwym skrzypieniem poruszały potężne dźwignie mechanizmów przekładnikowych, wprowadzając tym sposobem w ruch maszyny w warsztatach i oddziałach „Bultońskiej Manufaktury”. Nawiasem mówiąc w tej chwili większość owych kół pozostawała w bezruchu. Woda leciutko je tylko kołysała, z bulgotaniem wpadając pod łopatki...

Pasy transmisyjne, dźwignie, maszyny... Złe czasy nastały dla robotnika. Fabrykant nie chce mu płacić, skoro tę samą pracę wykonuje za człowieka maszyna. Można przy niej postawić siedmioletniego chłopca lub dziewczynkę i dzieciaki będą doskonale obsługiwać maszynę po szesnaście godzin na dobę za marnego farthinga i tuzin szturchańców na dodatek. Wstyd powiedzieć, ale panowie w parlamencie pozwolili brać do fabryk dzieci od piątego roku życia... I to wszystko narobiły te przekłete maszyny!

Z głuchym pomrukiem tłum zbliżył się do głównej bramy. Tu, przed tą dobrze znaną, nienawistną bramą, pochód zatrzymał się. Rozległy dziedziniec i oddziały wszystkich fabryk jakby wymarły. Padający wciąż śnieg zaścierał dziedziniec niepokalaną bielą. Żelazna brama była zamknięta od środka. Po drugiej stronie ogrodzenia przechadzał się gruby konstabl i jego dwaj pomocnicy.

Ludzie zaczęli się dobijać do bramy. Konstabl wyszedł przez furtkę na ulicę i zwrócił się do robotników. Zamiast ogólnie przyjętych słów ludzkiej mowy wyrzucał z siebie dzikie wrzaski, mające oznaczać, że ludzie powinni rozejść się natychmiast do domów i że dziś nie wpuści się nikogo do fabryki.

Z kantoru fabrycznego spieszył ku bramie mały człowieczek w peruce z warkoczem. W rękach miał lorgnon i kajet z jakimiś spisami.

- Zausznik pryncypała - zaczęto szeptać w tłumie. - To ten, co chce nasze ręce zastąpić żelaznymi maszynami.

Szef kancelarii fabrycznej przyłożył lorgnon do oczu i krzyknął wysokim, cienkim głosem:

- Co to za zbiegowisko? Jeśli chcecie pracować, przyjdźcie jutro, i to pojedynczo. Taką kupą was nie wpuszczę. A teraz miejcie rozum i wracajcie do domów.

Nagle tuż przed bramą wyrosła postać człowieka przypominającego kaznodzieję z czasów Cromwella. Płatki śniegu osiadały na jego siwych zmierzwionych włosach.

- Ludzie! - zawołał przejmującym głosem. - Nie słuchajcie go! To ten potwór zamiast człeka bożego stawia w fabryce te szatańskie wymysły - żelazne maszyny. One żywią się ludzką krwią! Niezliczona jest ilość ich ofiar. Maszyny niosą ze sobą głód, nędzę, kalectwo. Zniszczmy te twory Belzebuba! Naprzód, kto odważny, naprzód, bracia, za mną!

Podczas tego płomiennego przemówienia jakiś niewysoki smagły mężczyzna wraz z kilku zręcznymi chłopakami przełaził przez ogrodzenie i odepchnąwszy od bramy kancelistę jednym ciosem łomu odsunął ciężki rygiel. Tłum runął w otwartą bramę, waląc z nóg konstabla i jego pomocników. Z kantoru wypadło kilku klerków i majstrów spiesząc na ratunek konstablowi i szefowi kancelarii, lecz w niepewności przystanęli w pół drogi. Szef, zgubiwszy lorgnon i kajet, przezornie zrejterował za ich plecy i stamtąd krzykiem nawoływał ich do działania. Jeden z pomocników konstabla wynurzył się z tłumu, wskoczył na konia i pomknął galopem w górę ulicy Katedralnej.

Ludzie wyłamywali już drzwi hal fabrycznych. Rozległ się brzęk wybijanych szyb, trzask ustępujących pod naporem drzwi. Ze ścian posypał się tynk. Młoty waliły po żelazie, darto tkaniny naciągnięte jeszcze na krosnach. Maszyny, skrzynki pod nogi, drzwi, nawet ławy i stołki - wszystko leciało w drzazgi pod ciosami młotów.

Tymczasem smagły mężczyzna, który otworzył bramę, zręcznie wspiał się na poddasze tkalni i pochyliwszy się nad kupą szmat wykrzesał ogień. Po chwili z okien strychu buchnęły purpurowe języki płomieni wraz z czarnym cuchnącym dymem...

W tym momencie w bramę wpadł lekki żółty powozik. Nie czekając, aż stangret zatrzyma spienione, chrapiące konie, mężczyzna siedzący w powozie wyskoczył w biegu i rozejrzał się dokoła. Zobaczył tylko kobiety i dzieci na dziedzińcu.

- Norward! Dyrektor fabryki! Śmierć Norwardowi, śmierć! W stronę dyrektora poleciały kamienie.

Sądząc, że ma do czynienia tylko z tymi słabymi przeciwnikami, Norward ze szpadą w ręce rzucił się w tłum i ze świstem klingi bijąc na prawo i lewo po głowach wpadł w drzwi murowanej przybudówki przy tkalni, skąd dochodził trzask rozbijanych maszyn. Ale na widok mężczyzn o surowych twarzach, walących w milczeniu młotami po dźwigniach i korbach mechanizmów przekładnikowych, Norward cofnął się. Przed nim wyrosła postać długowłosego kaznodziei. Dyrektor chwycił za pistolet... Robotnicy runęli naprzód, osłaniając swego przywódcę. O cal od głowy Norwarda świsnęła w powietrzu siekiera. Dyrektor wrzasnął przeraźliwie i na czworakach, z małpią zręcznością umknął na dwór.

Znalazłszy się znów na dziedzińcu, Norward ujrzał tłum kobiet biegnących od strony tkalni ogarniętej już płomieniem. W sąsiedztwie paliła się fabryka lin.

Przez otwartą bramę, tratując ludzi, wpadły trzy zaprzęgi straży pożarnej, a po drugiej stronie ogrodzenia błysnęły bagnety i mundury królewskich dragonów. Wojsko otoczyło cały teren fabryczny i żołnierze chwyтали teraz rozbiegających się na wszystkie strony robotników. Norward obsypał ich wyzwiskami i przekleństwami.

W głębi dziedzińca, przy budynku farbiarni, grupa najbardziej nieprzejednanych burzycieli wciąż jeszcze wymachiwała młotami. Widząc to oficer rzucił komendę swym strzelcom. Szczęknęły odwodzone kurki, gruchnęła salwa. Śnieg zabarwił się krwią. Rozległ się rozpaczliwy krzyk kobiet i jęki... Żołnierze znów ładowali broń. Kilku dragonów rzuciło się w pościg za ostatnią grupą robotników, którzy ostrzeliwując się z broni myśliwskiej wycofywali się w stronę rzeki. Ich przywódca wskazał ręką na barkę w przystani. Wpadłszy na nią, mężczyźni w liczbie dziesięciu, może dwunastu - rzucili się z barki w lodowatą wodę. Znowu rozległa się salwa z karabinów, lecz uciekający dopadli już przeciwległego brzegu i zniknęli w mroku nocy.

Na dziedzińcu fabrycznym walały się części porozbijanych maszyn, łomy, siekiery, strzelby myśliwskie, kapelusze, kawałki sukna, tlejąca przędza. Ranni jęczeli głośno. Dragoni pędzili ku bramie posępną grupę aresztowanych - według bezlitosnych praw królewskich ludzi tych

czekała szubienica.

Smagły mężczyzna, który zdążył podpalić kilka budynków fabrycznych, usłyszał pierwszą salwę siedząc pod stropem farbiarni. Czas było pomyśleć o własnej skórze! Szybko zerwał z siebie tlejącą kurtkę i fartuch rzemieślnika, spod których ukazał się strojny kaftan, pas z kosztownym hiszpańskim sztyletem i ciężki pistolet. Z zanadru wyjął aksamitny beret, przykrywając nim swe kędzierzawe włosy, a na lewą rękę włożył ołowiany kastet.

Konstabl wchodził już po drabinie na poddasze, gdzie dopiero co dokonana się przemiana rzemieślnika w wytwornego dżentelmena. Trzej pomocnicy konstabla zostali na dole.

Gdy tylko policjant, pochyliwszy głowę, wgramolił się w ciemności na strych, przebrany mężczyzna zadał mu silny cios ręką pistoletu. Policjant runął na deski. Wtedy mężczyzna w kaftanie wychylił się przez okienko i zawołał do stojących na dole:

- Chodźcie tutaj, prędko, tu jeszcze ktoś się ukrywa!

Trzech policjantów z pośpiechem zaczęło się wspinać na górę. Gdy tylko ostatni z nich stanął na strychu, człowiek w kaftanie zeskoczył na dół i przewróciwszy drabinę podszedł wprost do Norwarda.

- Sir - wskazał pistoletem na strych - proszę tam posłać żołnierzy. Tam jeszcze kryją się ci bandyci.

Podczas gdy Norward wydawał odpowiednie zarządzenie, nieznajomy spokojnie wyszedł przez bramę, władczy ruchem rozsunałszy kordon żołnierzy, i już na ulicy obejrzał się. Żołnierze pażyli z karabinów do okienka strychu...

Nieznajomy skręcił w pierwszą przecnicę i widząc na podwórzu jakiegoś domu kilka osiodłanych wierzchowców pod strażą żołnierza, podszedł do niego i ostrym tonem kazał podprowadzić sobie konia.

- Pańskiego konia? Ależ, wasza miłość, ja nie znam pana!

W następnej chwili żołnierz leżał na ziemi zwalony z nóg uderzeniem ołowianego kastetu. Nieznajomy wybrał sobie konia, podciągnął popręgi i wskoczył na siodło. Wjechawszy w ciemną boczną uliczkę z miejsca popędził galopem i gnał tak parę mil do oberży „Pod Białym Niedźwiedziem”. Oddawszy służbie konia, jako znakomity podróżny, nieznajomy nie wszedł do oberży, lecz poszedł dalej pieszo, aż znalazł się na przeciwległym krańcu miasta. Tu zapukał w parterowe okno dużego domu z czerwonej cegły przy Charge Street.

- To pan, mister Hanslow? - spytał kobięcy głos. - O, jak pięknie jest pan dziś ubrany!

- Mrs. Bingle, proszę mi powiedzieć, kiedy wraca ze szkoły Tom?

- Przychodzi w sobotę w południe, a w poniedziałek rano znów wraca do szkoły mister Chiswicka na cały tydzień. Jutro sobota, więc przyjdzie. A dlaczego pan o to pyta, sir?

- Chcę mu dać pewne polecenie. Proszę, aby mu pani pozwoliła jutro wyjść ze mną na resztę dnia. Aha, i jeśli rano zjawi się tu pewien staruszek, proszę mnie zaraz obudzić!

4

Lokator mrs. Bingle nie zdążył przespać nawet trzech godzin, gdy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych.

Mister Hanslow przywykł widocznie spać czujnie jak leśne zwierzę, gdyż natychmiast wyskoczył z łóżka i w ciemności ubrał się z błyskawiczną szybkością. Tyle tylko, że zamiast wytwornego kaftana włożył znoszoną, wypełzłą i łataną odzież handlarza starzyzną i spieszenie owinał gałgankiem lewą dłoń.

- Niech pan wstaje, mister Hanslow! - niezbyt zadowolonym tonem zawołała gospodyni. - Przyszedł już ten stary, na którego pan czeka...

Jest dopiero piąta rano - dodała z wyrzutem.

- To nie na mnie czekałeś, Hanslow! - już w pokoju lokatora powiedział przybyły ochryplym

głosem. Zamknął za sobą drzwi i ciężko opadł na krzesło. - Zapal światło i przynieś mi coś do jedzenia. Chciałbym się też przebrać.

- To pan, Maggerson? - zdziwił się gospodarz. Zapalił świecę i postawił na stole. - Nie ma co mówić, ładnie pan wygląda! Jakim cudem udało się panu niepostrzeżenie przedostać aż tutaj? Czy nikt pana nie ścigał?

- Tak, właściwie nie powinienem był przychodzić do ciebie, Hanslow. Ale udało mi się wywieść w pole tych szpiclów - myślę, że chyba zmyliłem pogoń. Robi się już widno, nie mogłem dłużej pozostawać w tym stroju na ulicy. Poza tym jestem głodny i okropnie przemarzęm.

Gospodarz postawił przed gościem talerz z zimną baraniną i nalał z manierki szklaneczkę toddy. Garnek z gorącą wodą, potrzebny do przyrządzenia tego napoju, wyjął z na wpół wygasłego kominka. Gość łapczywie wziął się do jedzenia.

Przy stole siedział wynędzniały stary człowiek z długimi siwymi włosami opadającymi na ramiona. Zapadłe policzki pokryte były siecią zmarszczek, od nosa ku brodzie biegły dwie głębokie bruzdy. W surowym spojrzeniu głęboko wpadniętych oczu, gorejących pod krzaczastymi, nisko nawisłymi brwiami, malowała się niezłomna stanowczość bojownika.

- Jak się panu udało wczoraj wymknąć, Maggerson? Widziałem, jak wraz z towarzyszami przeprawiał się pan wpływ przez rzekę.

- Chwała Bogu, z jednym już skończone! Ty, Hanslow, bardzo nam wczoraj pomogłeś w naszej rozprawie z tymi katami. Ogień strawił przekłete maszyny i uczciwi rękodzielnicy teraz odetchną. Będą mogli spokojnie wykonywać swoje rzemiosło na łonie rodziny lub we wspólnych cechach i sprzedawać po dawnych cenach swe wyroby, dzieło pracowitych rąk. Ich małe dzieci znów oddadzą się beztróskim dziecięcym zabawom, albowiem ojcowie i matki potrafią sami wykarmić malców, nie będą musieli ich sprzedawać bezbożnym fabrykantom... W Bultonie umilkł łoskot maszyn, a zatem w Bultonie obeschną dziecięce łzy. Spełniłeś wczoraj dobry uczynek, przyjacielu, i Bóg wynagrodzi cię za to, że pomogłeś biedakom. Powiedz, czy chcesz i nadal nam pomagać?

- Czyżby pan chciał pozostać tu, w Bultonie? To zbyt niebezpieczna rzecz. Jeśli pana schwytają...

- Jeszcze raz zostanę skazany na śmierć, to chciałeś powiedzieć? Moim przeznaczeniem jest walczyć ze złem i bronić nieszczęśliwych. W imię tej szlachetnej sprawy przybiorę inną postać i znów przypasawszy do boku ognisty miecz będę walczył z ciemnizycielami ludu. Tak mi Boże dopomóż. Amen!

Surowy fanatyzm Maggersona, niezłomna wola i namiętna nienawiść, jaka zabrzmiała w jego głosie, zadziwiły Hanslowa, który spojrzał na starego z szacunkiem.

- Skąd pan pochodzi, Maggerson, i od jak dawna prowadzi pan tę swoją... walkę ze złem? - spytał cicho.

Maggerson bacznie spojrzał mu w oczy.

- Nie należy o to pytać, Hanslow, ale... wiem, że jesteś wobec nas uczciwy... Pochodzę z Lancashire. Mam pięćdziesiąt lat, i dwadzieścia z tego poświęciłem walce o prawdę. Pamiętają mnie jeszcze w Lancashire. Spotkał mnie tam wielki zaszczyt ze strony biedaków - jeszcze czternaście lat temu zostałem wybrany do pierwszego komitetu strajkowego. Za to skazano mnie na śmierć, ale robotnicy napadli na wóz policyjny i wyrwali nas, pięciu skazańców, z rąk katów. Potem przeniosłem się do Spittfield niedaleko Londynu. Prawie dziesięć lat walczyliśmy tam o nasze prawa, o wolność dzieci sprzedawanych w niewolę do fabryk, o zniszczenie największego zła - maszyn. Wojsko strzelało do nas - nie ulegliśmy. Wielu schwymano i powieszono - a my nie ustawaliśmy w walce i nadal niszczyliśmy maszyny. W końcu przemoc zwyciężyła, lecz ja znów uniknąłem szubienicy i uszedłem tu, do Bultonu, by dalej prowadzić walkę. Moja nienawiść do katów, do bezecnych bogaczy jest święta i nieprzebrana. Pytam więc ciebie: czy chcesz nadal służyć pomocą naszej słusznej

sprawie?

- Czego zamierza pan tu jeszcze dokonać, mister Maggerson?

- Dopóki na Północy nie spłonie ostatnia fabryczna przędzarka, nie opuszczę mych braci w tej świętej walce.

- Hm! Prawdę mówiąc, przędzarki mało mnie interesują, niech sobie będą. Moim celem jest zmuszenie pewnej osoby do ustępliwości. Mister Maggerson, my - to znaczy ja i wasze bractwo - mamy wspólnego wroga. Jest nim, jak się pan domyśla...

- Frederick Jonathan Riland, wicehrabia Chancefieldu, syn Belzebuba! Niech będzie imię jego przekłete! To on chce postawić maszyny zamiast ludzi w swoich ohydnych fabrykach. Riland to handlarz ludzkim mięsem. Ale jego maszyny zginęły wczoraj w ognistej gehennie...

- Może pan być pewny, Maggerson, że będzie miał nowe, i to bardzo szybko. Nie, trzeba mu zadać jeszcze jeden cios, i to taki, po którym ani on, ani jego przyjaciele już nigdy nie mogliby się podnieść. Bultońska stocznia buduje dla niego okręty. Ją to właśnie należy zniszczyć. To dopiero zada śmiertelny cios całej kompanii Rilanda i... zmusi go, by oddał, co prawnie należy się komu innemu.

Oczy Maggersona, na wpeł przysłonięte nawisłymi brwiami, gorzały. Rzekłbyś - tlejący żar ogniska w głębokiej pieczarze, widziany nocą poprzez krzaki.

- Riland, Patterson - obaj oni zasłużyli na nienawiść i przekleństwo ludu pracującego - rzekł uroczyście. - Niech się tak stanie. Bractwo luddystów błogosławi cię i pomoże ci w tym twoim przedsięwzięciu, tak jak ty pomogłeś wczoraj bractwu, senior Fernando Diaz!

Rzekomy mister Hanslow zmienił się na twarzy i gwałtownie położył dłoń na ustach swego gościa.

- Ciszej, sacramento! Skąd pan zna moje prawdziwe nazwisko?

- Od dawna jest ono znane naszemu bractwu i dlatego to podczas twego poprzedniego pobytu tutaj nieprzypadkowo znalazłem się wraz z tobą w jednym pokoju w oberży... Mamy niewidzialnych sojuszników i potajemne uszy... Znamy też cel twojej walki z Rilandem. Chodzi o skarby herszta piratów... Ten cel obcy jest naszemu bractwu, ale że jesteś młody, odważny i prawy, skłonni jesteśmy widzieć w tobie sprzymierzeńca. Tylko pamiętaj o jednym: wobec zdrajców jesteśmy bez litości...

- No cóż, skoro tak, to - ręka, mister Maggerson! A teraz powinien się pan przebrać. Na wszelki wypadek mam tu coś niecoś z garderoby nieboszczyka Johna Bingle'a. Niech pan włoży ten ciemny frak. Prawdopodobnie małżonek mojej gospodyni nosił go od wielkiego święta, gdy szedł do kościoła... Zaraz się zajmę pańską głową. Nie darmo przez dwa lata byłem wędrownym aktorem. Włosy przystrzyżemy... Tak! Teraz wygląda pan na solidnego klerka jakiejś szkockiej firmy. Proszę spojrzeć w zwierciadło! I niech teraz ktoś spróbuje poznać w panu Eliota Maggersona!

- Rzeczywiście zrobiłeś ze mnie klerka, Fernando. Cóż, taka widać wola boska. Na pewien czas zachowam postać klerka i jeszcze dziś „przyjadę” dyliżansem z Edynburga do oberży „Pod Białym Niedźwiedziem”. Wynajmę tam pokój, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś bardziej odpowiedniego locum.

- W jaki sposób będziemy utrzymywać łączność ze sobą, mister Maggerson?

- Już nie Maggerson, Fernando! Maggersona ty sam zmieniłeś w klerka Archibalda Staybolda. Zapamiętaj sobie: Archibald Staybold, oberża „Pod Białym Niedźwiedziem”. A łączność będziemy utrzymywać po staremu. Pamiętasz jeszcze słup z ogłoszeniami na Garden Road? Jak dawniej patrz dobrze na afisze cyrku... Daj znać o swoich planach. W najgorszym razie, gdybyś musiał ratować się ucieczką, znajdziesz schronienie i pomoc u braci irlandzkich. Wiesz, gdzie ich szukać w Bultonie... A teraz, żegnaj, bracie Fernando!

5

Mrs. Bingle, która wpuściła do swego mieszkania Eliota Maggersona, a wypuściła szkockiego klerka Archibalda Staybolda, była niezmiernie zdziwiona uderzającą różnicą zarówno w wyglądzie jak i ubiorze obu dżentelmenów. Bez trudu rozpoznała też na klerku Stayboldzie wyglądające spod futrzanego płaszcza, wczoraj jeszcze służącego jej lokatorowi, frak i pantalony swego nieboszczyka męża. Pocziwa kobiecina już miała pobiec do swej sąsiadki, ciotki Polly, by gruntownie omówić z nią kwestię tej zdumiewającej przemiany podejrzanego oberwańca w solidnego dżentelmena, gdy znów rozległo się, tym razem dość nieśmiało, pukanie do drzwi wejściowych.

Przed zaskoczoną mrs. Bingle znów pojawił się staruszek. Lecz ten był wąły, zgarbiony i w niczym nie przypominał poprzedniego gościa.

- Czy mogę się widzieć z panem Hanslow? - spytał słabym, starczym głosem.

Mrs. Bingle widziała, jak staruszek wszedł do pokoju lokatora, z wysiłkiem wlokąc za sobą dwie nieduże skrzynki i klatkę okrytą kolorową chustką. Po paru minutach lokator pani Bingle wyprowadził swego drugiego gościa. Wychodząc staruszek przystanął jeszcze na chwilę w progu:

- Mixy lubi orzechy i owoce - powiedział. - Ale je także mleko i biały chleb. W chłodne dni proszę ją ubierać w wełniany kubraczek, jest przyzwyczajona do tutejszej zimy. A po mój płaszcz i kapelusz niech pan przyśle chłopca, mieszkam niedaleko. Tylko, że to są bardzo stare, znoszone rzeczy, mister Hanslow.

Panią Bingle pożerała ciekawość. Nie wytrzymała i zajrzała przez dziurkę od klucza do pokoju swego lokatora. To, co zobaczyła, oszołomiło ją do reszty.

Zamiast solidnego pana Hanslow, noszącego zawsze perukę z warkoczem, wysoki kapelusz i dwie ciepłe kamizelki, na krześle przed zwierciadłem siedział piękny młody mężczyzna o czarnych brwiach, skośnych baczkach i falistych, krótko przystrzyżonych włosach. Rozpięta koszula odsłaniała muskularną, opaloną szyję.

Na stole stały dwie miski z jakimiś płynami i cała skrzynka z różnymi maściami, farbami, perukami i brodami. Lokator trzymał w ręce cieniutki pędzelek i siedząc przed lustrem niby malarz przed sztalugami, wpatrywał się w swe odbicie dotykając leciutko pędzelkiem twarzy. Przy tych manipulacjach mrs. Bingle po raz pierwszy zauważyła, że jej lokator nie ma czwartego palca u lewej ręki.

Ponowne stukanie kazało mrs. Bingle opuścić punkt obserwacyjny. Gdyby tego nie uczyniła, przeżyłaby chwilę wielkiego przerażenia, jako że mister Hanslow błyskawicznie przyskoczył do okna, sprawdził, czy się otwiera, wsunął sztylet za pas, chwycił pod pachę płaszcz i stanął przy oknie z pistoletami w obu rękach.

Na szczęście mrs. Bingle nie widziała tych przygotowań. Jej lokator zaś, usłyszawszy w pokoju gospodyni wesoły głos małego Bingle'a, odłożył swój bojowy rynsztunek i usiadłszy znów przed zwierciadłem powrócił do swego zajęcia.

- Tom - zawołał i przez uchylone drzwi podał chłopcu kartkę papieru - skocz no pod ten adres i przynieś mi płaszcz i kapelusz.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy chłopiec był już z powrotem. Hanslow wciąż jeszcze siedział przed zwierciadłem. Głowę i twarz miał okrytą ręcznikiem, tak że mały widział tylko jego oczy.

- Słuchaj, Tom - powiedział Hanslow - chciałbyś przez jakiś tydzień odpocząć od zajęć szkolnych, oczywiście, jeśli mama i mister Chiswick zgodzą się na to?

- O tak, mister Hanslow, bardzo bym chciał.

- Dałbym ci łatwą i ciekawą robotę na tydzień lub dwa.

- Ach, robotę... Taką jak w stoczni Pattersona czy lżejszą?

- Co? Ty wiesz, jak wygląda robota w stoczni? Czyżbyś tam kiedyś był?

- Pewno, że wiem. Cały miesiąc pracowałem w tej stoczni, a mój brat George i teraz tam się uczy i pracuje w kantorze.

- Tom, to po prostu nadzwyczajne! Nie, twoja robota na pewno będzie inna niż wszystko, co kiedykolwiek robiłeś. Powiedz mi, widziałeś kiedyś katarynkę?

- Naturalnie, że widziałem. Dziadek Potter, ten sam staruszek, od którego przyniosłem przed chwilą rzeczy, chodził dawniej z katarynką po podwórkach, a myśmy biegali za nim. Miał taką mądrą małpkę! Nazywała się Mixy... Przedtem chodził z nim jeden chłopak, Tommy Wood, ale zaciągnął się na okręt, jest majtkiem, i od tej pory dziadek Potter siedzi w domu. Nie ma już siły sam dźwigać katarynki po podwórzach.

- No widzisz, a teraz ty będziesz przez tydzień albo dwa robił to samo, co kiedyś robił Tommy Wood. Jeśli się będziesz dobrze sprawował, dam ci dwadzieścia szylingów, duży scyzoryk, a co najważniejsze, dostaniesz na własność katarynkę starego Pottera i małpkę Mixy. Dlaczego nic nie mówisz? Nie wierzysz? No to popatrz tutaj! - I Fernando zerwał z klatki okrywającą ją kolorową chustkę.

Oczy Toma zrobiły się okrągłe jak guziki na jego kurteczce. Był tak bezgranicznie zdumiony, że nie okazał nawet radości. A potem padł na kolana przed klatką i przez pręty próbował pogłaskać malutką małpkę w zielonym kubraczku, skuloną w głębi klatki.

- Daj jej cukierka - rzekł Fernando wyjmując z kieszeni łakotkę. Małpka wyciągnęła do chłopca maleńką brązową rączkę, tak bardzo

podobną do ludzkiej, że Fernando doznał uczucia pewnego skrępowania wobec tego rozumnego stworzenia zamkniętego w klatce. Ale zwierzątko wyciągnęło do Toma łapkę nie po cukierek; widok rozradowanego, wzruszonego dziecka musiał obudzić w małpce jakieś wzajemne uczucia. Krzyknęła i zaczęła miotać się po klatce. Tom otworzył drzwiczki. Zwierzątko od razu wskoczyło mu na ramię i z ludzką czułością objęło swego oswobodziciela za szyję. Tom nie wytrzymał; chwycił małpkę w objęcia i tuląc do niej twarz śmiał się i płakał na przemian z radości i wielkiego wzruszenia.

- Widzę, że jesteś zadowolony, Tom, i bardzo się z tego cieszę - głos Fernanda jakby lekko drgnął przy tych słowach. - Potem ci wszystko wytłumaczę, co masz robić, co mówić ludziom i czego im mówić nie trzeba. Gdy cię ktoś spyta, od kiedy mnie znasz, powiesz, że od bardzo dawna. A jak wyście nazywali starego Pottera?

- Tommy Wood i wszystkie chłopaki mówili do niego „dziadzio Mathew”.

- Dziadzio Mathew? To świetnie się składa, bo ja też nazywam się Mathew. Dlatego na ulicy będziesz mi mówił „dziadziu Mathew”. A teraz popatrz na mnie.

Przed chłopcem stał jak żywy stary dziadek Potter, z jego krzaczastymi brwiami, siwymi bokobrodami, zgarbioną postacią, w wypłowiałym zielonym płaszczu i czarnym kapeluszu.

Chłopiec aż usta otworzył ze zdumienia. Małpka skoczyła na ziemię a potem na łóżko. Tom złapał zwierzątko i zrećnie nałożył mu obrózkę i kurteczkę. Zwabiona hałasem weszła do pokoju mrs. Bingle.

- Do widzenia, mamó! - krzyknął Tom. - Wychodzimy z dziadziem Mathew na trakt bultoński.

Mrs. Bingle zaniemówiła z wrażenia i w milczeniu patrzyła, jak staruszek zarzuca na plecy katarynkę. Tom wziął pod pachę klatkę z małpką, okrytą chustką, a do ręki kuferek z „niespodziankami”. Wychodząc już mister Hanslow, przeistoczony w starego Pottera, zwrócił się do gospodyni:

- Mrs. Bingle, wszystko, co pani dziś widziała, może wydawać się nieco dziwne, lecz bardzo proszę, aby pani nie przywiązywała do tego najmniejszego znaczenia i nic o tym nikomu nie mówiła.

Lokator i jego pomocnik zatrzasnęli za sobą drzwi. A pocziwa mrs. Bingle wciąż jeszcze stała w miejscu ze złożonymi na brzuchu rękami, szarpana ciężką walką wewnętrzną

pomiędzy trudną obietnicą milczenia i namiętym pragnieniem podzielenia się z sąsiadką swymi zdumiewającymi odkryciami.

6

Wczesnym rankiem pierwszego lutego po szosie bultońskiej człapał stary kataryniarz w towarzystwie chłopca z małpką. Nie wstępowali na żadne podwórka i szli wciąż przed siebie skrajem traktu pocztowego.

Około południa skąpe słońce lutowe zaczęło lekko przygrzewać. Śnieg na drodze szedł, a w głębokich koleinach, wyżłobionych kołami dyliżansów, połyskiwała woda.

- Tom, abyś nikomu nie powtarzał tego, co ci przed chwilą opowiedziałem o piracie Bernardito Luizie - powiedział kataryniarz do swego małego towarzysza.

- Ależ, dziadziu Mathew, nie pisnę ani słówka! A powiedz mi, dziadku, ile lat ma teraz syn Bernardita?

- Piąty rok. Niedawno go widziałem.

- Tak? A jak on wygląda?

- Chłopiec jak każdy inny... A ty umiesz pisać, co?

- Pewnie że umiem. I rachować, i rozwiązywać zadania o kupcach i jadących z dwu stron dyliżansach.

- Zuch z ciebie! A co robi w stoczni twój brat?

- George jest rysownikiem - robi tam rysunki i wykresy. Tylko wiesz co, dziadziu? On jest bardzo mądry, czyta zakazane książki i chce zostać „synem wolności”.

- Ach tak! Ja w jego wieku nie myślałem o takich rzeczach! A teraz posłuchaj, Tom, powiem ci, jaki jest adres syna i matki Bernardita. Ale gdybyś się przed kimkolwiek wygadał, sam Bernardito przyjdzie do ciebie w nocy i zaszyje ci usta, słyszysz?

- Słyszę - drżącym głosem odpowiedział chłopiec.

- Gdy się rozstaniemy, a ty byś się dowiedział, że zginąłem, napisz list do seniory Estrelli i małego Diego. Zapamiętaj sobie adres: „Grecja, port Pireus, przedmieście, dom kupca Georgi Karidasa”. Napiszesz im, że ich przyjaciel z Toledo nie żyje. A teraz mi powiedz, jakie pańskie dwory są przy tej drodze.

- O, ten pałacyk to siedziba lady Stanford. Do niej należy dom, w którym my mieszkamy. Dalej będzie Chancefield, dalej Wollswood, a dalej to już nie wiem.

- A więc jeśli cię kto spyta, dokąd idziesz, mów, że do Wollswood, rozumiesz?

- Dobrze. Ale po drodze warto by wstąpić do Chancefieldu! O tam, za parkiem, widać już dwie wieżyczki na dużym domu. Tam mieszka bardzo piękna i dobra lady. Dziadziu Mathew, chodźmy, pokażemy jej naszą Mixy!

- Tom, a więc ty znasz i tę lady? - zawołał kataryniarz. - Co za wszędobylski z ciebie! Właśnie do niej idziemy, musimy jej wręczyć małą paczuszkę. Możesz jej zagrać choćby wszystkie cztery piosenki, które gra nasza katarynka... Ale ta piękna lady nie mieszka sama w Chancefieldzie. Tam, w tym starym domu, znalazł sobie kryjówkę krwiożerczy pająk, którego misterną sieć muszę rozerwać... Jeśli sam się w nią nie zaplączę - dodał półgłosem.

Zmęczony chłopiec zamilkł i tylko z nieufnością i strachem zerkał na coraz bliższy park i dom, gdzie miał się kryć przed słońcem i tkąć swoje sieci nieznanym straszny pająk...

Było już dobrze po południu, gdy dwaj wędrowcy, nie odpocząwszy nawet w Chancefieldzie, ruszyli w powrotną drogę.

- Diabło się nam nie powiodło, mój mały - mrucał kataryniarz. - Pająk uprowadził naszą piękną lady na wody Oceanu Indyjskiego na swym przeklętym okręcie! Boję się, że ona może

nie wrócić z tej podróży... Cóż, musimy jeszcze dziś pójść do kantoru starego pana Thompsona i zostawić u niego paczuszkę dla lady Riland. Byłoby rzeczą bardzo dla nas niebezpieczną trzymać ją przy sobie, albowiem ta paczuszka warta jest więcej niż którykolwiek dom przy tej nudnej drodze...

Szosa do Bultonu jechał jakiś dobroduszny farmer. Najpierw obryzgał naszych wędrowców błotem spod kół swego lekkiego wózka, a potem, widząc, jak są zmęczeni i przemoknięci, ulitował się nad nimi. Pod wieczór wysadził ich - głodnych i przemarzniętych do szpiku kości - przed wysoką bramą domu, w którym mieścił się kantor firmy „Thompson i Syn”.

Rozdział siódmy

Miecz i kolczuga

1

W sobotę, pierwszego lutego, na zewnętrznej redzie bultońskiego portu rozległ się wystrzał armatni oznajmiający władzom portowym przybycie okrętu.

Śnieg, który spadł rano, już stopnia, lecz wilgotny, zimny wiatr pędził od strony morza nowe chmury. Fale przyływu biły z rykiem o molo. Nawet w przystani woda była wzburzona; dwie łodzie z przybyłego okrętu amerykańskiego, walcząc z falą, zmierzały do nadbrzeża.

Na pierwszej z nich pośród innych pasażerów siedział wysoki podróżny w indiańskiej kurtce, ozdobionej czerwonym haftem. Spod pilśniowego kapelusza o podgiętym rondzie opadał mu na czoło szpakowaty kosmyk włosów, przykrywający ukośną bliznę na czole. Człowiek ten miał u pasa nóż we wzorzystej pochwie i dwa pistolety dużego kalibru. Nie spuszczał oka z dwóch skórzanych worków ściągniętych rzemieniami, leżących na dnie łodzi razem z dużym czarnym sakwojazurem pasażera. Na workach tych siedziało dwu jego towarzyszy w marynarskich płaszczach.

Na brzegu zebrała się grupa ludzi oczekujących przybycia łodzi. Nie opodał, z najobojętniejszą w świecie miną, z rękami w kieszeniach, stało dwóch gapiów portowych. Gdy wioślarze pierwszej łodzi przycumowali ją do brzegu, typy te skryły się za stosem skrzyń, obserwując z ukrycia wysiadających pasażerów.

Celnik kazał przybyłym udać się do długiego szarego budynku na brzegu. Popchnął grubiańsko jednego z marynarzy wynoszących z łodzi ciężkie worki, lecz w tej chwili podszedł do niego podróżny w indiańskiej kurtce i odprowadziwszy go na bok powiedział półgłosem parę słów, wymieniając nazwisko sir Fredericka Rilanda. Twarz celnika momentalnie się zmieniła. Uśmiechnął się szeroko i poklepawszy z respektem ciężkie worki, oddalił się pozostawiając pasażera, marynarzy i ich bagaż na opustoszałym pirsie.

Słowa podróżnego podziałały jak magiczne zaklęcie na dwóch obwiesi ukrytych za stosem skrzyń. Jeden z nich podszedł z ukłonem do przybyłych, drugi pobiegł po jakiś ekwipaż. Bagaż szybko został załadowany do powozu, przyjezdny gość zajął miejsce na tylnym siedzeniu, a jego marynarze stanęli na stopniach. Obaj nieoczekiwani pomocnicy zostali, by popatrzeć na pasażerów z drugiej łodzi.

Na ulicy Latarni Portowej ekwipaż zatrzymał się przed kamiennym portalem piętrowego domu. Nad portalem wisiał szyld z wyobrażeniem wzburzonego morza i wieloryba o tępym pysku, w pionowym przekroju, co pozwalało zobaczyć wewnątrz potwora. W okolicy żołądka nieustraszony malarz umieścił stół z butelkami i dwóch uczujących marynarzy.

Siwe smugi dymu z kilkadziesiątu fajek snuły się pod powalą tawerny. Od stolików dochodził stuk kości i brzęk monet. Im bliżej wieczora, tym szybciej opróżniały się kufle z ale. Za każdym otwarciem drzwi wejściowych do sali wdzierał się z ulicy gęsty kłęb zimnego lutowego powietrza. Światło zakopconego żyrandola z trudem przebijało się przez obłoki mroźnej pary zmieszanej z dymem tytoniowym.

Za wysokim kontuarem, wśród butelek, ołowianych kubków i talerzy z zakąskami, stał właściciel tawerny ze srebrnym gwizdkiem bosmańskim na szyi, człowiek, którego znali marynarze wszystkich pięciu części świata.

Podwinięte rękawy bluzy obnażały mocne, owłosione ręce o potężnych pięściach. Krótko przystrzyżona kruczoczarna broda obramiała bladą twarz bez śladu rumieńca. Spojrzenie jego oczu o ciężkich powiekach było zimne i władcze. Po prawej ręce gospodarza stały zawsze oparte o kontuar dwie czarne kule, jakich używają kalecy.

Mijał już piąty rok od czasu, gdy Woodrow Crag utracił w bitwie morskiej stopy obu nóg i stanął za kontuarem kupionej przez siebie niewielkiej tawerny. Jej poprzedni właściciel ledwo wiązał koniec z końcem. Nim minął jednak rok od chwili przejęcia interesu przez Craga, tawerna „Brzuch Wieloryba” stała się najsłynniejsza na całym zachodnim wybrzeżu Anglii. Tu mieszkańcy Bultonu dowiadywali się o czasie przybycia wszystkich okrętów, kupcy dzielili się nowinami ze wszystkich stron świata. Marynarze, przy pomocy ładniutek dziewczynek, puszczaali tu w dwa, trzy dni wszystko, co zarobili w ciągu długich miesięcy żeglugi po oceanach. Kapitanowie werbowali tu załogi, a armatorzy znajdowali kapitanów dla swoich okrętów.

W dusznych pokojach górnego piętra, gdzie wino i potrawy podawała milcząca i sprawna służba murzyńska, załatwiane były wszelkiego rodzaju interesy pomiędzy kupcami, marynarzami i właścicielami okrętów. Zebrania te często kończyły się ucztą, późno po północy. Niekiedy bywały to zgoła osobliwe interesy; jedna ze stron rozwiązywała sakiewkę ze złotem, zaś partnerzy chowali w zanadrze broń i chyłkiem wychodzili z tawerny, naciskając głęboko na oczy kapelusze o opuszczonych rondach i kryjąc twarze w podniesionych kołnierzach płaszczy...

Tym razem sam właściciel tawerny, słynny i tajemniczy Woodrow Crag, wyszedł z kontuaru, aby powitać podróżnego w indiańskiej kurtce. Towarzyszący gościowi marynarze od razu znaleźli kompanię na ogólnej sali, ciężkie zaś worki migiem znalazły się w najparadniejszym pokoju na górze, dokąd Woodrow osobiście odprowadził gościa. Gdy drzwi się za nimi zamknęły, przyjezdny zdjął kapelusz, który nakrył nieomal pół stołu.

- W samą porę wróciłeś, Giuseppe - mówił gospodarz. - Zrobiło się tu u nas niespokojnie od czasu, gdy Fernando złożył wizytę MacRailowi... Riland kazał wziąć pod obserwację wszystkich przyjeżdżających. Widziałeś w porcie moich chłopaków? Mamy pełne ręce roboty. Dawniej moi ludzie pracowali tylko dla Rilanda, a teraz mam już całe biuro wywiadowcze. Trzydziestu prywatnych agentów, rozumiesz? Dla policji wyławiam złodziei i fałszerzy pieniędzy; dla zazdrosnych mężów szpieguję ich żony; dla przedsiębiorców wynajduję szpiclów. Zdarzają się nieraz i prywatne specjalne poruczenia... To bardzo popłatne. A dziś w nocy wezwał mnie sam pułkownik Haverstone. Słyszałeś o nim?

- Pułkownik Haverstone? Szef tajnej kancelarii w ministerstwie wojny? Czyżby pułkownik przyjechał do Bultonu?

- Przybył tej nocy z dwoma oficerami sztabowymi. Zatrzymał się w „Białym Niedźwiedziu”. Oni już od dawna polują na jakiegoś człowieka głoszącego niebezpieczne idee. Zjawił się tu niedawno, aby siać zamęt wśród robotników. Nazywa się Eliot Maggerson. W Bultonie stanął na czele tajnego bractwa wrogów maszyn. Pożar „Bultońskiej Manufaktury” wyprzedził zaledwie o parę godzin przybycie pułkownika Haverstone'a.

- Czyżby „Manufaktura” spłonęła?

- Nie dalej jak wczoraj. Cały Bulton postawiono na nogi. Haverstone prosił mnie o pomoc w ujęciu Maggersona i jego „braci luddystów”. Maggerson ma pomocnika, zdaje się nietutejszy, bardzo sprytna sztuka. Puściłem ich śladem mojego współnika Linsa i najwytrawniejszego wyżła - Franka Kunę. Pamiętasz go?

- Tego szulera? Pamiętam! A powiedz mi, Woodrow, udało ci się dowiedzieć coś nowego o Fernandzie? Riland żąda, aby Fernando Diaz za wszelką cenę został zlikwidowany.

- Fernando znikł z Bultonu i prawdopodobnie z Anglii.

- Nie ulega wątpliwości, że miał tu współników. Polował na Leoparda Grellego i powinien zjawić się znowu. Kto mógł wiedzieć, że kamień był u Maka?

- Mógł się tego domyślać wyłącznie Lawson, zajmujący się ongiś szacowaniem kamieni. Tylko on widział diament w rękach Maka.

- Nie próbowałeś jakoś wy badać tego Lawsons?

- To nie taka łatwa sprawa. On mieszka w porcie i zna z widzenia wszystkich moich ludzi.

Radzę ci, Giuseppe, abyś zamieszkał u niego na kilka dni. Stary wynajmuje przyjeźdnym swój domek. Udając cudzoziemca może potrafiłbyś coś od niego wyciągnąć. Przenieś się do niego jeszcze dziś, w tym stroju... A teraz mów, jakie wiadomości przywozisz od Leoparda.

- Dostał kupę pieniędzy za partię Murzynów. Ja i Geoffrey sprzedaliśmy ich w Ameryce, przeszło sześćset dusz... Widzisz! - wskazał na worki. - Dziś jeszcze odstawię te woreczki do banku Landy'ego. „Gloria” i „Dorothea” popłynęły teraz do Afryki Południowej, by tam łowić Kafrów i Zulusów. Leopard nie lubi utartych szlaków wiodących ku Złotemu Wybrzeżu czy Gambii. W Afryce Południowej dostanie towar taniej, co mu da jeszcze jakieś dwadzieścia tysięcy. Ma rozległe plany i potrzebuje dużo pieniędzy. Będzie budował cegielnię i hutę, nową fabrykę sukna i nową przędzalnię bawełny. „Bultońska Manufaktura” powiększy się dwukrotnie. Stocznię Pattersona też prawdopodobnie całkowicie podporządkuje sobie, podobnie jak bank Landy'ego...

- No cóż, daj mu Boże! A co porabia jego lady?

- Wątpię, czy ona wróci do Chancefieldu. Tam chyba wkrótce pojawi się nowa lady, bardziej uległa.

- A w jaki sposób zamierza pozbyć się pierwszej?

- Albo się z nią rozwiedzie, albo... na morzu często zdarzają się nieszczęśliwe wypadki! Aha, jeszcze jedno, Giacomo nakazywał, abyś nie spuszczał oka z kantoru Thompsona.

- Jest pod stałą obserwacją. Udało mi się przekupić stangreta Thompsona, Flatchera, i starszego klerka kantoru, Jankinsa. Razem z tym Jankinsem, bosmanem Bootby i kapitanem Blackwoodem werbuję załogę dla „Skrzydlatego”. Ty, Giuseppe, popłyniesz na „Skrzydlatym” jako pierwszy oficer. Będziesz mógł jeszcze dziś zapoznać się ze swoim przyszłym kapitanem, którego Giacomo zwabił z „Krzyżowca”. Znakomity żeglarz, ale obawiam się, że nadziany uczciwością jak faszzerowany żołądek gryczaną kaszą. Będziesz musiał zająć się jego edukacją. Dziś macie podpisać wasze kontrakty w kantorze Thompsona. O szóstej wieczorem zastaniesz tam dyrektora kompanii Norwarda i nowego kapitana - Blackwooda. Ech, popływałbym i ja z wami, lecz te przeklęte kule trzymają mnie w „Brzuchu Wieloryba” niczym proroka Jonasza...

Poinformowawszy o wszystkim swego gościa, Woodrow Crag pokuśtykał na dół. W dużej sali panowało tego dnia niezwykle ożywienie. Gdy tylko gospodarz zajął swe zwykłe miejsce, marynarze - pojedynczo i grupami - zaczęli podchodzić do kontuaru jak do ołtarza. Woodrow krótko odpowiadał na pozdrowienia, bacznie przyglądał się stojącym przed nim ludziom i wpisywał niektóre nazwiska do zatłuszczonej, niebieskiej księgi. Ci, których spotkał ten zaszczyt, otrzymywali dalszy kredyt. Pozostali patrzyli na nich z zazdrością.

Po południu w tawernie zjawił się nowy kapitan „Skrzydlatego”, mister Blackwood, i w oddzielnym pokoju przeprowadzał rozmowy z każdym członkiem przyszłej załogi z osobna.

Jeden z pierwszych podszedł do niego chudy mężczyzna o głęboko wpadniętych oczach i ziemistej cerze. Kapitan zajrzał do jego dokumentów.

„James Collgrave, rysownik i grawer” - przeczytał i z powątpiewaniem popatrzył na zapadłe policzki i chude ręce grawera.

- Dawno rzuciliście swoją profesję, Collgrave? - spytał.

- Tak, sir, cztery lata temu... Przez dwa ostatnie lata pływam na statkach...

- Cóż was do tego skłoniło?

- Ach, sir, to bardzo przykra historia, przez nią o mało serce nie pękło mojej matce. Mister Crag zna moje dzieje.

Woodrow Crag istotnie znał dobrze historię tego człowieka. Nędza zmusiła go do przyjęcia pewnego prywatnego zamówienia na sporządzenie kontraktu ślubnego. Zlecenie zostało wykonane i to tak mistrzowsko, że dzieło Collgrave'a śmiało mogło konkurować z dokumentami organów państwowych i w pełni zadowoliło zarówno klienta, jak i władze brytyjskie. Po jakimś czasie Collgrave spróbował sił na polu konkurencji z mennicą

państwową i przy pierwszej, zresztą bardzo naiwnej próbie dostał się za kraty bultońskiej twierdzy. Śmieszność jego usiłowań, wiek przestępcy - miał wtedy siedemnaście lat oraz wstawiennictwo pewnej wysoko postawionej osobistości sprawiły, że sędzia wydał nader łagodny wyrok. Po dwóch latach Collgrave wyszedł na wolność i zjawił się w porcie, aby zaoferować swe usługi pierwszemu lepszemu kapitanowi, który zgodziłby się zabrać go z Anglii. Woodrow Crag poznał w porcie byłego gawera i pamiętając o jego uzdolnieniach, urządził go jako majtka na statku kabotażowym. Teraz Woodrow uznał za stosowne włączyć go do załogi „Skrzydlatego”.

Bosman John Bootby i starszy klerk kantoru Thompsona, gruby mister Jankins, podawali marynarzom kontrakty i duże pióro. Nie wszyscy marynarze umieli się podpisać. Wielu z nich zamiast nazwiska stawiało krzyżyki i kółka i Jankins podpisywał za nich dokument, po czym skrzypiącym głosem odczytywał na głos słowa kontraktu. Marynarze, nie próbując nawet wnikać w sens zawitych formuł prawnych, odchodzili z węzełkiem pod pachą do doków Pattersona.

Kiedy wieczorne światła miasta zamrugwały przyjaźnie w mglistym powietrzu, cała załoga „Skrzydlatego”, licząca przeszło trzystu ludzi, była już na pokładzie. Teraz kapitan Blackwood udał się do kantoru Thompsona, aby podpisać swój kontrakt.

2

Mrs. Bingle zapakowała świeżo wypraną bieliznę swego starego klienta Andrew Lawsona i zawiesiwszy na drzwiach kłódkę, poszła w stronę portu.

Gdy przybyła na miejsce, ujrzała stojący przed domkiem Lawsona powóz. Mister Lawson witał właśnie nowego lokatora. Przejedny musiał pochodzić z daleka. Miał na sobie niezwykle skórzany ubiór, przybrany frędzlą i haftem indiańskim. Cały jego bagaż stanowił duży czarny sakwojaż. Nie chcąc przeszkadzać praczka poczekała przy furtce i dopiero gdy pusty powóz odjechał, zapukała do okna. Odpowiedziało jej szczerkanie pudła w pokoju, po czym otwarły się tylne drzwi i wyrzał z nich służący Lawsona.

- Mister Lawson jest zajęty - powiedział. - Niech pani usiądzie, mistress Bingle, i powie, co nowego sływać w mieście.

- Och, Gregory, nigdy by pan nie uwierzył, co za przedziwne rzeczy działy się dziś na moich oczach! Pan wie, parę dni temu do mnie też wprowadził się nowy lokator, bardzo spokojny samotny człowiek, też przyjezdny...

Żywioł kobiecej gadatliwości przerwał wreszcie zbyt długo powstrzymującą go tamę milczenia. Pierwszą jego ofiarą padł Gregory. Mrs. Bingle opowiadała jak w natchnieniu, z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczami... To nie było zwyczajne opowiadanie - ona odgrywała to wszystko, czego była świadkiem w pokoju swego lokatora...

Mister Lawson rozmawiał w przyległym pokoju ze swym nowym lokatorem. Usłyszawszy głos mrs. Bingle przerwał rozmowę i wyszedł, by zapłacić jej za pranie. Przyjezdny gość, który już od dłuższej chwili przysłuchiwał się barwnej opowieści za ścianą, wszedł za Lawsonem do kuchni. W tym właśnie momencie mrs. Bingle przy pomocy węzełka z bielizną i stołka przedstawiała, jak to jej lokator, przemieniony w kataryniarza, wychodził z domu razem z jej małym Tomem.

Nowy lokator Lawsona spytał, czy mrs. Bingle nie jest przypadkiem praczką, i dodał, że jej usługi bardzo by mu się przydały. Mrs. Bingle wykonała przed nim głęboki dyg, a przyjezdny poprosił ją do swego pokoju. Tu wyjął z sakwojaża i oddał jej do prania kilka par wykwentnej bielizny z holenderskiego płótna. Od razu też zapłacił jej z góry, i to bardzo hojnie, co praczka przyjęła z objawami największej wdzięczności. Przyjezdny pan wyraził przypuszczenie, że pani Bingle, osoba o tak wytwornych manierach, chyba tylko na skutek

jakiejs naglej i nieoczekiwanej klęski życiowej musiała się zniżyć do obecnego skromnego zajęcia.

Ma się rozumieć, że w ciągu najbliższego kwadransa obcy pan był wtajemniczony w biografię majstra Johna Bingle'a i jego małżonki bardziej szczegółowo niż w sprawy swoich najbliższych krewnych. Śmierć majstra, zajęcie się losem wdowy i jej dzieci przez lady Emily Riland, Wigilia u pana Thompsona, wreszcie wypadki ubiegłej nocy - to wszystko zostało przedstawione z tym samym krasomówczym zapalem, co i poprzedniemu słuchaczowi. Gdy mrs. Bingle doszła w swym opowiadaniu do momentu, jak to jej lokator mister Hanslow wrócił wśród nocy odziany w wytworny aksamitny kaftan, oczy przyjezdnego pana przyjęły wyraz senny i obojętny. Upiększając swe opowiadanie coraz barwniejszymi szczegółami mrs. Bingle przekazała z kolei swe wrażenia z wizyty ponurego starucha, który zjawił się przed świtem i opuścił jej dom w innym odzieniu, zostawiwszy w pokoju jej lokatora nie tylko oblodzoną kurtkę, lecz także część swych włosów. W końcu opowiedziała zmęczonemu słuchaczowi o niezwyklej metamorfozie samego pana Hanslow - najpierw w pięknego młodego mężczyznę przed zwierciadłem, a potem w starego kataryniarza.

- Zapomniałam jeszcze powiedzieć, że mister Hanslow po raz pierwszy zdjął przed zwierciadłem rękawiczkę z lewej dłoni i wtedy zobaczyłam, że brak mu jednego palca. W rękawicze palec ten był po prostu wypchany watą!

- I dokądże on poszedł z pani synkiem? - spytał przyjezdny pan sennym głosem.

- Tego to już nie wiem, sir.

Głowa słuchacza opadała coraz niżej na piersi. Spojrzał na swą rozmówczynię zmętniałymi oczami.

- Proszę wybaczyć, mistress Bingle - powiedział - z wielką przyjemnością wysłuchałem pani opowiadania, lecz czuję się bardzo zmęczony. Chętnie porozmawiam z panią innym razem, gdy mi pani odniesie bieliznę. Żegnam panią!

Gdy po chwili mister Lawson zajrzał do pokoju lokatora, zastał go śpiącego w fotelu. Ubolewając nad kobiecym gadulstwem, które zmęczyło jego gościa bardziej niż cała przebyta morska podróż, stary przymknął drzwi.

Tymczasem Gregory zamknął furtkę za praczką. Śpiący lokator lekko uniośł powieki. Popatrzył w okno, zaczekał, aż mrs. Bingle zniknie z widoku, i wtedy podniósł się i przywołał gospodarza.

- Niech to lichy! Ta baba tak mnie zagadała, że zapomniałem jej dać do prania jeszcze jedną zmianę bielizny! Wychodzę teraz do miasta i po drodze mógłbym jej to zanieść. Czy ona mieszka daleko stąd?

- Skądże, całkiem blisko, Charge Street, naprzeciw przytułku, na parterze. Pozwoli pan, że wpiszę pańskie nazwisko do książki meldunkowej, sir. Lokator podał mu swój patent marynarski.

„Joseph Lorn” - przeczytał gospodarz. Nazwisko to było mu zupełnie obce.

3

Wychodząc na ulicę Joseph Lorn spojrzął na zegarek. Było już po piątej. Punktualnie o szóstej Norward i kapitan Blackwood oczekiwali go w kantorze Thompsona. Przywołał cab i po chwili znalazł się przed „Brzuchem Wieloryba”. Rozmowa z Cragiem na tylnym podwórku tawerny zajęła Łomowi wszystkiego parę minut i cab z pasażerem potoczył się dalej po słabo oświetlonych ulicach.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy na dziedzińcu przytułku, skradając się ostrożnie, wśliznął się człowiek z karabinem. Wypatrzywszy szczelinę w parkanie wychodzącą wprost na jedno z okien przeciwnielego domu, człowiek ów wsunął lufę karabinu w szczelinę, oparł kolbę na

podstawie z dwóch kijów, zapiął płaszcz i zamarł bez ruchu w zasadzce. Jednocześnie inny człowiek wszedł cichutko do bramy domu, w którym mieszkała mrs. Bingle, i ukrywszy się za drzwiami komórki, w ciemnym kącie pod schodami, wyjął z pochwy sztylet. Gdy tylko ci dwaj ukończyli swe przygotowania, dwaj inni agenci zapukali do drzwi mieszkania. Dowiedziawszy się od gospodyni, że jej lokatora, pana Hanslowa, nie ma w domu, bezceremonialnie wepchnęli mrs. Bingle do jego pokoju i tu, wycelowawszy w nią lufy pistoletów, zapowiedzieli wdowie, że nie wolno jej dać żadnego ostrzegawczego znaku lokatorowi - ma spokojnie otworzyć mu drzwi, gdy tylko wróci do domu.

- Pani lokator to przestępca polityczny, a my jesteśmy z policji - powiedział do niej starszy z dwóch agentów, mężczyzna o rudych wąsach, w kapeluszu głęboko naciśniętym na czoło. - Tylko pomoc w jego schwytaniu może stać się okolicznością łagodzącą dla pani jako współniczki Rogersa-Hanslow.

Mrs. Bingle wydała okrzyk przerażenia i o mało nie zemdląła.

- Niech tylko pani nie próbuje mdleć - ostrzegł ją ten sam agent. - Ma go pani wpuścić do domu i zamknąć drzwi. Resztę proszę zostawić nam.

Widząc, że wdowa jest już na wpół żywa ze strachu, nieznajomy w kapeluszu zwrócił się do swego towarzysza.

- Nie pan pamięta, Frank, jakie jest nasze zadanie: przekazać pułkownikowi Hawerstone trupa tego Hanslowa. Beznogi uprzedził, że w żadnym wypadku człowiek ten nie może dostać się żywcem w ręce władz.

- O to może pan być spokojny, mister Lins! - odparł rudemu drugi agent.

4

- Kapitanie Donaldzie Blackwood, zechce pan złożyć podpis pod kontraktem. A więc od dnia dzisiejszego nie jest pan już pierwszym oficerem fregaty Krzyżowiec”, lecz kapitanem okrętu kaperskiego „Skrzydlaty”. Pozwoli pan, że mu złożę gratulacje i życzenia...

- Nie spóźniłem się, panowie? Zdaje się, jest punktualnie szósta?

- Proszę siadać, mister Lorn... Właśnie teraz kolej na pana... Dziękuję panom i życzę powodzenia!

Stary mister Thompson odłożył na bok papiery podpisane przez oficerów „Skrzydłatego”.

- Proszę się zapoznać ze swym pierwszym oficerem, kapitanie Blackwood - rzekł Norward, dyrektor kompanii. - Mister Joseph Lorn dopiero dziś rano przybył z Ameryki - i znów na okręt! Taki już los marynarza. Dziś w nocy ja i kapitan Blackwood wyjeżdżamy na miesiąc do Londynu, by otrzymać w admiralicji patent kaperski dla „Skrzydłatego” i zlikwidować sprawę pana Blackwooda na „Krzyżowcu”. Mamy już zamówione miejsca w dylizansie pocztowym. Oczekuję pana, mister Blackwood, w oberży „Biały Niedźwiedź”. A pan, mister Lorn, będzie musiał mieć oko na wszystko, co się dzieje w dokach, dopóki okręt nie wypłynie z portu. W tych dniach załoga „Skrzydłatego” strzegąca doków udaremniła dość podejrzaną próbę podpalenia stoczni. Bunt w Bultonie już od dawna narastał, lecz dotychczas, przy pomocy ludzi pana Craga, udawało się nam w porę przejrzyć plany robotników usiłujących stworzyć komitet i zdewastować fabryki, jak to już niejednokrotnie czynili zbuntowani tkacze w Spittfieldzie. Nowe maszyny budzą ich gniew, teraz bowiem pozostawiamy w fabrykach dwa, a nawet trzy razy mniej mężczyzn, doświadczonych majstrów, zastępując ich kobietami i dzieciarnią. Daje to dużą oszczędność, a zarazem ułatwia pozbycie się malkontentów i wicherzycieli. Ale niedawno buntownicy zyskali doświadczonego prowodyra, który nauczył naszych robotników sztuki tajnej działalności, czyli, jak się to mówi, konspiracji. Dopóki więc zarzewie buntu tli się jeszcze pod popiołem pierwszego pogromu i dopóki nie został ujęty przywódca luddystów Eliot Maggerson, dopóty musi pan mieć się na baczności, mister

Joseph Lorn! Do widzenia, mister Thompson!

Goście wyszli z gabinetu. Kantor był pusty; wszyscy pracownicy pana Thompsona wyszli już do domu, tylko w poczekalni pozostał jeszcze jeden z klerków. Lecz w ogólnej kancelarii marynarze ujrzeli dziwną grupę czekającą przed drzwiami gabinetu. Na ławce siedział chłopczyk i karmił orzechami małą małą w kubraczku, a obok, z głową na oparciu ławki, drzemał stary kataryniarz, przytrzymując lewą ręką stojącą przy nim katarynkę. Na ręce tej brakowało czwartego palca...

Lorn szedł na samym końcu. Spojrzawszy na kataryniarza raptownie przystanął i w tej chwili wędrowny muzykant podniósł na niego wzrok. W oczach obu mężczyzn błysnęła śmiertelna nienawiść... Nim Lora zdążył wyjść z osłupienia, kataryniarz zerwał się z miejsca i wpadł do gabinetu zatrzaskując za sobą drzwi. Będąc już po drugiej stronie przekręcił dwukrotnie klucz w zaniku i założył haczyk na skobel, po czym jednym susem, jak kot, odskoczył w głąb gabinetu, gdzie William Thompson, pochylony przed dużą szafą, układał na półce podpisane kontrakty. Lorn gwałtownie dobijał się do drzwi, z całej siły napierając na nie ramieniem.

Norward i Blackwood nie zauważyli nawet, że Lorn się zatrzymał. Nie zwrócili też uwagi na jego nieobecność, gdy wsiadali do powozu. Po chwili na ulicy rozległ się stukot końskich kopyt i skrzywienie śniegu pod kołami. A tymczasem drzwi gabinetu trzęsły się od uderzeń.

- Mocny Boże! To pan, mister Rogers? - krzyknął wystraszony adwokat, gdy nieznajomy, który tak nagle zjawił się w jego gabinecie, zrzucił płaszcz i kapelusz.

- Ciszej, mister Thompson! Pozostawiam panu paczuszkę dla lady Emily Riland. Proszę tego nikomu nie pokazywać, słyszy pan? Jest tam list i klejnot wartości czterech tysięcy gwinei... Widocznie mistress Bingle wygadała się i zdradziła mnie... Proszę nic nie mówić o paczusce, aby Giuseppe Lorano czegoś się nie domyślił!

Walenie w drzwi stawało się coraz bardziej ogłuszające. Z poczekalni przybiegł pisarz, by pomóc Lornowi. We dwóch wysadzili w końcu masywne drzwi.

Mister Thompson w konsternacji patrzył na otwarte okno swojego gabinetu, przez które wtargnęło do pokoju mroźne zimowe powietrze.

Joseph Lorn przyskoczył do okna i spojrzał z wysokości pierwszego piętra. Na dole zobaczył świeże ślady końskich podków i kół, a w głębi ulicy ciemną postać biegnącego mężczyzny, który w tej chwili skręcał w przecznice.

Lorn odskoczył od okna i wpadł z powrotem do ogólnej kancelarii, gdzie za barierką wciąż jeszcze siedział blady, wylęknięty chłopiec. Mały wypuścił z rąk łańcuszek, na którym uwiązana była mała mała, i zwierzątko, skuliwszy się na oparciu ławki, z ciekawością rozglądało się po kancelarii. Lorn chwycił chłopca za rękę, aby poddać go przesłuchaniu. W tej chwili mała mała, jakby i jej udzieliło się ogólne podniecenie, wykonała szaleńczy skok i znalazła się na szafie, pod którą Thomas Bingle usiłował wyrwać się z rąk marynarza.

Mister William Thompson wpadł do kancelarii akurat w momencie, gdy z szafy wprost na Lorna zwałiło się zakurzone gipsowe popiersie Cyserona. Strąciwszy popiersie, które rozprysło się w drobny mak, mała mała przeskoczyła na żyrandol, rozhuściła go i zawisła na jednej ręce wypatrywała, gdzie by znów skoczyć.

Ugodzony boleśnie w ramię Joseph Lorn puścił chłopca. Wściekły, chwycił kawałek gipsu i cisnął nim w małą małą. Zamiast w nią pocisk trafił w lampę. Posypało się z brzękiem szkło z rozbitego abażuru i płonąca oliwa polała się na stół. Sukno i teczki na stole poczęły się tlić. Mała mała przeskoczyła na półkę. W pokoju zrobiło się ciemno, lecz Mixy chwyciła z półki jakieś dokumenty i rzuciła je w płonąca oliwę. Papiery buchnęły jasnym płomieniem i niby pochodnia oświetliły pokój i miotających się po nim ludzi. Mister Thompson, klerk i Lorn skoczyli gasić ogień. Udało się im zdusić płomień narzuciwszy na stół dywan i zerwane portiery. Korzystając z zamieszania Tom Bingle złapał w końcu małą małą i pędem wybiegł z nią na ulicę.

Gdy się dowlókl do domu, otworzyła mu sąsiadka, ciotka Polly. Chłopiec nie poznał

mieszkania. Wszystko było wywrócone do góry nogami, wyrzucona z komody bielizna walala się na podłodze, a wśród tego chaosu, objawszy głowę rękami, stała jego matka nieruchomym wzrokiem wpatrzona gdzieś w jeden punkt przed sobą. Ujrawszy w rękach chłopca małą mrs. Bingle krzyknęła dzikim głosem, machnęła rękami, jakby broniąc się przed upiorem, i jak podcięta kosą padła bez zmysłów na ziemię.

Późnym wieczorem stary bultoński bankier mister Samuel Landy zamknął się w podziemiach swego banku, gdzie w chłodnym półmroku stało sześć zwalistych jak słonie żelaznych szaf. Wraz z kasjerem banku mister Landy przeliczył jeszcze raz złoto i banknoty wysypane z dwóch skórzanych worków.

- Równo dziesięć tysięcy w złocie i czternaście tysięcy w banknotach - powiedział kasjer. - Czy to wszystko idzie na bieżący rachunek pana Rilanda?

- Nie, zgodnie z jego poleceniem pięć procent tej sumy należy wpisać na konto pana Josepha Lorna - odparł bankier. - Ten wkład to pierwsze rezultaty wyprawy „Oriona”. O, zamorskie ekspedycje Rilanda zapowiadają się bardzo obiecująco!

Mister Landy podsumował jakieś cyfry w notesie, westchnął i zatrzasnąwszy drzwi kasy ogniotrwałej udał się na spoczynek.

Szkocki klerk mister Archibald Staybold w krótkim czasie dał się we znaki całej służbie „Białego Niedźwiedzia”. Był to ponury typ, nie odznaczający się bynajmniej hojnością, który wciąż się odgrażał, że „opuści tę jaskinię grzechu”. Przez dwa dni siedział zamknięty w swym ciasnym pokoiku, nie przyjmując żadnych gości ani nie składając nikomu wizyt. Raz tylko ten ponurak kazał służącemu zawołać z ulicy i przyprowadzić do swego pokoju jakiegoś młodzieńca, którego zobaczył przez okno. Potem szybko narzucił na siebie podbity futrem płaszcz i razem z młodzieńcem, któremu na oko można było dać jakieś piętnaście lat, wyszedł z oberży i skierował się w stronę portu.

Szli wąskimi przedmiejskimi uliczkami, przecięli na ukos pustkowie pokryte śniegiem i śmieciami i stromą ścieżką zeszli nad samo morze, gdzie fale przyływu kotłowały się na przybrzeżnych kamieniach.

Stary klerk z przyzwyczajenia rozejrzał się dokoła i położył dłoń na ramieniu chłopca.

- Jeden tylko Bóg nas tutaj słyszy, mój synu! Rad jestem, że los przywiódł cię pod moje okno i że znów mogą z tobą porozmawiać.

- Nie mogę tu długo zostać, mistrzu. Muszę jak najszybciej przynieść dzentelmenom z biura zakupy, po które posłano mnie do miasta. Ale ja też ogromnie się cieszę, że znów pana widzę, mister Maggerson...

- Ts-ss! Nazywam się teraz inaczej.

- Czy mogę być w czymkolwiek pomocy panu... i sprawie? - czerwieniąc się dodał młodzieniec.

- O, drogi George, w naszej walce każda pomoc jest ważna! Gdybyśmy zjednoczyli wszystkie nasze słabe siły, moglibyśmy przewrócić świat... Czy przeczytałeś już książki, które ci dałem?

- Tak, mój mistrzu, przeczytałem je i dobrze ukryłem. Nikt ich u mnie nie widział.

- Postąpiłeś roztropnie, są to bowiem książki zakazane. Mówią one o życiu sprawiedliwym i uczą miłości bliźniego. W rękach bojowników o prawdę są one mieczem, który przebije kolczugę zła. Gdy dorosisz, George, powinieneś wziąć w ręce ten miecz, albowiem masz jasny umysł i czysta jest twoja dusza. Jesteś synem ludzi pracy, prawda?

- Mój ojciec zginął w fabryce, a ja i młodszy brat Tom harowaliśmy ponad siły w stoczni, dopóki nam nie pomogli dobrzy ludzie... Mistrzu, pragnę jak najszybciej zostać członkiem waszego bractwa.

- Jesteś jeszcze zbyt młody, mój synu, by brać na siebie tak ciężkie brzemie. Ale z czasem, gdy czynem wykazesz gotowość do poświęceń gwoli równości wszystkich ludzi, zostaniesz nie tylko członkiem bractwa, lecz może i jego przywódcą i zastąpisz mnie, gdy wybije moja ostatnia godzina!
- Mistrzu, poddaj mnie jakiej chcesz próbie!
- Dam ci nawet zaraz pewne zadanie: wyszukaj mi nieduże mieszkanie blisko peryferii, gdzie mieszkają robotnicy z fabryk i stoczni.
- Z radością to uczynię. A pozwoli mi pan przychodzić do siebie?
- Tak, mój synu, tam będziemy często się widywać.
- Ale to zbyt łatwe zadanie! Proszę o jakieś trudniejsze, niebezpieczne.
- Synu mój, jeśli chcesz wiedzieć, niebezpiecznie jest nawet rozmawiać ze mną, niebezpiecznie jest stać tutaj razem ze mną, nad tą szumiącą wodą. Ale mam dla ciebie jeszcze jedno, poważne i trudne zadanie. W walce o prawdę i wolność posiada ono niemałą wagę.
- W walce o prawdę i wolność! Wydaje mi się, że potrafiłbym za to oddać życie!
- Życie - to największy dar boży i należy je cenić wysoko. Nie spiesz się z jego oddaniem. Nie śmierć, lecz zwycięstwo - oto jest nasz cel! A więc polecam ci, abyś ostrożnie, cierpliwie i wytrwale zbierał wszelkie możliwe wiadomości o... najgorszym wrogu ludu pracującego Bultonu, o właścicielu Kompanii Północnobrytyjskiej. Otacza go jakaś ważka tajemnica. Bractwo musi ją zgłębić, aby skutecznie walczyć z tym sługą szatana. Imię tego człowieka...
- Wiem. To hrabia Chancefieldu!

5

Pułkownik Hawerstone odłożył tomik Starne'a, nabił fajkę i wypuścił kóleczek dymu. W oberży „Biały Niedźwiedź” panowała cisza. Nocny dyliżans pocztowy, zatrąbiwszy pod oknem pułkownika, ruszył w dalszą drogę i pewno toczył się teraz po zaśnieżonym trakcie. Umilkły też kroki służby na korytarzu, z dołu nie słychać było brzęku naczyń. Tylko niespokojny sąsiad pułkownika, zajmujący pokój obok przestronnego numeru Hawerstone'a, burczał jeszcze i tłukł się za ścianą. Ten mrukliwy klerk jakiejś szkockiej firmy kłócił się ze służącym i pomstował na jakiegoś oficera marynarki, który wraz z dyrektorem Kompanii Północnobrytyjskiej zajął ostatnie dwa wolne miejsca w dyliżansie.

- Ani jednego dnia dłużej nie zostanę w tej waszej speluncie! - zrzędził stary.
- Bezwzględnie opuszczam ten dom rozpusty, gdzie gospodarz-bezbożnik umyślnie tak robi, aby gość nie mógł w porę wyjechać! Niech mu się nie zdaje, że zatrzymawszy mnie niepotrzebnie jeszcze dzień wycygni ode mnie więcej pieniędzy za pobyt!
- Halo, mister Staybold! - zawołał pułkownik, który miał już dość tej kłótni za ścianą. - Co pana tak rozgniewało? Niech pan przyjdzie do mnie i ostudzi swój gniew szklaneczką niezłego xeresu!

Staybold, w długim futrzanym płaszczu, wszedł do pokoju pułkownika nie przestając głośno wyrażać swego niezadowolenia. Przy winie sąsiedzi nawiązali rozmowę i stary klerk trochę się uspokoił. Usłuchał w końcu przyjacielskiej rady Hawerstone'a, by zrezygnował ze swego zamiaru bezwzględnego opuszczenia oberży, i podziękowawszy dość chłodno pułkownikowi wrócił do swego pokoju.

Pułkownik rozebrał się i miał już zgasić światło, gdy wszedł ordynans i podał mu przyniesiony właśnie przez posłańca list do Craga.

Hawerstone szybko przebiegł oczami papier, narzucił szlafrok i zeszedł na dół, gdzie kwatrowali towarzyszący mu oficerowie. Jednego z nich, kapitana Berdda, zastał przy

układaniu raportu dla ministra. Oficer podniósł na przełożonego zmęczone oczy i dojrzawszy na jego twarzy wyraz skrywanego tryumfu i radości, spytał:

- Otrzymał pan może jakieś nowe wiadomości o Maggersonie, panie pułkowniku?

- Nie darmo zwróciłem uwagę na swego sąsiada! - odparł Haverstone. - Właśnie otrzymałem szczegóły przesłuchania tej głupiej Bingle. Jej lokator Hanslow, agent Maggersona, na razie zdołał się wymknąć. Ale nie dalej jak wczoraj tenże sam Hanslow pomógł Maggersonowi zmienić powierzchowność i przybrać postać szkockiego klerka. Tak więc mój sąsiad i przyjaciel, szkocki klerk Archibald Staybold, to nie kto inny, jak przewodyr luddystów Eliot Maggerson! Proszę od tej chwili wziąć go pod najściślejszą obserwację, nakryjemy za jednym zamachem całą jego szajkę.

Nazajutrz wczesnym rankiem z bramy stoczni bultońskiej wyszedł spieszonym krokiem młodzieniec lat około piętnastu, w czyściutkiej kurtce i granatowym sukiennym berecie ze sprzączką. Strażnik przy bramie uśmiechnął się patrząc za odchodzącym - tyle szczerzej radości z wolnego dnia, który można będzie spędzić w domu, malowało się na jego twarzy. Nie opodał bramy zatrzymał chłopca uliczny sprzedawca oferujący przechodniom ciastka i bułeczki.

- Dokąd tak spieszysz, młody człowieku? Może kupiłbyś sobie coś na śniadanie? Nigdzie nie znajdziesz świeższego i lepszego towaru niż u mnie!

Chłopiec zsunął beret na tył głowy i potrząsnął złocistymi kędziorami opadającymi na ramiona. Przystanął z rękami w kieszeniach kurtki i z namysłem wybierał ciastko.

- O te, francuskie, kosztują po trzy pensy. Usiądź tu na słupku i spróbuj, jakie dobre. Jak się nazywasz i co robisz w stoczni?

- Nazywam się George Bingle i pracuję jako rysownik w kantorze.

- Od razu cię poznałem, George, jesteś bardzo podobny do swego brata - zniżając głos rzekł sprzedawca. - Posłuchaj, co ci powiem. U was w domu nieszczęście.

Chłopiec drgnął, ciastko wypadło mu z ręki.

- Nie lękaj się, twoja matka i brat są zdrowi. Mieszkał u was lokator, nazywał się Hanslow. Otóż wczoraj wieczorem przysłała policja, przetrząsnęła cały dom i napędziła strachu twojej matce. Teraz po całym mieście szukają waszego lokatora.

- Kimże jest ten Hanslow? Sprzedawca nachylił się do ucha chłopca:

- To przyjaciel twego brata Toma, a ukrywa się przed policją, gdyż jest... synem wolności, rozumiesz?

- Synem wolności? A więc ten Hanslow jest z luddystami, tak?

- Zgadłeś, chłopcze! Hanslow wtajemniczył we wszystko twego brata i Tom chce mu pomóc w ucieczce z Bultonu...

- A gdzie jest teraz Hanslow?

- Ukrył się. Wczoraj o mało go nie schwytano. Szukają go, więc na razie musi zniknąć na jakiś miesiąc z Bultonu. Ale na pewno tu wróci.

- W czym mogę mu pomóc?

- Pomóż mu zobaczyć się z Tomem i nie mów nikomu o naszej rozmowie.

- Co mam powtórzyć Tomowi?

- Powiedz mu, aby za cztery tygodnie, w czwartek, w przeddzień pierwszego marca, przyszedł około pomocy do ogrodu za tym domkiem. Hanslow będzie na niego czekał.

- Dobrze! Daję słowo, że dziś jeszcze powtórzę to wszystko Tomowi i nikomu więcej nie powiem ani słowa.

Było już popołudnie trzeciego lutego, gdy pułkownik Haverstone posłyszał ruch w pokoju

sąsiada. Ukończywszy toaletę, rzekomy mister Staybold wyszedł z oberży. Szedł wolnym krokiem, czytając po drodze szyldy i afisze, jak człowiek, któremu nigdzie się nie spieszy. W ręce trzymał ostatni numer „Monitora”. U zbiegu ulic Świętego Jakuba i Garden Road zaczynał się nieduży bulwar. Maggerson usiadł na ławce i rozłożył gazetę. Widział, jak człowiek w szarym płaszczu, który od samej oberży szedł po drugiej stronie ulicy, odwrócił się i ogląda wystawę sklepową.

„Szkocki klerk” poszedł wzdłuż bulwaru i przyspieszył kroku. Szary płaszcz też szybciej migał teraz w tłumie. Stary skręcił nagle do znajomej, przejściowej bramy, wyszedł na Garden Road i upewniwszy się, że udało mu się zmylić szpicla, podszedł do słupa z ogłoszeniami, przypominającego kształtem grzyb ze stożkowatym kapeluszem, i odszukał afisz miejscowego cyrku. W lewym górnym rogu afisza odkrył nakreślone niebieskim ołówkiem jakieś znaczki i cyfry.

To Fernando za pomocą tych hieroglifów zawiadamiał swego towarzysza walki o skrajnym niebezpieczeństwie. Powiedziały one Maggersonowi, że został rozpoznany, jest pod obserwacją i musi, nie tracąc ani chwili, ratować się ucieczką.

Przywódca luddystów przywołał cab i z największą szybkością, do jakiej tylko była zdolna dorożkarska szkapa, popędził po wyludnionych uliczkach. Zatrzymawszy w końcu ekipaż przed jakąś bramą, wszedł na podwórko, przelazł przez płot i wyszedł na inną ulicę. Upewniwszy się ostatecznie, że nikt go nie śledzi, stary znów wziął dorożkę i pojechał na sam kraniec miasta, gdzie zaczynał się już trakt. Dalej poszedł pieszo, aż do ostatnich domków nad samym morzem. Przed jednym z nich suszyły się sieci. Był to umówiony znak, że tu, w tym najdalszym i jak najściślej zakonspirowanym schronieniu braci, wszystko jest w porządku. Miejsce to zachowywał Maggerson w rezerwie na wypadek ostatecznej konieczności.

Na podwórku za domem przywitał Maggersona stary rybak Irlandczyk. W milczeniu uściśli sobie dłonie i rybak zaprowadził gościa do maleńkiej komórki za piecem, która była tak świetnie zamaskowana, że nawet przy szczegółowej rewizji nader trudno byłoby ją odkryć.

Teraz Maggerson przejrzał zawartość kieszeni i sprawdził, czy pieniądze i dokumenty są na swoim miejscu. Upewniwszy się, że wychodząc z oberży nie zostawił tam nic cennego ani ważnego, zwinął się w kłębek i przespał tak do wieczora w ciemnym schowku. Wieczorem usłyszał ruch w domu. To syn gospodarza, potężny dwudziestotrzyletni dryblas, powrócił z miasta. Stara matka, milcząca jak i jej mąż, poprosiła Maggersona na kolację. Okienne były zamknięte. Na prostym stole z białych desek paliła się świeca i stały miski z gotowanym bobem i wieprzowiną.

Po kolacji Maggerson poprosił starego rybaka, aby mu przyniósł schowane u niego zapasy. Irlandczyk uniósł deskę w kącie i wyciągnął spod podłogi płaską, dość ciężką skrzynkę.

- Zanieś ją, bracie, do tego ogródka obok portu i ukryj w wiadomym miejscu. Hanslow znajdzie tam to, gdy wróci. Ta rzecz odda mu niemałą usługę. Niech to będzie podarek od nas za pomoc, jaką nam okazał. A ja będę musiał tymczasem przedostać się do Irlandii, do Belfastu. Tam już ukryją mnie Dębowe Serca*.

Późną nocą, gdy nad morzem zawisła gęsta mgła, od brzegu odbił niewielki barkas rybacki. Najbardziej bystre oko nie zdołałoby wypatrzeć człowieka leżącego pod złożonymi na rufie sieciami. Siedzący przy wiosłach stary rybak i jego syn skierowali łódź ku brzegom Irlandii.

* Dębowe Serca - jedna z tajnych chłopskich organizacji rewolucyjnych XVIII w. w Irlandii

6

W przeddzień pierwszego marca, gdy już wszyscy wychowankowie internatu pana Chiswicka leżeli w łóżkach, Tom Bingle, naciągnąwszy koc na głowę, z zapartym oddechem czekał na nocny obchód.

Sypialnia chłopców znajdowała się na piętrze. O jedenastej wieczór rozległy się kroki na skrzypiących schodach. Do sypialni weszła mrs. Chiswick, chuda osoba o płaskiej jak deska piersi i długim, spiczastym nosie, z którego - zdawało się - lada chwila spadną okulary w cieniutkiej metalowej oprawie. W ręce niosła świecę z papierową profitką. Przeszła środkiem pomiędzy dwuszeregiem osiemnastu łóżek, tu i tam dotknęła skulonych pod kocem postaci i postawszy jeszcze chwilę na progu, wróciła na dół. Na dole, obok dwóch sal szkolnych, znajdowało się mieszkanie państwa Chiswick.

Gdy tylko kroki mrs. Chiswick, której chłopcy bali się więcej niż samego pedagoga, ucichły w głębi domu, Tom Bingle szybko naciągnął pod kocem ubranie.

Po skrzypiących schodach i uginających się deskach dolnego korytarza chłopiec szedł w, samych skarpetach, niosąc buciki w ręce.

Na dole Tom przykucnął przed drzwiami izdebki, w której chłopcy przechowywali swe wierzchnie okrycia, wsunął w dziurkę od klucza malutki haczyk z drutu i manipulując nim otworzył drzwi. Odszukawszy swą wатовaną kurtkę i czapkę z nausznikami, chłopiec ubrał się i podszedł pod drzwi kuchni. Mógł wyjść na zewnątrz tylko przez mieszkanie pana Chiswicka lub przez kuchnię. W ciasnej kuchennej wnęce spała kucharka, obok zaś tylnej furtki, w osobnej przybudówce, mieszkał stróż.

Skradając się na palcach chłopiec przeszedł przez ciemną kuchnię i namacał w sieni haczyk na drzwiach. Drzwi skrzypnęły i Tom znalazł się na podwórku. W tej chwili kuranty na wieży katedralnej wydzwoniły dwukrotnie swą melodię, po czym zegar uderzył jeden raz. Było pół do dwunastej w nocy. Na drodze chłopiec włożył buciki i oglądając się wciąż na okienko stróża wypadł za furtkę i pobiegł przez ciemne zaułki w stronę stoczni.

W dokach było ciemno, lecz wzdłuż ogrodzenia paliły się na słupach latarnie oświetlając górną krawędź parkanu najeżoną żelaznymi kolcami. Na rogach stali wartownicy, przed bramą przechadzał się strażnik. Tom i widział, jak z bramy wyszedł patrol złożony z czterech żołnierzy ze staroświeckimi halabardami i udał się w obchód, oświetlając topniejący śnieg ręczną latarnią.

W ciemnym ogródku jednego z domków położonych tuż przy stoczni oczekiwał Toma jego przyjaciel Hanslow.

- Jesteś, Tom! Zuch z ciebie! A już zaczynałem się niepokoić... Jesteś mi dziś potrzebny w pewnej ważnej sprawie!

- Co mam zrobić, dziadziu Mathew?

- Powoli, chłopcze, powoli. Zaczekamy, aż patrol wróci z obchodu. Zaraz ci wytłumaczę, o co chodzi... Powiedz mi, czy dobrze znasz ten teren?

- Jeszcze jak! Za tym parkanem są doki pana Pattersona... O tam widać dach kuźni, obok niej zbiorniki ze smołą, dalej - skład narzędzi, a za nim pochylnie, gdzie buduje się okręty...

- Tom, a czy ty wiesz, dla kogo Patterson je buduje?

- Dla sir Fredericka Rilanda... To najpoważniejszy klient Pattersona. George mówi, że na tych okrętach będzie się wozić niewolników do Ameryki.

- Tak, poniosą one w świat wiele zła... Będą służyć Pattersonowi i Rilandowi w rozboju na morzach, w handlu żywymi ludźmi... Frederick Riland - pajak chancefieldzki - to nie tylko mój najzacieklejszy wróg, to wróg wszystkich prostych, dobrych ludzi... Ty, Tom, wiesz lepiej ode mnie, ilu ich zginęło w tych dokach! Pamiętasz nieszczęsnego Mike'a, co to go zmiażdżyło przy wodowaniu „Skrzydlatego”? A ileż to kalek, jak na przykład biednego Patkina bez palców, wyrzucił na ulicę Patterson! Ile biednych dzieci, podobnie jak ty kiedyś,

męczy się w tej przeklętej stoczni! Tom, mam święty zamiar ją spalić, spalić do szcztetu, jak „Bultońska Manufaktura”!... Chcesz mi pomóc?

- Tak.

- Widzisz tę skrzynkę? Prawda, że ciężka? Jest tam w środku mechanizm zegarowy z zamkiem kołowym i... solidnym nadzieniem. Trzeba się przedostać do stoczni i ukryć nasz prezent pod dnem okrętu stojącego w środkowym doku. Obok położysz tę butelkę... Potem przykryj skrzynkę i butelkę wiórami, wsuń pod spód rękę i przesun tę oto rączkę na skrzynce. Jeśli w środku zacznie tykać jak w zegarku, uciekaj czym prędzej tu do mnie. Gdyby nie zaczęło tykać, potrząśnij skrzynką, tylko leciutko... Powiedz mi jeszcze, czy w szkole nikt nie zauważył, że wyszedłeś?

- Nie, nikt.

- I potrafisz wrócić niepostrzeżenie?

- Postaram się.

- Dzielny z ciebie chłopiec, Tom! I jeszcze jedno. Czy znasz okręt „Skrzydlaty”?

- Znam. Stoi teraz przy nabrzeżu pod samą stoczną... Tylko... tam już jest załoga.

- Tak, i właśnie jej musisz się strzec. Uważaj, by się ktoś nie zobaczył z tego okrętu... O, widzisz, patrol już wraca. No, teraz czas na ciebie!... Tu w parkanie wyjąłem deskę. Włóż przez tę dziurę, a ja ci podam skrzynkę i zaczekam tu na ciebie. Będę cię obserwował przez szczelinę. Wracając kieruj się na tę latarnię, dziura w parkanie znajduje się nieco w prawo od niej... Staraj się, abyś nie wpadł nikomu w łapy... A gdyby cię złapali... przyjdę ci z pomocą. Tylko... Tom, pamiętasz adres syna Bernardita?

- Pamiętam. Dawaj skrzynkę, dziadziu Mathew.

Chłopiec przecisnął się przez otwór w parkanie, Fernando podał mu skrzynkę i Tom, stękawszy z wysiłku, poniósł ją w ciemność, gdzie na szarym tle nocnego nieba rysowały się niewyraźne sylwety żurawi i budujących się okrętów. Hiszpan przyłożył ucho do parkanu, lecz nie usłyszał nic szelestu wiatru wśród nagich gałęzi drzew w ogródku. Gdzieś w przystani, pewno na pokładzie „Skrzydlatego”, rozległy się dźwięki okrętowych szklanek i jakby im do wtóru zegar na wieży katedralnej wydzwonił północ.

Fernando stał pod parkanem przyłgnawszy do słupa. Następna latarnia kołysała się pod parkanem o jakieś pięćdziesiąt kroków dalej i Hiszpan był ukryty w cieniu. Patrol, obszedłszy dokoła teren stoczni, znów zawrócił ku bramie. Żołnierze weszli do wartowni, by się ogrzać. Gdzieś w oddali poszczekiwał pies. Minuty wlokły się przeraźliwie wolno. Wokół panowała cisza i dalekie, rzadkie odgłosy psiego szczekania nie mąciły, lecz jakby podkreślały jeszcze tę głęboką nocną ciszę.

Nagle z ciemności, od strony, gdzie nad nabrzeżem wznosiły się maszty „Skrzydlatego”, dobiegł krzyk. Fernando na próżno usiłował dojrzeć coś przez szczelinę w parkanie. Próbował rozsunąć sztyletem deski, lecz mocne drzewo nie ustępowało. Tymczasem wśród wysokich pomostów, na których stały budujące się okręty, zamigotały światła latarni. Słysząc już było tupot podkutych butów. Hiszpan oparł się kolanem o deskę, uchwycił się kółców na parkanie i na rękach podciągnął się w górę. Po drugiej stronie zobaczył Toma biegnącego pędem w stronę parkanu. Ale chłopiec stracił orientację i potykając się co chwila biegł wprost na latarnię!

Za chłopcem ciężkim klusem biegł marynarz w szerokim kapeluszu i indiańskiej kurtce, z długim karabinem w rękach. Był jeszcze daleko od chłopca, lecz Tom począł się miotać tu i tam przed parkanem, nie mogąc znaleźć zbawczej dziury.

Po sekundzie wahania Fernando jednym skokiem znalazł się po drugiej stronie. Chłopiec uskoczył w bok, lecz poznawszy Hiszpana rzucił się ku niemu. Fernando chwycił chłopaka pod pachę i podsadził w górę. Przeskoczywszy ostre kolce na szczycie parkanu Tom stoczył się na wpół przytomny do ogródka i pomknął jak strzała przez zaułki.

Jego zbawca tymczasem wypalił z pistoletu do zbliżającego się wroga. Ten przyklęknął na

jedno kolano i złożył się do strzału w momencie, gdy Hiszpan, uchwyciwszy się żelaznych koleców, miał już przeskoczyć przez parkan. W tejże samej chwili gdzieś w głębi stoczni rozległ się straszliwy huk i głuchy grzmot przetoczył się nad okolicą. Ku niebu wzbił się purpurowy słup ognia. Dziesiątki ognistych węży zatańczyły w ciemności nocy, rozświetlając ją żarłocznymi językami płomieni i snopami iskier unoszonych przez porywisty wiatr.

Jeszcze pierwszy marcowy świt nie wstał nad Bultonem, gdy dyliżans z Londynu przybliżał się ku miastu.

Norward odsunął firankę w karecie i wpatrywał się w ciemność, w której - na lewo od traktu - czerniały ośnieżone drzewa i zabudowania Chancefieldu. Pozostali pasażerowie dyliżansu pochrapywali spokojnie na swych miejscach.

Nagle obudził wszystkich pełen trwogi okrzyk woźnicy.

- Znowu pożar w Bultonie. Pali się albo w porcie, albo gdzieś w pobliżu portu!

- Prędszej! - wrzasnął Norward ujrawszy nieruchomą lunę obejmującą pół nieba.

Ciężka kareta potoczyła się prędszej. Woźnica co chwila okładał konie batem i wkrótce koła dyliżansu zaturkotały po bultońskim bruku.

Norward i Blackwood, tknięci złym przeczuciem, wyskoczyli z dyliżansu na widok pierwszej napotkanej dorożki.

- Do portu! - krzyknął Norward.

Koń był cały mokry od potu i ciężko robił bokami, gdy wreszcie - o pierwszym brzasku - przybyli do portu. Olbrzymi pożar, buszujący tuż obok urządzeń portowych, zamienił noc w krwawoczerwony, straszny dzień. Na powierzchni morza drżały odbłaski płomieni.

- Stocznia Pattersona! O, niech to diabli! Do stoczni!

Przed stoczną stał gęsty tłum gapiów, z trudem powstrzymywany przez kordon policji. Widząc, że nie da się podjechać pod bramę, Norward i Blackwood wyskoczyli z powozu. Nawet dorożkarz, pozostawiwszy ekwipaż na łaskę losu, rzucił się ku bramie. Policjanci rozstąpili się przed nimi i Norward z Blackwoodem wpadli na dziedziniec. Nad stoczną szalał ognisty sztorm. Paliły się sztaple; strugi wody z pomp strażackich nie sięgały wyżej niż do połowy ognistych fontann.

Nie opodał, przy parkanie, stała gromadka ludzi. Pod samym parkanem, z szeroko rozrzuconymi rękami, leżał człowiek z przestrzeloną głową. Nad nim, wsparty na karabinie, pochylał się Joseph Lorn - bez kapelusza, w osmolonej odzieży, z głową owiniętą skrwawioną szmatą.

Gdy Norward podszedł do tej grupy, wyraźnie zobaczył w purpurowym odbłasku ognia, iż u lewej ręki zabitego brak czwartego palca. Trup leżał twarzą do ziemi; widać było tylko jego skronie z kędzierzawymi, ukośnie przyciętymi baczkami...

Norward powiódł wzrokiem po stoczni. Ściana płomieni przesłaniała zupełnie molo i brzeg. Buchający od ognia żar zapierał dech w piersi i wyciskał łzy z oczu. Wiatr pędził nad morze obłoki iskier, gasnące w ołowianej wodzie.

- A okręt? - rwącym się głosem spytał Norward, potrząsając Lorna za ramię.

Zamiast odpowiedzi Lorn wskazał ręką na morze. Ale Norward i Blackwood nie widzieli nic prócz rozszalałych płomieni.

W następnej chwili silny poryw wiatru odgarnął purpurową zasłonę dymu i wszyscy trzej ujrzeni daleko na horyzoncie sylwetkę okrętu w odbłaskach pożaru.

W dwie godziny później, gdy stocznia Pattersona była już tylko olbrzymią kupą zgliszcz, na „Skrzydlatym” oczekiwano przybycia kapitana i jego zastępcy Josepha Lorna. Ich łódź kołysała się na płytkiej wodzie przy nabrzeżu. Blackwood i Lorn, wymieniwszy uścisk dłoni z

Norwardem, stali już w łodzi.

Norward patrzył za nią w milczeniu, dopóki nie znikła za kadłubem okrętu. Z odległej redy dobiegł łoskot wybieranych łańcuchów kotwicznych. Na grotmaszcie załopotał wimpel.

Okręt ożył, wykonał zwrot, a jego żagle, niby płatki białych kwiatów, jeden po drugim poczęły się rozwijać na rejach. I wreszcie biały olbrzym, skąpany w pierwszych promieniach słońca, opuściwszy swą dogorywającą kolebę ruszył w drogę ku niewiadomemu przeznaczeniu.

Ognisko na wietrze

1

Grudniowe burze i ulewy omywały pokład „Oriona”. Fale oceanu, długie na pół horyzontu, biegly na spotkanie brygu, załamywały się z sykiem i pluskiem i z siłą uderzały o burtę.

Okręt jęczał. W jego głębokich i ciemnych czeluściach wszystko skrzypiało, piała, drzewo tarło o drzewo, bulgotała woda zbierająca się w ładowniach. Maszty dźwięczały pod wielotonowym ciężarem mokrych żagli. Brezentowe kurtki załogi ociekały wodą; związując na wietrze liny marynarze zdzierali sobie paznokcie. Ale porucznik Went jak zawsze zaznaczał na mapie dziesiątki mil przebytych zgodnie z kursem na samotną wyspę. I jak zawsze bryg „Orion”, nurzając się aż po bukszpryt w ryczącej wodzie, szedł naprzód pod rozgwieżdżonym niebem albo w promieniach letniego grudniowego słońca, od których mokry pokład zaczynał parować, a w kajutach robiło się od razu gorąco.

Zbliżała się Wigilia Bożego Narodzenia. Dorotea, Patterson i doktor Gracewell przygotowywali stół wigilijny w kajucie ogólnej, przystrojonej na ten dzień dywanami. Pośrodku stołu stała srebrna waza z gałązką jemioli, zerwaną na to święto jeszcze w dalekim ojczystym kraju.

Richard Thompson rzadko pokazywał się na pokładzie. Po pamiętnej dla niego „radzie familijnej” w kajucie Grellego dokonała się w młodym człowieku uderzająca przemiana. Od tego dnia nie opuszczało Richarda uczucie głębokiego przygnębienia.

Całe dotychczasowe życie wydawało mu się teraz zdumiewająco proste, czyste i beztroskie. Jakże się wszystko zmieniło w tak krótkim czasie, Z nieubłaganą wyrazistością zdał sobie sprawę, jaką katastrofę mógłby spowodować przez zdemaskowanie swego przeciwnika i jak jest bezsilny wobec Grellego, który zdołał tak się obwarować na wszystkie strony! Od tej pory Richard począł się tylko uważniej przyglądać załodze, starając się rozpoznać wśród majtków i oficerów tajnych wspólników pirata.

Gdy odbili od brzegów wyspy Fernando Po, właściciel „Oriona” sam pełnił wachtę na kapitańskim mostku, zluzowawszy MacRaila. Miejsce Josepha Lorna zajął teraz Giovanni Caracciola, którego Grelli przyjął na bryg w charakterze drugiego szturmana. Woodrow Crag rekomendował tego barczystego i gadatliwego Włocha jako „pewnego i sprytnego chłopca”. Obok Grellego zawsze kręciło się dwóch marynarzy. Jednym z nich był Enrico Roy, zuchwały typ, który nie bał się nikogo na okręcie poza Grellem. Drugi - powolny, milczący Duńczyk, Oge Jensen, wyróżniał się wśród załogi atletyczną budową, wyjątkową siłą fizyczną i tępotą umysłu połączoną ze ślepym posłuszeństwem.

Któregoś dnia marsowy, Dick Mills, zamierzył się na Jensena żelazną sztabą grubości pół cala. Duńczyk wyrwał mu sztabę z ręki, zgiął ją w złości, zawiązał na podwójny węzeł i cisnął Millswi pod nogi. Gdy bosman pokazał potem ów węzeł pasażerom „Oriona”, nikt nie chciał uwierzyć, że mogły go zawiązać ręce człowieka.

Grelli wiedział, że ten olbrzym w swoim kraju zabił w bójce czterech ludzi i uciekł przed sprawiedliwością. Prócz noża Oge nosił przy sobie żelazny ciężarek na łańcuszku. W jego rękach ta broń była groźniejsza od szpady. Tak wyglądała świta właściciela „Oriona”.

...Leżąc na wąskiej koi okrętowej, mister Thompson junior patrzył przez iluminator na wzburzone morze. Po szybie spływały krople deszczu. Gdy fala uderzała o burtę, woda zalewała iluminator i w kajucie robiło się na chwilę jeszcze ciemniej. Deski grodzi skrzypiały nieznośnie.

Do uszu adwokata doszły głosy rozmowy z kajuty ogólnej.

- Wspaniale to wszystko przygotowaliście! Pozostaje tylko ułożyć prezenty - usłyszał głos Grellego, który zszedł już z mostku.

- Pański następcą tronu już mnie pytał, co mu przyniesie Santa-Claus na gwiazdkę - mówił doktor Gracewell.

- Całej załodze należy się odpoczynek i chociaż jakaś mała rozrywka - umyślnie donośnym głosem powiedział Grelle. - Ludzie są zmęczeni, ten rejs nie jest lekki.

- Kiedyż osiągniemy cel naszej podróży?

- Według obliczeń Brantleya - około Nowego Roku. Jutro będziemy obchodzić Wigilię na otwartym morzu, a nowy, tysiąc siedemset siedemdziesiąty trzeci rok powitamy już prawdopodobnie na wyspie.

Boże Narodzenie! Ludzie z obnażonymi głowami stłoczyli się w kajucie ogólnej. Dźwięki niedużego klawikordu rozchodzą się po całym okręcie. Uroczyście brzmi kolęda: „Gloria, gloria, gloria, in excelsis Deo”. Pastor w czarnej sutannie z białymi wstążkami opadającymi na pierś trzyma w rękach Biblię. W srebrnym krzyżu na jego piersi odbija się światło świec. Pastor wygłasza słowa kolędy, a załoga śpiewa je zwrotka po zwrotce.

Lady Emily w długiej aksamitnej sukni siedzi przy klawikordzie. Jej pokojówka Kamila odwraca karty nut. Na twarzach marynarzy maluje się skupienie i powaga. Każdy wspomina odległe dzieciństwo, mogiły bliskich, młodszych braci...

Ale za oknem nie wirują płatki śniegu, nie drży w powietrzu głos kościelnego dzwonu. Sztorm świszczy wśród lin, syczy piana na grzbietach fal za burtą i podłoga kołysze się pod nogami śpiewających.

...W kubryku uprzątnięto wiszące koje i nakryto stoły. Świece oświetlały skromne pomieszczenie, które też przybrało dziś odświętny wygląd. Chłopcy okrętowi roznosili półmiski. Damy nalewały wino i same przytykały do ust ołowiane kubki.

Kapitan Brantley, który od dawna wiedział, jak mało interesowały właściciela potrzeby załogi, jeszcze w Bultonie ze zdziwieniem patrzył na przygotowania do tego rejsu. Zabrano ze sobą zapasy najlepszej żywności, medykamenty, wina; oprócz normalnego wynagrodzenia obiecano załodze szczerą zapłatę po odbyciu rejsu. Grelle bardzo łagodnie obchodził się z ludźmi, a jego pleciony bykowiec, którego razy aż nazbyt często spadały przedtem na marynarskie grzbiety, w ciągu tego rejsu ani razu nie pojawił się w jego rękach.

Wystrojona w jedwabie lady Ellen Stanford, zawsze głęboko obojętna wobec „pospółstwa”, tym razem odgrywała rolę „dobrej wróżki” okrętu. Nalewając wino marynarzom żartowała z nimi, wypytywała o rodziny, lecz jej piękne szarozielone oczy pozostawały przy tym zimne i wzgardliwe.

Po rozdaniu załodze prezentów gwiazdkowych damy i oficerowie przeszli do salonu. Zaczęła się „rodzinna” część uroczystości.

Anthony wprowadził za rączkę malutkiego Charlie. W ciemnoniebieskim serdaczku z flamandzkiego aksamitu włożonym na błękitną jedwabną koszulkę, w atłasowych pantofelkach ze złotymi sprzączkami i białej gronostajowej czapeczce na płowych kędziorach chłopczyk przypominał królewicza ze starych szkockich legend.

Przyprowadzone z na wpeł ciemnej kajuty dziecko mrużyło oczy oślepięte światłem. Okręt zakołysał się i malutki królewicz, nie mogąc się utrzymać na nogach, jak miękka kulka potoczył się po dywanie. Ojciec chwycił go na ręce. Chłopczyk miał rysy subtelniejsze i piękniejsze od rysów ojca, ich podobieństwo było jednak uderzające.

Zza jedwabnej portiery wyszedł Olsen, stary bosman przebrany za Santa Clausa, i począł wyjmować z worka wspaniałe prezenty dla małego królewicza i jego „pazia” - Anthony'ego Cenni.

Pastor Redling jeszcze w Kapsztadzie kupił dla swego chrześniaka grubą książkę z kolorowymi obrazkami. Przedstawiały one ptaki i zwierzęta, drzewa, okręty, konstelacje gwiazd, góry, świątynie, zamki, wspaniałe miasta, wojowników i mieszkańców dalekich

krajów w ich malowniczych strojach. Książkę tę można było oglądać wciąż od początku i za każdym razem znaleźć coś nowego, czego się przedtem nie zauważyło.

Lady Stanford włożyła chłopczykowi na szyję owalny złoty medalion. Wewnątrz medalionu znajdowały się dwie miniatury w emalii, zamówione przez nią w Londynie u pewnego włoskiego artysty. Jedna z nich przedstawiała Charlesa w trzecim roku życia, druga - jego ojca. Napisy pod nimi głosiły: „Charles Francis Riland, ur. 5 lipca 1770 r.” i „Sir Frederick Jonathan Riland, wicehrabia Chancefieldu, ur. 13 listopada 1738 r.” Tylko przez lupę można było jeszcze odczytać misterny podpis artysty na owalnym brzegu medalionu: „Wykonał w Londynie 19 sierpnia 1772 r. mistrz Vincenzo Antonio Cardoso z Milano”.

Opróżniwszy worek brodaty Santa Claus opuścił salon. Anthony był zachwycony strzelbą myśliwską z wyrytym napisem: „Na nosorożce”.

- A teraz pozwólcie, że ja wręcę mały prezent memu synowi - powiedział właściciel okrętu. Na te słowa adwokat Thomas Morton wyjął z czerwonej safianowej teki duży papier z pieczętkami i herbami, kolorową mapę topograficzną, plik dokumentów i podał to wszystko Grellemu.

- Moi państwo! - zwrócił się dowódca wyprawy do obecnych. - Przed wielu laty odkryłem na wodach Oceanu Indyjskiego nieznaną i nie zamieszkaną wyspę. Kierując się podanymi przeze mnie koordynatami kapitan Brantley wiosną tego roku odnalazł i zbadał tę ziemię. Kształtem wyspa przypomina trochę czaszkę drapieżnego zwierzęcia. W południowo-zachodniej stronie wyspy znajduje się góra wulkaniczna. Krater jej dymi, dają się też odczuć podziemne wstrząsy, lecz ani ja, ani kapitan Brantley nie natrafiliśmy na jakiegokolwiek ślady niedawnych wybuchów wulkanu. Od dziś wyspa ta zostaje włączona do zamorskich posiadłości brytyjskich. Minister spraw morskich mianował mnie jej gubernatorem. Jego królewska mość, wysłuchawszy raportu ministra, przyznała rodowi wicehrabiów Chancefieldu prawo pierwszeństwa w nabyciu ziemi na tej wyspie na warunkach ulgowych. Trzy miesiące temu przy współudziale prawników, pana Mortona i pana Thompsona, został w Londynie sporządzony oficjalny akt kupna wszystkich zdatnych do uprawy terenów na wyspie i przekazania przeze mnie praw własności memu synowi Charlesowi. Na mapach Imperium Brytyjskiego nowo odkryta wyspa będzie się od dziś nazywała Wyspą Charlesa - od imienia jej pierwszego właściciela Charlesa Rilanda, dziedzica tytułu wicehrabiego Chancefieldu. Celem wyprawy „Oriona” jest właśnie Wyspa Charlesa - i to jest mój prezent gwiazdkowy dla syna!

Salon zatrząsł się od oklasków.

- Popatrz, synku, na swoje włości - czule przemówił do dziecka dowódca wyprawy, wodząc ręką po rozłożonej na stole mapie.

Dziecko od razu porzuciło nowe zabawki i wyciągnęło obie rączki do kolorowej mapy.

2

Jeszcze przez pięć dni i nocy „Orion” zmagał się z falami pokonując ostatnie setki mil dzielące go od wyspy. Wieczorem dwudziestego dziewiątego grudnia pełniący wachtę Grelli ujrzał w oddali, na kursie okrętu, białe spienione bałwany.

- Rafa podwodna na prawo od dzioba! - rozległ się okrzyk marynarza z wysokości marsrei.

Patrząc przez lunetę właściciel „Oriona” zdołał ustalić, że w pewnej odległości od okrętu woda pieni się w jednym miejscu, jakby morze wrzało bez przerwy na ukrytym gdzieś w jego głębinach ogniu.

- Skróć żagle! - rzucił rozkaz Grelli.

Kapitan Brantley spieszył już na mostek. Grelli bez słowa wskazał ręką na kipiel. Z kolei kapitan skinął w lewo. W niedużej odległości od okrętu, w głębokiej bruździe między dwiema

falami, mignęła i znikła druga rafa, jeszcze bardziej niebezpieczna od pierwszej. Wkrótce nowa kipiela ukazała się wprost na kursie.

- Wszyscy na górę! Zarefować żagle! - zagrział głos Brantleya.

Z szumem żagli przemknął „Orion” obok zdradliwej podwodnej skały. Jej wierzchołek, z kołyszącą się brodą z wodorostów, przywodził na myśl głowę groźnego morskiego olbrzyma. Patterson, który w tej chwili wyjrzał na pokład, chwycił się za serce. Tymczasem marynarze już wspinali się na wanty... Szybkość okrętu spadła do dwóch węzłów. Brantley pokazał właścicielowi okrętu mapę z uwagami, jakie poczynił podczas poprzedniego rejsu.

- Proszę spojrzeć, mister Riland, w maju przeszliśmy nieco bardziej na wschód. Zaznaczyłem na mapie wszystkiego dwie rafy. Tym razem natrafiliśmy na pasmo podwodnych skał... Do wyspy nie powinno być dalej niż jakieś osiemdziesiąt mil...

Zapadł mrok. Od księżyca ku okrętowi pobiegła srebrna dróżka. Sonda wykazała głębokość dwustu jardów. Dwie kotwice z łoskotem poszły na dno. Dał równy, ciepły passat. Morze falowało płynnie i majestatycznie. O drugiej po północy Grelli wszedł na mostek i długo wpatrywał się w ciemność.

- Proszę zebrać załogę na prawym pokładzie artyleryjskim i poprosić tam pasażerów - zwrócił się do Caraccioli.

W parę minut potem na ciasnym pokładzie artyleryjskim zebrała się cała załoga w liczbie stu ludzi. Pasażerowie usiedli na pustych beczkach po prochu. Latarnia okrętowa oświetlała spiżowe lufy armat, łukowe sklepienie, twarze zebranych i sprzęt artyleryjski rozwieszony na ściankach. Grelli stanął na lawecie armatniej.

- Przyjaciele! - powiedział. - Nasz okręt zbliża się do celu żeglugi. Od brzegów Wyspy Charlesa dzieli nas niespełna sto mil. Na wyspie tej wkrótce powstaną plantacje, a jej ziemia wzbogaci nowych kolonistów. Czy znajdują się wśród was ochotnicy, którzy by chcieli zacząć tu nowe życie? Jestem gotów okazać im wszechstronną pomoc jako gubernator tej nowej ziemi.

Szept przebiegł przez tłum marynarzy. Spoglądali po sobie, wreszcie kilku starszych wiekiem nieśmiało podniosło rękę.

- Dobrze! Jestem przekonany, że koloniści znajdą tu swe szczęście. Ale muszę wam powiedzieć, przyjaciele, że na wyspie tej jest kilku mieszkańców. Jeden z nich to pasażer francuskiego okrętu, która rozbił się na przybrzeżnych skałach. Podejrzewano u tego człowieka trąd. Nie jest wykluczone, że podejrzenie to było bezpodstawne i że człowiek ten może być przywrócony społeczeństwu. Prócz niego zauważono na wyspie jeszcze paru innych ludzi. Prawdopodobnie są to przestępcy, których wysadzono na tę bezludną wyspę. Dlatego dopóki wyznaczone przeze mnie osoby nie stwierdzą, że styczność z wyspiarzami nie jest niebezpieczna dla naszej załogi, nikomu pod groźbą śmierci nie wolno zejść na ląd. Każdego, kto będzie usiłował naruszyć ten zakaz, własnoręcznie zastrzelę. Ze wschodem słońca ruszymy w trudną drogę pomiędzy rafami. Odpoczynek - w Zatoce Korsarza na wyspie Charlesa!

Szary świt zajrzał przez strzelnice na pokład artyleryjski, żółty blask latarni zbladł w świetle poranka. Jeszcze Grelli nie zdążył zejść z lawety, gdy z wysokości rozległ się okrzyk:

- Ziemia!

W pierwszych promieniach słońca, jakby wyrastając z sinych fal oceanu, ukazał się daleko na horyzoncie ostry wierzchołek góry niby mały różowy obłoczek. Białoliliowe cienie leżały na stokach szczytu, porysowanych czarnymi wężykami szczelin i rozpadlin. Ziemia u podnóża góry była jeszcze przesłonięta horyzontem.

Marynarze naparli na oba kabestany. Czworolape kotwice wynurzyły się z wody niby oślizłe cielska morskich potworów. Grelli, w szarym płaszczu i dużym trójgraniastym kapeluszu, w marynarskim uniformie i wysokich butach, zastygł w bezruchu na mostku kapitańskim, nie odrywając oczu od lunety.

Przez dwie godziny „Orion” lawirował wśród podwodnych skał. Rozłożywszy mapę na naktuzie, porucznik Went nanosił na nią rafy i robił notatki w dzienniku okrętowym. W końcu kipiel pozostała za rufą brygu.

Teraz już gołym okiem można było dojrzeć zarysy wzniesień sąsiadujących ze szczytem. Nad kraterem wulkanu unosiła się strużka dymu ledwo widoczna na tle obłoków. Około trzeciej po południu cała wyspa ze swym skalistym wybrzeżem, ciemną szatą wiekowych lasów, urwistymi wąwozami i zielonymi stokami dolin, niby kunsztowna makieta wykonana ręką sumiennego mistrza, ukazała się oczom podróżnych. Słysząc było głuchy, monotony łoskot przyboju...

Oto ukazały się już wysunięte w morze dwa cyple stanowiące jakby naturalną osłonę zatoki, nazwanej przez pionierów tej ziemi Zatoką Korsarza. Do zatoki wiodła cieśnina utworzona przez skaliste brzegi obu cypli. Ten naturalny kanał zwężał się miejscami do dwustu metrów. Trzeba było być nie lada mistrzem sztuki żeglarskiej, aby wprowadzić okręt do zatoki, tym bardziej, że w czasie odpływu u wejścia kanału wynurzyły się z wody ostre zęby podwodnych skał.

Wiatr pędził w cieśninę drobną falę. Między piątą a szóstą wieczorem pod zarefowanymi do połowy żaglami „Orion” wszedł w gardziel kanału.

Skały z karłowatymi sosnami w rozpadlinach, wypłoszone z gniazd orły krążące nad masztami, ciemna smuga u podnóża skał oznaczająca wysokość przepływu, ciasne wąwozy i górskie potoki, mętne po deszczu - wszystko to przypominało trochę niektóre zatoki wybrzeża adriatyckiego.

Zwężająca się cieśnina skręcała w lewo... Manewr żaglami i sterem... Szprychy koła sterowego zamigały szybciej... Po prawej pozostała piaszczysta mielizna...

Rozległa zatoka o płynnej fali linii brzegów, obramionych białą koronką piany, przyjęła okręt w swe zielone wody. Za piaszczystym pasem wybrzeża murem stał ciemny, gęsty las. Wysoko nad lesistymi pagórkami i zielonymi halami królował nad całą wyspą wyniosły skalisty szczyt. Górską rzeką, która w ciągu tysiącleci wyżłobiła głęboki przełom, wpadała do zatoki kilkoma odnogami.

Swym łagodnym pięknem krajobraz przypominał z daleka raczej Grecję czy Włochy niż wyspę afrykańską. Tylko jaskrawa zieleń przybrzeżnych zarośli nad rzeką, egzotyczna bujność leśnego gąszczy, gigantyczne pnie drzew i nagły szkwał, co w jednej chwili przesłonił zatokę i okolice, przypomniały ludziom na okręcie, że znajdują się na granicy pasa podzwrotnikowego. Szkwał przeszedł zresztą równie nagle, jak nadleciał.

Z głośnym pluskiem i zgrzytem łańcuchów poszły na dno kotwice. Padały krótkie, ostre słowa komendy. Spłoszone ptactwo zawirowało w powietrzu. Pasażerowie i załoga w milczeniu skupili się na pokładzie. Nawet czarny pies Nero, ulubieniec załogi, przestał ujadać na ptaki...

Grelli wodził wzrokiem po swej nowej posiadłości. W tej chwili z kajuty ogólnej wyszła lady Emily. Marynarze, którzy przywykli widzieć ją w skromnych sukniach, bez żadnych klejnotów, oniemieli ze zdumienia. W olśniewającej sukni z białego atlasu, z perłami na szyi i w usypanej drobnymi diamentami siatce na włosach lady Emily przeszła na dziób okrętu i nie patrząc na nikogo lekko wspięła się na masywną podstawę bukszprytu. Jej kunsztownie upięte włosy opadały na ramiona, na policzkach płonął rumieniec wzruszenia. Była tak piękna, iż mogło się zdawać, że to jakaś grecka bogini, patronka okrętu, ożywszy zeszła w oślepiająco białym chitonie na oddany jej w opiekę okręt.

Richard Thompson patrzył na nią z trwogą i zachwytem. On jeden wiedział, co się w tej chwili dzieje w duszy młodej kobiety.

Nic nie mąciło majestatycznej, pełnej napięcia ciszy. Zdawać się mogło, że wszystko umilkło, by ludzie na okręcie mogli usłyszeć głos nieznanymi mieszkańców wyspy.

Ale wyspa odpowiedziała takim samym milczeniem. Nigdzie nie było widać ani łodzi, ani

tratwy. Wybrzeże sprawiało wrażenie zupełnie bezludnego. Tylko na dalekim brzegu Grelli dojrzał rozpiętą sieć rybacką. Najłżejszy dźwięk, najmniejszy ruch nie zdradzał obecności ludzi na wyspie.

Zaczynał już zapadać zmierzch. Z wąwozów i parowów wypełzły liliowe cienie. Białe tumany mgły zawisły nad doliną i rzeką. Wysoki szczyt, różowiejący w ostatnich blaskach słońca, pociemniał i stał się granatowy, a nad zębatą ścianą dalekiego lasu zamigotała pierwsza błada gwiazda.

Grelli zawołał z mostka na Mortona, który - wyraźnie poruszony - stał na spardecku.

- Mister Morton, proszę przyjść do mnie. Niech pan powie lady, aby natychmiast zeszła z pokładu i czekała na mnie w swojej kajucie... Jeszcze chwileczkę! Czym pan sobie tłumaczy tę ciszę na wyspie?

- Może nikogo tam już nie ma.

- Nie, oni tu są. Te sieci... Na piasku widać świeże ślady. Mnie się wydaje, że to milczące przyjęcie oznacza wypowiedzenie nam wojny.

- A może oni nie zdążyli jeszcze z głębi wyspy zauważyć przybycia okrętu?

- Niech pan nie plecie głupstw! I jak pan sądzi - kimże w końcu mogą być owi dwaj towarzysze... tego... Czy jednym z nich nie jest, mimo wszystko, jednooki Bernardito Luiz?

- Ależ co pan mówi, sir! Zmarli nie zmartwychwstają! Na własne oczy widziałem, jak Bernardito płynął ratując się przed Francuzami i jak po pańskim wystrzale poszedł na dno, z kulą między łopatkami. Działo go wtedy od piaszczystej mierzei co najmniej ze sto stóp!

- Tak, on na pewno nie żyje... Widocznie uratowało się jakichś dwóch ludzi z załogi. A zatem, Morton, proszę się przygotować. Obawiam się zasadzki i jako Pierwszego pošlę na brzeg pana. Brantley panu wytłumaczy, jak trafić do chaty.

- Na miłość boską, sir! Zaklinam na rany Chrystusa...

- Dość! Teraz niech pan idzie do lady i odprowadzi ją do kajuty. Za pół godziny ma pan być na brzegu!

3

- To ona! Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to ona!

Mężczyzna w obszarpanej wełnianej kurtce oderwał wreszcie oczy od lunety opartej na splecionych gałęziach gęstych krzaków.

- Rozumie pan, Bernardito, on przywiózł ją tutaj! Oto w jaki sposób Grelli chce mnie zmusić do uległości. Ach, co za łotr!

- Spokojnie, mister Fred! - patrząc przez lunetę powiedział drugi mężczyzna z czarną opaską na oku. - Wybiła nasza godzina, ale żeby się rozprawić z Leopardem, trzeba mieć wiele zimnej krwi. Tak, pan się chyba nie myli. Biała postać obok bukszprytu to rzeczywiście miss Gardy. Poznaje na mostku kapitana Brantleya, a obok niego - mój drogi przyjaciel signor Giacomo Grelli! Uwaga, on patrzy teraz w naszą stronę. Hej, Pedro!

- Jestem tu, kapitanie!

- Przestań kopać fajkę! Stój za drzewem i nie ruszaj się. Taki drań jest widoczny dalej niż latarnia morska w Eddystone, a Leopard ma bystry wzrok. Jednego tylko nie mogę odżałować, mister Fred, że nie pozwolił pan, aby poczciwy Pedro sprzątnął go z mostka kapitańskiego! Pedro jest doskonałym strzelcem i przez dziesięć minut trzymał Leoparda na muszce, gdy okręt przechodził przez najwęższy odcinek cieśniny. Gdyby pan nie powstrzymał jego ręki, w tej chwili wicehrabia Chancefieldu nie miałby sobowtóra!

- Strzał zza węgła to niegodny sposób walki. Tylko rozbójnik tak robi, Bernardito. Jakkolwiek Grelli postąpił ze mną haniebnie, darował mi jednak życie, gdy było ono całkowicie w jego rękach - rzekł pierwszy myśliwy, znów przypadając do lunety.

- Zawdzięcza je pan wyłącznie męstwu miss Gardy, a nie wielkoduszności Grellego. Widzi pan ją jeszcze na pokładzie?

- Tak, stoi wciąż jeszcze w tym samym miejscu i zdaje się, że patrzy tutaj. Najdroższa! Musi być na pewno zatrwożona naszym milczeniem. A ja nie mogę nawet dać jakiegoś znaku, by ją uspokoić!

- Tę białą, widoczną z daleka suknię włożyła specjalnie dla pana, Fred. Ach, szczęśliwce, już wkrótce przycisnie pan do serca nieustraszoną przyjaciółkę.

- Czy zdołała mu się oprzeć, wytrwać w walce do końca? Piąty rok jest w jego mocy. Ileż musiała przecierpieć! Oby tylko los pozwolił nam się wreszcie połączyć...

- Mister Fred, obecność naszej lady na pokładzie częściowo obala wątpliwości. Leopard nie wziąłby jej z sobą, gdyby po prostu chciał z panem skończyć. A więc z tego wynika, że przybył tu celem pertraktacji. Na pewno nie domyśla się, kto dzieli z panem samotność na tej wyspie, inaczej byłby bardziej ostrożny.

- Bernardito, nie widzę już białej sukni! W lunecie wszystko się zamazuje.

Przeklęta ciemność!

- Za to możemy wyjść z zarośli. Słyszysz pan? Z okrętu spuszczone łódź na wodę. Mam wrażenie, iż zbliża się decydujący moment.

Zaczynał się przyływ. Fale zagarniały jasny pas przybrzeżnego piasku, który zmieniał się już w wąziutką wstążeczkę na granicy lasu i zatoki.

Trzej wyspiarze, ostrożnie rozchylając gałęzie, wyszli z zarośli. Na ich ciemnym tle nadal pozostawali niewidoczni z okrętu. Bryg stał o pół mili od brzegu, pośrodku zatoki. Na masztach paliły się światła topowe, lecz okna kajut i wszystkie iluminatory miały ciemne zasłony. Pokład też był zaciemniony i tylko nad samą wodą zwisały z dzioba i rufy jasne latarnie. Oświetlały one niedużą przestrzeń wody dokoła okrętu - był to środek ostrożności na wypadek wizyty nieproszonych nocnych gości.

- Słyszysz plusk wiosel - rzekł myśliwy w wełnianej kurtce. Jego jednooki towarzysz myślał na głos:

- Łódź zmierza ku ujściu rzeki... Uwaga, panowie. Nie wolno nam, to znaczy mnie i Fredowi, zdradzać się przedwcześnie. Mister Fred w ogóle powinien zachować jak największą ostrożność, aby nie wpadł w pułapkę. Moja zaś obecność na wyspie to taka niespodzianka dla Leoparda, że trzeba ją wykorzystać umiejętnie. A więc przyjęcie gości będziemy musieli poruczyć Pedro. No, Pedro, teraz zmienisz się w dyplomatę. Podejdz do nich, gdy będą wysiadać z łodzi, i prowadz ich ścieżką do chaty. Mister Fred będzie szedł za wami krok w krok i sam zobaczy, czy ma wyjść do gości, czy trzymać się z daleka. A ja będę pilnował wybrzeża - żeby się nie pojawiła nowa łódź i żebyście nie wpadli w zasadzkę... Idź skrajem lasu, nasz parlamentariuszu, i pospiesz się

- oni już wysiadają!

Czarnobrody olbrzym, ze strzelbą w ręce, wystąpił naprzód i ruszył naprzeciw samotnej postaci człowieka, który wyszedł z łodzi. Człowiek ten stał na jasnej ławicy piasku nie śmiać zrobić kroku w stronę zarośli.

- Czy ma pan zamiar stać tak całą noc, mister Morton? - rozległ się gruby głos drugiego mężczyzny z łodzi. Był to wioślarz, który przywiózł wysłannika Grellego. - Miałem rozkaz wysadzić pana i wrócić na okręt. Gdy będzie panu potrzebna łódź, niech pan głośno zawoła, wachtowi na pokładzie usłyszą. Do widzenia, mister Morton.

- Ba, mister Fred! Okazuje się, że zaszczycił nas wizytą pański były attorney z Kalkuty - szepnął Bernardito. - A łódź odpływa! Widzi pan, miałem słusność. Grelle zaczyna od kroków dyplomatycznych. Inna rzecz, że na pewno kryje się za tym jakiś podstęp. Ależ ciemno, do diabła! I księżyc dziś nie będzie!

- Kto tam? - rozległ się bas Pedra, który wyłonił się z zagajnika, gdy tylko umilkł plusk wiosel.

- Wysłannik z okrętu „Orion”, przybywający z listem do mieszkańców wyspy - odparł drżący stary głos.

- Proszę iść naprzód! - rozkazał Pedro.

Ale tamten, jak przykuty do miejsca, nie poruszył się.

- Przyjacielu, jestem stary, mam słaby wzrok i nic nie widzę w tych ciemnościach.

Myśliwy w wełnianej kurtce, pozostawiwszy Bernardita samego, też podszedł do posta Grellego.

- Weź tego człowieka pod rękę, Pedro, i prowadź za mną - powiedział spokojnie. - Poznaję mnie pan, Morton?

W tej chwili ciszę nocy przeciął ostry, krótki okrzyk kobiety na okręcie. Przeleciał nad wodą i odbił się echem w kotlinie. Morton wyczuł, jak wzdrygnął się człowiek stojący przed nim.

- Coście z nią zrobili, przekleci! - usłyszał nad uchem jego groźny szept.

Silne dłonie pochwyciły go za ramiona. Morton poznał nachyloną ku niemu brodatą twarz i dreszcz go przeszedł. Cofnął się gwałtownie, lecz pośliznął się na mokrym piasku i bełkocząc coś bez związku, przypadł kurczowo do nóg wyspiarza.

Zamknięty iluminator zawieszony był czarną suknią mieszkanki kajuty; dowódca wyprawy wydał surowy rozkaz zaciemnienia wszystkich okien wychodzących na pokład.

Grelli siedział w fotelu objawszy rękami kolano i oparłszy na nim brodę - w pozie Mefistofelesa, geniusza zła. Lady Emily słuchała go stojąc, całą swą postawą dając do poznania, że nie ma ochoty na długie rozmowy.

Grelli udawał, że nie widzi ani jej wzburzenia, ani zniecierpliwienia; spojrzał jej w oczy i powiedział cichym, miękkim głosem:

- Wygląda pani dziś wyjątkowo pięknie, miss Gardy.

- Do pańskich gróźb już przywykłam, lecz pańskie komplementy są dla mnie nie do zniesienia. Czego pan sobie życzy?

- Emily, musimy porozmawiać spokojnie. To jest zresztą w pani interesie.

- Na litość boską, niech pan mówi prędzej, o co chodzi, i zostawi mnie samą!

- Jest pani niesprawiedliwa, miss Gardy! Czy kiedykolwiek narzuciłem się pani ze swoją osobą? Czy nie korzystała pani z nieograniczonej swobody? Nawet jej pani nadużywała ze szkodą dla mnie. Niech mi pani wierzy, Emily, że przez te lata przyzwyczaiłem się do przebywania pod jednym dachem z panią i smuci mnie... nasze bliskie rozstanie! Zwracam panią jej najdroższemu jak śliczny kwiatusek, w całej jego porannej świeżości i czystości. Nie może mi pani nic zarzucić, miss Gardy!

- Milcz, morderco! Nienawidzę cię i gardzę tobą! Przyszedł pan tu, by się targować, obłudny przekupniu, i w handlu ja mam posłużyć jako moneta wymienna! Niech pan mówi otwarcie, kramarzu, czego pan żąda od Freda Rilanda i ode mnie?

Grelli zapalił cygaro.

- Chcę, aby mi pani pomogła przywołać swego wybrańca do rozsądku. Morton pojechał z listem do niego. Mam nadzieję, że uzna warunki, na jakich może odzyskać wolność, za bardzo umiarkowane i że je przyjmie. Gdyby jednak je odrzucił, pani musi podjąć ostatnią próbę przemówienia mu do rozumu. Napisze pani do niego i przedstawi, jakie będą następstwa jego upor. Pani o tym wie - urządzę oblawę na trędotowych. Posiadam armaty, stu ludzi załogi i pewne doświadczenie w takich sprawach. A ich jest trzech... Sądzę, że zdaje pani sobie sprawę, czym skończy się ta walka...

- Nie, Grelli, myli się pan. Oni mają jeszcze czwartego sojusznika - słusność jest po ich stronie. I znajdą sposoby, by otworzyć oczy wszystkim pańskim wspólnikom. Zapewniam pana, że wielu z nich przeszłoby do naszego obozu!

- Emily, przypuśćmy na chwilę - co jest zupełnie niemożliwe - że ci trzej wychodzą

zwycięsko z nierównej walki i wracają do Chancefieldu. Że prawdziwy Riland odzyskuje w Anglii swoje prawa... Ale co wówczas czeka pani? Przecież pani jest na wieki zhańbiona! Być może, sąd oficjalny nawet panią uniewinni, lecz ludzie będą na ulicy wytykać panią palcami, mówiąc: oto żona i współniczka pirata i zbrodniarza Grellego! Jeśli ten człowiek ożeni się z panią, przed wami obojgiem zamkną się wszystkie drzwi. Dla całego świata pozostanie pani matką Charlesa, syna Grellego! Angielskie społeczeństwo odrzuci panią. Niech pani spojrzy trzeźwo na rzeczy, Emily. Pozostaje pani jedyna droga ku szczęściu z ukochanym - zażądać od niego, by przyjął moje warunki. W ten sposób ocali mu pani życie i sama zdobędzie wolność i szczęście.

Emily zasłoniła twarz rękami i osunęła się na krzesło. Pseudowicehrabia uśmiechnął się ze złośliwą satysfakcją.

- Niech mi pani przeczyta list, który powiózł na wyspę Morton - wyrzekła wreszcie Emily drżącymi wargami.

Grelli wyjął z kieszeni brudnopis swego ultimatum. Spojrzał na pochyloną głowę Emily, na jej oczy pełne łez i zbliżywszy kartkę do świecy zaczął czytać beznamiętnym głosem:

„Do mieszkańców wyspy

Moje warunki:

1. *Podpisze pan dokument wykluczający możliwość jakichkolwiek dalszych pretensji do wiadomych panu praw.*

2. *Pod nowym, zmienionym nazwiskiem osiedli się pan na zawsze poza granicami Wielkiej Brytanii.*

3. *Zrobi pan wszystko, co w pana mocy, aby oddać w moje ręce obu swoich towarzyszy.*

W razie przyjęcia powyższych warunków otrzyma pan miejsce na okręcie i razem z wiadomą osobą będzie pan mógł opuścić go w dowolnym porcie pomiędzy wyspą a Bultonem. Sygnał zgody niech pan da jutro wieczorem, 31 grudnia, rozpalając z nastaniem ciemności ognisko na brzegu.

F. J. Riland

30 grudnia 1772 roku.”

Ramiona Emily wstrząsnęły się od łkań.

Grelli przypisał swej elokwencji ten wybuch bolesnych uczuć miss Gardy. Lecz nagle Emily wyprostowała się, wyrwała kartkę z rąk pirata, cisnęła ją na ziemię i rzuciła mu prosto w twarz:

- Po co zostawił mnie pan przy życiu? Dlaczego mnie pan wtedy nie zabił? Nigdy sobie nie wybaczę, że stałam się narzędziem w rękach łotra przeciwko szlachetnemu człowiekowi! Aby mnie ratować, ma się on wyrzec swego mienia i ojczyzny? Nie, nie, nie! Umrę, lecz nie ściagnę na niego takiej hańby!

- Miss Gardy, a więc po to tylko chroniła pani przez cztery lata jego życie, aby dziś wydać na niego wyrok śmierci?

- O bądź przeklęty, morderco! Zaraz powiem wszystkim na okręcie, kim pan jest!

Rzuciła się ku drzwiom. Grelli nie zdążył jej zatrzymać i wypadł za nią do ciemnego korytarza. Emily pchnęła już drzwi wiodące na pokład. Przy fałszburcie stał w zamyśleniu Caracciola. Grelli chwycił Emily za rękę usiłując wciągnąć ją z powrotem do korytarza. Caracciola skoczył mu na pomoc. Dwóch silnych mężczyzn z trudem oderwało jej drugą rękę od framugi drzwi. W końcu, nieomal wlokąc ją za sobą, wciągnęli Emily do korytarza i tylko jej krótki krzyk bólu i rozpaczny zdążył rozbrzmieć wśród głuchej mocy.

- No, niech pan mówi, Morton!

- Proszę mi dać łyk wody z winem, sir! Dziękuję panu! O, Boże mój, Boże!

Przez otwarte okno wpadał do kajuty Grellego chłodny strumień porannego powietrza, kołysząc niebieskie smugi tytoniowego dymu pod sufitem.

Grelli w ubraniu zdjąwszy tylko bluzę, wsparty na łokciu leżał na swym wspaniałym, niemiłosiernie wygniecionym łożu. Jego buty brudziły jasnobrązowy jedwab kotary, której fałdy zebrane były pod sufitem w formie pięknego węzła, z dużą pretensjonalną winietą w stylu rokoko. Wpadające przez okno promienie słoneczne oświetlały kajutę i chmurną, bardzo w tej chwili złą twarz jej gospodarza.

- Niechże pan wreszcie mówi! Przede wszystkim - ilu ich jest?

- Widziałem dwóch, ale naradzali się jeszcze z kimś trzecim.

- Rozmawiał pan z nim osobiście?

- Tak, sir.

- I powiedział mu pan o tym, kto uczestniczy w wyprawie, jaką mam załogę i jakie uzbrojenie?

- Tak, sir.

- Cóż więc kazał mi powtórzyć?

Zamiast odpowiedzi Morton podał mu kartkę papieru. Był to ten sam list, który posłał na wyspę Grelli. Jego tekst był przekreślony na ukos mocnym pociągnięciem ołówka, a na odwrotnej, czystej stronie tymże samym ołówkiem było napisanych parę wierszy.

Grelli odwrócił się do okna i czytał.

„Do pirata Giacomu Grellego zwanego Leopardem.

Moje warunki:

Natychmiast wysadzić na ląd miss Emily Gardy i wraz ze swym okrętem zabierać się stąd do stu diabłów.

W imieniu i za pełną zgodą wszystkich mieszkańców wyspy

Frederick Jonathan Riland, wicehrabia Chancefieldu”

Grelli zerwał się z łoża. Strzępy listu rozsypały się po ziemi. Narzuciwszy szlafrok przeszedł na dziobową część okrętu i szarpnął klamkę zamkniętych drzwi kajuty miss Emily. Wpuściła go pokojówka Kamila. Prócz Kamili w kajucie znajdowali się Patterson i Betsy, pokojówka lady Stanford. Widać było po ich twarzach, że przez całą noc nie zmrúzyli oka. Emily, okryta pledem, leżała na swym posłaniu za kotarą.

- Wynoście się stąd wszyscy! - rozkazał krótko właściciel okrętu. - Caracciola! Zawołaj tu Jensena i Roya. A was już tu nie ma!

Przestraszona Kamila, chyża Betsy i osłupiały Patterson, który nigdy jeszcze nie widział dowódcy ekspedycji w podobnym stanie, zrejterowali jak najszybciej. Właściciel „Oriona” szarpnął zasłonę. Emily, odwrócona do ściany, leżała z otwartymi oczami. Grelli pochylił się nad nią. Wyraz jego twarzy byłby zdolny przerazić całą bandę piratów.

- Słuchaj, ty! Będę cię trzymał w karczerze pod pokładem! Tam możesz sobie krzyczeć, ile chcesz. Rozgłoszę, że dostałaś pomieszania zmysłów, nałożę ci kaftan bezpieczeństwa. W karczerze po kropli wypiję z ciebie krew, a potem sprzedam cię handlarzom niewolników. Już dziś zacznę polowanie na tych na wyspie - do wieczora wszyscy zostaną wystrzelani. Oge, Roy, Caracciola! Zatkajcie jej gębę i nieście, dokąd kazałem!

Trzej bandyci błyskawicznie spowinęli Emily w pled jak niemowlę. Oge Jensen zarzucił ją

sobie na ramię i zszedł po trapie do głębokiej ładowni na rufie. W najdalszym, najciemniejszym kącie ładowni znajdował się jeszcze jeden luk. Roy pociągnął za kółko i luk się otworzył. Po żelaznych szczeblach krótkiej drabinki Oge opuścił się w czarną czeluść. Roy zszedł za Jensenem. Latarnia oświetliła okute żelazem drzwi z dużą kłódką.

Roy otworzył kłódkę i wszedł do ciasnego, wilgotnego karceru. Na podłodze stały mętne kałuże. Ich czarna, połyskliwa powierzchnia falowała leciutko, gdy okręt zakołysał się na łańcuchach kotwicznych. Na ścianach karceru widoczne były liczne plamy zaschniętej krwi. Na podłodze walały się zardzewiałe kajdany. Rzuciwszy Emily na ziemię, Jensen i Roy wyszli i zawiesili na drzwiach kłódkę. U góry zatrzasnęła się za nimi ciężka kłapa luku.

Gdy Emily ocknęła się i oswobodziła rękę, dwa ogromne szczury odskoczyły z piskiem, miotając się po karcerze, i znikły w jakiejś dziurze. W tej chwili głucho, potężne uderzenie z prawej burty wstrząsnęło okrętem. Cała cela zadrżała, zadzwonił metal i drzwi zatrzęsły się w zawiasach. Okręt przechylił się i woda z kałuży zalała pled, którym owinięte były nogi Emily. Po chwili nowe uderzenie, tym razem z lewej strony, wstrząsnęło aż do samych głębi okrętem, który gwałtownie się zakołysał. Emily zerwała się na równe nogi, ale znów omal nie upadła, gdy huk i grzmot powtórzył się jednocześnie z obu stron. Wtedy zrozumiała, że baterie „Oriona” ostrzeliwują wyspę.

- Oto odpowiedź Grellego! To dziwne, ostatnim razem nie zauważyłem na „Orionie” takich baterii. Niech pan spojrzy, Fred, co się dzieje z ptakami! Jak oszalałe zerwały się ze wszystkich skał. Słyszysz pan dzwon czy gong na pokładzie? To Grelle za jego pomocą kieruje ogniem. Strzelają bombami? Oho, płyną tu dwie łodzie... Nie, zdaje mi się, trzy! No, odwagi, mister Fred - wojna!

- Bernardito, lękam się tylko o nią. Nasza odpowiedź doprowadziła tego bandytę do wściekłości!

- Dużo bym dał za to, by móc widzieć jego minę, gdy Morton zdawał mu raport... Mierzą tutaj! Uwaga!

W krzaki spadła bomba. Trzech mężczyzn przywarło do ziemi. Silny wybuch zwałił drzewo. Zaświstały w powietrzu kamienie i w górę wytrysnął słup dymu wraz z odłamkami wyrwanych korzeni.

- No, to chyba ostatnia salwa. Był to ogień osłaniający lądowanie desantu. Patrzcie, jedna łódź zmierza tutaj, a dwie kierują się do cieśniny. Grelle chce obsadzić przybrzeżne skały. Całkiem niegłupi manewr. Boi się, by nie został zamknięty w cieśninie. Gdyby wiedział, że mamy całego majątku po trzydzieści naboji i tylko dwie porządne strzelby, działałby bardziej śmiało. O, tam w cieśninie ludzie już wyszli na ląd i wdrapują się na skały. A w trzeciej łodzi - tak, to Morton i jakiś kudłaty goryl przy wiosłach. Widzi mi się, że ten wiosłarz wart jest dwóch takich jak ty, co, Pedro?

Frederick Riland z trwogą obserwował zbliżającą się łódź. Po chwili łódź zaryła dziobem w piasek, a jej pasażer wyszedł na brzeg. Rozglądając się dokoła Morton ruszył ku rozłożystej morwie rosnącej o jakieś dwieście kroków od wody. Jeszcze w nocy mieszkańcy wyspy umówili się z nim, że ma położyć odpowiedź Grellego w dziupli tego drzewa. Spełniwszy swe zadanie, Morton pokuśtykał do łodzi i spieszenie odpłynął w stronę okrętu.

- Ano, Pedro, przynieś nam nowe orędzie Grellego!

Bernardito włożył do ust pokruszony liść betelu zmieszany z okruchami tytoniu.

- Tytoń też się kończy! Niech pan nabije fajkę tymi resztkami, Fred, i rozciągnie się na mchu. Wszystko wskazuje na to, że nie dane nam będzie spać tej nocy... O, Pedro wraca z listem. Niech pan czyta na głos, mister Fred.

Wicehrabia Chancefieldu popatrzył na odcisk własnego herbu rodowego na pieczęci i otwarłszy kopertę z wizerunkiem okrętu pod konstelacją Oriona, zaczął czytać:

„Panowie, z przykrością zawiadamiam dżentelmena z wyspy i jego towarzysza, że wiadoma osoba zbyt wzięła sobie do serca odrzucenie przez niego niewygórowanych warunków i obecnie, odziana w kaftan bezpieczeństwa, przebywa w karczerze dla furiatów...”

- Caramba! - zaklął Bernardito Luiz.

- Oni ją torturują, Bernardito! Na pewno nie chce poprzeć jego żądań. Dlaczego nie pozwoliłem wam go zabić!

- Już to panu mówiłem! Niech pan czyta do końca, sir Frederick.

„W swym szaleństwie - czytał dalej wicehrabia - grozi ona samobójstwem i ma zamiar o północy powiesić się na rękawie kaftana bezpieczeństwa, jeśli do tej pory nie zostanie rozpalone ognisko na brzegu. Po naszym salucie powitalnym winien pan mieć pewne wyobrażenie o dalszych skutkach swego uporów. W razie zgody zostanie pan przewieziony na pokład okrętu i po załatwieniu pewnych niezbędnych formalności odzyska pan wolność. Na okręt zostanie pan przewieziony w tajemnicy przed załogą, nie licząc wachtowych, którzy są pewnymi ludźmi.

Thomas Morton 31 grudnia.”

- Rozumie pan, Bernardito? Grozi, że zabije ją jeszcze tej nocy, a potem weźmie się do nas. A może by tak spróbować otworzyć oczy jego załodze? Brantley wywarł na mnie wrażenie uczciwego człowieka. Na pewno znajdą się marynarze...

- Nie, mister Fred, to jest niestety niemożliwe. Dopóki nie ma rozłamu w obozie wroga, nie uda się nam wejść w pertraktacje ani z ludźmi na pokładzie, ani grupami desantowymi. A czasu do namysłu mamy bardzo mało - zaledwie parę godzin. Doradzam panu inne wyjście - niech pan rozpali ognisko.

- To znaczy - przyjąć jego warunki? Wyrzec się własnego nazwiska, ojczyzny! Zgodzić się, by Emily została żoną żebraka!

- Nie, mister Fred, na razie radzę panu tylko rozpalić ognisko i udać się na okręt.

- Ależ Grelli albo po prostu zamorduje tam mnie i ją, albo będę musiał pójść na wszystko, co mi podyktuje.

- Widzi pan, nagła śmierć oficjalnej żony i zlikwidowanie tajemniczego mieszkańca wyspy - to dla niego ostateczność. Nie cofnie się przed nią, lecz na pewno wolałby tego uniknąć, aby nie komplikować sobie sytuacji wobec załogi, pasażerów i władz. W tej chwili chce zmusić pana do kapitulacji, a potem oczywiście postara się sprzątnąć was oboje. Ale przeciwko temu już ja podejmę kroki... W walce z Grellim nie pozostanę obojętnym widzem i będę działał równoległe z panem.

- Niech mi pan to jaśniej wytłumaczy, drogi przyjacielu!

- Widzi pan, mister Fred. Jeśli zostanie pan zmuszony do podpisania kapitulacji i potwierdzenia wobec pasażerów „Oriona” wszystkich bajeczek, jakie chytrze wymyślą Grelli i Morton, mam nadzieję, że będzie to tylko chwilowy odwrót, a nie ostateczna klęska. W tej chwili trzeba ratować miss Gardy i zabezpieczyć was oboje na najbliższą przyszłość przed jakimkolwiek zdradzieckim manewrem. I to mam zamiar zrobić.

Bernardito podniósł list Mortona, rzucony na kędzierzawy leśny mech, i powoli odczytał jeszcze raz jego ostatnie słowa:

- *„Na okręt zostanie pan przewieziony w tajemnicy przed załogą, nie licząc wachtowych, którzy są pewnymi ludźmi...”* Rozumie pan? A więc, mister Fred, gdy tylko się ściemni, niech pan rozpali ognisko, uda się na okręt i działa tak, jak panu podyktuje rozum. Wytłumaczy pan Grellemu, że my dwaj nie chcieliśmy pojechać z panem z obawy przed sprawiedliwością. Powie mu pan, że jest nas dwóch: Pedro Gomez, jego może pan wymienić po nazwisku, i Bob

Rekin. Tak się nazywał nasz bosman na „Czarnej Strzale”. Też był starszym już, wysokim brunetem jak ja, tylko, że nie brakowało mu oka... I niech pan w żadnym wypadku nie zdradzi podziemnego schronu w górach! Wiadomości ode mnie będzie pan znajdował na naszym starym miejscu pod szarym kamieniem.

Chwilę ssał w milczeniu pustą fajkę, splunął i położył dłoń na kolanie wicehrabiego.

- Mój plan nie jest bezpieczny i może ostatni raz rozmawiamy ze sobą - dokończył odwracając wzrok. - Jeśli zginę, wtedy i pańskie szansę spadną do zera. Obaj idziemy dziś na wielkie ryzyko. Przegrana będzie równoznaczna ze śmiercią, ale jeśli się nam powiedzie, ocalimy życie i odzyskamy wolność.

- Co pan zamierza robić, Bernardito?

- Mister Fred, piraci są przesądni i nigdy przed czasem nie zdradzają swych planów. Życzę panu powodzenia!

- Wobec tego - złam kark, Bernardito. Tylko niech pan nie przelewa niepotrzebnie krwi.

- Dla nas krew to najtańsza rzecz na tym przeklętym świecie, panie wicehrabio! Proszę powiedzieć miss Gardy, że postanowiłem również zmasać moją starą winę wobec niej.

- Jaką winę, Bernardito?

- Jej ojca zabili przecież moi ludzie. Dziś, żywy czy umarły, odkupię ten grzech. No, bywaj, Fred!

I dwaj brodacі mężczyźni w leśnym gąszczu mocno się uściskali.

5

Barometr zapowiadał silną burzę. Istotnie, pod wieczór Skalisty Szczyt skrył się w obłokach. Z południa nadciągała ciemna chmura. Płynęła nisko nad ziemią, Pozostawiając dymiące strzępy na wierzchołkach skał, a nawet na masztach okrętu.

Pasażerowie brygu cały dzień snuli się po pokładzie, podziwiając tchnący spokojem krajobraz wyspy. Wszyscy już wiedzieli, że jej mieszkańcy uchylają się od rozmów. Doktor Gracewell nie mógł zrozumieć, dlaczego nie posyła się go na wyspę, by zbadał domniemanych chorych, lecz Morton wytłumaczył mu, że wyspę zamieszkuje prawdopodobnie większa ilość ludzi; ukazują się wyłącznie w maskach, są nastawieni wojowniczo i wrogo, dobrze uzbrojeni i chcą zająć cieśninę, aby odciąć okrętowi drogę na otwarte morze.

Dużo się też mówiło wśród pasażerów i załogi o nocnym krzyku kobiety na okręcie. Lady Stanford wyjaśniła, że krzyczała jej pokojówka, Betsy przestraszywszy się lady Riland, która nagle dostała ataku szału. Wszyscy tłumaczyli sobie nieoczekiwaną chorobę wicehrabiny tym, że zbyt przejęła się strasznymi wiadomościami o groźnych trędowatych na wyspie. Opowiadano sobie, że w ataku furii lady Emily wybiegła w nocy z kajuty i rzuciła się z nożem na Caracciolę i Betsy, i dopiero przy pomocy innych pasażerów z trudem udało się nałożyć jej kaftan bezpieczeństwa. Zgnębiony mister Riland opowiedział Brantleyowi, że ataki się nie powtórzyły, jednakże ze względów ostrożności chora przebywa w zamkniętej kajucie pod opieką Murzyna Sama, Richarda Thompsona i Kamili, którzy nie odstępują jej ani na chwilę...

W rzeczywistości i Richard, i Murzyn, i pokojówka Kamila, jeszcze o świecie aresztowani w łózkach, siedzieli teraz zamknięci w ciemnych komórkach na okręcie, co prawda nie tak strasznych i głuchych jak dolny karcer, niemniej bardzo przypominających cele więzienne.

Nikt z nich nie wiedział, czemu ma przypisać nagłe aresztowanie.

Murzyn i Kamila z niepokojem myśleli o pewnym tajemniczym spotkaniu w zaroślach chancefieldzkich. Richard domyślił się, że Emily się zbuntowała i że ten bunt został zdławiony przez pirata w sposób bezwzględny i nieludzki. W południe Mulat Roy przyniósł więźniom jedzenie, lecz od niego, ma się rozumieć, nie zdołał Richard nic wyciągnąć.

Wieczorem zaczął się silny przypływ. Trzeba było nawet popuścić łańcuchy kotwiczne, gdyż okręt wyraźnie podnosił się na fali. Pas wybrzeża znów zwęził się do cienkiej niteczki żółtego piasku. Powietrze było wilgotne i parne. W dali mocniej zadymił krater góry wulkanicznej i pasażerowie „Oriona” dwukrotnie usłyszeli słaby podziemny huk.

Grelli przywołał stojącego na pokładzie Caracciolę i kazał mu zejść do karceru.

- Przygotuj wszystko, co kazałem, i zawołaj Jensena - powiedział zniżając głos. - Gdy będziesz gotów, wracaj na pokład i obserwuj dobrze brzeg. A ja jej tymczasem napędzę strachu.

Razem z Jensenem Grelli zszedł na sam spód okrętu do karceru. W świetle latarni ujrzał szeroko otwarte, pełne rozpaczy oczy swej ofiary. Emily siedziała na pledzie, podciągawszy pod siebie nogi.

- Przyszedłem, by ci zaproponować wolność - rzekł Grelli. - Opisz temu na wyspie swoje położenie i proś go o ratunek. Twój los jest w jego rękach. Masz tu kałamarz i papier. Napisz mu całą prawdę. Inaczej nie spodziewaj się litości!

Podał jej papier, pióro oraz jej ulubiony kałamarz, pamiątkę po zmarłej matce. Emily ogromnym wysiłkiem woli opanowała wstrząsające jej ciałem dreszcze, wzięła podane sobie przedmioty, po czym, przymknawszy powieki, z całej siły cisnęła porcelanowy kałamarz swemu katu pod nogi. Malutkie naczynie rozprysło się w drobne kawałki.

- W kajdany ją, Oge! - ryknął z wściekłością Grelli.

Olbrzym podniósł z ziemi kajdany, nałożył grube żelazne obręcze na ręce i nogi Emily i zaklepał je młotkiem. Łańcuchy były tak ciężkie, że Emily ledwo mogła się w nich poruszać.

- Daj mi knut!

Krzyk przerażenia zamarł bezsilnie w tej głuchej niby klasztorne podziemie studni.

Grelli zamierzył się knutem, lecz w tym momencie czyjeś kroki załomotały po żelaznych schodkach.

- Panie! - rozległ się głos Caraccioli. - Na brzegu pali się duże ognisko.

Gdy łódź, przysłana z okrętu, przyjęła na pokład myśliwego w kurtce, dwaj pozostali mieszkańcy wyspy ostrożnie wyszli z przybrzeżnych krzaków.

- Stąd, od tej mielizny do okrętu, jest nie więcej niż ćwierć mili. Musimy dostać się tam wplaw. Kieruj się na latarnię rufową. Szkoda, Pedro, że nie mamy pistoletów! Trzeba będzie wojować bez prochu! Armaty „Oriona” wypłoszyły chyba krokodyle, a przed rekinami bronić się będziemy nożami. No, brodaczu, w imię boże!

Przypływ osiągnął swój szczyt. Dwaj mężczyźni bezgłośnie weszli do wody. Przeszli. Przeszli po zalanym teraz piasku i znalazłszy się wreszcie po piersi w cieplej jak grzane mleko wodzie, puścili się wplaw w stronę okrętu.

Pedro był obnażony do pasa, Bernardito płynął w czarnej koszuli. Obaj mieli za pasem sztylety. Płynęli równo, jeden obok drugiego, bez najmniejszego plusku.

- Odpocznijmy chwilę - powiedział Bernardito, gdy byli już w połowie drogi, i odwrócił się na wznak. - Staraj się wypatrzeć wachtowych na pokładzie. Mister Fred jest już na okręcie, łódka została przy trapie dziobowym. Musimy ją zdobyć. Najważniejsza rzecz to dostać się bezgłośnie na okręt. Aha, zaczyna padać! To nam bardzo na rękę - widocznie święty Krzysztof ma nas w swojej opiece. Rekinów też nie widać. Naprzód, Pedro!

Do okrętu pozostało jeszcze jakieś sto jardów. Ciepło letni deszcz padał coraz gęściej, powierzchnia wody w zatoce pokryła się drobnymi zmarszczkami.

- Widzę wachtowego nad trapez dziobowym. Drugi stoi na rufie - szepnął Pedro.

Pływacy zbliżyli się do oświetlonej latarnią przestrzeni przy burcie okrętu. Tylko pod samą rufą padał na wodę czarny cień.

Bernardito poprawił pas ze sztyletem, nabrał w płuca powietrza i skinął na Pedra. Na ten znak

obaj zniknęli pod wodą i wkrótce wynurzyli się w obszarze cienia.

Odpocząwszy nieco, Bernardito wskazał towarzyszowi lewy łańcuch kotwiczny, a sam podpłynął do prawego. Ich ostrożne, zdumiewająco rytmiczne ruchy mogły się komuś, patrzącemu z boku, wydawać ćwiczeniami cyrkowych gimnastyków. Na prawy łańcuch, którego uchwycił się Bernardito, padał cień łodzi zawieszony na rufowych szlupbelkach. Poprzez plusk deszczu jednooki pływak usłyszał, jak lewy łańcuch leciutko brzęknął. Ciemna postać Pedra wdrapywała się już na okręt. Bernardito podciągnął się na rękach i też zaczął się wspinać w górę.

Gdy był już na wysokości burty, niemal tuż obok niego błysnął płomyk. Przy samej burcie, oparłszy karabin o reling, stał wachtowy i spokojnie zapalał fajkę. Bernardito poznał go od razu. Był to Mulat Enrico Roy, usługujący niegdyś Grellemu na „Czarnej Strzale”.

Jednym skokiem Bernardito znalazł się na pokładzie. W nikłym świetle padającym z zasłoniętego okna jakiejś kajuty zjawiała się przed Royem postać jego dawnego groźnego kapitana, z mokrą brodą i długimi włosami opadającymi na ramiona, z czarną opaską na twarzy. Jedyne oko zjawy błyszczało jak rozżarzony węgiel, a w jej ręce srebrzył się sztylet. Roy cofnął się na widok straszego upiora, co wychynął z morskich głębi, lecz w tejże samej chwili mocne ręce Pedra pochwyciły Mulata od tyłu i ścisnęły go za gardło.

- Poczekaj, Pedro, puść go! Enrico Roy, zawsze byłeś kiepskim marynarzem i złym wachtowym. Nie próbuj tylko krzyczeć, bo zostaniesz na miejscu uduszony. Masz robić, co ci każe! Zaprowadzisz nas do kajuty, gdzie znajduje się syn Giacoma Grellego. Pedro, trzymaj go mocno, a ja pójdę za wami. Naprzód!

Zataczając się pod ciężarem ręki trzymającej go za kołnierz, Roy, skulony ze strachu, poprowadził ich na dziobową część okrętu. Bernardito szedł z tyłu, z karabinem Mulata gotowym do strzału.

Z dwu okien dużej kajuty, zasłoniętych aksamitnymi storami, padało przez szczeliny na pokład bardzo jasne światło. Uszu Bernardita doszły stamtąd głosy Freda Rilanda i Grellego. Na oknach poruszały się cienie kilku osób. W tej chwili gdzieś w wewnętrznych pomieszczeniach trzasnęły drzwi i dobiegły stamtąd głosy i kroki - zupełnie jakby właśnie skończyło się jakieś przyjęcie czy narada i dużo ludzi rozchodziło się po okręcie. Należało się spieszyć. Wszyscy trzej przemknęli chyłkiem przez oświetloną przestrzeń i stanęli przed oknem z zamkniętą żaluzją. W kajucie było ciemno i cicho.

- Kto jest przy dziecku?

- Dorotea, niańka.

- Zapukaj i powiedz, aby otworzyła okno.

Roy zapukał. W kajucie dał się słyszeć ruch i kobiecy głos spytał, kto puka. Bernardito przytknął Mulatowi ostrze bagnetu do brzucha. Roy poprosił kobietę, by otworzyła.

Gdy tylko szcęknęła zasuwka przy oknie, jednooki szepnął do swego towarzysza:

- Pedro, wskakuj do środka i szybko rób, co do ciebie należy.

Z okna wyjrzała kobieta przytrzymując ręką koszulę na piersiach. Jej wzrok padł na twarz Bernardita i w oczach jej mignęło przerażenie. Ale Pedro już zakrył jej dłonią usta i wskoczył do kajuty. Przez chwilę dochodziły stamtąd odgłosy szamotania, potem rozległ się trzask dartego prześcieradła, popłakiwanie dziecka i wszystko ucichło. W oknie znów ukazał się Pedro ze sporym tobołkiem na rękach. Bernardito wziął od niego tobolek i w tym momencie Roy gwałtownie uskoczył w bok. Nie zdołał jednak zrobić ani dwóch kroków, gdy dopadł go Pedro. Błysnął nóż i Mulat runął na deski, nie wydawszy nawet jęku.

- A teraz - na drugą burtę, do trapu. Idź naprzód i ogłusz wachtowego. Prędkiej!

Bernardito pozostał w cieniu łodzi dziobowej. Wewnątrz miękkiego tobołka coś się ruszało i pomrukiwało.

Bernardito widział ciemną, nieruchomą sylwetkę wachtowego stojącego przy burcie. Nagle człowiek ten gwałtownie przechylił się do tyłu. Rozległ się krótki krzyk bólu i mocny plusk.

Bernardito rzucił się naprzód. Przy trapie Pedro zdejmował już cumę przytrzymującą łódź. Ledwo tylko Bernardito zdążył wskoczyć do łodzi i złożyć na dziobie swój ciężar, Pedro z całej siły odepchnął łódź od trapu. Bernardito pochwycił z jego rąk drugi karabin, wilgotny jeszcze od potu trzymających go przed chwilą dłoni wachtowego. Dwie pary wiosł bez plusku zanurzyły się w wodzie.

6

W wytwornej kajucie Grellego paliły się wszystkie świece w kandelabrach i kinkietach. Kajuta była pełna ludzi. Jako ostatnia weszła lady Stanford, w wyszukanej toalecie, obsypana brylantami od czubka głowy po sprzączki atłasowych pantofelków. Przy stole stał właściciel okrętu, a obok niego wysoki, świeżo ogolony mężczyzna w ubraniu z garderoby Richarda Thompsona. Brak było tylko lady Emily Riland. Gospodarz kajuty gestem poprosił o ciszę.

- Moi państwo - powiedział. - Zebraliśmy się już chyba wszyscy. Kapitanie Brantley, czy może pan zaświadczyć, że ten oto dżentelmen jest tym samym mieszkańcem wyspy, którego widział pan tu w maju bieżącego roku?

- Tak mister Riland, to jest właśnie on.

- Świetnie. Pańskie nazwisko, sir?

- Moje nazwisko jest panu wiadome. Grelle zmarszczył brwi.

- Pan wybaczy, ale umówiliśmy się, że w obecności tych pań i panów będzie pan dawał wyłącznie jasne i niedwuznaczne odpowiedzi. A więc pańskie nazwisko?

- Alfred Murray.

- Jest pan Anglikiem?

- Urodziłem się w Północnej Ameryce, w stanie Wirginia.

- Pański zawód?

- Były plantator bawełny i kupiec.

- Czy posiada pan w kraju jakiś majątek?

- Straciłem go.

- Czy można wiedzieć, z jakiego powodu?

- Po klęsce nieurodzaju sprzedałem plantację z zamiarem szukania szczęścia w innych stronach świata. Byłem jakiś czas w Indiach. Okręt francuski „Ile de France”, na którym płynąłem z towarami z Indii do Europy, rozbił się na podwodnych rafach o sto mil od tej wyspy. Ze wszystkich ludzi na okręcie tylko ja jeden się uratowałem. Prąd zaniósł mnie na tę wyspę.

- Kiedy się to stało?

- Przed pięcioma laty, w tysiąc siedemset sześćdziesiątym siódmym roku.

Richard Thompson z napiętą uwagą przysłuchiwał się temu wszystkiemu. Został zwolniony z aresztu na godzinę przed obecnym zebraniem i ledwo zdążył doprowadzić do porządku własną toaletę, jak również zaopatrzyć wyspiarza w stosowną do okoliczności odzież.

- Chciałbym zadać pewne pytanie temu panu - zwrócił się do reżysera komedii, która tak gładko rozgrywała się przed słuchaczami. - Mister Murray, w jaki sposób doszło do znajomości pana z miss Gardy, obecną lady Riland?

Murray chciał już odpowiedzieć adwokatowi, gdy powstrzymał go dowódca okrętu.

- Panowie - powiedział - w tej chwili rozmawiam z mister Murrayem nie jako osoba prywatna, lecz jako gubernator wyspy. A zresztą, skoro pytanie już padło, niech pan będzie łaskaw na nie odpowiedzieć.

Mister Alfred Murray pochwycił utkwiony w niego wzrok Richarda Thompsona. Milczał chwilę, popatrzył na Grellego i podniósłszy oczy na nieduży portret wiszący na ścianie a przedstawiający lady Emili z różą we włosach, zaczął mówić monotonnym głosem, jakby

recytował wyuczoną na pamięć lekcję.

- Lady Emily spotkałem na okręcie, gdy wracała z Europy do Indii, do swego ojca. Naszą znajomość i przyjaźń podtrzymywaliśmy nadal w Kalkucie. W końcu zaręczyliśmy się. W pół roku po moim osiedleniu się na wyspie, w marcu tysiąc siedemset sześćdziesiątego ósmego roku, zawinął do zatoki piracki szkuner „Czarna Strzała”. Jego kapitan wysadził na ląd dwóch piratów, którzy zawinili czymś wobec niego. Zastępca owego kapitana, niejaki Giacomo Grelli, na moją usilną prośbę zgodził się przesłać do Ameryki mój list, w którym prosiłem mego wuja, by przysłał po mnie ekspedycję ratunkową, jako że uważałem za rzecz dla siebie niemożliwą opuścić wyspę na statku pirackim. O tym, jak ów list dostał się do rąk miss Gardy, może państwu opowiedzieć jej obecny małżonek.

Murray oderwał oczy od portretu i znów spojrzął na Thompsona. Ten opuścił głowę i już więcej nie wtrącał się do rozmowy. Uznał, że prawdziwy wicehrabia Chancefieldu został pokonany.

- Istotnie - zawołał Grelli - ów list pana Murraya wręczony mi został w zgoła niezwykłych okolicznościach! Jak państwo wiecie, piracki szkuner „Czarna Strzała” został zatopiony przez francuską korwetę „Burgundia”, która przyjęła na pokład nas, troje rozbitków z „Ophiru”. Po walce pewien marynarz francuski pokazał mi list znaleziony w kieszeni zabitego przez niego pirata Giacoma Grellego. Wtedy się okazało, że autorem tego listu jest dawny narzeczony Emily, mister Murray, o którym sądziła, że zginął w czasie katastrofy „Ile de France”. Poleciłem więc kapitanowi Brantleyowi, by poczynił kroki dla ratowania Alfreda Murraya na wyspie, a na to potrzeba było trochę czasu. Tej wiosny otrzymałem zadowalające informacje o nim, które w pełni potwierdzają jego dzisiejszą opowieść o sobie. - Grelli powiódł dokoła pewnym siebie spojrzeniem. - Postanowiłem włączyć tę wyspę do zamorskich posiadłości brytyjskich, a zarazem pomóc panu Murrayowi. Resztę już państwo znacie. Mister Murray ma zamiar popłynąć z nami do Kapsztadu... Przepraszam... jeszcze jedna sprawa. Będąc gubernatorem wyspy mam obowiązek uwolnić ją od piratów, którzy tak długo mieszkali na wyspie razem z panem. Ponieważ w obawie przed sprawiedliwością nie zjawili się dobrowolnie na okręcie, tym samym postawili się poza nawiasem prawa. Proszę wymienić ich nazwiska, mister Murray.

- Jeden z nich nazywa się Pedro Olbrzym, a drugi Bob Rekin.

- Ta-ak! A więc Olbrzym i Rekin... No cóż, jutro ten Pedro i ten... jak jemu tam... Bob zawisną na rejach grotmasztu. Moi państwo, jesteście wolni. Poproszę jeszcze tylko panów Thompsona, Mortona, Pattersona i pastora Redlinga, by zechcieli zostać parę minut dla załatwienia pewnych formalności prawnych.

Przy stole, na którym leżały rozłożone papiery, siedział Morton. Z ukłonem podsunął Murrayowi kilka dokumentów i ten je podpisał jeden po drugim. Następnie złożyli swe podpisy prawnicy Morton i Thomas. Jako ostatni podszedł do stołu pastor Redling i również poświadczył prawdziwość dokumentów i swój udział w tym akcie prawnym.

W oczach Grellego migotały zielone iskierki. Rozsadzało go uczucie tryumfu, pieniać się w jego piersi jak musujące wino. Ponad cztery lata przygotowywał się do tej batalii i oto wygrał ją w ciągu dwudziestu czterech godzin!

- A teraz wybaczy pan, mister Murray, ale czekają na mnie inne ważne sprawy. Pan Patterson zaprowadzi pana do pańskiej starej znajomej, lady Emily. Niestety, czuje się źle od wczoraj i nie opuszcza kajuty. A więc, moi państwo, do zobaczenia za godzinę, u progu Nowego Roku! Murray wyszedł za Pattersonem. Wewnętrzne pomieszczenia na okręcie były oświetlone. Przed drzwiami kajuty Emily Murray przystanął na chwilę, by opanować gwałtowne bicie serca. Patterson, który nie śmiał spojrzeć mu w oczy, zapukał leciutko i uchylił drzwi kajuty. Ujrzawszy jej mieszkankę wzdrygnął się: Prześliczna twarz, blada i mizerna, jaśniała w tej chwili nadzieją i nieśmiałą, hamowaną jeszcze radością, lecz od skroni ku malutkiemu różowemu uchu wiło się, połyskując srebrzyście, pasmo siwych włosów, których wczoraj

jeszcze nie było!

Oślupiały, ze ściśniętym sercem Patterson cofnął się, przepuszczając przed sobą Murraya. Ten przestąpił próg... Wypchnąwszy nieomal Pattersona na korytarz, zamknął drzwi i wyciągnął ramiona ku Emily, która rzuciła się ku niemu.

- Fred! - bez tchu jęknęła jakimś obcym, nieswoim głosem i padła mu na pierś.

Tuląc ją do siebie poczuł, jak jej ciało, coraz cięższe w jego objęciach, osuwa się na ziemię. Upadłaby u jego nóg, gdyby jej ostrożnie nie pochwycił na ręce.

Patterson nasłuchując stał jeszcze chwilę pod drzwiami. Broda mu się trzęsła. Oddalił się wreszcie na palcach i poszedł do siebie, głośno wycierając nos i kryjąc twarz w chustce.

Z dumnie podniesioną głową zmierzał Grelli do kajuty lady Stanford. Już mu odpowiedział głos lady, już drzwi gościnnie się rozwarły, gdy nagle uszu jego dobiegł zdławiony jęk z pokładu i mocny plusk za prawą burtą. Zamknął więc drzwi kajuty i zawrócił. U wylotu korytarza paliła się jasna latarnia. Wyjrzawszy na pokład Grelli znalazł się na tle oświetlonego prostokąta otwartych drzwi. W tejże samej chwili z morza padł strzał i kula odbiwszy się od fałszyburty ugodziła Grellego w pachwinę, grzęznąc pod skórą na brzuchu. Drugi strzał zranił go w ramię. Czepiając się odrzwi Grelli osunął się na ciemny, mokry pokład. Dźwignął się jednak i na kolanach doczołgał się do burty. Wyteżywszy wzrok dojrzał na wodzie łódź o dwóch parach wiosł oddalających się szybko w stronę brzegu.

Teraz z mostka kapitańskiego huknęły dwa wystrzały i kule plasnęły o wodę gdzieś za rufą umykającej łodzi. To strzelał Edward Went, który właśnie objął wachtę po Olsenie. Gwizdek bosmański zwoływał już na pokład wszystkich wachtowych, którzy przed przybyciem na okręt Murraya zostali na rozkaz Grellego odesłani do kubryka.

W zalanym krwią uniformie Grelli dźwignął się na nogi. Jego lewa ręka zwiśla bezwładnie. Straszliwy ból w brzuchu nie pozwalał mu się wyprostować ani patrzeć przed siebie. Teraz palba grzmiała wzdłuż całej burty. To strzelali marynarze i oficerowie.

- Bateria, gotuj się do boju! - usłyszał Grelli głos Wenta i niemal jednocześnie z nią stuk otwieranych port armatnich.

Wysiłkiem woli przewyciężając tępy, wciąż narastający ból Grelli przeszedł parę kroków po pokładzie. Chciał dotrzeć do baterii dziobowej, gdy naraz potknął się o czyjeś ciało, leżące twarzą do desek pokładu. Człowiek ten nie żył. Grelli odwrócił głowę zabitego i w świetle latarni przyniesionej przez bosmana ujrzał szkliste oczy Roya, w których zastygło przeżalenie.

- Patrzcie - rozległ się z mostka głos Wenta - prąd unosi jakiś przedmiot.

Caracciola przechylił się przez prawą burtę. W płomykach wystrzałów dojrzał na wodzie trójgraniasty kapelusz wachtowego. Marynarza nie było jednak na pokładzie.

Jednocześnie Grelli zauważył otwarte na oścież okno kajuty Dorotei. Z jej wnętrza dochodziły zgłuszone jęki. Na podłodze kajuty wiła się Dorotea Cenni z wykręconymi do tyłu rękami i owiniętą kocem głową, cała skrepowana pasami z prześcieradła, i rozpaczliwie próbowała uwolnić się z więzów. W kajucie wszystko było wywrócone do góry nogami. Kolebka Charlesa z rozdartą na wspólną kotarą i rozrzuconymi poduszkami była pusta. Mały wicehrabia Chancefieldu znikł.

Na pokładzie baterijnym rozległ się głos dzwonu i pierwsza salwa armatnia wstrząsnęła okrętem. Pociski wzbijały fontanny wody wokół łodzi zbliżającej się już do brzegu.

- Nie strzelać! W pościg za nimi! Oni porwali mego syna! - strasznym głosem ryknął Grelli i zachłysnął się na wietrze. Łódź znikła już z oczu, tylko snop czerwonych iskier wzbijał się na dalekim brzegu. To silny powiew wiatru rozwiały resztki ogniska dogasającego samotnie tuż nad wodą.

Pasierb świętej Magdaleny

1

Nad pogrążoną we mgle wyspą szalała wichura. Czarne góry wodne wznosiły się powyżej przybrzeżnych cypli. Ze skał staczały się nawisłe głazy i osypywał się piaskowiec.

Z rykiem i wyciem wiatr wdzierał się w wąwozy i parowy. Zwarta ściana ulewy, spadając na nagie granitowe skały, rozbijała się w drobny wodny pył. Obłoki tego pyłu wypełniały cały wąwóz, od łożyska strumienia po zębaty grzebień, na podobieństwo kłębiącego się dymu. Strumyk przemienił się w brązową rwącą rzekę i szalał w kamienistym korycie. Prastare cedry i platany, wyrwane z korzeniami przez huragan, waliły się do strumienia, a ten z wściekłością ciskał drzewami o skały miażdżąc bujne korony i rozbijając na drzazgi potężne pnie. Bryły kamieni z łoskotem przewalały się na dnie.

Bernardito Luiz i Pedro Gomez, ukryci w głębokiej górskiej pieczarze, przysłuchiwali się wyciu burzy. Dopiero co skończyli posiłek i siedzieli na drewnianych klockach przy prymitywnie skleconym stole. Chybotliwy płomyk knota pływającego w roztopionym tłuszczu oświetlał twarzyczkę kędzierzawego dziecka śpiącego obok stołu na wiązce skór zwierzęcych. Dziecko leżało skulone pod piękną kołderką krytą błękitnym atłasem.

- Dzisiejsza burza nie jest chyba słabsza od tej, co wpędziła ongiś „Czarną Strzałę” na podwodne rafy! Oby tylko lawina nie zasypała wyjścia z pieczary. Nie daj Boże, zostaniemy żywcem pogrzebani w tym grobowcu, mój Pedro.

- Wziąłem ze sobą żelazną motykę i łopatę, kapitanie. Zapasów też nam starczy na jakieś dwa tygodnie. Przez ten czas odkopalibyśmy sobie inne wyjście. Połóż się i odpocznij, kapitanie!

- Nie mogę spać. Ty sam odpocznij, mój przyjacielu... Jakie piękne jest to dziecko Grellego! I popatrz, podobne do ojca jak tygrysiątko do tygrysa.

- Tak, włącznie ze znamieniem nad obojczykiem. Daj mi jeszcze raz popatrzeć na medalion.

Bernardito wyjął z kieszeni swej skórzanej kurtki medalion zdjęty z szyi dziecka i owinięty w gałganek. Obaj piraci długo przyglądali się miniaturom.

- Wyobrażam sobie, co się w tej chwili dzieje na „Orionie”! Co też tam porabia nasz mister Fred? - rzekł Pedro.

- Na pewno całuje się ze swą lubą. To dzielna dziewczyna!

- Oby tylko Grelli nie zamordował ich oboje.

- No, o to już ja się zatroszczyłem. Gdzie położyłeś mój list?

- Do pustej kolebki, tak jak kazałeś, kapitanie.

- A więc możesz się nie martwić o Freda, Pedro. Grelli pozostawi i jego, i miss Gardy w spokoju. Tylko nie pozwól mu pewno zejść z okrętu. Ale niech tylko ucichnie burza i ulewa, wtedy po całej wyspie zacznie się polowanie na nas.

Dziecko poruszyło się i otwarło oczy. Zamiast znajomych przedmiotów i ludzi ujrzano pochylone nad sobą dwie brodate twarze i skrzywiło się do płaczu. Gdy się jednak zupełnie rozbudziło, wypowiedziało nie to słowo, które zwykle pierwsze pada z ust wszystkich budzących się dzieci w jego wieku, lecz zawołało z płaczliwą miną:

- Dorothy!

Jego buzia miała przy tym wyraz dziecka wołającego: mamó! Dwaj mężczyźni popatrzyli po sobie... Jeszcze na wiosnę mister Fred przeczytał przyjaciółom list Emily przywieziony przez kapitana Brantleya i tajemnica pochodzenia małego Charlie była im znana.

- Obmierzłe bydlę! - wycedził przez zęby Bernardito. - Nawet dziecko przyuczył do kłamstwa. Biedactwo woła na rodzoną matkę jak na służącą. Szkoda, że spudłowałem

ubiegłej nocy! Chociaż zdaje mi się, że mój drugi strzał jednak go drasnął.

Dziecko przestraszyło się groźnie połyskującego oka pirata i zaczęło płakać. Bernardito wziął chłopczyka na kolana.

- Musisz się przyzwyczaić do tej nory, synku! Dorothy przyjdzie, gdy tylko skończy się burza. Tymczasem kazała ci powiedzieć, abyś nie płakał, umył się i coś zjadł. A potem ja ci opowiem długą, ładną bajkę. Słyszysz, jak wyje wiatr?

- To sztorm - odparł syn żeglarza.

- Pedro, trzeba strzec tego malca jak oka w głowie. Od jego zdrowia zależy los wielu ludzi! Czym go zabawić, żeby się nie mazał?

- Kiedy pakowałem tobół, wpadła mi pod rękę jakaś gruba książka, leżąca na podłodze w kajucie, i zdaje mi się, że ją wepchnąłem do środka. Zobacz, kapitanie, może tam jest, jeśli nie wypadła gdzieś po drodze.

Bernardito poszedł w kąć pieczary, gdzie piraci rzucili rozbebeszony tobół z rzeczami porwanego dziecka.

- Pedro, jesteś nie tylko wielki, ale i mądry! - zawołał były herszt piratów, wyciągając z głębi tobołu grubą księgę z mnóstwem obrazków. Na pierwszej stronie widniała dedykacja pastora Redlinga. - Nie darmo tobół wydawał mi się zbyt ciężki. A ty umiesz czytać po angielsku?

- Nie, kapitanie.

- Ja byłem niegdyś mocny w sztuce czytania, ale teraz już te mądrości na wpół wywietrzały mi z głowy. Dawno nie miałem w rękach książki! Charlie, a ty lubisz oglądać obrazki?

- Lubię oglądać obrazki razem z moim tatą.

- A powiedz mi, Charlie, czy ty masz mamę?

- Moja mama to lady Emily...

- Nieprawda, synku. Twoją mamą jest Dorothy, jak ty ją nazywasz. A jak się nazywa twój ojciec?

- Sir Frederick Riland.

- Ach tak! No, a jak ty się nazywasz?

- Sir Charles Francis Riland, wicehrabia Chancefieldu.

- Słyszałeś, Pedro? To brzmi piękniej niż Carlo Grelli! Mądry z ciebie chłopczyk, Charlie, ale obawiam się, że wyrośniesz nie na jaśnie pana hrabiego. Będziemy przyjaciółmi, Charlie. Co to dla nas znaczy te jakieś pięćdziesiąt lat różnicy! Nauczę cię dużo ciekawych rzeczy. Będziesz u nas...

Głuchy, narastający wciąż huk wstrząsnął pieczarą. Zatrzeszczały kamienne ściany, z łoskotem posypała się ziemia.

Bernardito zerwał się z miejsca przyciskając do piersi dziecko. Zgięty wpół uskokczył w głąb pieczary akurat w momencie, gdy ogromna bryła ziemi, tworząca dużą część sklepienia, poczęła ciężko i miękko osiadać. Pogrzebała ona pod sobą cały kąt groty ze złożonymi tam rzeczami i prawie połowę pozostałej przestrzeni. Zgasł płomyk kaganka i pieczara pogrążyła się w dusznym, nieprzejrzanym mroku.

2

Doktor Gracewell zmieniał choremu opatrunki. Grelli cierpiał w milczeniu, zacisnąwszy zęby. Ciałem jego wstrząsały dreszcze, gorączkowe majaki i rzeczywistość mieszały się w rozpalonym mózgu. Rany były bardzo poważne. O świcie, już przy dziennym świetle, lekarz wyjął rannemu obie kule.

Szalejący nocą sztorm osiągnął około południa siłę huraganu. Chociaż „Orion” ukryty był w bezpiecznej zatoce, fale tak go rozkołysały, że pękł jeden łańcuch kotwiczny. Nie można już było dojrzeć oddzielnych strug w chłoszczącej ziemi ulewie - rozwarły się, rzekłbyś,

niebiosa, by dać upust jakiemuś gigantycznemu wodospadowi. Wystraszeni pasażerowie „Oriona” od nocy nie opuszczali swych kajut. Wśród załogi szeptem podawano sobie z ust do ust szczegóły tajemniczego napadu piratów, zranienia sir Fredericka i nieudanej pogoni za sprawcami porwania.

Gdy tylko umilkły salwy armatnie, właściciel okrętu sam wyprawił grupę marynarzy w pościg za łodzią piracką. Ranny, z bezwładnie zwisającą ręką, z twarzą wykrzywioną bólem i wściekłością, zażądał by mu przywieźli ucięte głowy piratów. Ledwo łódź z marynarzami odbiła od trapu, począł tracić siły. Nie mógł się utrzymać na nogach, lecz kazał się zaprowadzić do kajuty Dorotei.

„Niańkę” zastał szamocącą się w mocnym uchwycie rąk Caraccioli. Krzyczała rozpaczliwie i usiłowała rzucić się w morze. Ze zmierzwionymi włosami, w nocnej bieliźnie, sprawiała wrażenie obłąkanej.

Na widok Grellego kobieta wyrwała się z rąk Caraccioli.

- Gdzie jest moje dziecko? Gdzie jest Charlie? Zabrano mi go! Oddaj mi syna, Giacomo... Oddaj mi go albo przeklnę dzień, w którym nie odważyłam się opuścić twego okrętu!... A mówiono mi - uciekaj stąd, uciekaj od Giacoma, co nie ma Boga w sercu! Dlaczego nie posłuchałam, dlaczego w porę nie uciekłam od ciebie z moim dzieckiem!

- Ach ty, zdrajczynie, dopiero teraz mi mówisz, że cię namawiano, abyś uciekła z okrętu? Zawiśniesz na jednej rei z piratami, gdy tylko ich schwytni! Poczekaj, ty, Olbrzymie, i ty, Rekinie! Wasze matki będą jeszcze płakały krwawymi łzami, że was na świat wydały! A z tą zmiją, która cię namawiała do ucieczki, i z jej fatygantem zaraz się rozprawię tak, że...

W tej chwili wzrok jego padł na kopertę leżącą w pustej kolebce. Rozerwał ją, przeczytał krótki list piratów i od razu przygasł. Caracciola aż się cofnął, spojrzawszy na niego. Twarz Grellego była woskowożółta, wykrzywiona grymasem przerażenia.

- Poczekaj, Caracciola! Pał ich diabli, tych dwoje, zostaw ich. Zanieście mnie do kajuty kapitana, nie do mojej, słyszycie? Ty i Oge bądźcie cały czas przy mnie. Idź po niego... Nie, czekaj... zobacz, czy tam jeszcze czegoś nie ma.

Upewniwszy się, że oprócz listu piraci nic więcej nie pozostawili w rozgrzebanej kołysce, Grelli kazał sobie poświęcić bliżej i raz jeszcze przeczytał pisany ołówkiem list w języku hiszpańskim.

„Giacomo Grelli!

Nie jesteś więcej Leopardem. Swoim wiarołomstwem zasłużyłeś na śmierć. Gdybyś wyrządził krzywdę Rilandowi i Emily, przyślę ci głowę twego syna upieczonego żywcem. Zwróć tym ludziom, co im zabrałeś, a po moje kamienie przyjdę sam, odszukam cię nawet na dnie piekła.

Bernardito”

Grelli przytknął papier do płomienia świecy i z zabobonnym strachem rozdeptał szare płatki popiołu.

Gdy Oge Jensen i Caracciola przenieśli go do kajuty, z wyspy wrócili marynarze. Wrócili z pustymi rękami. Przyholowali tylko łódź porzuconą przez piratów na piasku. Brantley był pewny, że to niepowodzenie wywoła nowy wybuch gniewu wicehrabiego, lecz gdy wszedł z Wentem do swojej kajuty, gdzie lekarz opatrywał rannego, ten stracił już przytomność.

O powtórzeniu desantu szkoda było nawet myśleć wobec nadciągającego sztormu. Przez całą noc chory majaczył i rzucał się w pościeli. W dzień, po operacji, leżał spokojnie, to znów miotał przekleństwa lub przyzywał Boga. Pod wieczór stan jego jeszcze się pogorszył.

Tak minęła pierwsza doba po zranieniu Leoparda.

Na morzu szalała burza. U drzwi kajuty, w której leżał chory, czuwał bez przerwy Caracciola. Olbrzym Oge siedział nieruchomo w kącie kajuty, tępym wzrokiem patrząc na ręce lekarza robiącego choremu okłady i zmieniającego bandażę.

3

Kajutę, którą dawniej zajmowali we dwóch Joseph Lorn i Geoffrey MacRail, kapitan Brantley oddał teraz do dyspozycji Alfreda Murraya.

Wieczorem pierwszego stycznia Richard Thompson przyszedł odwiedzić nowego pasażera, lecz zastał go pogrążonego w głębokim śnie. Usiadł więc cichutko w plecionym fotelu i przyjrzał się bliżej twarzy śpiącego...

Jeszcze o północy, gdy dowiedział się o porwaniu dziecka, domyślił się, że mieszkańcy wyspy podjęli działania wojenne przeciwko Grellemu według szaleńczo śmiałego planu. Nie wątpił, że Murray był jednym z wykonawców tego planu i że jego zadaniem było uspienie czujności Grellego rzekomą kapitulacją.

...Śpiący leżał bez ruchu. Jego szeroka pierś oddychała spokojnie i równo. Twarz, na którą padało światło wiszącej lampy, była mężna, lecz wyrażała śmiertelne zmęczenie. Widoczne było ono w opuszczonych kącikach zaciśniętych ust, w cieniach i zmarszczkach koło oczu. Nie było to fizyczne zmęczenie, rezultat trudów i niewygód, było to głębokie znużenie duszy, uginającej się pod brzemieniem nienawiści, ciężkich obowiązków, dręczących rozmyślań i nierozwiązalnych sprzeczności. Pragnienie spokoju - oto co było wypisane na twarzy tego człowieka.

Skrzypnęły drzwi. Do kajuty weszła cicho Emily. Huragan i ulewa już słaby, lecz morze było jeszcze wzburzone, okręt wzdrygał się i kołysał. Stąpając ostrożnie po wąskim dywaniku Emily straciła w pewnej chwili równowagę na skutek przechyłu okrętu; uchwyciła się ręki Richarda i włosy jej dotknęły twarzy adwokata. Widok srebrzystego pasma na skroni wstrząsnął nim jeszcze mocniej niż Pattersonem.

- Na Boga, co oni z panią zrobili! Przekłęci zbrodniarze! Ale teraz, miss Emily, gdy się pani znów połączyła ze swym ukochanym, czeka panią niczym nie zmażone szczęście. Grelli przyrzekł, że zgodzi się na rozwód. Gdy tylko pani narzeczony odzyska swoje prawa...

Emily uśmiechnęła się smutno. Ostrożnie dłonią osłoniła przed światłem oczy śpiącego i powiedziała cicho, by go nie obudzić:

- Mówi pan o nie zmażonym szczęściu, mister Thompson! Niech mnie pan nie pociesza. Dobrze wiem, że to jest rzecz niemożliwa. Grelli ma słuszość - społeczeństwo angielskie nigdy by mi nie wybaczyło mego rzekomego małżeństwa. Nawet jeśli Fredowi uda się wyjść zwycięsko z walki z Grellim, mój i jego los będzie nie do pozazdroszczenia. Społeczeństwo odwróci się od człowieka, który odważy się nazwać żoną współniczkę zdemaskowanego bandyty. Przecież nikt nie wie... Wyczerpały mnie te wszystkie lata. Nie przeczę, że pragnę choć odrobiny zwykłego szczęścia, lecz Fred nigdy nie będzie mógł mi zarzucić, że dla mnie wyrzekł się swej ojcowizny... Nie, muszę zapomnieć o małżeństwie z Fredem - dokończyła szeptem i otarła łzę.

Śpiący wciąż się nie ruszał.

- Sir Frederick Riland! - powiedział głośno adwokat. Emily wzdrygnęła się i gwałtownie obejrzała w stronę drzwi.

- O Boże! Myślałam, że wszedł tamten! Ach, Fred - zawołała przez łzy - sam dźwięk twego prawdziwego nazwiska jest dla mnie straszny, jak straszne i nienawistne są ściany twego rodzinnego domu!

Z głuchym łkaniem padła na kolana przed łóżem i ukryła twarz na jego piersi.

Nie zmieniając pozycji i nie otwierając oczu, jak ślepiec, sir Frederick przycisnął usta do głowy Emily i z czułością ucałował srebrne pasmo na jej skroni. Słyszał całą rozmowę swej narzeczonej z Richardem, leżał jednak z zamkniętymi oczami, aby nie naruszyć głębokiego wewnętrznego skupienia. W tej chwili ważył w sobie decyzję mającą rozstrzygnąć o jego losie. Nielatwa to była decyzja, lecz dyktowało ją całe jego życiowe doświadczenie, jego zasady moralne i sumienie.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszyscy troje wzdrygnęli się, Richard zerwał się z miejsca. W uchylonych drzwiach stanął głęboko czymś poruszony Patterson.

- Lady Emily, mister... Murray, mister Richard... pastor prosi, abyście państwo przyszli zaraz do kajuty kapitana. Będzie spowiadał rannego. Z chorym jest bardzo źle. Zakażenie krwi...

W kajucie kapitana, gdzie leżał Grelli, paliło się kilka świec rzucając odblask na mapy żeglarskie, barometry, zegary i broń rozwieszoną na ścianach. Kucharz Brantleya, Chińczyk, napełniał kawałkami lodu brezentowy worek zdjęty z głowy chorego. Lady Stanford, w niedbałym stroju i nie uczesana, gładziła mokre włosy Grellego. Twarz jej wyrażała trwogę i cierpienie.

Jeden rękaw batystowej koszuli chorego był ucięty; obnażona lewa ręka o imponującej muskulaturze, przewiązana mocną opaską, była szkarłatnosina i zwisała jak podcięta gałąź.

Obrzęk doszedł już do przegubu dłoni. Przy łóżku stała miednica do połowy wypełnioną krwią, którą doktor Gracewell przed chwilą właśnie wypuścił z żyły chorej ręki.

W kajucie czuć jeszcze było swąd przypalonego ciała i dym. Za dnia Grelli sam zażądał, aby doktor wypalił mu ranę rozpalonym żelazem. Operację tę zniósł bez jęku, lecz bardzo po niej osłabł. Jego puls był nierówny, a ciało zroszone potem.

U wezłowią chorego stał pastor z modlitewnikiem w rękach. Morton, przycichły i zgnębiony, skulił się pod ścianą. Ani Jensena, ani Caraccioli nie było już przy Grellim. Kazał im odejść, gdy z ust lekarza usłyszał wyrok na siebie.

Emily, Murray i Richard w milczeniu przystanęli u progu. Chory zwrócił ku nim zmienioną twarz o głęboko wpadniętych oczach i zaostrozonym orlim nosie. Patterson pytającym wzrokiem spojrzął na lekarza. Ten pokręcił głową.

- Co się pan porozumiewa z doktorem, Patterson? Sam wiem, że mam bardzo mało szans. Moja śmierć przecina cały węzeł. Mister Richard, razem z Mortonem poświadczycie mój testament, już go podpisałem. Pochowajcie mnie na samym wierzchołku Skalistego Szczytu. Los chce, abym się zamienił miejscem z pani przyszłym mężem, Emily. A teraz, pastarze, proszę mnie wyspowiadać. Obecność tych osób nie przeszkodzi panu, a mnie nie pozwoli zełgać przed śmiercią. Pamiętajcie, państwo, tajemnica spowiedzi jest święta! Po mojej śmierci pozostawcie w spokoju ludzi, których nazwiska wymienię. Przysięgnijcie na ten krzyż, że pogrzebiecie w swych sercach to wszystko, co za chwilę usłyszycie!

Wszyscy obecni spełnili wolę umierającego. Morton pogasił świece i tylko ciepłe światelko lampki oliwnej migotało przed czarnym krzyżem z bielejącym na nim, rzeźbionym w kości ciałem Ukrzyżowanego. Przez chwilę chory milczał, zbierając siły. A potem w półmroku rozbrzmiał jego głuchy, równy głos...

W miarę jak mówił, rozstały się, rzekłbyś, czarne ściany kajuty; przed oczami niemych słuchaczy, niby na scenie szekspirowskiego teatru, przesuwały się obrazy niezwykłego życia.

4

Słońce praży białe mury. W bocznym skrzydle klasztoru oo. franciszkanów, gdzie parę drzew kasztanowych rzuca cień na małe okratowane okienka, rozbrzmiewa głos dzwonka.

Pod schodami wiodącymi na piętro znajduje się ciemna izdebka odźwiernego. Z obrzękłą twarzą, przypominającą surowy, zwiędły kartofel, podwiązaną flanelową szmatą, leży on na

swym nędznym posłaniu okryty jakimiś łachmanami. Bolał go zęby, całymi dniami nie wstaje z łóżka. Jedyna jego powinność - to rano obudzić dzwonkiem chłopców z przytułku Św. Magdaleny i wieczorem oznajmić im porę snu. Wszystkie inne prace z powodzeniem wykonują za niego wychowankowie przytułku.

Reumatyczne nogi starego, obute w ciepłe filcowe pantofle niebywałych rozmiarów, do samych bioder są owinięte strzępami pikowanej kołdry i przypominają słupy uliczne.

Nad schodami wisi szczerbaty dzwon. Od schodów do izdebki odźwiernego biegnie wzdłuż ściany długi sznur z pętlą na końcu, założoną na nogę starego. Gdy promień słoneczny odbity na ścianie przesunie się na wysokość twarzy odźwiernego, wtedy czas dawać sygnał. Noga unosi się leniwie i naciąga sznur. Bełkocząc bezładnie miedzianym językiem, dzwonek zaczyna się kołysać.

Kołysze się noga-słup, kołysze się i dzwonek. Dzwoni tak pięć minut, dziesięć... Wreszcie gdzieś na górze z trzaskiem otwierają się drzwi i dzwonek milknie. Do sypialni, gdzie na słomianych siennikach śpią małe sieroty, wchodzi zaspany mnich podpasany rzemieniem...

...W kaplicy padre kanonik rzuca niechętnie spojrzenie na chudego wyrostka z głową ostrzyżoną po niedawno przebytej ospie. Takiego kijem nie dobije! Cały miesiąc przebył w szpitalu zakaźnym Św. Franciszka, skąd ludzie rzadko wracają na ten ziemski padół! I przeżył, mimo szpitalnego leczenia, nawet twarz pozostała bez śladów po ospie.

Brudna sutanna jest za krótka dla chłopca, ledwo sięga do kolan. Chociaż ma dopiero trzynaście lat, jest wyższy i silniejszy od wielu starszych wychowanków przytułku. Ale jest też najbardziej blady i mizerny spośród modlących się na klęczkach dzieci.

Ostrzyżony chłopiec schylił się i próbuje podsunąć pod chude kolana podartą połę. Lecz jego wysiłki są daremne; kolana kostnieją od przenikliwego zimna kamiennych płyt posadzki.

Kanonik marszczy brwi.

- Giacomo! - rozległ się jego głos. - Moje dziecko, znowu nie skupiasz się przy modlitwie! Wczoraj łapałeś muchy, dziś zajmujesz się swoimi kolanami. A przecież powinieneś dziękować Bogu za to, że wyzdrowiałeś, i modlić się o zbawienie grzesznej duszy twojej matki!

Rówieśnicy zerkają spod oka na Giacomę. Ten zarozumialec nie szuka przyjaciół. Wczoraj pobił po kolei trzech wychowanków i dziś wszyscy razem sprawią mu za to lanie. Wiedzą, że matka Giacomę to upadła kobieta i siedzi teraz w więzieniu. Nikt nigdy nie ujmie się za nim, dorośli go nie lubią, dzieci go się boją. W ciągu trzech lat pobytu w sierocińcu niejeden raz wymierzano mu surową karę.

Spojrzenie chłopca jest złe i szaszczute. Rzadko można zobaczyć uśmiech na jego twarzy. Jeden jedyny raz widziano go śmiejącego się. Było to jesienią, gdy kanonik pośliznął się na mokrym pagórku i wpadł do glinianki.

Kanonik dobrze zapamiętał sobie ten śmiech. Od tego czasu nie pomija żadnej okazji, by ukarać i ukłuć małego dzikusa. Dzieci słyszą, jak mnich odwróciwszy się mruczy do siebie:

- Znajduch! Diabelskie nasienie, Boże, przebacz!...

...Ostatni raz Giacomo widział swoją matkę z okna hotelu w Livorno. Siedział na parapecie i patrzył na ulicę, gdzie przed wejściem do restauracji, której właścicielem był pewien Francuz, co chwila zatrzymywały się powozy i lektyki. To śmietanka Livorna zbierała się, by uczyć w ten wieczór słynną śpiewaczkę tokańską Franceskę Mollę, matkę Giacomę.

Od wczesnego dzieciństwa chłopiec przywykł do taniej elegancji drogich hoteli, poduszek najemnych karet, waliz i pudeł kartonowych, jedwabnych sukni i fałszywych klejnotów, porozrzucanych po dywanach chwilowych mieszkań. Jak we śnie przesunęły się przed jego oczyma miasta z gotyckimi katedrami i wąskimi uliczkami. Italia! Kraj górskich pini, oliwek i czcigodnych ruin! Ale matkę niewiele interesowały sławne ruiny. Uniżona służba - i gburowaci, bezczelni impresariowie; błyszczące parkiety - i brudna bielizna wetknięta za zwierciadło; perły na szyi matki - i zapach wina z jej ust, gdy w nocy pochylała się czasem

nad nim z szelestem jedwabiu i złotogłowiu...

Chłopiec urodził się w Wenecji i jego najwcześniejsze wspomnienia związane są z tym miastem dożów, kondotierów, kupców i żebraków. Jako dziecko karmił wraz z matką ufne gołębie na placu Św. Marka i wchodził na kamienne stopnie Mostu Westchnień.

Zachował w pamięci dom z rzeźbionymi wieżyczkami, podobny do pałacu, i odgłos kroków pod łukowym sklepieniem bramy, za którą pluskała woda kanału. Przepływały tamtędy czarne gondole o wysokich dziobach, z rozmownymi gondolierami, którzy stojąc na rufie zręcznie wiosłowali jednym wiosłem. Giacomo pamiętał marmurowe posągi stojące po wszystkich kątach tego domu, półmiski z herbami, wyobrażającymi lwa, i półmrok salonów z wysokimi, sięgającymi sufitu zwierciadłami, o oknach ocienionych złocistymi falami jedwabnych stor.

Jak przez mgłę pamiętał jeszcze dumną twarz wysokiego mężczyzny, pierścienie połyskujące na jego palcach i szafirowy aksamit jego koletu. Służba tytułowała go „ekscelencją”, a matka mówiła do niego po prostu „mój Paolo”. Chłopczyka nauczono, że ma do niego mówić „jaśnie wielmożny panie” i całować go w rękę.

Giacomo miał zaledwie pięć lat, gdy wszystko to nagle się skończyło. Przed portalem wysiadł z gondoli stary siwowłosy pan w czerni. Miał chude, kościste palce, pierścień z takim samym herbem jak Paolo i twarz dokładnie taką jak Paolo, tylko pokrytą zmarszczkami i jeszcze dumniejszą.

Wszedłszy do salonu, gdzie stały kosze kwiatów przywiezione poprzedniego wieczoru z teatru przez służącą matki, stary pan poprzewracał kosze, podeptał kwiaty i zamknął się razem z Paolo w jego pokoju. I od razu wszystko się zmieniło. Matka zabrała Giacoma i wyjechała z domu z rzeźbionymi wieżyczkami. Zamieszkali w małym hoteliku koło teatru.

Paolo przyjechał jeszcze raz, zostawił na stole ciężką sakiewkę i na długo znikł z życia chłopczyka. Dopiero w pięć lat później jego stara niania, która nie opuściła swej pani w dniach poniewierki, powiedziała mu, że to był jego ojciec. Lecz nigdy nie dowiedział się nawet, jak się ten ojciec dokładnie nazywa...

Genua... Neapol... Rzym... Tu, w Wiecznym Mieście, chłopczyk po raz pierwszy był w teatrze. Z łoży obitej pąsowym pluszem słuchał śpiewu matki i widział kwiaty rzucane do jej stóp. Potem wyjechali kareta wraz z malarzem Albertino Vitellim w rodzinne strony matki, do Rawenny.

Wkrótce kieszenie Albertina okazały się puste i signora Francesca sama udała się w dalszą drogę.

Przez następnych parę lat chłopczyk wychowywał się u swej babki, w malutkim domku wśród winnic tokańskiej równiny. A gdy babka umarła, odwieziono go znów do matki. Obsypała go pocałunkami i od razu powiozła do Mediolanu.

Giacomo skończył dziesięć lat, gdy przyjechała z nim do Livorno. Zatrzymali się w dużym hotelu. Okna pokoju zajmowanego przez chłopca i starą nianię wychodziły na ludną ulicę, przy której mieściła się francuska restauracja, gdzie wielbiciele signory Franceski urządzili ucztę na jej cześć. W sali grała muzyka i rozlegały się co chwila głośnie oklaski.

Chłopiec widział, jak przed restauracją zatrzymała się kareta z herbem wyobrażającym lwa. Z karety wysiadła młoda para. Przed oczami Giacoma, siedzącego na parapecie, mignął pióropusz na kapeluszu wysokiego mężczyzny. Postać tego pana wydała się chłopcu jakby skądś znajoma. Dojrzał jeszcze wysoko upiętą fryzurę towarzyszącej mu pięknej damy. Para weszła do restauracji. Giacomo chciał już zejść z parapetu, gdy wtem w restauracji wszczął się tumult. Dochodziły stamtąd krzyki, odgłosy przewracanych stołów, brzęk tłuczonego szkła, na oknach migwały cienie. Na ulicę wypadł przestraszony lokaj. Niania Giacoma też podeszła do okna. Nagle plasnęła w dłonie i wydała okrzyk przerażenia: z restauracji wyszedł wysoki pan niosąc na rękach nieruchome, zalane krwią ciało damy z wysoko upiętymi włosami i ostrożnie ułożył je na poduszkach karety z wizerunkiem lwa. Kareta natychmiast

odjechała. Teraz w drzwiach restauracji ukazało się czterech policjantów, którzy wywlekli na ulicę rozczochraną matkę Giacomą i wyrwali jej z ręki sztylet.

W kilka dni potem właściciel hotelu wprowadził urzędnika policji do pokoju, w którym przycichły Giacomo siedział w kącie wraz ze swą nianią.

Wy tłumaczono chłopcu, że jego matka została skazana na dożywotnie więzienie za zabicie w porywie zazdrości hrabiny d'Ellano. Wtedy to stara niania, lamentując nad dzieckiem, wyznała wśród łkań urzędnikowi policji, że mąż zamordowanej to właśnie „eccelenza Paolo”, z którym razem przeżyli parę lat w Wenecji, i że jest on ojcem Giacomą.

Urzędnik kazał starej wynosić się z hotelu i natychmiast opuścić miasto, a chłopca zabrał ze sobą.

Giacomo znalazł się w domu o łukowych sklepieniach, z grubymi kratami w oknach. Urzędnik policji, który nazywał się Gabriel Moletti, długo wypytywał chłopca o życie jego matki i oświadczył mu, że signor Paolo nie potwierdził słów starej nianki i nie chce nic wiedzieć o krewnych zabójczyni.

W rzeczywistości Gabriel Moletti nawet na oczy nie widział signora Paolo. Interesowało go tylko jedno - jakby przywłaszczyć sobie droższe rzeczy i kosztowności signory Franceski, które po jej aresztowaniu pozostały bez jakiegokolwiek dozoru. Wyprawiwszy z miasta starą niankę, Moletti wspólnie z właścicielem hotelu po prostu ograbił skazaną. Następnie sporządził oficjalny spis jej rzeczy i przedstawił go policji. Hrabia d'Ellano nie chciał być obecny na rozprawie sądowej swej byłej przyjaciółki. Nie wiedział też nic o losie Giacomą i nikt mu nie wspomniał o chłopcu. Pograżony w głębokim bólu wyjechał z Livorno do Wenecji. Chłopiec, oszukany przez Gabriela Moletti, nie podejrzewał nawet, że jego ekscelencja wyjeżdża nie wiedząc o tym, że Giacomo znajduje się w Livorno. W ogóle Giacomo odniósł się sceptycznie do słów nianki i uznał za rzecz naturalną, że taki wielki pan nie chce się interesować jego dalszym losem.

Widząc, że chłopiec z obojętnością przyjął jego kłamliwe oświadczenie, Gabriel Moletti uspokoił się i posłał po mnicha z przytułku Św. Magdaleny. Mnich zabrał chłopca i mizerną sumę osiągniętą ze sprzedaży nędznych resztek rzeczy signory Franceski, figurujących w oficjalnym policyjnym protokole, a pozostawionych łaskawie chłopcu przez pana Moletti. Signor Moletti zgarnął do swej kieszeni dwa tysiące skudów, prawie tyle samo zarobił właściciel hotelu, a mały Giacomo już oto trzeci rok co rano słyszy głos dzwonka, otrzymuje codzienną porcję bicia od swych rówieśników z przytułku i równie częste pouczenia różgą od ojca kanonika.

...Niedziela. Dzieci wyszły do klasztornego ogrodu. Niektórym udało się wymknąć za ogrodzenie i teraz po cichu wypraszają jałmużnę u kawalerów i dam przejeżdżających drogą do miasta.

Giacomo skrobie i patroszy w kuchni ryby. Trzepocące ciała żywych karp z klasztornego stawu, srebrzysta łuska oblepiająca jego ręce, a nawet twarz, mieniające się tęczo-pęcherze - to wszystko przejmuje chłopca wstrętem. Nienawidzi zapachu ryb i dlatego kanonik kazał go zawsze za karę posyłać do kuchni, aby skrobał ryby.

Giacomo ma podbite oko, ale i trzech jego wczorajsi przeciwnicy przez całą noc stękali i przewracali się na swych siennikach.

W kuchni panuje ożywiona krzątanina. Ojciec przeor przyjmuje dziś jakichś ważnych gości z miasta. W głębokiej brytfannie skwierczy, pokrywając się brązową skórką, tłusty kapłon wymoczony uprzednio w białym winie. Młoda naszpikowana indyczka roztacza upajający zapach. Chudy, zawsze trochę głodny Giacomo wie doskonale, że indyczka wcale nie jest przeznaczona dla gości przeora. Zaraz służący zaniesie ją do pokoju padre, kanonika z sierocińca.

Wąskim kuchennym nożem chłopiec otwiera brzuch ogromnej ryby, którą z trudem wyjął z szaflika. Ryba bije ogonem i Giacomo boleśnie kaleczy sobie palec ością. Zalewa go fala

wściekłości.

Dwaj kucharze, wyjąwszy z pieca indyczkę, wychodzą do spiżarni. Chłopiec przyskakuje do stołu, wyjmując z brzucha indyczki pieczone jabłka, napycha ją brudnymi rybimi patrochami i lepką łuską, starannie maskuje otwór i... szybko wkłada do ust pieczone jabłko, ociekające gorącym tłustym sokiem...

Straszliwy ból wyciska mu łzy z oczu, ale kucharze już wrócili i Giacomo krztusząc się trzyma w ustach gorący kąsek.

Kucharz kładzie indyczkę na półmisku, garniruje oliwkami, truflami i zieleniną i służący niesie dymiące pieczyście na górę. Tam, w skromnej celi kanonika, uroczyście stawia półmisek na stole przykrytym już białym obrusem i zastawionym butelkami. Kanonik z surowo zaciśniętymi wargami wznosi oczy ku niebu i zasiada do uczyty...

Jeszcze Giacomo nie zdążył oczyścić rąk i ubrania z lepkiej rybiej łuski, gdy do kuchni wpadł jak huragan służący kanonika. Nikt nie zauważył, że mały kuchcik ukrył pod sutanną kuchenny nóż. Oto winowajcę zaprowadzono do pustej klasy, gdzie ma się odbyć egzekucja, i teraz dopiero rozpętuje się burza. Padre ciska gromy i błyskawice, a chłopiec, rozciągnięty na ławce, otrzymuje taką porcję różg, której starczyłoby aż nadto na cały rok codziennej „kary cielesnej”.

Następnie wloką „przestępcę” do ciemnej komórki i zamykają na klucz. Mały więzień siedzi tu do wieczora, a kanonik, któremu znów nawinęła się na oczy nieszczęsna indyczka, idzie do niego, by mu powtórnie dać nauczkę. Przez szparę w drzwiach Giacomo widzi twarz kanonika mocującego się z zamkiem. W ręce padre trzyma wąski rzemyk ze sprzączką.

Górna warga chłopca unosi się jak u młodego wilczka szczerzącego kły. Drzwi się otwierają... i nagle przeraźliwy krzyk bólu i strachu rozdziera powietrze.

Ze wszystkich stron zbiegają się dzieci, nawet odźwierny zwlókł się z posłania i przykuśtykał na swych potwornych nogach-słupach. Na ziemi przed otwartą komórką leży padre i w przerażeniu przyciska do brzucha skrwawione palce. A przez dziedziniec, z rozwiniętymi połami, pędzi Giacomo z nożem w ręce.

Tej nocy trzynastoletni chłopiec uciekł z przytułku. Kanonik, poważnie ranny w brzuch, postawił na nogi całą policję, lecz zbiega nie udało się odnaleźć.

Po długiej pieszej wędrówce, utrzymując się z jałmużny, pewnego poranka ujrzał Giacomo w pierwszych promieniach słońca dymek nad Wezuwiuszem. Zawędrował aż do Neapolu. Lecz ten poranek mógł się stać dla niego ostatnim w życiu, albowiem wyczerpany trudami i głodem runął bez czucia na brzegu zatoki.

Ocknął się na barce rybackiej Rodolfa Cenni. Krzepki, ogorzały rybak z wyspy Capri stojąc manewrował żaglami. U jego nóg bawiła się czteroletnia czarnooka Dorotea, a żona Rodolfa, młodzianka Angelica, przekładała na rufie wiezione z Neapolu zakupy.

Rodzina Cennich przygarnęła bezdomnego sierotę i całe cztery lata spędził chłopiec wśród skał i winnic Capri. Wyrósł na muskularnego, silnego młodzieńca, nauczył się obchodzić z żaglami, wiązać węzły marynarskie i pływać jak delfin. Nosił już nóż u pasa i towarzyszył Rodolfowi w jego wyprawach na Sycylię, na Korsykę i do portów południowej Francji. Rodolfo Cenni uprawiał kontrabandę i nieraz się zdarzało, że jego barka wracała do zacisznej zatoki na Capri z świeżymi dziurami w smolnym drzewie burt. Pewnego dnia Giacomo wrócił z takiej wyprawy z kulą francuskiego celnika w łydce. Gdy Rodolfo ją wyjął i wypalił ranę prochem, chłopak zawiesił sobie tę kulę w postaci wisiora na szyi i chlubił się nią przed rówieśnikami.

W szesnastym roku życia Giacomo po raz pierwszy zetknął się z człowiekiem, któremu potem zawdzięczał swe nazwisko.

W pobliżu Wysp Liparyjskich rozbił się w czasie burzy niewielki żaglowiec angielski i w

chatce Rodolfa Cenni znalazł się jeszcze jeden ocalony, angielski Marynarz Bartholomew Grelley. Pijak i bezdomny włóczęga jak Giacomo, tyle że już z przyprószonymi siwizną rudymi włosami, wyniósł z katastrofy wszystkie trzy gwinee, przesiąkniętą potem koszulę i niewyczerpany zasób opowieści o swych wędrówkach po morzach i ładach.

Człowiek ten pozostał u Cennich przez rok, aż do wypadków, które miały przynieść zasadniczą zmianę w życiu Giacomu i jego przyjaciół.

Razem z nowym mieszkańcem chatki, którego włoscy rybacy nazywali po prostu Bartolomeo Grelli, rybak Cenni i jego siedemnastoletni wychowanek podjęli nader niebezpieczne przedsięwzięcie. Przez kilka granic włoskich królestw, księstw i republik przemycili partię broni do Szwajcarii dla tyrolskich powstańców. Nie było ich blisko miesiąc i wrócili na Capri bez Bartolomea Grelli. W drodze powrotnej, kiedy już pozostały za nimi najgroźniejsze kordony policyjne i górskie przełęcze lądowego odcinka ich marszruty, barkę Rodolfa Cenni dosięgnął pocisk armatni ze statku patrolowego. Świszczący ołowiany grad oszczędził tylko Giacomu. Rodolfo i Bartolomeo odnieśli poważne rany. Giacomo, który musiał sam dać sobie radę z barką, wysadził Bartolomea pod Sorrento, pozostawiając go u znajomych rybaków, a rannego w bok Rodolfa przywiózł do domu. Po pięciu dniach Rodolfo wyzionął ducha. Jego doczesne szczątki wbrew spodziewaniu przyjęło nie morze, lecz mały cmentarzyk pośród przybrzeżnych skał Capri.

Pusto i smutno zrobiło się teraz w rybackiej chatce. Przez dwa dni żywili się resztkami ze stypy pogrzebowej, po czym Giacomo, któremu Rodolfo powierzył przed śmiercią opiekę nad osieroconą rodziną, począł szykować do drogi wdowę i jej córeczkę. Postanowili, że wyjadą one do Sorrento, skąd pochodziła Angelica. Tam Angelica kupiła mały domek z winnicą i kilkoma drzewkami pomarańczowymi. Giacomo pomógł jej się urządzić na nowym skromnym gospodarstwie, a potem odnalazł Bartolomea i wraz z nim odpłynął na szwedzkim statku na morza północne, pozostawiając wdowie wszystkie otrzymane z góry pieniądze. Spędził na morzu dwa lata, nauczył się odczytywać mapy żeglarskie i posługiwać się kompasem, busolą i sekstantem. Bartolomeo Grelli przekazał mu całe swe niemałe doświadczenie i szturman-Norweg wziął go na swego pomocnika.

...W tych czasach spokojne miasteczka północno-zachodniej Europy rozbrzmiewały ogłuszającym łoskotem żołnierskich bębnow. Toczyła się rujnująca wojna pomiędzy wiarołomnym i łasym na cudze ziemie Fryderykiem Pruskim a odwiecznymi włodarzami Europy. Królowie Francji i Szwecji, cesarz austriacki i rosyjska caryca wysyłali wojska przeciwko armii pruskiej. Wylądowawszy w Stralsundzie Bartolomeo i dwudziestoletni podówczas Giacomo u schyłku 1757 roku zaciągnęli się w służbę króla szwedzkiego.

Ponad dwa lata Giacomo i jego starszy towarzysz wiodli tułaczy żywot żołnierski. Dwudziestotysięczna armia szwedzka pustoszyła miasteczka Pomorza i Brandenburgii zadowalając się miernymi łupami, lecz nie miała odwagi uderzyć na Berlin, serce wrogiego królestwa. Latem staczała bitwy i uprawiała rozbój w pruskich prowincjach, po czym wracała na wybrzeże, do Stralsundu, gdzie w ciągu paru miesięcy zimowych dzielono łupy. Przedsiębiorczy Giacomo zaczynał już mieć dość takiej wojny.

Pewnego razu, gdy pikiety konnicy pruskiej nieoczekiwanie zaatakowały w marszu oddział szwedzki, w którym służyli Bartolomeo i Giacomo, zadając mu poważne straty - głównodowodzący armii szwedzkiej hrabia Hamilton zwrócił uwagę na odważnego młodego Włocha. W nierównej walce Giacomo na oczach swego generała rozprawił się z grupą nieprzyjacielskich żołnierzy, kładąc kilku trupem na miejscu i zmuszając pozostałych do ucieczki.

Po bitwie, ledwo tylko Giacomo zdążył odetchnąć i otrzeć skrwawione ostrze rapieru, hrabia Hamilton kazał przyprowadzić młodego żołnierza do swego namiotu i spytał go o nazwisko. Stary Bartolomeo zgłosił Giacomu do wojska pod swoim nazwiskiem, przekreślonym przez włoskich rybaków, i pod tym nowym nazwiskiem Giacomo został mianowany dowódcą

plutonu.

Ten pluton składał się z gotowej na wszystko ludzkiej zbieraniny. Bartolomeo znalazł się teraz pod komendą swego ucznia. Wszyscy uważali młodego Włocha za syna lub też brata siwego żołnierza.

Pewnej jesiennej bezksiężycowej nocy oddział zatrzymał się na biwak pod jakimś złupionym miasteczkiem brandenburskim. Żołnierze z plutonu Grellego ze śmiechem otoczyli wózek wędrownego markietanki, od kilku tygodni jadący w taborze armii. Markietanka, starsza już kobieta, której żołnierze Giacoma wywrócili nędzny kramik, wrywała się rozpaczliwie z rąk Bartolomea Grellego, Woodrowa Craga i Giuseppe Lorano.

Głos kobiety wywołał w pamięci Giacoma jakieś mgliste, dawno zapomniane obrazy. Powstrzymał rozhulanych żołnierzy, podniósł latarnię ku twarzy markietanki i... poznał swą matkę, zwiędłą i osiwiałą.

W namiocie markietanki przycichli żołnierze, najbliżsi przyjaciele Giacoma, usłyszeli smutną opowieść signory Franceski Molla. Amnestia z okazji narodzin następcy tronu Toskanii przyniosła jej wolność. Została jednak skazana na dożywotnie wygnanie z Włoch. Losy zawiodły ją do Francji, potem do Niemiec, a w końcu rzuciły postarzałą signorę aż tu, do taboru armii szwedzkiej.

Syn opowiedział jej o historii z Gabrielem Moletti i teraz dopiero zrozumiał, że został ograbiony przez urzędnika policji.

Wraz z Bartolomeo i dwoma innymi marynarzami, nazwiskiem Giuseppe Lorano i Woodrow Crag, którym też, już się znudziła wojna lądowa, Giacomo porzucił armię szwedzkiego króla i zabrawszy z sobą matkę, postanowił wrócić do Sorrento. Znalazłszy się w południowej Francji wszyscy pięcioro osiedlili się na pewien czas w Marsylii, gdzie signora Francesca pozostała już na zawsze. Tu, u schyłku życia, wstąpiła po raz pierwszy w legalny związek małżeński. Mężem jej został Bartolomeo Grellego, który otworzył sobie w porcie sklepik z tytoniem. Po niedługim, zgodnym pożyciu oboje małżonkowie zmarli w jednym roku podczas epidemii cholery.

Gdy Giacomo zjawił się w malutkim domku na przedmieściu Sorrento, Angelica piastowała pięcioletniego Antonia, który urodził się wkrótce po śmierci Rodolfa. Dorotea skończyła już czternaście lat i zapowiadała się na skończoną piękność. Ujrawszy Giacoma rzuciła mu się na szyję piszcząc z radości.

W domu panowała nie dająca się ukryć nędza. Przyjazd Giacoma uratował rodzinę od śmierci głodowej.

Przy pomocy przyjaciół, Lorano i Craga, Giacomo wyremontował domek, a nawet odszukał na wybrzeżu starą barkę Rodolfa. Nakupił też strojów dla Dorotei i słodczy dla jej brata Antonia, lecz na tym skończyły się resztki pieniędzy brzęczących w kieszeniach byłego żołnierza armii szwedzkiej.

W kilka miesięcy później Giacomo wybrał się z przyjaciółmi do Livorno, gdzie się dowiedział, że jego krzywdziciel, Gabriel Moletti, został spensjonowany i mieszka we własnej podmiejskiej willi.

...Były urzędnik policji książęcej, a obecnie właściciel ziemski świeżo upieczony patrycjusz zażywał sjęsty poobiedniej na tarasie swej willi o oknach wychodzących nad nadmorską plażę. Winnice i kwiaty wokół domu cieszyły oczy właściciela. W błogiej ciszy popołudnia rozbrzmiewało kojące brzęczenie owadów, w rozdrzanym powietrzu szybowały motyle. Był upalny, sierpniowy dzień 1762 roku.

Szelest w krzakach pod samą werandą, gdzie odpoczywał w fotelu na biegunach signor Gabriel Moletti, trochę go zdziwił, gdyż ogolone policzki signora nie odczuły najłżejszego powiewu wiatru. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą bardzo gniewną twarz nieznanego kawalera w berecie, a na stopniach werandy jeszcze dwóch młodych ludzi z równie groźnymi minami i ze szpadami u boku. Służba znajdowała się w tej chwili na tyłach domu i signor

Moletti znalazł się sam jeden w towarzystwie trzech nieproszonych gości.

Panowie ci w dość kategorycznym tonie poprosili gospodarza domu do gabinetu i tu przedłożyli mu dyplomatyczne ultimatum w formie trzech czarnych pistoletów żądając, aby natychmiast wyłożył na stół pięć tysięcy skudów w gotówce.

Wymijająca odpowiedź pana Moletti sprawiła, że trzej kawalerowie zadali sobie trud zrewidowania gabinetu; znaleziona książeczka czekowa niedbałym ruchem została wsunięta do jednej z licznych pustych kieszeni, zaś właściciel - starannie związany i opakowany. Pozostawiwszy tak przygotowanego do drogi pana domu pod opieką Craga, Giacomo i Giuseppe osiedłali w stajni - bez najmniejszego sprzeciwu ze strony osłupiałego stajennego - trzy najlepsze konie i odjechali z oryginalnym bagażem w góry.

Tu, w zacisznej grocie, Giacomo przypomniał panu Moletti pewne epizody z przeszłości i signor przyznał się do wszystkiego, nie omieszkałszy wspomnieć o udziale hotelarza w przywłaszczeniu mienia signora Franceski.

Ażeby się nie trudzić obliczaniem procentów i innymi zawiłymi a nudnymi rachunkami, Giacomo oszacował wysokość poniesionej przez niego straty na mniej więcej pięć tysięcy skudów, co było isticie rycerskim gestem z jego strony. W rezultacie przywiózł z banku owe pięć tysięcy, wypłacone mu na czek podpisany przez pana Moletti. Następnie trzej przyjaciele rozpakowali swego jeńca i przywiązali go, w nieco zredukowanej toalecie, do siodła na koniu. Dobrze obznajmiony z bykowcem Giacomo powtórzył na grzbiecie przywiązanego signora wszystkie lekcje teologii, jakie pobierał niegdyś na własnym grzbiecie dzięki pedagogicznemu zapałowi padre kanonika. Gdy spieniony koń przygnał do domu ze swym panem, nikt nie miał nadziei, że jeszcze kiedyś otworzy oczy. A jednak Gabriel Moletti przeżył to, a nawet postawił w przydrożnej kapliczce grubą świecę z czystego pszczelego wosku w dowód wdzięczności za cudowne ocalenie.

Jeszcze gdy skruszony signor leżał zawinięty w pieczarze pod strażą nieskorego do rozmowy Craga, Giacomo i Lorano jako znakomici podróżni przybyli do hotelu w Livorno... „Znakomici podróżni” zażądali pokoju, którego okna wychodziły na przeciwległy dom. Giacomo spojrział na znajomy parapet i na restaurację znajdującą się naprzeciwko, tylko już ze zmienionym szyldem. We właścicielu hotelu rozpoznał bez trudu swego starego znajomego.

Poprosiwszy hotelarza do pokoju i usadowiwszy go na kanapie, Giacomo i Giuseppe odegrali przed nim scenę mimiczną, przedstawiając dokładnie wszystkie szczegóły przyścia urzędnika policji i hotelarza do pokoju, w którym -czternaście lat temu - siedzieli cichutko nianka i dziecko. Ta udramatyzowana karta z biografii właściciela hotelu wywarła na nim odpowiednie wrażenie. Podobnie jak signor Moletti, usiłował zwalić całą winę na współnika i wybielić siebie. Wyraz twarzy „znakomitych podróżnych” kazał mu wszakże błagać o litość i posłusznie pójść po pieniądze. Jego uległość okazała się jednak udana; nie bacząc na konwój w osobie Giuseppe Lorano, hotelarz próbował dać umowny znak służącemu, by pobiegnął na policję. Służący został natychmiast schwytyany i zamknięty w komórce, jego pana zaś, który do ostatniej chwili był przekonany, że zaraz zjawi się policja i odbierze bandytom jego pieniądze, Giacomo własnoręcznie powiesił na haku lampy pośrodku pokoju.

W kilka dni potem jakiś wysoki młody mężczyzna o orlim nosie odwiedził przytułek Św. Magdaleny przy klasztorze oo. franciszkanów na peryferiach Livorno. Gdy jednak usłyszał od staruszka-odźwiernego, że padre kanonik zmarł nagle na skutek niestrawności, odwrócił się i odszedł w pokoju.

...Wkrótce od Lombardii po Sycylię rozeszły się słuchy o szajce okrutnych i nieuchwytnych bandytów. W biały dzień pojawiali się nagle w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i znikali bez śladu. Tylko przedmieścia Sorrento nie obawiały się ich napadów.

Niekiedy nocą Giacomo zjawiał się w domku rybackim, a piękna Dorotea Cenni, ku zazdrości przyjaciółek, zaczęła się stroić jak mała księżniczka. Gdy Dorotea przyznała się matce, że

kocha „bandytę Giacomą”, Angelica uczyniła nad nią znak krzyża i cały wieczór klęczała przed obrazem Madonny.

...Przeszło dwa lata banda Giacomą, składająca się zaledwie z trzech mężczyzn, których łączyły więzy długoletniej przyjaźni, bezkarnie grasowała po całych Włoszech i południowej Francji. W końcu jednak kompania jejrów królewskich wyparła bandytów na sam brzeg jednej z zatok sycylijskich. Trzem przyjaciółom, którym kończyły się już naboje, nie pozostawało nic innego, jak tylko skoczyć do morza z urwistej skały. Otoczywszy skałę zwartym pierścieniem jejrzy zachodzili już od strony wody. Los bandytów zdawał się być przesądzony.

Tymczasem w zatoce ukazał się długi szkuner o brudnych burtach, z czarną szmatą na gaflu zamiast bandery. Na mostku stał mężczyzna z czarną opaską na oku. Gdy szkuner zbliżył się do brzegu, na oczach kapitana ze skały rzuciły się w dół, „jaskółką” trzy gibkie ciała i poczęły szybko płynąć w stronę jego statku. Z brzegu posypały się gęste strzały wzbijając fontanny wody wokoło głów płynących. Jednakże udało się im szczęśliwie dopłynąć do szkunera, który przyjął ich na pokład, wykonał zwrot i pod pełnymi żaglami umknął w błękitną dal Morza Tyrreńskiego, uwożąc ze sobą cenny nabytek...

Wszyscy trzej okazali się ludźmi biegłymi w morskim rzemiośle i kapitan Bernardito Luiz wkrótce zrobił Giacomą swym zastępcą, Giuseppe Lorano - szturmanem, a Woodrowa Craga - bosmanem „Czarnej Strzały”.

Przez trzy lata krążył Bernardito po Morzu Śródziemnym, a potem, przekradłszy się przez Gibraltar, pożeglował na wody Oceanu Indyjskiego.

I oto nadeszła noc z osiemnastego na dziewiętnastego kwietnia 1763 roku, gdy szkuner „Czarna Strzała” zawładnął brygantyną „Ophir”. O świcie padli ostatni obrońcy brygantyny. Do kajuty Grellego odniesiono zemdloną Emilię i odprowadzono na pół żywego ze strachu Mortona. Ciało ciężko rannego obrońcy Emilię, sir Fredericka Rilanda, pozostało na pokładzie „Ophiru” obok trupa starego pana Nathaniela Gardy.

...Zataczając się jak pijany, Grelli wyszedł za piratami. Nad mokrym pokładzie uchwycił się relingu i spojrzał na horyzont. Z północy nadciągała czarna ściana huraganu. Wiatr zrywał już takielunek i straszliwa ulewa runęła na dachy pokładowych nadbudówek brygantyny. Cumy utrzymywały ją przy burcie pirackiego szkunera, z którego przerzucono już wąski trap.

Na morzu, w odległości zaledwie mili, widać było francuską korwetę. Zrzucano tam w pośpiechu ostatnie żagle...

5

...Była już godzina ósma rano, lecz sztorm przesłaniał niebiosa. Dwa żywioły, powietrze i ocean, zlały się w jedno; wokół nic nie było widać prócz spienionych grzebieni rozszalałych fal.

Wichura zakręciła dwoma złączonymi ze sobą statkami, „Ophirem” i „Czarną Strzałą”, i poniosła je niby skorupki jajka rzucone na wodospad. Nie było czym oddychać, ludzie zachłystywali się wiatrem gorzej niż wodą. Wiatr już nie zmiatał, lecz miażdżył wszystko na swej drodze jak sunący naprzód mur. Trzy maszty „Czarnej Strzały” runęły na brygantynę, strzaskawszy jej nadbudówki pokładowe i splątawszy takielunek obu okrętów w chaotyczny węzeł. Załoga pokładowa, próbująca rozdzielić okręty, została zmyta za burtę przez potworną falę, która runęła na oba statki z takiej wysokości, że na chwilę pogrzebała w odmętach i szkuner i brygantynę. Lecz nędzne łupinki, w których wnętrzu zaszyły się żywe istoty, znów wynurzyły się na powierzchnię. Nikt nie próbował już otwierać luków i oba statki w zupełności zdały się na łaskę i niełaskę wiatru i fal.

Gdy nadleciał huragan, Grelli padł na pokład „Ophiru”, pełzając na czworakach dotarł do

włazu i zamknął go nad głową w momencie, gdy na brygantynę runęły maszty „Czarnej Strzały”. Znalazł się teraz w kompletnych ciemnościach. Nagły wstrząs okrętu cisnął nim gdzieś w bok. Giacomo uderzył głową o bims i stracił przytomność.

Lecz oto powoli zgrzyt i dygotanie wszystkich części okrętu poczęły słabnąć i statek znów zakołysał się jak na zwykłej sztormowej fali. Grelli ocknął się z zamroczenia i spróbował wstać. Z trudem stawiał kroki, jak człowiek ciężko chory.

Nagle gdzieś tuż obok rozległ się niezbyt głośny, lecz dla ucha doświadczonego marynarza iście złowieszczy trzask. Deski podłogi znów zaczęły uciekać spod nóg Grellego i przybrały pozycję pionową. Słysząc było szum i plusk wody. Giacomo znów potoczył się w kąt, lecz zdołał uchwycić się trapu, namacał właz, otworzył go i znalazł się na pokładzie.

Był wieczór 20 kwietnia. Morze było wzburzone, lecz huragan przewalił się już dalej, cisnąwszy na koniec okręty na rafę podwodną. Kadłub „Ophiru” ocalał, natomiast „Czarna Strzała” nadziała się na podwodną skałę.

Ale i z „Ophirem” było kiepsko. Rozchwiane grodzie wewnętrzne ustąpiły i woda, która wdarła się do ładowni, przy przechyle okrętu runęła ku części rufowej; brygantyna z zanurzającą się szybko rufą byłaby zatonała, gdyby splątany takielunek nie utrzymał jej u burty nadzianego na rafę szkunera.

Na „Czarnej Strzale” też zaczęli ukazywać się ludzie. Bernardito Luiz przechyliwszy się przez burtę zapytał Grellego, co dzieje się z „Ophirem”. Grelli odpowiedział jednym słowem, uważnie obserwując horyzont. Daleko, w odległości sześćdziesięciu, może osiemdziesięciu mil majaczył na niebie nikły zarys górskiego szczytu, wyglądający jak wąska ciemna chmurka. Wokół okrętu krążyły mewy i albatrosy. Bliskość lądu dodała otuchy piratom.

Położenie „Czarnej Strzały” było beznadziejne. Bernardito zebrał załogę, by jej zakomunikować swą decyzję. Postanowił przenieść wszystko, co się da, na „Ophir” i próbować na brygantynie dotrzeć do lądu widocznego na horyzoncie.

Piraci wybili dno z baryłki wina, pokrzepili się wędzonym mięsem i sucharami, po czym zabrali się do pompowania wody z ładowni „Ophiru”. Ładunek przenieśli do części dziobowej brygantyny, wyrównując w ten sposób różnicę w zanurzeniu rufy i dziobu, sporządzili maszt i wyrzuciwszy za burtę strzaskane maszty „Czarnej Strzały”, siekierami przecięli splątany takielunek. Teraz już tylko wąski trap i dwie cumy łączyły oba statki.

Załoga szkunera przeniosła swoje manatki na „Ophir” i Bernardito, z nieodłącznie towarzyszącym mu Pedro, udał się w ostatni obchód po starym okręcie.

Podczas gdy na pokładzie wrzała praca, dwóch piratów, Rudy Piu i Gruby Peter, znany z tego, że potrafił wypić na raz wiadro piwa, zajrzeli do kajuty Grellego na opustoszałym szkunerze. Młoda panna leżała na niskim tapczanie zasłanym brudnym dywanem; obok na ziemi kulił się Morton.

Peter schwycił Mortona za kołnierz i potrząsnął nim tak, że nogi kalkuckiego attorney na chwilę zawisły w powietrzu, po czym tęgim kopniakiem wyrzucił go za drzwi i sam usiadł koło panny.

- Zostaw ją, głupcze - ostrzegł towarzysza Rudy Piu - to zdobycz Leoparda.

- Gwizdź na Leoparda! - mruknął Peter, któremu resztki wina z baryłki dodały animuszu. - A tymczasem, Piu, nie przeszkadzaj, chcę się zabawić z tą ślicznotką...

Nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby sam groźny Bernardito nie wszedł w tej chwili do kajuty. Rudy Piu uznał za stosowne zniknąć z pola widzenia Bernardita. Gruby Peter zerwał się i czmychnął z zadziwiająco przy jego tuszy szybkością.

Bernardito nie widział jeszcze branki i teraz wbił w nią świdrujący wzrok. Emily mimo woli wstała, wyczuwając żelazną wolę stojącego przed nią człowieka.

- Proszę iść za mną - rozkazał pirat i zawrócił ku drzwiom.

Panna zrobiła krok naprzód i zachwiała się. Na znak Bernardita Pedro wziął ją jak piórko na rękę i poniósł za kapitanem.

Tymczasem piraci na „Ophirze” zdążyli już wyrzucić za burtę ciało pana Nathaniela Gardy. W chwili gdy Pedro, niosąc na rękach Emily, wstąpił na pokład brygantyny, bosman Bob Rekin i Leopard Grelli rozhuścili już nad burtą bezwładne ciało sir Fredericka Rilanda. Emily wyrwała się z rąk Pedra i rzuciła ku narzeczonemu. Piraci opuścili ciało na pokład. Emily przypadła do piersi Fredericka i wyczuła słabe uderzenia serca.

- On żyje! - krzyknęła.

Wtedy Bernardito, rzuciwszy chmurne spojrzenie na Leoparda, kazał odnieść rannego na rufę. Mimo straszego osłabienia, dreszczy i bólu głowy Emily urządziła dla chorego postanie i opatrzyła głęboką, zapiekłą ranę nad prawym obojczykiem.

„Ophir” szedł już pod dwoma żaglami w stronę lądu. Czarny wrak opuszczonego szkunera pozostał daleko za nimi.

Przeszło dobę jeszcze żeglowali piraci, nim dotarli do bezimiennej wyspy. Zapadła noc z dwudziestego na dwudziestego pierwszego kwietnia. Okręt opłynął wyspę od zachodu. Nie udało się znaleźć pośród skał zatoki, w której można by zakotwiczyć okręt. Przyływ osiągnął właśnie najwyższy poziom, gdy Bernardito dojrzał piaszczystą mierzęję w północnej stronie wyspy. Postanowił osadzić „Ophir” na mieliźnie, aby w czasie odpływu można było obnażyć dno dając mocny przeciek i przygotować okręt do dalszej żeglugi.

Grelli wezwał Mortona do dolnej kajuty i zażądał wydania mu papierów, które prawnik miał przy sobie. Wczytując się bardzo uważnie w te dokumenty Giacomo zadawał niekiedy Mortonowi krótkie pytania, domagając się dodatkowych informacji o Rilandzie i miss Gardy. W umyśle pirata począł już kiełkować śmiały plan...

Grelli tak był pogrążony w myślach, że nie słyszał, jak okręt przybił do brzegu. Gdy wyszedł na pokład, ujrzał w świetle zachodzącego księżyca wysokie przybrzeżne skały, a pod bukszprytem - wąską piaszczystą mierzęję pomiędzy dwoma urwiskami. Fale przyboju z monotonnym szelestem wpadały na piasek.

Zaczął się już odpływ. Marynarze wbili w piasek kołki i wynieśli dwie kotwice. W miarę odpływu zakotwiczona brygantyna z wolna przechylała się na prawą burtę, ukazując uszkodzone dno, i wreszcie całkowicie legła na mieliźnie.

Grelli nie znalazł na pokładzie ani panny, ani rannego. Zajrzał przez okno do kapitańskiej kajuty. Na koi leżał nieprzytomny Riland. Emily spała w fotelu, wtuliwszy rozpaloną twarz w poduszkę. Widać było, że jest chora. Morton ułożył się na podłodze.

Tymczasem Bernardito, stojąc na piasku, oglądał uszkodzenia okrętu. Obok czekała już łódź z dwoma wioślarzami. Kapitan wybierał się na brzeg, by rozejrzeć się w terenie.

- Giacomo! - zawołał Bernardito. - Ta balia wymaga naprawy. Wątpię, czy prędko uda nam się opuścić tę wyspę. Poszukam lepszego miejsca na postój. Na tej mieliźnie fale rozbijają brygantynę przy pierwszym sztormie. Przenieście tymczasem co cenniejszy ładunek na brzeg i dobrze ukryjcie wśród skał.

Bernardito wszedł do łodzi i popłynął wzdłuż wybrzeża. Grelli postawił na nogi ze dwudziestu ludzi. Wybrał niedużą rozpadlinę wśród skał i tam piraci przenieśli skrzynki ze sztabami srebra, drogimi kamieniami, belami jedwabiu i innymi towarami z ładowni „Ophiru”. Grelli ocenił ich wartość na dziesięć do piętnastu tysięcy angielskich funtów. Gdy wreszcie skończyli tę robotę, słońce stało już nad horyzontem. Grelli położył się w cieniu skał, by trochę odpocząć i zdrzemnął się. Czekало go niezbyt przyjemne przebudzenie...

Kiedy otworzył oczy, uderzyło go milczenie, w jakim pracowali piraci naprawiający dno. Nikt nie śpiewał, nawet przekleństwa rzucano półgłosem. Bernardito już wrócił, Grelli widział jego łódź do połowy wciągniętą na piasek.

- Hej, co się dzieje, Bernardito! - spytał głośno otrząsając z siebie resztki senności. - Po kiego diabła tak się spieszysz jak na wesele ukochanej córki?

Bernardito dał mu znak, by mówił ciszej.

- Na południowym wschodzie jest duża, dobrze ukryta zatoka. Stoi w niej francuska korweta.

Widocznie huragan też ją zagnał aż tutaj. Trzeba zmykać, póki nas nie zauważyli. Jeszcze Bernardito nie skończył, gdy zza skały, w odległości kilku kabli od mierzei, ukazała się nieprzyjacielska korweta. Dwa maszty ze świeżo zrąbanych pni i niepełne ożaglowanie świadczyły, że i korweta niezgorzej ucierpiała podczas burzy.

Piraci znaleźli się w matni. Z tyłu za nimi wznosiły się niedostępne urwiska skalne, przed nimi - wróg i morze! W ciągu sekundy Grelli zorientował się w sytuacji. Uratować mogłyby ich tylko nocne ciemności, pod ich osłoną można by uciekać wplaw z tej zdradzieckiej mierzei i ukryć się w głębi wyspy.

Bernardito stał już na pokładzie i wskazywał ludziom ich postępowanie bojowe. Niestety huragan zmiotł oba nieduże działka „Ophiru”. Piaszczysta mierzeja nie dawała osłony. Malutki skrawek lądu między skałami u początku mierzei stanowił wielce niedogodny teren dla działań bojowych, lecz nie było wyboru.

Korweta krążyła przez pewien czas w oddali, po czym podpłynęła bliżej. Jej kapitan dawno już zauważył obecność znajomej brygantyny zagrabionej przez piratów. Ukrywając się w zatoce przed nie podejrzewającymi zasadzkami piratami przygotował w ciągu nocy swój okręt do walki i równocześnie z wyjściem na morze wysłał dwudziestu strzelców, którzy mieli obsadzić przybrzeżne skały za mierzeją. Ujrzawszy przed sobą korwetę piraci nie przypuszczali, że Francuzi zajęli dogodną pozycję również na ich tyłach; usadowieni na grzbiecie skalistego grzebienia żołnierze francuscy mogli trzymać pod ostrzałem cały niewielki teren pod skałami.

Gdy korweta zbliżyła się na odległość półtora kabla, otworzyła ogień z dział burtowych - kartaczami, kulami, pociskami zapalającymi. Bernardito spadł z burty brygantyny i piratów na mierzei ogarnęła panika. Ostrzeliwując się słabo, kryli się za kadłubem „Ophiru”, lecz celne pociski dwudziestu dział bijących z bliskiej odległości podziurawiły okręt jak sito i wzniciły na nim pożar. Żar ognia, iskry i dym wyparły ocalałych piratów aż do podstawy mierzei. Wtedy to gruchnęła salwa ze szczytu urwiska. Piraci miotali się pomiędzy skałami i okrętem, a żołnierze systematycznie, z zimną krwią strzelali do nich jak do zajęcy.

Korweta, na której po huraganie nie zostało ani jednej łodzi, nie mogła od razu wysadzić desantu. Kapitan postanowił więc czekać na przyptyw, aby podejść bliżej mierzei i wtedy wysłać tam ludzi celem obejrzenia miejsca bitwy.

Brygantyna stała w płomieniach. Na mierzei zasłanej dymem jęczeli ranni. Od czasu do czasu padał strzał z urwiska, gdy tylko z góry zauważono najmniejszy ruch.

Kiedy bitwa się zaczęła, Giacomo znalazł się za osłoną niedużego skalnego osypiska. Wygrzebał rękami dołek w piasku i wyjął pistolet. Miał w zapasie jeden jedyny nabój - całą broń i amunicja pozostały na brygantynie. Wokół na różne tony świszczały kule. Łódź Bernardita wciąż jeszcze leżała na piasku. Dwaj piraci, którzy usiłowali zepchnąć ją na wodę, padli pod kulami. Gdy piraci zaczęli grupkami uciekać od płonącego okrętu w stronę skał, Grelli zauważył jakiś ruch na przechylonym pokładzie brygantyny. W oknie na mostku kapitańskim ukazała się głowa panny i łysa czaszka Mortona. Dźwigali oboje rannego, który wciąż jeszcze nie odzyskał przytomności. Potem gęsty dym przesłonił pokład i przez parę minut Grelli nic nie mógł dojrzeć. Szukał wzrokiem Bernardita i doszedł do wniosku, że kapitan zginął przy jednej z pierwszych salw.

Rozejrzawszy się dokoła Grelli zobaczył w pobliżu nieduży krzak w rozpadlinie skalnej, zwieszający się tuż nad wodą. Powyżej krzaka, na zwróconej ku morzu ścianie urwiska, czerniał otwór niewielkiej grotki. Jednocześnie Grelli usłyszał szmer przed sobą i poprzez dym ujrzał pannę i łysego grubasa, którzy czołgali się wlokąc po piasku swego rannego towarzysza. Oni też mieli zamiar ukryć się za osypiskiem, lecz zza kamieni przywitała ich lufa pistoletu Grellego. Morton wciągnął głowę w ramiona i zamarł w miejscu, lecz panna, wyęzając resztki siły, przeniosła rannego przez kamienny nasyp. Jej męstwo zadziwiło nawet Leoparda. Wskazał jej oczami grotkę za krzakiem.

- Tam można się uratować - powiedział.

Występ skalny osłaniał grotę zarówno przed żołnierzami na wyspie, jak i działami okrętu. Lecz aby się do niej dostać, trzeba było przebyć wąski pas lądu, potem przepłynąć kawałek do skały, a co najważniejsze, wydostać się na wysokość sześciu, siedmiu stóp nad wodą. Sznur, dziesięć jardów sznura - oto od czego w tej chwili zależało życie!

Z nożem w zębach Grelli począł się czołgać w stronę płonącej brygantyny. Do okrętu pozostało mu jeszcze z pięćdziesiąt kroków. Dostawszy się w obłok dymu zerwał się i pobiegł przed siebie. Nogi zapadały po kostki w piasek i morską pianę. Ostatnia salwa armatnia huknęła w chwili, gdy był już przy brygantynie. Grelli padł twarzą ku ziemi i gdy tylko pociski przeorały piasek, uniósł głowę... i zobaczył Bernardita, który też przywarł do ziemi o jakieś dziesięć kroków od okrętu. Salwa ogłuszyła kapitana, a piasek zasypał mu oko. Grelli przyglądał mu się uważnie, gdy wtem Bernardito poruszył się i zaczął przecierać swe jedyne oko. U pasa kapitana wisiała skórzana sakiewka, tak dobrze znana Leopardowi...

W jednej chwili w pamięci Grellego stanął ów dawno miniony dzień - zalew Morza Tyrreńskiego, urwisko, strzelcy królewscy, skok ze skały i ocalenie dzięki statkowi tego oto jednookiego kapitana. Lecz głos chciwości okazał się silniejszy od głosu wspomnień.

Bernardito uniósł się. Grelli patrzył przez parę sekund na jego pochylone plecy, nie odrywając oczu od łopatek poruszających się pod koszulą. Błysk noża - i ciało starego pirata osunęło się na ziemię. Grelli szybko rozciął pas i chwycił sakiewkę. Była nieduża i łatwo zmieściła się za pazuchą.

Z burt brygantyny zwisały porwane szoty. Odciąższy kilka jardów liny Leopard czołgając się wrócił do swego ukrycia. Panna tuliła się do rannego, który wciąż leżał bez czucia. Żołnierze ze szczytu skał strzelali jeszcze do pojedynczych postaci miotających się wśród dymu od jednej skały do drugiej.

- Czy pani umie pływać? - spytał Grelli pannę.

- Jestem chora i nie mam już więcej sił - odparła. - Nie zdołam go utrzymać na wodzie, a bez niego nie popłynę - wskazała na rannego.

- Pomogę pani - rzekł Grelli.

Szturchnął Mortona i kazał im czołgać się w stronę brzegu. Począł, aż skryje ich dym, i przeniósł rannego na skraj mierzei. Morton i panna weszli po pas do wody i popłynęli. Grelli, podtrzymując rannego, płynął za nimi. Za występem skalnym było spokojnie, nie świszczwały już kule. Emily i Morton podtrzymywali rannego na wodzie, a Grelli tymczasem usiłował zarzucić lasso na krzak. Trzy razy pętla spadała do wody, wreszcie za czwartym razem Grelli zaczepił linę o krzak i począł się wspinać w górę, aż dotarł do groty. Było w niej dość miejsca na cztery osoby.

Leopard spuścił teraz linę i jako pierwszego wciągnął na górę rannego, a potem z kolei Emily i Mortona. W wilgotnej grocie panna szczękała zębami, miała zimne jak lód ręce i rozpaloną głowę. Doszczętnie wyczerpana upadła jak nieżywa obok mokrego, nieruchomego ciała rannego. Ten otworzył oczy, powiódł dokoła tępym wzrokiem, westchnął i znów stracił przytomność. On też miał wysoką gorączkę i wszystko wskazywało, że niewiele pozostało mu szans na wyzdrowienie. Wszyscy czworo leżeli teraz na dniesie pieczary. Grelli wyjął kulę z pistoletu, podsuszył wilgotny proch i ponownie nabił broń.

Tymczasem Bernardito Luiz dźwignął się na kolana w swoim dołku. Cios noża nie był śmiertelny, widocznie był zadany niezbyt pewną ręką. Kapitan zdążył rozpoznać mordercę. Usiłował go zabić nie kto inny jak Leopard Grelli, który zrabował mu również mieszek z diamentami.

Zaczął się już przypliw. Łódź Bernardita zakołysała się na wodzie i wolniutko poczęła płynąć wzdłuż mierzei.

Strzelanina już umilkła. Tylko płonące drzewo brygantyny trzeszczało i rozsypywało się, a wiatr niósł dym i iskry w stronę kryjówki Bernardita. Nie można już było dłużej tu

pozostawać.

Herszt piratów zsunął się do wody i popłynął. Wynurzył się pod łodzią i trzymając się jedną ręką rufy, począł odpychać łódź od brzegu, nie pokazując się zza niej, aby wyglądało, że to prąd lub wiatr znosi łódkę. Słona woda jak ogień paliła ranę w plecach, każdy ruch lewej ręki sprawiał mu dotkliwy ból. Bernardito płynął oddalając się coraz bardziej od nieszczęsnej mierzei.

Jeszcze jeden pirat zauważył kołyszącą się w oddali łódź. Był to Pedro Gomez, przyboczna straż i służący kapitana. On też doczołgał się do wody i popłynął.

Jednakże i kapitan korwety zwrócił uwagę na pustą łódź, która bardzo by mu się przydała. Kazał więc swoim marynarzom rozebrać się i dogonić ją wpław. W tej chwili łódź zrównała się z grotą, w której znalazł schronienie Grelly z jeńcami. Leopard spojrzął w dół i ujrzał pod skałą łódź, a za jej rufą - głowę Bernardita. Morton zamknął oczy, widząc, jak Grelly mierzy z pistoletu, oparłszy długą lufę na zgiętej w łokciu ręce. Leopard potracił przy tym leciutko krzak zasłaniający pieczarę...

Bernardito uniósł głowę, zauważył grotę, lufę pistoletu i przymrużone oko Grellego. Puścił łódź i dał nurka, kryjąc się w wodzie przed strzałem...

Wysoka fala przyływu, popędzana przez wiatr, zalewała już płonące dno brygantyny. Woda pluskała o zwęglone burty, dym ścielił się nad wodą, i właśnie tam, w te obłoki dymu, skierował się Bernardito. Z pieczary w skałę padł niegłośny strzał i pływak poszedł na dno...

Dwaj francuscy marynarze, którzy wpław dogonili łódź, usłyszeli strzał Grellego. Pochwyciwszy łódź usiedli w niej i poczęli wpatrywać się w urwiska, starając się zorientować, skąd padł ów strzał. Giacomo przywarł do ziemi, by nie zdradzić swej obecności. Dlatego nie widział, jak Pedro, który wynurzył się był na powierzchnię, znów dał nurka, chwycił Bernardita za włosy i wyciągnął z wody.

Zapadł już zmierzch. Łódź przybiła do brzegu i obaj marynarze wyszli na piaszczystą mierzeję. Nie zdążyli jednak zrobić nawet pięciu kroków, gdy spod kadłuba okrętu wyskoczył barczysty olbrzym. Jednego Francuza Pedro przebił nożem, drugiego udusił. Woda uniosła ich ciała, a Pedro już w ciemnościach wciągnął swego kapitana do łodzi i pracując zawzięcie wiosłami opłynął mierzeję, po czym skierował łódź na wschód. Trzymał się blisko skał przybrzeżnych, toteż nie zauważono go z korwety.

Gdy natrafił wreszcie na malutką zatoczkę, zepchnął mocno uszkodzoną i przeciekającą łódź na wodę i wzięwszy na plecy półżywego Bernardita poniósł go w leśny gąszcz. Tam znalazł pozostawione przez żołnierzy, prawie wygasłe ognisko. Rozdmuchał żar i rozpalil ogień pod osłoną krzaków. W świetle ogniska obejrzał plecy Bernardita, wyjął nożem kulę, która utkwiała pod łopatką, i opatrując kapitanowi obie rany, położył się obok niego i usnął kamiennym snem...

Tymczasem Leopard, wysunawszy głowę z pieczary, widział, jak korweta podpływała do mierzei. Dwudziestu marynarzy wraz z oficerem już w zupełnych ciemnościach wpław przedostało się na mierzeję. Zamigotały światła latarni, rozległy się dwa, trzy strzały u podnóża skał i wszystko ucichło. Żołnierze zebrali całą broń piratów i wrzucili do morza ich martwe ciała, po czym oficer dał rozkaz powrotu na pokład.

Leopard słyszał, jak kapitan na mostku korwety kazał płynąć do tej samej zatoki, w której okręt stał tego ranka. W świetle wschodzącego księżyca Francuzi dojrzeli na wodzie, już po drugiej stronie mierzei, fatalną łódź, do połowy wypełnioną wodą. Wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że marynarze, posłani po nią jeszcze przed zapadnięciem ciemności, musieli utonąć. Kapitan pozostawił ją na pastwę fal i rozbita łupina, uderzywszy o przybrzeżne głązy, wolno poszła na dno.

Nocą korweta powróciła do ukrytej wśród skał zatoki. Jej dowódca miał zamiar uzupełnić zapas słodkiej wody i czym prędzej zakończyć niezbędny remont okrętu. Kapitan wiedział o buntowniczych nastrojach wśród załogi i obawiając się, że może mu zabraknąć zapasów

żywności, spieszył się, by jak najprędzej dotrzeć do wybrzeży Afryki.

6

Pozostawiwszy swych jeńców w pieczarze, Grelli owiązał się w pasie sznurem i zeskoczył do wody. Gdy się przekonał, że ukryty w rozpadlinie skalnej ładunek „Ophiru” pozostał nietknięty i że w pobliżu nie ma żywego ducha, wyciągnął się na piasku pod skałą i przespał tak do rana. Zbliżał się świt dnia dwudziestego drugiego kwietnia.

Leopard obejrzał dokładnie miejsce zagłady całej załogi „Czarnej Strzały”, lecz nie znalazł nic ciekawego. Potem przeliczył diamenty w zamszowych woreczkach. Było ich dwadzieścia sześć. Słyszał, że kamienie te przedstawiają wartość pięćdziesięciu-sześćdziesięciu tysięcy funtów.

Teraz był bogatym człowiekiem, lecz to mu już nie wystarczało. Z głowy nie wychodziła mu inna myśl - mógł jeszcze przeobrazić się w angielskiego szlachcica! Była to nie tylko jedyna droga ratunku z tej bezludnej wyspy. To była przyszłość!

Grelli nierzadko miewał różne ambitne plany. Często myślał o tym, że nawet największy majątek nie dałby mu ani władzy, ani wpływów. Byłby to bowiem majątek w rękach bezdomnego i bezimiennego włóczęgi, ściganego przez prawo. W takich chwilach przeklinał swego ojca i wzywał pomsty na jego głowę. Teraz nadarzała się możliwość odwetu - pod nowym nazwiskiem - za cały ból i wstyd, za całe dotychczasowe poniżenie...

- Esquire Frederick Riland, wicehrabia Chancefieldu - mruknął. - To brzmi wcale nieźle, a okoliczności układają się wyjątkowo pomyślnie... A więc żegnaj, Leopardzie Grelli, bezdomny Giacomo, popychadło z sierocińca, przemytniku, żołnierzu i rozbójniku! Żegnaj! Pozostałeś na zawsze ze szczątkami rozbitego okrętu na dnie morza. Wkrótce, z pokładu francuskiej korwety, odda honory twej mogile angielski szlachcic wicehrabia Chancefieldu, który odpłynie do Anglii, gdzie formalnie obejmie dziedzictwo. O, już ten wicehrabia za pomocą tych oto kamuszków szybko pomnoży rodową fortunę!

Rozmawiając tak sam z sobą Grelli poczuł głód. Francuzi nie pozostawili na mierzei żadnych zapasów. Trzeba się było pospieszyć. Ciekawe, jak daleko do tej przeklętej zatoki?

Podniósł z ziemi siekiere porzuconą poprzedniego dnia przez piratów. Miał zamiar sklecić małą tratwę ze szczątków „Ophiru”, aby na niej dostać się do zatoki, w której stała korweta.

„Za jednym zamachem trzeba skończyć z nimi - pomyślał Grelli o swych jeńcach. Pomysł wykorzystania Mortona w charakterze swego zaufanego nie przyszedł mu jeszcze do głowy. - Szkoda dziewczyny! Piękna i odważna, ale z nią nie można się będzie dogadać i musi ją pan usunąć ze swej drogi, nowy sir Riland!”

Papiery i dokumenty znajdowały się w woreczku na szyi Mortona. Grelli dopłynął wpław do skały i zawołał starego. Zza krzaka natychmiast ukazała się łysa głowa. Morton usłużnie przymocował linę do korzeni i pomógł Leopardowi dostać się do pieczary. Emily z zamkniętymi oczami leżała na kamieniach. To ona musiała podłożyć parę gałązek zerwanych z krzaka pod głowę rannego.

- Morton, gdzie są dokumenty tego człowieka? - spytał Grelli.

Attorney wyjął z zanadru woreczek, a z niego portfel.

- A teraz dawaj tu wszystko!

Stary drżącymi rękami zdjął woreczek z szyi i podał piratowi. Zauważywszy dopiero teraz siekiere w rękach Leoparda, przyczołgał się na kolanach do niego. Po jego bladej, obrzękłej twarzy toczyły się łzy.

- Błagam, niech mnie pan nie zabija, drogi, szlachetny panie korsarzu! Daruj mi życie, a nie będzie takiej usługi, jakiej bym ci nie oddał, najczcigodniejszy panie!

- Dobrze! Ale gdyby ci przyszło do głowy mnie oszukać, powieszę cię na twych własnych

kiszkach. Słuchaj, ty nędzny robaku! Pojedziemy razem do Anglii. Odpłyniemy stąd na tej samej korwecie, która wczoraj zatopiła „Ophir”. Jestem wziętym do niewoli przez piratów wicehrabią Chancefieldu, a ty w Bultonie wprowadzisz mnie w posiadanie mego dziedzictwa. Zrozumiałeś?

- Boże wielki, a cóż się stanie z prawdziwym dziedzicem, szlachetny panie?

- Ach, z prawdziwym? - Grelli z wściekłością zamierzył się siekierą. - Zaraz ci pokażę prawdziwego dziedzica, ty szcurze sądowy!...

W tej chwili ranny otworzył oczy, lecz ich spojrzenie nie było przytomne. Nie poznawał nikogo i nie zdawał sobie sprawy ze straszliwego niebezpieczeństwa. Panna objęła ramionami jego głowę i własnym ciałem osłoniła go przed siekierą pirata. Grelli chwycił ją za rękę, odepchnął pod przeciwległą ścianę i znów się zamierzył. Panna rzuciła się do nóg Leopardowi i czepiając się jego rąk błagała o litość. Grelli opuścił siekierę.

- Jesteś z nim zaręczona?

- Tak.

- Chcesz mu ocalić życie?

- Tak.

- Zostaniesz moją żoną?

- Nie.

- Tedy go zabiję. Czy zrozumiałaś moje zamysły?

- Tak. Chce pan zawładnąć nazwiskiem i mieniem sir Fredericka Rilanda.

- Zgadłaś, moja mała. I muszę usunąć z drogi wszystko, co może mi w tym przeszkodzić. A przede wszystkim tego oto półtrupa. Puść moją rękę!

- Mister Grelli, daruj mu życie! Zgadzam się na wszystko. Gotowa jestem nazwać się pańską żoną, podobnie jak Morton pańskim attorney.

- To inna sprawa. Ale skąd mam pewność, że nie zechce mnie pani oszukać? Może liczy pani na to, że wyda mnie dowództwu korwety?

- Nie mam innych dowodów prócz mego słowa honoru. Jeśli pan sobie życzy, mogę złożyć przysięgę. Tylko niech go pan zostawi przy życiu i pozwoli mi pielęgnować go, nim powróci do zdrowia.

- Zgoda, signorita! Niech sobie żyje ten pani były narzeczony. Ale będzie musiał kurować się na tej zacisznej wyspie już bez pani. Jedziemy do Chancefieldu. Papiery zatrzymuję przy sobie. A teraz w drogę, signorita, i... proszę zwracać się do mnie jak należy! Dlaczego pani milczy? No?

- Sir Frederick Riland, jestem gotowa iść z panem.

Gdy Grelli opuścił nogi, by skoczyć do wody, usłyszał jęk. Odwróciwszy głowę zobaczył, jak Emily przypadła do piersi rannego.

W dwie godziny później malutka tratwa przybiła do skały pod pieczarą. Usadowiwszy na niej na wpół żywego ze strachu Mortona, Grelli wyniósł z groty leżącą bez czucia Emily i nieprzytomnego sir Fredericka, ułożył ich na tratwie i pomagając sobie wiosłem popłynął wzdłuż brzegu.

Pod wieczór znaleźli się u wejścia do zatoki. Grelli z trudem ocucił miss Gardy.

- Posłuchaj, Emily - zwrócił się do niej - wysadzę was oboje tutaj, w pobliżu zatoki. Pokażę się Francuzom najpierw z Mortonem i oddam im papiery. Potem wrócę po ciebie. Staraj się obudzić tego pana i przedstawić mu sytuację.

Nie minęły nawet dwie godziny, gdy Grelli i Morton byli już z powrotem. Obaj trzymali w rękach nieduże zawiniątka.

- Świetnie się wszystko układa - powiedział Grelli. - Pojutrze korweta podnosi kotwicę. Przyjęto mnie bardzo dobrze. Przyrzekłem, że jutro wieczorem przywiozę cię na okręt. A tu masz kolację - pokrzep się trochę.

Obaj z Mortonem sporządzili szalás. Z korwety przynieśli koc, kociołek, żywność i lekarstwa.

Rannego ułożono w szalasiu.

Emily, sama u kresu sił, nie tknęła jedzenia. Przygotowała bulion dla chorego i nakarmiła go łyżeczką. Ranny poczuł się lepiej. Powiódł dokoła przytomnym wzrokiem, uśmiechnął się do Emily i odwróciwszy się na bok zapadł w głęboki sen ozdrowieńca.

Jeszcze całą dobę spędziła Emily przy nim, trzymając się na nogach jedynie nadludzkim wysiłkiem woli. W nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziestego czwartego kwietnia korweta „Burgundia” miała podnieść kotwicę.

Ranny spał mocno w swoim szalasiu. Grelli przyniósł strzelbę, zapas prochu, niektóre narzędzia i zapas żywności. Postanowił nie budzić rannego i podawszy Emily kartkę papieru kazał jej napisać list.

W krótkich więc słowach Emily zawiadomiła ukochanego o swej decyzji, dając mu do zrozumienia, że małżeństwo z piratem, samozwańczym wicehrabią, będzie tylko formalne. Położywszy kartkę na wierzchu skarbu, pozostawionego rozbitkowi, Emily z kamienną twarzą pochyliła się nad śpiącym i bez słowa przygłębła ustami do jego czoła.

Grelli na rękach zaniósł ją na brzeg zatoki; po milczącym pożegnaniu z narzeczonym Emily zupełnie opadła z sił.

Układając już w kajucie na rufie „Burgundii” nieprzytomną, rozpaloną gorączką Emily, Grelli po niewątpliwych oznakach na jej twarzy zrozumiał, że jest chora na ospę...

Nocą, gdy okręt płynął na północ, Grelli zauważył, że Morton pisze coś w kajecie oprawnym w brązową tłoczoną skórę. Brutalnie wyrwał mu kajet z ręki, przeczytał go bardzo uważnie i wydarłszy kilka ostatnich zapisanych stron zatrzymał go u siebie. Po przybyciu na fregacie „Krzyżowiec” do Anglii Leopard wyjął kajet i w swym świeżo odziedziczonym gabinecie w Chancefieldzie zapędził Mortona do swoistej pracy literackiej.

- W tym dzienniku może pan powrócić do opisu faktów poczynając od żeglugi na pokładzie „Burgundii” - powiedział swemu attorney i plenipotentowi. - Pierwsza część pańskich notatek, włącznie z opisem walki w kajucie „Ophiru”, pozostanie nie zmieniona, lecz o wyspie nie może być tu ani słowa. I jeszcze jedno: niech pan nie pisze, kto w rzeczywistości wzniecił pożar na „Burgundii”. Przecież to ja podpaliłem naszą kajutę strącając na podłogę płonąca lampę, zanim zeskoczyłem na tratwę. Wiedziałem, że prochownia znajduje się tuż obok tej kajuty... Nawiasem mówiąc, obliczenie koordynatów wyspy też zawdzięczam kapitanowi „Burgundii”, Panie, świeć nad jego duszą! Spowodowany przeze mnie wybuch uniósł go na pewno z mostka wprost do nieba!

I pan na Chancefieldzie wybuchnął swym charakterystycznym, gardłowym śmiechem.

...Głuchy, równy głos spowiadającego się umilkł. Przez parę minut trwała w kajucie głęboka cisza. Pastor pochylił się nad chorym. Szeroko otwarte oczy Grellego błyszczały gorączkowo. Był bardzo zmęczony.

- Jeszcze parę słów. Jak łatwo się domyślić, wprowadzając w życie swój plan zacząłem ściągać do Bultonu swych przyjaciół. Wymieniłem niektóre nazwiska... Ich grzechy biorę na swoje sumienie. Co do legendy o trędowatych na wyspie, to oczywiście mój wymysł. W ten sposób chciałem zapobiec zejściu na ląd osób niepowołanych. Przydało mi się to szczególnie, gdy się dowiedziałem, że prócz sir Fredericka uratowało się jeszcze dwóch nieznanymi ludzi spośród załogi „Czarnej Strzały”... Murray to nie jest zmyślone nazwisko. Naprawdę figurowało w rejestrze pasażerów, którzy zginęli na „Ile de France”... A teraz proszę mnie pozostawić samego z pastorem.

Wśród martwej ciszy podniósł się nowy pasażer „Orionu”. Powstrzymał gestem zebranych i rzekł zwracając się do człowieka leżącego na łożu śmierci:

- Moi państwo! I pan, signor Giacomo d'Ellano! Okrutny los nie pozwolił panu nosić nazwiska swego ojca. I pan przez całe życie mścił się na innych za doznana od niego

krzywdę. Uganiał się pan za nazwiskiem. A tymczasem nazwisko - to pusty dźwięk; puste naczynie, które wypełniają dopiero treścią czyny noszącego je człowieka. Nazwisko Fredericka Rilanda związał pan z tak krwawymi i okrutnymi czynami, że ja zrzekam się go na zawsze.

Pozostawia pan jednak dziecko, którego los mógłby się stać podobny do pańskiego, albowiem, zrodzone pod fałszywym nazwiskiem, też bez własnej winy powinno utracić do niego prawo. Nie chcę mnożyć zła i nieszczęść na ziemi. Postanowiłem ostatecznie, aby pański syn otrzymał w dziedzictwie wszystko, co pan sam chciał mu pozostawić w udziale. Zechce pan wyznaczyć opiekunów sir Charlesa według własnego uznania. A moim obowiązkiem jest zaleczyć rany duchowe tej, której imię godne jest stanąć obok imion heroin starożytności. Nic z jej dawnego otoczenia - ani ludzie, ani kraj, ani dom - nie powinno zamącić bolesnym wspomnieniem przyszłego szczęścia, które postaram się jej stworzyć pod nowym nazwiskiem!

Rozdział dziesiąty

Mogiła na wyspie

1

W mroku i ciszy, jaka zapadła po zawaleniu się stropu pieczary, kapitan Bernardito strząsnął z siebie ziemię i przekonawszy się, że dziecko na jego rękach oddycha, położył malca obok siebie.

Doznawał w tej chwili podobnych wrażeń jak wówczas przed trzema laty na pokładzie „Czarnej Strzały”, gdy huragan pędził okręt na podwodne skały. Teraz też odczuwał dziwną ociążałość w całym ciele i szum w uszach. W ciemności począł macać dokoła. Coraz trudniej było oddychać, najmniejszy wysiłek powodował przyspieszone bicie serca.

Kapitan wyjął z kieszeni krzesiwo, skrzesał ogień i zapalił jakąś szczapkę, która mu się nawinęła pod rękę. Zawaliło się dwie trzecie pieczary. Pozostałą przestrzeń pokrywała gruba warstwa pyłu i drobnych kamieni. Spod zwałów ziemi wystawały dwie nogi stołu i część blatu. Obok, przyciśnięta kamieniem, leżała gruba książka z obrazkami.

Bernardito zawołał na swego towarzysza. Wilgotna ziemia pochłonęła głos kapitana i płacz obudzonego dziecka.

Stary pirat pamiętał, że Pedro siedział przy stole naprzeciw niego, obok pustego posłania dziecka. Teraz na tym miejscu piętrzyła się góra wilgotnej ziemi, z granitowym głazem na wierzchu. Bernardito zrozumiał, że ma przed sobą mogiłę Pedra i że ten granitowy głaz stał się kamieniem nagrobnym jego ostatniego, jedyne go towarzysza.

Pogrzebawszy w ziemi obok zdruzgotanego stołu Bernardito natknął się na kaganek z resztkami zastygłego tłuszczu. Zapalił go i ukląkszy przycisnął czoło do szczerbatego kamienia. Stary kapitan czuł bolesny skurcz w gardle, lecz oczy jego pozostały suche. Odmówił na wespół zapomnianą modlitwę i usłyszawszy płacz dziecka wziął je na ręce.

Gdy dziecko się uspokoiło, zabrał się do oględzin pieczary. Resztki stropu ledwo się trzymały. Przepadł cały zapas żywności, broń i odzież.

Rozgrzebując ziemię Bernardito począł wyciągać spod zwałisk jeden przedmiot po drugim. Odszukał siekiere, żelazną motykę i dębowy drąg. W końcu odkopał niewielki zapas żywności, który Pedro trzymał pod ręką na najbliższe dwa dni. Żywność ta, przy oszczędnej gospodarce, mogła utrzymać przy życiu Bernardita i dziecko przez dziewięć, dziesięć dni. Najgorsza była niepewność, czy lada chwila nie runie tysiactonowy strop, oraz zupełny brak wody.

Dorzuciwszy do kaganka trochę topionego tłuszczu z dzika, Bernardito począł opukiwać ściany i pułap pieczary, O tym, aby się dało odkopać stare wyjście, szkoda było nawet myśleć. Natomiast po przeciwległej stronie, pomiędzy ostrą granią spadzistego stropu a dnem pieczary, widniała wąska szczelina.

Bernardito na brzuchu przeczołgał się przez tę ciasną szczelinę i nieoczekiwanie odkrył naturalny podziemny chodnik, który wkrótce rozwidłał się w dwie strony. Czołgając się dalej lewą odnogą znalazł się w ślepych zaułku wśród bazaltowych głazów. Ale tu można było już swobodnie stać.

Piratowi dokuczalo pragnienie. W ustach miał pełno piasku. Wsłuchany w szmer osypujących się ze szczelin strużek suchej ziemi Bernardito pochwycił jakiś inny, dźwięczny odgłos dochodzący z kąta tej kamiennej kazamaty. Dźwięk ten powtarzał się co dziesięć sekund. Bernardito uniósł w górę kaganek i ujrzał wapienny stalaktyt zwisający ze sklepienia. Z dołu wznosił się w górę, jakby dążąc na spotkanie z kamiennym soplem u stropu, podobny twór przyrody, stalagmit. Na końcu stalaktytu zbierała się co dziesięć sekund ciężka kropla wody i

spadała w dół. Z wiekami krople te wydrążyły wgłębienie w stalagmicie. Mieściło się w nim z pół szklanki wody. Z każdym opadnięciem kropli miniaturowy zbiorniczek przepelniał się; nadmiar wody spływał po kamieniu i wsiąkał w ziemię.

Bernardito małymi łykami wypił wodę z wgłębienia i wrócił do pieczary.

Tu wytrząsnął z miski ziemię i zjadł resztki strawy pozostałe na dnie. Potem oczyścił ją drzazgą i szmatką, przeniósł dziecko do nowego schronu i podstawił miskę pod stalaktyt. Z wielkim wysiłkiem, czołgając się wciąż na brzuchu, w ciągu paru godzin przeniósł tu cały ocalały dobytek, łącznie z książką małego Charlesa. W starej pieczarze pozostawił tylko drzewo - w nowym schronieniu nie można było rozpaścić ogniska, gdyż wtedy udusiliby się od dymu. Płomyk kaganka leciutko się kołysał - a więc przez szczeliny w skałach przenikało powietrze.

Bernardito odkroił dla dziecka kawałek chleba z nowego bochenka i dał mu się napić wody, co tymczasem zebrała się w misce. Potem rozłożył na kamieniu swą skórzaną kurtkę, która miała im służyć za poślanie, i podsunąwszy ramię pod głowę małego, na parę godzin zapadł w sen.

Chłopczyk długo leżał bez ruchu, wpatrując się w chybotliwy płomyk kaganka. Wreszcie i on usnął, ukołysanym monotonnym dzwonieniem kropel spadających do blaszanej miski.

2

Robert Patterson i Richard Thompson weszli do kajuty nowego pasażera brygu. Zastali go przy porządkowaniu papierów i dokumentów na nazwisko obywatela stanu Wirginia, Alfreda Murraya.

- Przychodzimy, by zaproponować panu dowództwo wyprawy, sir Riland - zaczął adwokat - i prosimy...

- Mister Thompson - przerwał mu gość „Oriona” - od dzisiejszej nocy nie mam nic wspólnego z nazwiskiem, które pan wymienił. Utrzymuję w mocy wszystkie dokumenty podpisane w pańskiej obecności i potwierdzone przez pana, Mortona i pastora. Jeśli panowie tego sobie życzyacie, ja, Alfred Murray, gotów jestem - po śmierci sir Fredericka Rilanda - na pewien czas objąć dowództwo wyprawy, by przygotować wszystko do rejsu powrotnego. Uważam zresztą, że kapitan Brantley spełniłby to zadanie lepiej ode mnie.

- Proszę wybaczyć, mister... Murray - odparł adwokat - pozwolę sobie jednak zauważyć, że z punktu widzenia ustawodawstwa angielskiego nie bardzo ma pan prawo urzeczywistnić swe wielkoduszne postanowienie. Nasze ustawodawstwo przewiduje bowiem możliwość usynowienia, ale nie przekazania tytułu i nazwiska innej osobie.

- Ależ, mister Thompson, w podpisanych przeze mnie papierach nie ma ani słowa o przekazaniu nazwiska. Składając swój podpis stwierdziłem, że istotnie jestem Alfredem Murrayem, rdzennym kolonistą z Wirginii. Dokumenty te mają jak najbardziej prawny charakter.

- Jeszcze raz pana proszę - rzekł adwokat - aby zechciał pan spokojnie i z rozwagą przemyśleć całą sprawę, jakkolwiek wysoko cenię i doskonale rozumiem motyw pańskiej decyzji. Lecz człowiek, którego wstrząsająca spowiedź utwierdziła pana w jego wielkoduszności, stworzył ogromne przedsiębiorstwo. Pośrednio lub bezpośrednio zależą od niego losy i byt tysięcy ludzi. Człowiek ten był ciemnym awanturnikiem. Ogromne bogactwa, jakie skupił w swych rękach, wykorzystywał dla ryzykownych i przestępczych celów. Jemu te operacje przynosiły zyski, lecz dla ogółu były one niebezpieczne, a nawet wręcz nieludzkie. Tak, wiem od Dorotei, iż rzekomy Riland nie tylko zajmował się handlem niewolnikami, lecz miał zamiar powrócić do rzemiosła pirata i uprawiać grabież na morskich szlakach.

Patterson niespokojnie wiercił się na krześle, a Richard z zapałem mówił dalej:

- Zbudowany dla niego bryg „Skrzydlaty”, to cudo sztuki budownictwa okrętowego, ma stać się nowym groźnym statkiem korsarskim, siejącym śmierć i nieszczęście. Po zgonie rzekomego Rilanda sprawy Kompanii Północnobrytyjskiej pozostaną w rękach przyjaciół i wspólników pseudohrabiego, takich samych ciemnych typów jak on. Pańska rezygnacja ze spadku może wywołać straszliwy krach albo też brudne machinacje, zapoczątkowane przez tego człowieka, będą nadal kontynuowane ze szkodą dla społeczeństwa.

- Mister Thompson - przerwał adwokatowi Murray - nie ma pan słuszności. Są prawa niepisane, które dyktuje nam nasze sumienie i honor. Jestem potomkiem bocznej linii rodu, nie należę do starej arystokracji i tylko przypadkowy zbieg okoliczności sprawił, iż stałem się spadkobiercą Chancefieldu. Rezygnując z przypadkowo odziedziczonego tytułu i majątku zdobytego nieprawą drogą, kieruję się głosem sumienia. Studiowałem dzieła Jean Jacques'a Rousseau, co utwierdziło mnie w przeświadczeniu, że najwyższym powołaniem człowieka jest powrót do natury. Zło naszego świata widzę w nierówności ludzi, w pustych tytułach i zaszczytach, w gromadzeniu złota kosztem bliźnich... Co się zaś tyczy wspólników firmy Rilanda, pragnę wierzyć, iż nie zechcą się nadal bogacić w niegodziwy sposób. Zresztą muszę wyznać, że to mnie zupełnie nie obchodzi. Mam inne obowiązki wobec Boga i ludzi. Żywię też nadzieję, że w Ameryce, na łonie dziewiczej przyrody, uda mi się stworzyć niedużą kolonię Równości i Sprawiedliwości, Pracy i Rozumu.

Patterson odetchnął z ulgą, wysłuchawszy Murraya. Wystąpienie Richarda nie na żarty zaniepokoiło go i rozgniewało.

„Szczeniak - myślał Patterson - krasomówca od siedmiu boleści! Pęta się toto tylko pod nogami ludzi interesu! Pal diabli tego prawdziwego Rilanda! Naczytał się francuskich książek i bredni o sprawiedliwości! Przeszkadzałby nam tylko w interesach, pojęcia nie ma o tych rzeczach! Gdyby niewyczerpana energia tego, który w tej chwili umiera, nie uratowała na przykład banku Landy'ego, byłbyś dziś, Richardzie, ty głupi pyskaczu, jakimś pisarczykiem harującym za grosze albo innym wyrobnikiem!”

I dalej już na głos snuł swoje rozważania:

- Sam Kościół w osobie naszego wikariusza pobłogosławi mądry i szlachetny krok pana... hm... Murraya. Ale martwi mnie inna rzecz. Chodzi o to, że umierający w bardzo swoisty sposób rozporządził się wekslem bankiera Landy... Zapisał ten weksel piratowi nazwiskiem Bernardito Luiz. Jak pan sądzi, mister Murray, czy Bernardito Luiz zechce podjąć na raz całą tę ogromną sumę? Byłoby to równoznaczne z zachwianiem naszych podstaw finansowych.

- Przypuszczam, że Bernardito nie zechce bynajmniej sprawiać kłopotów Bankowi Bultońskiemu - odparł Murray. - Prawdopodobnie wskaże adres, na który bank będzie mógł częściami wysyłać mu te pieniądze. Zamierza on zbudować sobie hacjendę gdzieś w Południowej Ameryce, gdzie mógłby odpocząć od trosk i trudów. Ma już pięćdziesiąt lat. Pięć lat temu jego matka jeszcze żyła, lecz teraz już nie spodziewa się jej zobaczyć... Być może w Ameryce będziemy jeszcze sąsiadami... Zdaje się, że pogoda trochę się poprawiła. Wybieram się z Emily na wyspę, by zawiadomić Bernardita i Pedro o nowej sytuacji. Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie temu, by odpłynęli stąd razem z nami. Trzeba też jak najprędzej przywieźć dziecko na okręt, by ojciec zdążył jeszcze pożegnać się z nim. Idzie tu doktor Gracewell. Zaraz się dowiemy, jaki jest stan chorego.

Doktor, blady i zmęczony, spojrział na nich sponad okularów.

- Nadchodzi kryzys. Obawiam się, że sir Frederick nie dożyje jutrzejszego wieczoru.

3

Łódź z „Oriona” odwiozła na brzeg Murraya i Emily. Czekala ich niemała droga do Skalistego Szczytu, gdzie wśród rozpadlin skalnych znajdowała się dobrze znana Murrayowi

pieczara.

Spoglądając na subtelny profil swej towarzyszkii Murray szedł lekkim krokiem człowieka, który zrzucił z ramion ogromne brzemie. Po raz pierwszy od lat czuł się wolny i szczęśliwy. Czekał na niego okręt, by go nieść ku jasnej przyszłości, cały świat stał przed nim otworem - i najlepsza w świecie dziewczyna, szeleszcząc fałdami płaszcza, z promienną twarzą szła razem z nim.

Kręta ścieżka doprowadziła ich do chatki zbudowanej z palmowych pni. Za chatką zielenił się ogród, nieduży kwietnik i sad, gdzie rosły drzewka wyhodowane z nasion dziko rosnących drzew owocowych. Za sadem zaczynały się gęste zarośla tropikalne.

Fred i Emily weszli do chatki. Wzdłuż ścian stały tu trzy drewniane łóżka. Proste urządzenie, sprzęty gospodarcze, naczynia - wszystko było utrzymane w czystości. Widać, że pracowite ręce prowadziły to prymitywne gospodarstwo! Całą ścianę pomiędzy dwoma oknami pokrywała ogromna skóra lwa. Palenisko zbudowane było z surowej cegły i ociosanych z grubsza kamieni. Murray rozpałił ogień i z wprawą myśliwego przygotował obiad, który obojgu smakował nadzwyczajnie.

- W naszym domu będę musiała uczyć się od ciebie gospodarzyć - zaśmiała się Emily. - To dziwne. Ty i pod nowym nazwiskiem pozostałeś Fredem. Byłoby mi trudno nazywać cię innym imieniem. O, jak mi lekko na duszy, Fred!

Po obiedzie ruszyli dalej myśliwską ścieżką ledwo widoczną pośród gąszczu dziewiczego lasu, aż wyszli nad błotniste leśne jezioro z bambusowymi zaroślami na spadzistym brzegu. Murray usadowił Emily w myśliwskim, wydrążonym z jednego pnia czółnie i przewiózł na drugą stronę.

Trochę dalej zaczynało się wzniesienie. Spod nóg idących osuwały się drobne kamyki. Wreszcie las się skończył i oczom ich ukazała się duża zielona łąka zalana słońcem. Kwiaty kołysały się na długich łodygach, soczysta trawa sięgała powyżej pasa. Jeszcze kilkaset stóp w górę - i oto Fred i Emily znaleźli się u podnóży skał. Tu już tylko karłowate, powykęcane wiatrem drzewa ożywiały gdzieniegdzie martwe kamienne zbocza.

Murray wskazał w dół. Na gładkim zwierciadle zatoki stał malutki jak zabawka „Orion”. Wokół, jak okiem sięgnąć, rozciągał się nieogarniony lazur wód. Ocean był spokojny, lecz od brzegu, jak zawsze, dochodził łoskot przyboju i pod skałami bieliła się piana kipieli.

Po chwili otworzył się przed nimi głęboki wąwóz. Po granitowej skale dziesiątkami małych strumyczków zbiegała w dół woda. Ten wodospad, utworzony przez podziemne źródła ukryte gdzieś w głębi gór, przebijał się na powierzchnię z ciemnej rozpadliny wysoko wśród skał, zbiegał po stromym zboczu i z szumem spadał z urwiska, mieszając na dnie wąwozu swe wody z wodami rzeki.

- Idę o zakład, że w tych górach kryją się duże bogactwa - powiedział Murray. - Każdy z nas zgromadził wcale pokaźny zapas złotego piasku, który znajdowaliśmy w strumieniu. Postanowiliśmy zachować w tajemnicy to odkrycie i wrócić znów kiedyś na wyspę, by zająć się poszukiwaniem złota.

- Niech twoi przyjaciele, jeśli zechcą, szukają złota - odparła Emily. - Mój niewielki spadek po ojcu i twój złoty piasek wystarczy nam w zupełności na urządzenie sobie nowego życia!

- Zapominasz jeszcze o ładunku „Ophiru”. Był on własnością twego ojca i według prawa należy do ciebie. Skrzynie znajdują się w bezpiecznym ukryciu. No, jeszcze jedno trudne podejście i spotkamy się z naszymi przyjaciółmi. Ale co u licha, nie poznaję tego miejsca!

Droga w górę, śladem niedawnej lawiny, okazała się bardzo trudna. Im wyżej wchodzili, tym mroczniejsza stawała się twarz Murraya. Już z daleka zobaczył, że ogromne góry są zruszone z miejsca. Znikły krzaki osłaniające wejście do pieczary.

- Boże! - szepnął. - Wejście zasypane.

Zbliżył się wieczór. Murray miał zamiar przenocować w grocie razem z przyjaciółmi, a tymczasem wejścia do niej już nie było.

Zaczął ich wołać głośno po imieniu. Odpowiedziało mu tylko gromkie echo. Zdjął z ramienia sztucer i dwukrotnie wystrzelił, lecz spłoszył tylko górskie orły.

- Emily, oni wszyscy zginęli! Pieczara stała się ich grobem. Jakieś fatum zaiste ciąży nad ludźmi noszącymi tytuł wicehrabiego Chancefieldu. Nigdy nie będziemy o nim wspominać, najdroższa!

Obnażył głowę i oboje ukłękli przed mogiłą chłopczyka i piratów, po czym podnieśli się bez słowa i ruszyli w powrotną drogę. Teraz Murray szedł w milczeniu, z opuszczoną głową.

Do jeziora dotarli już o zmierzchu i przepłynęli na czólnie w zupełnych ciemnościach. Emily potykała się co chwila i stłukła sobie nogę o jakiś wystający korzeń. Wtedy Fred wziął ją na rękę. Położyła głowę na jego ramieniu i przymknąwszy oczy pograżyła się jakby w głęboką złotą ciemność.

W odległości pół mili od brzegu wypiarze mieli myśliwski szałas. Fred wniósł Emily do szałas, zaświecił kaganek i rozpałił ognisko. Gdy drzewo zaczęło trzeszczeć, usiadł na kamieniu i rozmasował Emily stłuczoną stopę. Patrzyła na niego, a jej oczy jaśniały owym promiennym blaskiem, jakim lśnią oczy kobiety w najszcześniejszych chwilach życia.

Gdy już zjedli kolację, Fred przygotował dla Emily posłanie ze skór zwierzęcych i rozścieliwszy swój płaszcz na ziemi, położył się przy ognisku. Nie spał i patrzył w gasnący ogień. Zdawało mu się, że Emily usnęła; unióśł się cichutko na łokciu, by spojrzeć na jej twarz. W tej chwili objęło go dwoje białych ramion, a on wziął w dłonie jej głowę i dwa oddechy zlały się w jedno.

4

Spadające ze stalaktytu krople wody służyły zasypianym nie tylko do zaspokojenia pragnienia, lecz również zastępowały im zegar. Bernardito, który stracił już poczucie czasu, ustalił, że miska napełnia się wodą po brzegi mniej więcej w ciągu dwudziestu czterech godzin, i liczył teraz doby podług ilości opróżnionych misek. Żywił się wędzonym mięsem dzika i górskiego kozła, resztkami chleba i surową mąką zmieszaną z wodą. Tym samym też karmił dziecko. Cały chleb musiał pokroić na cienkie kromki, aby nie spleśniał, wilgotne powietrze chroniło chleb przed czerstwieniem.

Kapitan zbadał też prawą odnogę podziemnego chodnika. Była długa i kręta, miejscami sklepienie było tak niskie, że można było tylko przeczołgać się na brzuchu. W innych znów miejscach Bernardito stał wyprostowany i nie dosięgał ręką stropu.

Według obliczeń Bernardita dopiero w czwartym dniu po zasypaniu udało mu się przedostać do końca prawej odnogi. Tu, w odległości co najmniej trzystu jardów od rozwidlenia, natknął się w końcu na warstwową skałę łupkową, zamykającą podziemny chodnik. Przy świetle kaganek stary pirat obejrzał skałę i odkrył w niej wąską szczelinę. Gdy zbliżył kaganek do szczeliny, płomyk gwałtownie uskoczył i zgasł. Bernardito przyłożył teraz ucho do szczeliny i pochwycił szmer płynącej wody. Odgłos ten był ledwo uchwytny, lecz nie pozostawiał wątpliwości, że gdzieś za tą skałą płynie strumień. Gdyby się udało przebić parę stóp łupku i dostać się do podziemnego strumienia, być może wyprowadziłby on więźniów z ciemnicy. Bernardito przypomniał sobie wodospad w wąwozie i nagle olśniła go myśl, że znajduje się obok podziemnego źródła tego wodospadu. Szansę na ocalenie od razu wzrosły.

Bernardito miał ze sobą motykę. Znów zapalił kaganek i uderzył w skałę, z łatwością odłupując kawał miękkiego łupku. Pochłonięty pracą zapomniał o śnie, jedzeniu i pozostawionym dziecku. W ciągu paru godzin rozszerzył szczelinę. Ale też góra odłamków skalnych sięgała mu już do pasa. Uniemożliwiałoby to dalszą pracę. Teraz musiał rozrzucić je po całym chodniku. Przez szczelinę przenikało świeże powietrze. Po morderczej pracy Bernardito poczuł silne zmęczenie. Położył się więc i zdrzemnął na chwilę. Nagle, poprzez

monotonny, usypiający szmer strumienia doszły jego uszu jakieś odległe stuki i zgrzytanie. Bernardito poczołgał się z powrotem. Gdy po przebyciu najtrudniejszych etapów tej podziemnej drogi kładł się, by trochę odpocząć, słyszał wyraźniej te dziwne odgłosy. Wreszcie dotarł do pieczary. W atramentowych ciemnościach dziecko leżało cichutko na jego kurtce, lecz ujrawszy światło i brodę pirata wybuchnęło żalonym płaczem. Malutki człowieczek wyrażał w ten sposób żal o to, że tak długo pozostawiono go samego. Miska pod stalaktytem była przepełniona i drogie krople wody wsiąkały w ziemię.

- Cicho, synku już niedługo zobaczysz słońeczko i będziesz biegał po swojej wyspie - przemawiał do dziecka Bernardito gładząc je po kędzierzawej główce. - Znalazłem wyjście z pieczary, rozumiesz, wyjście, trzeba je tylko odkopać i wtedy...

Gdzieś daleko posypały się kamienie. Rozległ się jakiś dziwny pomruk i ściany pieczary drgnęły. W tej chwili stalaktyt urwał się i runął na ziemię, miażdżąc miskę z wodą. Pieczarę zaległa ciemność, gęsty pył wdzierał się do ust, nosa i oczu. Bernardito zacisnął powieki i skulony czekał, kiedy się to skończy. W jednej chwili ujrzał całe swoje przeszłe życie jak w oslepiającym blasku błyskawicy... Ale strop nad głową jeszcze się trzymał, a Bernardito zachował przytomność umysłu. Gdy wszystko ucichło, kapitan domyślił się, co się dzieje. Odkopywano ich dawną pieczarę! Widocznie Leopard kazał szukać ciała zasypanego syna. Podczas kopania marynarze zruszyli resztki ocalałego stropu i on to właśnie teraz runął. Jeśli zostało zasypane również rozwidlenie podziemnego chodnika, śmierć tym razem była nieunikniona.

Bernardito z trudem zapalił swą malutką pochodnię. Grota była cała, nie licząc stalaktytu, który pod wpływem wstrząsu oderwał się od stropu. Ale wejście do chodnika było do połowy zasypane.

Kapitan usunął ziemię, oczyścił wejście i poczołgał się ku rozwidleniu. Wszędzie leżała świeża ziemia, powietrze było jeszcze gęste od pyłu. Chodnik na prawo był wolny!

Obawiając się nowych osuwisk Bernardito postanowił przenieść się z kolei do tego chodnika i stamtąd przebić się do podziemnego strumienia. Znów usłyszał stuki. Kopano więc dalej, lecz dla kapitana było rzeczą jasną, że nawet gdyby pracowała cała załoga „Oriona”, nie można by wcześniej dokopać się do pieczary niż za jakieś dwa, trzy tygodnie.

Bernardito zaczął przenosić cały dobytek do prawego chodnika. Była to piekielna robota i trwała co najmniej dwie doby. Stary pirat był u kresu sił. Zupełnie wycieńczone dziecko nie krzyczało już i nie płakało; zwinięte w kłębuszek, jak zwierzątko, leżało na kurtce pirata, często zapadało w sen i budząc się patrzyło obojętnym wzrokiem na brodatego marynarza.

Bernardito wyspał się w nowym „mieszkaniu”, pokrzepił ostatkami chleba i dręczony pragnieniem zabrał się do pracy.

Według jego obliczeń minęło już chyba sześć, siedem dni od dnia katastrofy, gdy nagle trzy głucho grzmoty wstrząsnęły znów podziemiem. Nie wyglądało to na wstrząsy wulkaniczne, gdyż odgłosy te doszły go gdzieś z boku, od strony pierwszej pieczary.

- Wyszadzają skały! - mruknął i cisnął motyką o ziemię. - A niech ich wszyscy diabli! Zawała cały chodnik.

Robota szybko posuwała się naprzód - warstwy łupku ustępowały bez wielkiego oporu. Bernardito odwalał je za pomocą siekiery, motyki i dębowego drąga, który służył mu za klin. Chwilami odczuwał na twarzy chłodny powiew świeżego powietrza.

W końcu, po upływie trzydziestu, może czterdziestu godzin otwór wyrobiony w skale był już na tyle szeroki, że mieściły się w nim ramiona Bernardita. Odłożył więc narzędzia i wsunawszy weń głowę począł wpatrywać się w pustkę i mrok. W dole, o jakie sześć stóp niżej, słychać było szmer i plusk wody. A więc przebił się do jakiejś podziemnej groty lub tunelu, po którego dnie płynął strumień!

Bernardito rozszerzył otwór i osłoniwszy dłonią płomyk kaganka oświetlił tunel. Jego strop znajdował się o dwie stopy powyżej, w dole czerniła się groźnie bystra woda strumienia.

Dziecko spało. Bernardito dodał tłuszczu do kaganka, postawił go w kącie i położył na książce obok Charliego ostatnią kromkę chleba i kawałek wędzonego mięsa. Następnie zdjął z siebie skórzany pas, zaczepił go o drąg umocowany w otworze i trzymając się pasa opuścił się wprost w czarną wodę. Była lodowato zimna, a jej rwący nurt o mało nie zwałił z nóg pirata. Bernardito umył twarz i ręce, wypił kilka łyków, przeżegnał się i popłynął przed siebie.

Prąd strumienia niósł go w zupełnych ciemnościach. Kilka razy cisnął nim o kamienie i występy skalne, lecz wkrótce Bernardito znalazł się na żwirowatej mieliźnie. Orientując się po szumie wody naliczył dwa zakręty od początku swej drogi do mielizny. Dalej strop tunelu obniżył się, a prąd nabierał szybkości.

Bernardito odpoczął chwilę i znów wszedł do wody. Niosła go coraz szybciej i po jakimś czasie w oddali zaświtała jakby szara plama. Jeszcze jeden zakręt strumienia i płynący człowiek począł już odróżniać kontury stropu i ścian tunelu. Uchwycił się jakiegoś występu, spojrzął i zobaczył światło, światło słoneczne o jakieś pięćdziesiąt kroków przed sobą!

Strumień biegł teraz w dół i urywał się pod gzymsem nawisu skalnego, Bernardito poczołgał się jeszcze trochę na zdartych kolanach i wsunął głowę w jaśniejszą szczelinę. Przed nim rozciągał się oszałamiający, wolny przestwór!

Oślepiiony światłem słońca padł na występ skalny, skąd wody strumienia, skacząc wesoło po głazach stromego zbocza, spadały w zieloną głąb wąwozu.

Wreszcie Bernardito rozejrzał się dokoła. W dole zobaczył ludzi z oskardami, łopatom i siekierami. Słońce już zachodziło i ludzie ci skończywszy dzienną pracę wracali z wąwozu do lasu, niosąc ze sobą kogoś na noszach.

Gdy znikli mu z oczu, Bernardito podniósł się i odbywszy długą i trudną wspinaczkę po zboczu przedostał się do starej, zawalonej pieczary. Zapadał już zmierzch, od strony wąwozu powiał chłodny wiatr. Bernardito miał tak obolałe ciało i tak był przemarznięty, że wzdrygnął się na samą myśl powrotu do lodowatej wody podziemnego strumienia.

Robiło się coraz ciemniej, lecz Bernardito dojrzał u wejścia do pieczary ślady ludzkiej pracy. Był zdumiony, że tak wiele już zrobiono, widocznie pracowała tu cała załoga okrętu. Oczyszczono przestrzeń, a nawet w jednym miejscu dokopano się do dna pieczary. Uprzątnięta ziemia i kamienie tworzyły rodzaj kopca. Na samym wierzchu tego kopca leżał duży płaski głaz.

W ciemności Bernardito natknął się na łom i cały zwój cienkiej, mocnej liny manilowej. Obok leżał plecak z pozostawioną żywnością dla kilku ludzi. Każdą ze smołą i kupa żerdzi owiniętych pakułami były widocznie przygotowane dla nocnej zmiany.

Bernardito zjadł kawałek chleba, zarzucił plecak na ramiona, wziął łom, linę i pochodnię i zeszedł z powrotem w dół, nad wodospad. Przed niską gardzielią wjazdu westchnął, zapalił pochodnię i schyliwszy się wszedł do wody. Znów znalazł się w tunelu, gdzie podziemny strumień toczył swe fale niby mityczna Leta w wiecznym mroku Hadesu.

Podpierając się łomem, walcząc z rwącym prądem posuwał się naprzód krok za krokiem jak starożytny Charon w wodach mrocznego Styksu.

Dobrnąwszy do mielizny Bernardito przystanął, by odpocząć. Nie czuł już nóg z zimna, a serce ciężko waliło mu w piersi. Dalej prąd był już słabszy. Pirat zostawił linę na mieliźnie i znów ruszył w górę, licząc zakręty. Gdy minął drugi, po jakichś dwudziestu krokach ujrzał czarny otwór pod sklepieniem i zwisający stamtąd pas. Ostatnim wysiłkiem wspiął się w górę, wetknął pochodnię w otwór i wczołgał się do podziemnego schronu.

Wygasły kaganek leżał przewrócony na ziemi. Dziecka w schronie nie było...

5

Właściciel „Oriona” i gubernator Wyspy Charlesa wyciągnął rękę po szklanekę z napojem,

który doktor postawił na stoliku przed umierającym. Był to wyciąg z ziół leczniczych zebranych na wyspie przez Murraya. Podczas swych wędrówek po indyjskich dżunglach Murray uważnie obserwował sposoby leczenia przez znachorów i kapłanów w zapadłych wioskach Bengalii. Poznał ich sztukę i w ciągu lat spędzonych na wyspie niejednokrotnie wypróbował na sobie i swych przyjaciółach cudowne działanie leczniczych roślin, nie znanych zbyt pewnej sobie medycynie europejskiej. Udając się na okręt Murray zabrał naczynie ze sporządzonym przez siebie lekiem.

Nie wiadomo, czy choremu pomógł indyjski balsam, czy może jego zasób sił żywotnych był tak wielki, dość że pacjent doktora Gracewella wyszedł zwycięsko nawet z zapasów ze śmiercią.

Gdy minął kryzys i wbrew wszelkim przewidywaniom puls chorego wciąż jeszcze bił, doktor nie uwierzył własnym uszom, wsłuchawszy się w uderzenia tego niezmordowanego, złego serca. W najwyższym stopniu zdumiony natychmiast zawiadomił wszystkich, iż jest nadzieja na wyzdrowienie.

Załoga okrętu miała o świcie wyruszyć na wyspę, aby dalej prowadzić zaczęta wczoraj pracę nad odkopaniem pieczary. Wieść o śmierci dziecka głęboko wstrząsnęła sercami zarówno przyjaciół, jak i wrogów Grellego, a kapitan Brantley oddał prawie całą załogę do dyspozycji Murraya, który wziął na siebie kierownictwo pracami poszukiwawczymi.

Dowiedziawszy się o polepszeniu stanu chorego Murray przypisał to działaniu swego leku i radził, by na razie ukryć przed nim bolesną prawdę.

Cztery dni i noce trwały bez przerwy poszukiwania. Gdy dokopano się wreszcie do skały, Murray kazał wysadzić ją prochem. Po wybuchu odnaleziono wśród gruzu łopatę, resztki strzelby i co najważniejsze - ślady krwi i zmiażdżone kości.

Murray kazał natychmiast przerwać pracę. Na oczyszczonej platformie usypano coś w rodzaju mogiły i na wierzchu położono kamienną płytę z wyrytym na niej krzyżem...

Gdy gubernator wyspy odzyskał przytomność, wypił ostatki cudownego leku ze szklanki i kazał wezwać pastora. Z niedomówień pastora Redlinga nawet człowiek nie tak bystry jak Giacomo Grelli mógłby się domyślić, co się stało.

Grelli kazał wynieść się na pokład i od razu zauważył zupełny niemal brak ludzi na okręcie. Następnie wezwał do swej kajuty Mortona i zażądał, aby mu bez ogródek powiedział całą prawdę. Gdyby Morton wychodząc odwrócił się, ujrzałby widok najdziwniejszy ze wszystkich, jaki kiedykolwiek oglądał - łzę na orlim profilu, pierwszą łzę Giacomo Grellego w ciągu trzydziestu pięciu lat jego życia!

Przez dwa dni Grelli nie tknął jedzenia i nie dopuszczał nikogo do siebie. Gdy rankiem dziewiątego stycznia zawiadomiono go, że odkryto ślady trupów, kazał sporządzić nosze i udał się na wyspę niesiony przez swych podwładnych niby rzymski patrycjusz. Po przybyciu do wąwozu ustawiono nosze przed wysoką skałą nad zawałoną pieczarą. Grelli kazał zbudować drabiny na podobieństwo drabin oblężniczych i dać dwudziestu ludziom dłuta. Oddział ten wykuł w skale nagrobny napis. Wróciwszy na okręt Grelli zapowiedział, że nazajutrz podnosi kotwicę.

Ładunek „Ophiru”, ukryty wśród skał w północnej stronie wyspy, łodziami został przewieziony na pokład „Oriona”. Grelli bez sprzeciwu uznał go za własność lady Emily. Załodze wyjaśniono, że ładunek ten należy do Murraya i że został on uratowany na tratwie po katastrofie okrętu.

Przy tej okazji Murray razem z porucznikiem Wentem odwiedził znajomą piaszczystą mierzję. Pożegnał wzrokiem pamiętną grootę, gdzie Emily, za cenę nadludzkich wyrzeczeń, ocalała mu życie. Pogrążony w zadumie nie spostrzegł nawet, że Went bardzo uważnie ogląda jakiś przedmiot na piasku. Nieoczekiwane odkrycie dało porucznikowi dużo do myślenia; nie powiedziawszy jednak nic Murrayowi, rzucił tylko na niego pytające spojrzenie.

Rankiem dziesiątego stycznia „Orion” postawił żagle i ostrożnie wyszedł z zatoki.

Jeszcze poprzedniego dnia kapitan Brantley kazał zatknąć flagę angielską na wierzchołku Skalistego Szczytu. Oddawszy salut armatni „Orion” wziął kurs na Kapsztad i wkrótce wyspa z mogiłą zaspanych i powiewającą na szczycie flagą znikła na rufą brygu.

6

Bernardito Luiz, mokry, przemarznięty i nieludzko zmęczony, rzucił się ku ujściu podziemnego chodnika, przeklinając sam siebie za to, że zapomniał założyć je kamieniem. A może dziecko, dręczone pragnieniem, podpełzło do otworu w skale i wpadło do wody?

Kapitan oświetlił chodnik. Żadnych śladów dziecka... Wątpliwa rzecz zresztą, by odważyło się ono w kompletnych ciemnościach zapuszczać w głąb chodnika.

Bernardito zdjął krótką futrzaną kurtkę i mokrą koszulę, roztarł sobie nogi i włożył suchą kurtkę, jeszcze tak niedawno służącą małemu za posłanie. Nie pamiętał już, że porwane dziecko było dla niego tylko narzędziem zemsty; teraz myślał o nim wyłącznie jako o jedynej żywej istocie, z którą mógł dzielić samotność podziemnej niewoli. Na widok leżącej nieopodal książki z obrazkami stary pirat znów uczuł skurcz w gardle...

„Teraz i Grelli uważa swego syna za nieżyjącego... Śmierć dziecka uczyniła bezbronnym i mnie, i Freda. Nadeszła ciężka godzina! Bez Pedra żołnierze wezmą mnie głodem i zastrzelą byle gdzie w górach, a Fredowi w każdej chwili grozi teraz zdradziecki cios... A jeśli «Orion», nie odnalazłszy mnie, opuści wyspę, pozostanę tu sam jeden jak krzyż przydrożny! O, caramba!”

W tym momencie Bernardito usłyszał szmer. Sądząc, że to szczur dostał się do pieczary, podniósł słowę i w świetle pochodni zobaczył Charliego. Dziecko wypęzło na czworakach spod gzymsu podziemnego chodnika.

- Synku! - z jękiem wyrwało się z piersi Bernardita. Wciąż jeszcze nie wierząc swemu jedynemu oku wyciągnął ręce do dziecka.

- Wujku! - powiedziało umorusane ziemią stworzenie. - Gdzie ty wciąż chodzisz?

- A ty gdzie byłeś, synku?

- Poszedłem ciebie szukać. Nie zostawiaj mnie więcej samego.

- Nie, synku, teraz już zawsze będziemy razem. Znalazłem wyjście i gdy tylko trochę odpoczne, pójdziemy na słońeczko. No, Leopardzie, wkrótce będziesz mi jadł z ręki!

Nakarmiwszy chłopczyka Bernardito zapalił kaganek i zgasił pochodnię. Znowu znaleźli w półmroku, rozświetlonym tylko płomykiem „wilczego oka”, jak mawiał Pedro.

Po kilku godzinach Bernardito poczuł się znów na siłach, aby wyruszyć w drogę.

- No, synku, teraz nie powinienes się już bać niczego. Popłyniemy ku słończku. Nie płacz i mocno trzymaj się mnie za szyję. A po naszą książkę przyjdę tu innym razem.

Bernardito zrobił w plecaku dwa otwory w dolnych rogach i uzyskawszy w ten sposób coś w rodzaju spodni wdział je na chłopczyka, tak że wystawała mu z nich tylko głowa i ręce. Następnie wziął małego na plecy, zakładając sobie pasy plecaka pod pachy. Teraz dziecko, nie krępując mu ruchów, było dobrze przymocowane do jego pleców. Kapitan ujął zapaloną pochodnię i zszedł do szumiącego strumienia, czując na szyi oddech malca.

Rwący prąd walił z nóg. Brnąc po pas w wodzie i podpierając się łomem Bernardito wolno posuwał się naprzód. Podziemny strumień groźnie huczał pod sklepieniem tunelu. Dwa razy upadł stary pirat, upuścił do wody pochodnię, zgubił łom. Nie było sensu pochylać się i szukać - woda sięgała już do piersi i dziecko na plecach mogło się zachłysnąć. Nagle poczuł, że traci dno pod nogami.

- Podnieś wyżej głowę! - krzyknął do dziecka, zagłuszając szum wody, i popłynął.

Wkrótce, niesiony bystrym prądem, minął drugi zakręt... I nareszcie gzyms! Wyteżając wszystkie siły wparł się rękami w niskie sklepienie i osunął na kolana, pogrążając się po szyję

we wzburzonej wodzie. Spod gzymsu wionął na niego rześki wiatr przepojony zapachem lasu. Powietrze wypełniał szum spadającego w głąb wąwozu wodospadu. Bernardito dał nurka i czepiając się głazów, w sekundę był już po drugiej stronie gzymsu. Spojrzał w górę. Na przejrzystym, jasnym już granacie nieba migotały gasnące gwiazdy. Stary pirat zdjął plecak i chwyciwszy na ręce półżywe dziecko począł mocno rozcierać sine ciało. Chłopczyk otworzył czarne oczy, kichnął, a jego oddech stał się szybki i głęboki. Przed oczami Bernardita zawirowały czarne płaty i pirat zwałił się na ziemię obok dziecka. Ocknął się obudzony odległą salwą armatnią. Słońce stało wysoko nad wierzchołkami gór. Było ciepło. Śpiewały ptaki. Gdzieś od strony lasu słychać było żalosne szczekanie psa. Kapitan podniósł się, pogłaskał chłopczyka śpiącego mocnym snem na słoneczku i nagle, spojrzawszy w lewo, zobaczył wysoko nad sobą napis wyryty na nagiej skale ogromnymi literami:

Kapitan Juan Maria Carlos Ferdinand Bernardito
Luiz el Gorra
Marynarz Pedro Filippo Gomez
Charles Francis Riland
wicehrabia Chancefieldu, junior
zginęli tu 1 stycznia 1773 roku
Requiescant in pace!

Daleko na błękitnych wodach oceanu, widocznego na dziesiątki mil dokoła, Bernardito poznał „Oriona”. Pod pełnymi żaglami, maleńki jak skorupka włoskiego orzecha, okręt rozpląwał się już w przejrzystej porannej mgle.

W pierwszych dniach lutego w porcie kapsztadzkiem rzucił kotwicę bryg „Orion”. Dwie łodzie przewiozły na brzeg jakiś ciężki ładunek.

Właścicielem ładunku był wysoki dżentelmen o otwartej, ogorzalej twarzy. Nie targując się zafrachtował połowę niedużego żaglowca, który płynął do Ameryki, do Nowego Orleanu, i w parę dni później opuścił port afrykański. Przed odpłynięciem żaglowca tylko pierwszy oficer z „Oriona”, porucznik Went, i jego narzeczona, miss Mary Morton, przyszli pożegnać ogorzalego pasażera i jego towarzyszkę; długo stali na nabrzeżu powiewając chusteczkami.

Obok wysokiego dżentelmena na pokładzie żaglowca stała piękna młoda lady o ogromnych promiennych oczach. Trzymali się za ręce i patrzyli na mewy odprowadzające stateczek aż na otwarte morze. Ze służby tylko pokojówka-Francuzka towarzyszyła swej pani.

Bryg „Orion”, uzupełniwszy zapasy, popłynął dalej na pomoc. W marcu zawinął do Gibraltaru i tu, na wodach Morza Śródziemnego, stanął burta w burtę ze wspaniałą fregatą oceaniczną „Skrzydlatym”. Poniżej flagi brytyjskiej na masztach obu okrętów trzepotały - podniesione przez kapitanów „Oriona” i „Skrzydlatego”, Brantleya i Blackwooda - wimble z herbem wicehrabiego Chancefieldu: dwie lilie za złotym tłem, leżący lew i błękitna wstęga z napisem: „Pax bellum finit”^{*}.

Wicehrabia osobiście złożył wizytę kapitanowi Blackwoodowi, po czym „Skrzydlaty” wziął kurs na Amerykę, bryg „Orion” zaś odpłynął do Anglii.

Po upływie miesiąca od powrotu wicehrabiego do rodzowego gniazda prawnicy kantoru „Thompson i Syn” doprowadzili do końca formalności związane z rozwodem wicehrabiego Chancefieldu sir Rilanda z jego byłą żoną, z domu miss Gardy, która podobno wyszła wkrótce za mąż w Ameryce za niejakiego pana Alfreda Murraya z Wirginii.

^{*} Pax bellum finit (łac.) - Pokój wieńczy wojnę.

W niedługi czas potem, w piękny czerwcowy poranek, pastor Redling udzielił ślubu w katedrze bultońskiej dwu młodym parom.

Sir Frederick Riland, wicehrabia Chancefieldu, związał się węzłem małżeńskim ze swą sąsiadką lady Ellen Stanford, z domu miss Graham, zaś oficer floty królewskiej Edward Went pojął za żonę córkę administratora Chancefieldu, miss Mary Morton.

Wieczorem tego samego dnia obie pary nowożeńców wyjeżdżały w podróż poślubną, pierwsza - do Skandynawii, druga - do Francji i Włoch.

Na godzinę przed wyjazdem wicehrabiego do jego gabinetu wszedł Anthony, młody groom.

Spojrzał prosto w oczy wicehrabiemu i powiedział głosem cichym, lecz dobitnym:

- Panie, nie tylko wiernie ci służyłem, ale... kochałem cię i bez wahania oddałbym za ciebie życie, nie wiedząc, że jesteś sprawcą hańby i nieszczęścia mej siostry Dorotei. Dziś razem z siostrą opuszczam twój dom i pozostawiam cię własnemu sumieniu. Żegnam!

Kareta sir Fredericka i lady Riland stała już na podjeździe. Wicehrabia wyrzął przez okno i obok swej karety ujrzął ubogi wózek farmera. Anthony wyprowadził z domu Dorotę w starym płaszczu podróżnym. Wsiedli na wózek i przed panem Chancefieldu po raz ostatni mignęła twarz przypominająca smutne oblicze Madonny ze starych włoskich płócien.

Koniec tomu I